

W kraju agentów

Gibson William



calibre 0.9.43

William Gibson
Spook Country
W Kraju Agentów

(Spook Country)

Przełożył Robert J. Szmidt

1. BIAŁE LEGO

– Rausch – powiedział głos w komórce Hollis Henry. „Node” – dodał.

Włączyła lampkę nocną, oświetlając opróżnioną poprzedniego wieczora puszkę piwa asahi i upstrzonego nalepkami, zamkniętego, uspionego PowerBooka. Popatrzyła nań z zazdrością.

– Witaj, Philipie.

„Node” to tytuł pisma, dla którego ma pracować – o ile można to tak nazwać, a Philip Rausch jest jego wydawcą. Rozmawiali już raz, czego efektem był jej lot do Los Angeles i wynajęcie pokoju w Mondrianie, ale składałaby tę uległość raczej na karb swoich potrzeb finansowych niż jego zdolności perswazji. Ton, którym wymówił nazwę magazynu, ten dający się wyraźnie usłyszeć cudzysłów, sugerował, że to zadanie szybko ją znudzi.

Usłyszała, że robot Odile Richard uderza w coś miękko, dźwięk dochodził od strony łazienki.

– U ciebie jest już, zdaje się, trzecia – zauważył Philip. – Czyżbym cię obudził?

– Nie – skłamała.

Robota Odile zrobiono z klocków lego – wyłącznie białych. Był wyposażony w nieparzystą liczbę plastikowych kół tej samej barwy, tak że jedynie opony oraz coś, co wyglądało na panele baterii słonecznych umieszczone na tylnej części korpusu, odcinało się czernią. Hollis słyszała, jak zabawka cierpliwie, choć raczej bez planu przedziera się przez wykładzinę jej pokoju. Czy można kupić wyłącznie białe klocki lego? Idealnie pasowały do wystroju, w którym dominowała właśnie ta barwa. I stanowiły niezły kontrast dla egejskiego błękitu nóg stołowych.

– Jest już gotowa do pokazania najlepszego kawałka – oznajmił Rausch.

– Kiedy?

– Zaraz. Czeka na ciebie w swoim hotelu. W Standardzie.

Hollis знаła Standarda. Wykładziny AstroTurf mają tam kolor królewskiego błękitu. Za każdym razem gdy wkraczała w jego progi, czuła się najstarszą żywą istotą w budynku. Tuż za recepcją znajdowało się coś w rodzaju gigantycznego terrarium, w którym dziewczyny o trudnym do określenia pochodzeniu etnicznym, leżąc w bikini, zażywały kąpiele słonecznych bądź zanurzały się w lekturze wielkich, bogato ilustrowanych podręczników.

– Załatwiłeś już sprawę płatności, Philip? Kiedy się meldowałam, naliczyli wszystko na moją kartę.

– Tym już się zajęto.

Nie uwierzyła mu.

– Czy mamy już ustalony deadline na artykuł?

– Nie. – Rausch cmyknął gdzieś tam w Londynie, nawet nie starała się zgadywać gdzie. – Start został przesunięty. Na sierpień.

Hollis nie spotkała jeszcze nikogo, kto pracowałby dla „Node’a”, nawet ludzi, którzy mieli do niego pisywać. Podejrzewała, że będzie to europejska wersja „Wired”, chociaż rzecz jasna nikt nie sugerował, iż takie są plany. Belgijski kapitał transferowany via Dublin, biura w Londynie – a jeśli nie biura, to przynajmniej ten tam, Philip. Sądząc po głosie mógł mieć siedemnaście lat. I chirurgicznie amputowane poczucie humoru.

– Masa czasu – rzuciła, sama nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć, przed oczyma miała stan swojego konta.

– Ona czeka na ciebie.

– Okay – przymknęła oczy i złożyła telefon.

Czy można mieszkać w tym hotelu, ale technicznie rzecz biorąc być osobą bezdomną? Po zastanowieniu odpowiedziała sobie, że coś podobnego jest możliwe.

Leżała pod pojedynczym białym prześcieradłem, słuchając, jak robot Francuzki nadal obija się o przeszkody, klika i zawraca. Zapewne został tak zaprogramowany, pomyślała, mając w pamięci japońskie zautomatyzowane odkurzacze, które wpadają na sprzęty dopóty, dopóki nie wykonają zadania. Odile twierdziła, że jej zabawka zbiera dane za pomocą wmontowanego zestawu GPS. Hollis była w stanie uwierzyć, że to prawda.

Usiadła, pozwalając, by kawałek śliskiej tkaniny osunął się jej aż na uda. Na zewnątrz wiatr zaatakował okna pod zupełnie nowym kątem. Szyby zadźwięczały przeraźliwie. Martwiła ją tak zła pogoda. Opis wichury, przypominający relację ze słabszych trzęsień ziemi – tego była pewna – trafi do jutrzejszych gazet. Piętnaście minut deszczu i rozmokła ziemia osuwa się aż do Beverly Center, głązy wielkości domów majestatycznie zstępują ze wzgórz wprost na zatłoczone skrzyżowania. Już raz to tutaj widziała.

Wstała z łóżka i podeszła do okna, mając nadzieję, że nie nadeptnie na robota. Wyszperowała sznur, którym rozsuwało się grube białe zasłony. Sześć pięter poniżej zobaczyła ciąg szarganych wichurą palm na Bulwarze Zachodzącego Słońca, przypominały jej tancerzy naśladowujących ostatnie drgawki ofiar powalanych zarazą rodem z science fiction. Trzecia dziesiąta w środowy przedświt. a wiatr hula po opustoszałym bulwarze.

Nie myśl – poradziła sobie w duchu. – Nie sprawdzaj e-maila. Rusz tyłek i idź do łazienki.

Piętnaście minut później, po załatwieniu najlepiej, jak tylko mogła, tych wszystkich spraw, których nigdy nie da się zrobić naprawdę dobrze w tak krótkim czasie, zjechała windą, starając się poświęcać jej elementom jak najmniej uwagi. Wyczytała kiedyś w gazecie, że Philippe Starek, człowiek, który ją zaprojektował, posiada również hodowlę ostryg, na której dorastają, dzięki specjalnie zaprojektowanym stalowym klatkom, jedynie idealnie kwadratowe okazy.

Drzwi rozsunęły się, ukazując pomieszczenie wyłożone jasnym drewnem. Niewielki, platońsko idealny orientalny dywanik „zwisał” z sufitu; padające z góry, układające się w skomplikowane wzory promienie światła znakomicie harmonizowały z tylko trochę mniej wyszukanyymi zawijasami zdobiącymi boazerię poza nim. Jeśli dobrze pamiętała, dywanik zawisł tutaj, aby nie obrażać Allaha. Przemknęła przez projekcję szybko, kierując się na drzwi wejściowe.

Gdy otworzyła jedno ze skrzydeł, prosto w rozedrgane wiatrem gorące powietrze, stojący obok ochroniarz hotelu zmierzył ją wzrokiem. Poznała go po bluetoothowym uchu dobrze widocznym pod wyraźną granicą ostrzyżonych na wojskową modłę włosów. Zapytał o coś, ale nagły podmuch zstępującego wiatru wepchnął mu słowa z powrotem w usta.

– Nie – odparła domyślając się, że pytanie dotyczyło tego, czy chce, aby podstawić jej samochód. Nieważne, czy jej własny czy taksówkę. Widziała jedną z nich na podjeździe, kierowca siedział na swoim miejscu, na mocno odchylonym fotelu, zapewne drzemiąc i śniąc o równinach Azerbejdżanu. Minęła wóz czując, że wiatr wiejący wzdłuż bulwaru od strony Tower Records, silny niczym strumień gazów wyrzucanych przez silniki startującego samolotu, napełniają niezwykłą energią.

Zdawało jej się, że słyszy wołanie ochroniarza, ale jej adidasy właśnie rozpoczęły marsz po pozbawionym własnego stylu chodniku, stając się pointylistycznym abstraktem na szerniałej masie gumy do żucia. Nie odwracając się ku posągowej bryle Mondriana z wciąż otwartym jednym skrzydłem drzwi, Hollis zapięła bluzę i skierowała się nie tyle w stronę Standarda, ile jak najdalej od tego miejsca.

Wiatr był suchy, niósł włókienka odarte z pni palm.

– Chyba oszalałaś – powiedziała sama do siebie.

Choć przynajmniej na razie wszystko było dobrze, wiedziała doskonale, że taka wyprawa może zaszkodzić kobiecie, zwłaszcza idącej w pojedynkę. Podobnie jak każdemu przechodniowi wybierającemu się na przechadzkę o tak wczesnej porze dnia. Ale ta pogoda, ten szczególny moment oszalałego klimatu Los Angeles zdawał się oddalać od niej jakąkolwiek myśl o zagrożeniu. Ulica była pusta jak w japońskich filmach tuż przed tym, zanim na nawierzchnię opadnie gigantyczna stopa Godzilli. Palmy tańczyły, powietrze drżało, a Hollis z oczami zakrytymi kapturem parła wciąż naprzód. Zmięte płachty gazet i ulotki reklamowe nocnych klubów przemykały obok jej kostek.

Policyjny radiowóz przejechał ulicą, zmierzając w stronę budynku Tower Records. Jego kierowca, skupiony na prowadzeniu, nawet nie zwrócił na nią uwagi. Służy i broni – pomyślała. Nagle wiatr zmienił kierunek, zrywając jej kaptur i mierzwiąc w jednej chwili włosy. Nie szkodzi, i tak nie zdążyła się porządnie uczesać.

Znalazła Odile Richard pod masywnym białym porte-cochere Standarda i hotelowym logo umocowanym – z powodów wiadomych chyba tylko samym projektantom – do góry nogami. Odile wciąż nie przestawiła się z czasu paryskiego, ale Hollis poszła jej na rękę, umawiając się o tak wczesnej porze. Zresztą świt był chyba najodpowiedniejszą porą na oglądanie tego typu dzieł sztuki.

Obok Odile stał młody napakowany Latynos z ogoloną głową, nosił burgundowego retro-etnicznego pendletona z rękawami obciętymi tuż ponad łokciami. Zwisające luźno poły koszuli

sięgały nieomal do kolan jego workowatych spodni.

– Ja wolę sanie – powiedział na widok Hollis, wznosząc przy tym srebrną puszkę tecate. Na całej długości przedramienia miał tatuaż: ciąg niezwykle grubych i dokładnie wykaligrafowanych liter pisanych czcionką Olde English.

– Słucham?

– A votre sante – poprawiła go Odile, grzebiąc w nosie zmiętą chusteczką higieniczną. Była najbardziej nedorobioną Francuzką, jaką Hollis kiedykolwiek spotkała, miała nawet ten nieznośny europejski sposób bycia potęgujący poczucie irytacji, ale w jej wypadku również paradoksalnie sprawiający, że dawała się lubić. Nosiła czarną bluzę od dresu w rozmiarze XXXL z jakiejś dawno zapomnianej linii, męskie brązowe skarpety z nylonu w prążki, podejrzanie i raczej obleśnie błyszczące, oraz przezroczyste sandały z plastiku w kolorze wiśniowego syropu na kaszel.

– Alberto Corrales – przedstawił się Latynos.

– Alberto – powtórzyła Hollis, pozwalając, aby ujął jej dłoń swoją suchą wolną ręką. – Hollis Henry.

– Curfew – powiedział Alberto, a jego uśmiech stał się szerszy.

Kolejny fan, pomyślała zdziwiona jak zawsze, czując równocześnie przyływ zakłopotania.

– Ten brud w powietrzu – zaprotestowała Odile – on jest okropny. Pozwól nam już obejrzeć dzieło.

– Racja – poparła ją Hollis zadowolona ze zmiany tematu.

– Tędy – wskazał Alberto, z wdziękiem wrzucając pustą już puszkę do białego kontenera na odpadki o istic mediolańskiej pretensjonalności.

Wiatr ucichł, zauważyła Hollis w myślach, jak na zamówienie. Rzuciła okiem na lobby, za kontuarem recepcji nikogo nie było, a terrarium pozostawało martwe i nieoświetlone. Potem ruszyła za irytująco pociągającą nosem Odile i Albertem prosto do jego samochodu, klasycznego volkswagena garbusa pokrytego wieloma krzykliwymi obrazami godnymi low-ridera. Widziała potoki rozżarzonej lawy spływającej po zboczu wulkanu, biuściaste Latynoski odziane jedynie w wąskie przepaski biodrowe i azteckie pióropusze oraz bajecznie kolorowe sploty skrzydlatego węża. Alberto musi należeć do ruchu stapienia kultur, oceniła, chyba że volkswageny stały się obiektem kultu, od czasu kiedy się nimi ostatnio interesowała.

Chłopak otworzył drzwi po stronie pasażera i przytrzymał podniesiony fotel, aby Odile mogła zająć miejsce z tyłu. Tam, gdzie leżało sporo trudnego do określenia sprzętu. Potem, nieomal zginając się wpół, zaprosił Hollis na wolny fotel obok kierowcy.

Rzuciła okiem na idealnie ascetyczną z punktu widzenia semiotyki deskę rozdzielczą starego volkswagena. Wnętrze wozu pachniało dziwnie. To również wydawało się częścią przekazu, jak malunki na karoserii, chociaż ktoś taki jak Alberto mógł po prostu źle dobrać dezodoranty.

Wyjechali na Sunset i zawrócili ostro. Kierowali się w stronę Mondriana, pokonując asfalt pokryty cienką warstwą obumarłych włókien palmowych.

– Przez całe lata byłem waszym fanem – powiedział Alberto.

– Alberto interesuje się historią jako osobistym uwewnętrznieniem – dodała Odile, wymawiając te słowa zbyt blisko ucha Hollis. – Twierdzi, że uwewnętrznienie wynika z przeżytej traumy. Wyłącznie z traumy.

– Trauma... – powtórzyła Hollis bezwiednie, gdy mijali kiosk Pink Dot. – Zatrzymaj się, Alberto. Muszę kupić papierosy.

– ‘Ollis – powiedziała Odile oskarżycielskim tonem – ty mnie mówisz, nie palę.

– Właśnie zaczęłam – odparła Hollis.

– Już jesteśmy na miejscu – wtrącił Alberto, skręcając w lewo, w Larrabee, gdzie zaparkował.

– Czyli gdzie? – zapytała Hollis, otwierając drzwi i przygotowując się do ewentualnej ucieczki.

Alberto wyglądał groźnie, ale do szaleńca było mu daleko.

– Pozwól mi rozłożyć sprzęt. Najpierw doświadczyć dzieła. Potem, jeśli będziesz miała ochotę, możemy podyskutować na jego temat.

Wysiadł. Hollis także. Larrabee opadała stopniowo w kierunku rozświetlonej panoramy miasta. Ta różnica poziomów sprawiała, że poczuła się niepewnie, stając na własnych nogach. Alberto pomagał Odile wydostać się z tylnego siedzenia. Dziewczyna podciągnęła się, przytrzymując karoserii garbusa, po czym wytarła dłonie o przód bluzy.

– Zimno mi – pozaliła się.

Teraz, kiedy wiatr nie niósł już rozgrzanego powietrza, zrobiło się chłodniej, zauważyła Hollis. Przyglądała się różowym ścianom pozbawionego gustu hotelu, który wznosił się opodal, podczas gdy Alberto zakutany w pendletona myszkował w tylnej części samochodu. W końcu wynurzył się, trzymając w ręku sponiewieraną walizkę na sprzęt fotograficzny, sklejoną niedbale szeroką taśmą izolacyjną.

Kiedy szły za Albertem chodnikiem, po Sunsecie przejechał bezszelestnie długi srebrny samochód.

– Gdzie idziemy, Alberto? I co mamy tam zobaczyć? – zapytała Hollis, gdy dotarli do rogu. Latynos przyklęknął i otworzył walizkę. Całe wnętrze wypełniały kawałki pianki. Spośród nich wyjął coś, co na pierwszy rzut oka przypominało maskę spawacza.

– Załóż – polecił.

Opaska na głowę z opuszczanym wizjerem.

– Wirtualna rzeczywistość? – Od lat nie słyszała, żeby ktoś wypowiedział ten termin na głos.

Przyszło jej to na myśl w chwili, kiedy skończyła mówić.

– Sprzęt jest lekko przestarzały – odparł. – Tylko na taki mnie stać – wyciągnął z walizki laptopa i otworzył go, włączając zasilanie.

– Hollis założyła maskę. Mogła przez nią patrzeć, ale wszystko było niewyraźne. Spojrzała w stronę skrzyżowania Clark i Sunsetu, skupiając się na reklamie whisky. Alberto podszedł do niej i delikatnie podłączył kabel do bocznej części maski.

– Tędy – powiedział, prowadząc ją chodnikiem wprost na niską, pozbawioną okien czarną ścianę.

Zerknęła w górę, na szyld. The Viper Room.

– Teraz – rzucił i usłyszała, że uderza w klawisze laptopa. Coś zadrżało w polu widzenia. – Patrz. Tam.

Odwróciła się w stronę, którą wskazał, i zobaczyła szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach leżącego twarzą w dół na chodniku.

– ‘Alloween 1993 – powiedziała Odile.

Hollis podeszła do ciała. Nie było go tutaj. Aleje widziała. Alberto szedł za nią, niosąc laptopa i uważając na kabel. Czowała, że Latynos wstrzymuje oddech. Ona też to robiła.

Wydatna kość policzkowa nadawała twarzy martwego chłopaka ptasi wygląd, wysunięta do przodu rzucała nawet niewielki cień. Miał bardzo ciemne włosy. Nosił czarne spodnie w prążki i równie mroczną koszulkę.

– Kto to? – zapytała, odzyskując oddech.

– River Phoenix – odparł cicho Alberto.

Spojrzała w górę, na reklamę whisky, potem znów w dół, zadziwiona kruchością białej szyi.

– River Phoenix był blondynem – powiedziała.

– Przefarbował włosy – wyjaśnił Alberto – na potrzeby roli.

2. MRÓWKI W WODZIE

Starzec przypominał Titowi jedną z tych widmowych tablic reklamowych, które wisiały wysoko na pozbawionych okien, poczerniałych ścianach budynków i odmieniały przez wszystkie przypadki nazwy dawno zapomnianych produktów.

Gdyby Tito dostrzegł na jednej z nich najświeższą i najbardziej przerażającą wiadomość, i tak nie oparłby się wrażeniu, że wisiała tam, póki nie wyblakła, od zarania dziejów, wystawiona na wszelkiego rodzaju pogodę i niezauważana aż do dzisiaj. Podobnie reagował na starca podczas spotkań na Washington Square przy jednej z betonowych szachownic, przesuwając ostrożnie kolejnego iPoda ukrytego we wnętrzu złożonej gazety.

Zawsze kiedy starzec, zachowując kamienną twarz ze spojrzeniem wbitym gdzieś w przestrzeń, wkładał iPoda do kieszeni, Tito widział masywny złoty zegarek na jego nadgarstku. Cyferblat i wskazówki z trudem dawały się zobaczyć przez sfatygowane szkiełko. Zegarek martwego człowieka, jak te, które stosami leżały w pudełkach po cygarach na każdym pchlim targu.

Nawet noszone przez niego ubrania kojarzyły się z nieboszczykiem, wykrojone z materiału, który sam z siebie emanował chłodem odczuwalnym pomimo panującej w Nowym Jorku zimy. Chłodem nieodebranego bagażu, korytarzy w urzędach, krawędzi skrytek wytartych do gołego metalu.

To z pewnością było przebranie, część protokołu dotyczącego tych spotkań. Staruch nie mógł być autentycznym biedakiem, tacy nie robią interesów z wujami Tito. Wyczuwając jego niesamowitą cierpliwość i moc, Tito wyobrażał sobie często, że stary z tylko sobie wiadomych powodów przebiera się za widmo dawnego Manhattanu.

Zawsze gdy staruch odbierał iPoda, czynił to w sposób, w jaki wiekowa roztropna małpa przyjmowałaby niezbyt świeży owoc, Tito nieomal spodziewał się, że rozbije dziewiczo białą obudowę, by wydłubnąć z wnętrza coś szczególnego, dziwnego, a nawet straszego.

A teraz, na piętrze restauracji z widokiem na Canal Street, nie potrafił znaleźć słów, aby wyjaśnić ten problem swemu kuzynowi Alejandrowi, siedzącemu po drugiej stronie parującej wazy z zupą. Wcześniej we własnym pokoju usiłował wyrazić to, co starzec obudził w jego duszy, miksując kakofonię dźwięków, którą sam nazywał muzyką. Wątpił jednak, czy kiedykolwiek puści tę taśmę krewniakowi.

Alejandro, który nigdy nie wykazywał zainteresowania muzyką kuzyna, nic nie mówił, spoglądał tylko na niego spod wąskich brwi i rozdzielonych pośrodku czoła włosów, nalewając ostrożnie zupę, najpierw do miseczki Tita, potem do swojej. Świat za oknem restauracji, za czerwonym napisem po kantońsku, którego żaden z nich nie był w stanie przeczytać, miał kolor srebrnej monety, jaka zapodziała się na całe dziesięciolecie w kącie szuflady biurka.

Alejandro był literalistą, bardzo utalentowanym, ale i niesamowicie praktycznym. Właśnie ta cecha sprawiła, że został uczniem siwej Juany, ich ciotki i niedoścignionej mistrzyni fałszerstw w rodzinie. Tito nie raz taszczył ulicami centrum stare mechaniczne maszyny do pisania dla Alejandra, niemożliwie ciężkie mechanizmy sprzedawane w zakurzonych magazynach za rzeką. Biegał na

posyłki po kolejne taśmy do nich i terpentynę, której Alejandro używał do zmywania resztek tuszu.

Ich ojczyzna, Kuba, wedle nauk Juany, była królestwem kwitów, biurokratycznym labiryntem formularzy, odbijanych po trzykroć przez kalkę kopii – światem, w którym nowicjusz może poruszać się jedynie dzięki sprytowi i dokładności. Zwłaszcza dokładności, jak to było w wypadku Juany, szkolonej w wymalowanych na biało podziemiach budynku, z którego górnych pięter dało się dostrzec mury Kremla.

– Widzę, że ten starzec cię przeraża – powiedział Alejandro.

Nauczył się od Juany tysiąca sztuczek, jakie można robić z użyciem papieru, kleju, znaków wodnych i pieczęci, magii, którą czyniła w zaimprovizowanych ciemniach, i jeszcze bardziej mrocznych tajemnic z wykorzystaniem nazwisk zmarłych dzieci. Zdarzało się, że Tito nosił nawet całymi miesiącami rozpadające się portfele pęczniejące od dokumentów stworzonych przez Alejandra, aby usunąć z nich jakikolwiek ślad nowości. Nigdy jednak nie dotknął żadnej pieczołowicie złożonej kartki, którą ruch i ciepłota jego ciała miesiącami uwiarygodniały. Kuzyn wyjmował je potem spomiędzy poplamionych skórzanych okładek, korzystając z jednorazowych rękawiczek, jakby w obawie przed klątwą nieżyjącego właściciela.

– Nie – odparł Tito. – On mnie nie przeraża.

Ale wcale nie był tego pewien. Strach zdawał się mieć z tym coś wspólnego, lecz nie starca się obawiał.

– A może powinien, kuzynie.

Siła magii Juany słabła, Tito dobrze to wiedział; zabijał ją postęp technologiczny i coraz większe przywiązywanie wagi przez władzę do „bezpieczeństwa”, co tak naprawdę oznaczało kontrolę. Rodzina nie liczyła już tak bardzo na umiejętności Juany, zdobywając większość dokumentów – tak uważał Tito – od innych ludzi, tych, którzy lepiej przystosowali się do aktualnych potrzeb. Alejandro, wedle wiedzy kuzyna, wcale tego nie żałował. Mając trzydziestkę na karku, o osiem lat więcej niż Tito, traktował życie w rodzinie co najmniej z mieszanymi uczuciami. Rysunki blaknące w oknie mieszkania Alejandra świadczyły o tym najdobitniej. Facet prześlicznie rysował niemalże w każdym stylu i Tito wiedział, choć nigdy o tym nie rozmawiali, że Alejandro zaczął przenosić subtelności magii ciotki Juany do świata wielkomięjskich galerii i kolekcjonerów.

– A Carlito? – Alejandro wspominał imię wuja, ostrożnie podając Titowi białą miseczkę pełną gęstego, pachnącego wywaru. – Co Carlito mówił na jego temat?

– Że zna rosyjski. – Rozmawiali teraz po hiszpańsku. – A jeśli odezwie się do mnie po rosyjsku, mam odpowiadać w tym samym języku.

Alejandro uniósł brew ze zdziwienia.

– No i że znał naszego dziadka w Hawanie.

Kuzyn zrobił marsową minę; chińska porcelanowa łyżka zamarała tuż nad powierzchnią zupy.

– Amerykanin?

Tito skinął głową.

– Jedyńi Amerykanie, jacy znali naszego dziadka w Hawanie, byli z CIA – powiedział Alejandro, tym razem nieco ciszej, chociaż oprócz nich w restauracji znajdował się tylko kelner, który siedział na taborecie przy kasie i czytał któryś z chińskich tygodników.

Tito przypomniał sobie spacer z matką na chiński cmentarz za Calle 23, na krótko przed tym, jak przenieśli się do Nowego Jorku. Zabrał wtedy z jednego z grobowców pewien przedmiot, który przekazał potem komuś, pełen dumy ze swoich wywiadowczych talentów. Wcześniej jednak, w cuchnącej toalecie na zapleczu restauracji Malecon, przejrzał szybko papiery znajdujące się w pokrytej pleśnią kopercie z gumowanej tkaniny. Nie miał bladego pojęcia, z czym ma do czynienia, wiedział tylko, że kartki zapisano w języku angielskim, który wtedy ledwie znał.

Nigdy nie opowiedział o tym nikomu i nie miał zamiaru czynić wyjątku dla Alejandra.

Stopy marzły mu, mimo że miał na nich czarne red wingi. Zaczął więc sobie wyobrażać, że wsuwa je powoli do japońskiej balii wypełnionej taką samą kaczą zupą, jaka stała przed nim na stole.

– Wygląda mi na jednego z tych facetów, którzy wystawiali całymi dniami w sklepach ze sprzętem przy tej ulicy – powiedział do kuzyna. – Staruchy w znoszonych płaszczach, które nie mają nic innego do roboty. – Sklepy tego rodzaju przy Canal Street należały już do przeszłości, zostały zastąpione przez salony sprzedaży komórek i podróbek Prądy.

– Gdybyś powiedział Carlitowi, że widziałeś dwa razy tego samego vana albo tę samą kobietę – Alejandro wypowiedział te słowa do parującej powierzchni swojej zupy – wysłałby kogoś innego. Protokół tego wymaga.

Ich dziadek, twórca protokołu, także już odszedł, jak większość starych ludzi z Canal Street. Jego kompletnie nielegalne prochy zostały rozsypane pewnego chłodnego kwietniowego poranka z pokładu promu linii Staten Island. Wujowie osłaniali przed wiatrem żar rytualnych cygar, a operujący na tej jednostce kieszonkowcy trzymali się od nich z dala, okazując szacunek dla ceremonii.

– Ale nie zauważyłem nic takiego – odparł Tito. – Nic, co wskazywałoby na czyjeś zainteresowanie.

– Jeśli ktoś nam płaci za dostarczanie temu człowiekowi kontrabandy, a z natury rzeczy nie zajmujemy się niczym innym, to znaczy, że ktoś inny jest tym zainteresowany.

Tito rozważał przez chwilę argumenty kuzyna, uznał je w końcu za rozsądne. Kiwnął głową.

– Znasz, kuzynie, takie powiedzenie: chwytaj życie? – Alejandro przeszedł na angielski. – Bo my musimy chwytać życie, zwłaszcza jeśli chcemy tutaj zostać.

Tito nie odpowiedział.

– Ile razy dostarczałeś towar?

– Cztery.

– Za dużo.

Od tego momentu jedli zupę w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy ciężarówek pokonujących z hukiem Canal Street.

Nieco później Tito stał przed głębokim zlewozmywakiem i prał zimowe skarpety używając woolite. Mimo iż dawno utraciły fason, ich waga po namoczeniu wciąż go zaskakiwała. Wciąż też marżyły mu stopy pomimo tego, że nieustannie ocieplał buty przecenionymi wkładkami kupowanymi na Broadwayu.

Przypomniawszy sobie zlew w mieszkaniu mamy w Hawanie. Plastikową butelkę pełną soku z agawy, który zastępował detergent, podkładkę z włókien tej samej rośliny i niewielką puszkę węgla drzewnego. Pamiętał też maleńkie mrówki wędrujące rzędem po skraju zlewozmywaka mamy. Alejandro zauważył kiedyś, że tutaj, w Nowym Jorku, mrówki poruszają się znacznie wolniej.

Inny z kuzynów, przesiedlony z Nowego Orleanu po huraganie, opowiadał, że widział kiedyś, jak woda niosła wielką, połyskującą, skłębioną kulę czerwonych mrówek. Wyglądało na to, że tym właśnie sposobem ratowały się przed utonięciem, i Tito słuchając tej opowieści pomyślał, że tak samo postępuje jego rodzina. Unosi się na powierzchni Ameryki, mniej może liczna, ale silniejsza, wspomagająca się wzajemnie dzięki protokołowi.

Czasami oglądał na swojej plazmie dzienniki po rosyjsku emitowane na kanale Russian Network of America. Z coraz większym trudem rozpoznawał stłumione słowa wypowiedziane przez prezenterów. Zastanawiał się nawet, czy nie tak wygląda pierwsza oznaka zapomnienia języka.

Wykręcił skarpety, wyciskając wodę i mydliny, potem opróżnił i ponownie napełnił komorę zlewu, aby raz jeszcze je wypłukać. Na koniec wytarł ręce w starego t-shirta, który służył mu za ręcznik.

Jego pokój był kwadratowy, nie miał okna, jedynie stalowe drzwi i pomalowane na biało ściany z płyt gipsowych. Wysoki sufit wykonano z surowego betonu. Czasami leżąc na materacu spoglądał w górę i obserwował kontury pozostawione przez deski szalunku, które wydawały mu się śladami skamielin pozostałymi z czasów, gdy odlewano podłogę piętro wyżej. Oprócz niego nikt tu nie mieszkał na stałe. Za sąsiadów miał dwie firmy, koreańską, w której kobiety szyły dziecięce ubranka, i niewielki interes związany z Internetem. To wujowie wynajęli ten lokal. Gdy był im potrzebny, Tito sypiał u Alejandra na leżance z IKE-i.

W swoim pokoju miał zlew i toaletę, przenośną kuchenkę, materac, własny komputer, wzmacniacz, kolumny, klawisze, plazmę Sony, żelazko i deskę do prasowania. Wszystkie ubrania wisiały na starym obrotowym wieszaku sklepowym, znalezionym wprost na chodniku przy Crosby Street. Obok jednej z kolumn stał niewielki błękitny wazon nabyty w chińskim sklepie przy Canal Street. To kruche dzieło sztuki podarował w sekrecie bogini Oszun, którą kubańscy katolicy znali jako Matkę Boską Miłosierną z Cobre.

Podłączył keyboard Casio, dolał gorącej wody do moczących się skarpet, przysunął składane

krzesło reżyserskie na długich nogach pod sam zlewozmywak i usiadł na nim. Balansując na niestabilnym meblu, pochodzącym z tego samego sklepu przy Canal Street co pozostałe przedmioty w mieszkaniu, usadowił się na czarnych pasmach materiału i zanurzył stopy w wodzie. Oparł keyboard na udach, zamknął oczy i dotknął palcami klawiszy, poszukując dźwięku odpowiadającego kolorowi zmatowionego srebra.

Jeśli go odnajdzie, wypełni pustkę Oszun.

3. WOLAPIK.

Milgrim opatulony płaszczem z kolekcji Paula Stuarta, skradzionym miesiąc wcześniej w sklepie przy Piątej Alei, obserwował, jak Brown otwiera wielkie, pokryte stalą drzwi za pomocą pary kluczy wyjętych z niewielkiego ziploca, dokładnie takiego samego, w jakie Dennis Birdwell, diler Milgrima z East Village, pakował działki towaru.

Brown wyprostował się, obrzucając Milgrima charakterystycznym dla siebie czujnym, ale i pełnym pogardy spojrzeniem.

– Otwórz – rozkazał, robiąc miejsce przy drzwiach.

Milgrim wykonał polecenie, ujmując klamkę przez połą swojego płaszcza. Za drzwiami panowała ciemność, w której jarzyła się jedynie czerwona dioda zasilacza, jego zdaniem należącego do komputera. Wszedł do środka, zanim Brown zdążył go odepchnąć.

Koncentrował się na tableteczce ativanu rozpuszczającej mu się pod językiem. Właśnie osiągnęła stan, w którym była, a zarazem jej nie było, stała się ledwie zauważalną łuską ze skrzydełka motyla.

– Dlaczego oni używają tej nazwy? – zapytał Brown w roztargnieniu, podczas gdy rażący oczy snop światła z jego latarki omiatał z niezwykłą skrupulatnością zawartość pokoju.

Milgrim usłyszał, że drzwi za nim zamykają się z cichym kliknięciem.

Takie roztargnienie w głosie było bardzo nietypowe dla Browna, zdaniem Milgrima mogło oznaczać silny stres.

– Jakiej nazwy? – odparł gniewnie. Tak bardzo pragnął skupić się całkowicie na tym jednym, jedynym momencie, w którym lingwetka z fazy „być” lub „prawie być” przejdzie do „nie być”.

Promień latarki w końcu zatrzymał się na reżyserskim krześle ustawionym tuż obok obskurnego zlewozmywaka.

Zapach panujący w pomieszczeniu świadczył o tym, że jest zamieszkane, ale nie należał do nieprzyjemnych.

– Dlaczego oni używają tej nazwy? – powtórzył Brown rozmyślnie złowrogim tonem.

Nie należał do ludzi, którzy z własnej woli wypowiadają słowa albo nazwy, jakie uważają za niegodne siebie (czy to z powodu ich miłkiego znaczenia, czy to zagranicznego pochodzenia).

– Wolapik – odparł Milgrim, czując, że ativan wreszcie wykonał sztuczkę z niebytem. – Chodzi w nim o to, by przy pisaniu utrzymywać jak największe podobieństwo do cyrylicy, czyli rosyjskiego alfabetu. Używają do tego naszych liter i niektórych cyfr, ale tylko tych, które najbardziej przypominają bukwę.

– Pytałem, dlaczego oni używają tej nazwy.

– Esperanto – wyjaśnił Milgrim – było sztucznym językiem stworzonym jako uniwersalny sposób komunikacji. Wolapik jest oparty na podobnym założeniu. Kiedy Rosjanie zdobyli pierwsze komputery, na klawiaturach i ekranach mieli łacińskie litery, nie cyrylicę. Dlatego stworzyli z naszych znaków język przypominający ich alfabet. Nazwali go wolapik. Myślę, że był to swego rodzaju żart.

Niestety Brown nie należał do żartownisiów.

– Pierdołę to – tak brzmiał wypowiedziany absolutnie beznamiętnym tonem osąd wolapiku, Milgrima i wszystkich UZ-ów, którymi ostatnio się interesował. Litery „UZ” w języku Browna, o czym Milgrim wiedział doskonale, oznaczały wszelkiego typu Ułatwiaczy Zbrodni: przestępców, których czyny ułatwiały innym bandytom dokonanie czynów zabronionych prawem.

– Przytrzymaj. – Brown podał Milgrimowi latarkę wykonaną ze żłobkowanego metalu, który w żadnych okolicznościach nie odbijał światła. Pistolet, który nosił pod skafandrem, w znakomitej większości wykonany z kompozytów, był równie matowy. Z tymi rzeczami jest zupełnie tak samo jak z butami albo ubraniami, pomyślał Milgrim: jednego dnia ktoś sprawi sobie skórę z aligatora, a już za tydzień wszyscy noszą się podobnie. A ten sezon w Brownowie należał niewątpliwie do rzeczy zmatowionych i pozbawionych koloru. I zdaniem Milgrima musiał to być cholernie długi sezon.

Brown wkładał wyjęte przed momentem z kieszeni zielone rękawiczki chirurgiczne.

Milgrim kierował światło latarki tam, gdzie chciał agent, delektując się perspektywą, jaką mógł dostarczyć jedynie ativan. Kiedyś spotykał się z kobietą, która lubiła powtarzać, że witryny sklepów z militariami są hymnami ku czci męskiej bezsilności. A gdzie znajdowała się bezsilność Browna? Tego Milgrim nie wiedział, ale mógł za to podziwiać jego połyskujące chirurgiczną zielenią dłonie, przywodzące na myśl morskie stworzonka występujące w bajkowym akwarium, gdzie udatnie naśladowują ruchy rąk tresującego je iluzjonisty.

Ręce te wyczarowały jeszcze z kieszeni niewielkie przezroczyste pudełko, aby zwinnym ruchem wydobyć z niego maluteńki przedmiot, bladoniebieski, miejscami srebrnawy, w każdym razie w kolorach kojarzących się Milgrimowi z Koreą. Baterię.

Dzisiaj wszystko wymaga baterii, pomyślał Milgrim. Nawet najmniejsze ustrojstwo używane przez agentów, których całe kohorty pomagały Brownowi w przechwytywaniu esemesów UZ-ów, jakkolwiek niewiele ich wysłano bądź odebrano – zwłaszcza w tym pokoju. Milgrim był niezmiernie ciekaw, w jaki sposób agent zamierza wykonać swoje zadanie, miał bowiem świadomość, że przejścia można dokonać jedynie, gdy w komórce obserwowanego UZ-a znajduje się pluskwa. A UZ, którego namierzali, wedle słów samego Browna rzadko używał tej samej komórki, albo konta, dwa razy. Nabywał je i porzucał regularnie – zupełnie jak Birdwell, jeśli się chwilę zastanowić.

Obserwował, jak Brown klęka przy wieszaku na ubrania i obmacuje obleczone w gumę palcami jego spodnią, odlaną z żeliwa część, w której zamontowano kółka. Milgrim bardzo chciał przyjrzeć się metkom na ubraniach UZ-a, zwłaszcza na kilku koszulkach i czarnej kurtce, ale nie mógł, oświetlał przecież ręce Browna. Zapewne APC, ocenił więc stroje na odległość, mrużąc oczy. Raz widział UZ-a, gdy razem z Brownem siedział w barze na Broadwayu. Facet przeszedł za zaparowaną szybą, rzucając spojrzenie do wnętrza. Zaskoczony Brown spanikował, zaczął podawać jakieś kody wprost

do mikrofonu, a Milgrim nie od razu skojarzył, że ten łagodnie wyglądający mikrus w kapelusiku z czarnej skóry jest UZ-em. Jego zdaniem wyglądał jak latynoska wersja młodego Johnny'ego Deppa. Brown opowiadał kiedyś, że ta rodzina ma korzenie chińsko-kubańskie, ale Milgrim nawet z takimi wskazówkami nie był w stanie dopatrzeć się ich etnicznego pochodzenia. Jeśli już, kojarzyli mu się z Filipińczykami, choć też nie do końca. No i mówili po rosyjsku. A w każdym razie komunikowali się za pomocą esemesów zbliżonych do tego języka. Z tego co zdążył się dowiedzieć, ludzie Browna nigdy nie przechwycili żadnej rozmowy.

Ludzie agenta należeli do największych zmartwień Milgrima. W sumie wiele rzeczy go martwiło – Brown był istnym cierniem w tyłku – ale jego niewidzialni ludzie zasłużyli na założenie osobnego mentalnego folderu. Przede wszystkim było ich naprawdę wielu. No i pozostawała kwestia, czy Brown jest gliniarzem. A może policjantami byli ci, którzy zlecili podsłuchiwanie komórek UZ-ów? Szczerze mówiąc, Milgrim w to wątpił. Uważał, że ludzie pracujący dla Browna cuchną na odległość federastami. Ale kim w takim razie był sam Brown?

Agent, wciąż klęcząc na podłodze, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie wydał ciche, niepokojąco pełne zadowolenia mruknięcie. Milgrim ujrzał, jak połyskujące zieloną gumą stworzenia imitujące dłonie wynurzają się i kierują w stronę stożka światła, trzymając coś matowego, czarnego, częściowo pokrytego równie zmatowioną taśmą. Z przedmiotu wystawał sześciocalowy kabelek, także czarny i matowy, przypominający szczurzy ogon. Milgrim domyślił się, że stary wieszak na ubrania z Garment District służy w tym wypadku za dodatkową antenę.

Przyglądał się uważnie, jak agent zmienia baterię, przez cały czas trzymając latarkę tak, aby świeciła mu wprost na rękę i nie oślepiła przy pracy.

Czy Brown też jest fedziem? Z FBI? DEA? Milgrim spotykał już funkcjonariuszy tych służb na swojej drodze, wystarczająco wielu, by wiedzieć, że stanowią bardzo odmienne (i na dodatek wrogie sobie) gatunki. Brown zupełnie do nich nie pasował. Ale w tych czasach musiały pojawić się odmiany federastów, o których nawet nie słyszał. Pozostawała jednak kwestia poziomu inteligencji Browna, niezbyt wysokiego zresztą wedle osądu Milgrima, i swobody, jaką miał podczas wykonywania swoich misji, czegokolwiek by one dotyczyły, i ta mocno go niepokoiła nawet po zażyciu działki ativanu, bez którego nie byłby w stanie stać tutaj teraz nie drąc się wniebogłosy.

Patrzył, jak agent z nisko pochyloną głową, skupiony na wykonywanej robocie, umieszcza ponownie pluskwę pod zardzewiałą podstawą starego wieszaka.

Gdy Brown wstawał, stracił coś ciemnego z metalowej konstrukcji. Przedmiot upadł bezgłośnie na podłogę. Gdy agent przejął latarkę, by raz jeszcze omieść snopem światła wszystkie przedmioty należące do UZ-a, Milgrim dotknął drugiego czarnego przedmiotu, który wciąż wisiał na metalowym ramieniu. Zimna mokra wełna.

Latarka Browna wyluskała z mroku tani wazon wykonany z opalizującego niebiesko tworzywa, stojący obok jednej z kolumn. Intensywne biało-niebieskie światło padające na lakierowaną powierzchnię powodowało wrażenie nienaturalnej przezroczystości, jakby wewnątrz naczynia rozpoczynał się właśnie proces syntezy. Nawet gdy snop światła minął wazon, Milgrim miał wrażenie, że nadal go widzi.

– Wychodzimy – obwieścił Brown.

Na chodniku, gdy oddalali się szybkim krokiem w stronę Lafayette, Milgrim uznał, że syndrom sztokholmski jest mitem. Mimo iż upłynęło kilka tygodni, nadal nie czuł sympatii do Browna.

Nic a nic.

4. SZTUKA LOKACYJNA

W Standardzie tuż obok holu znajdowała się całonocna restauracja – długie, przeszklone od frontu pomieszczenie z wyściełanymi matowo-czarnym, wyjątkowo odpornym materiałem łozami, pomiędzy którymi sterczało sześć chropowatych fallicznych kaktusów san pedro.

Hollis obserwowała, jak ozdobiona pendletonem postać Alberta wciska się pomiędzy stół i siedzenie naprzeciwko niej. Odile zdążyła już się ulokować pomiędzy Latynosem a szybą.

– Sy-ber-przestrzeń – oświadczyła nagle Francuzka – jest taka wynicowana.

– Wy... co?

– Sy-ber-przestrzeń – powtórzyła Odile – jest wynicowana.

Sposób, w jaki machnęła przy tym ręką, przypominał Hollis mgliście i niepokojąco nauczycielkę przysposobienia do życia w rodzinie, która jako pomocy naukowej używała wydzierganego na szydełku przekroju macicy.

– Wywrócona wnętrzem na wierzch – podrzucił Alberto wyjaśniającym tonem. – Cyberprzestrzeń. Sałatka owocowa i kawa. – Ostatnie słowa, co Hollis uświadomiła sobie dopiero po chwili, były skierowane do kelnerki. Odile zamówiła cafe au lait, Hollis rogala i kawę. Kelnerka odeszła.

– Wydaje mi się, że to rozpoczęło się pierwszego maja dwutysięcznego roku – powiedział Alberto.

– Co takiego?

– Geohakerstwo. A właściwie jego zastosowanie. Rząd ogłosił tego dnia częściowe udostępnienie czegoś, co do tej pory pozostawało wyłącznie w dyspozycji wojska. Cywile po raz pierwszy zyskali możliwość dostępu do systemu pozycjonowania GPS.

Z niejasnych tłumaczeń Philipa Rauscha Hollis zrozumiała tylko tyle, że ma napisać tekst o dziełach sztuki, które powstają przy zastosowaniu kombinacji Internetu i koordynat geograficznych. i chyba dlatego wirtualne wyobrażenie momentu śmierci Rivera Phoenixa wykonane przez Alberta tak ją zaskoczyło. Teraz dowiedziała się czegoś więcej, a nawet – być może – miała już wstęp do artykułu.

– Alberto, ile podobnych instalacji już zrobiłeś? – W domyśle pozostało pytanie, czy wszystkie były hołdem pośmiertnym.

– Dziewięć – odparł Latynos. – W Chateau Marmont – wskazał ręką za Bulwar Zachodzącego Słońca – udało mi się dokończyć wirtualny ołtarz Helmuta Newtona. Dokładnie w miejscu wypadku, przy samym podjeździe. Pokażę ci po śniadaniu.

Kelnerka wróciła z kawą. Hollis przyglądała się bardzo młodemu i niezwykle blademu Anglikowi, który kupował przy ladzie żółtą paczkę papierosów American Spirit. Jego rzadki zarost na brodzie

przywodził jej na myśl kępki mchu porastające marmurowe kanały.

– A ludzie zatrzymujący się w Marmoncie nie mają bladego pojęcia, co tam umieścić? – zapytała, dodając w duchu: Podobnie jak przechodnie na chodniku przy skrzyżowaniu z Sunsetem nie wiedzą, że stąpają po umierającym Riverze.

– Nie – odparł Alberto. – Przynajmniej na razie. – Zaczął grzebać we wnętrzu torby, którą trzymał na kolanach. Wyjął z niej komórkę, do której za pomocą srebrnej taśmy przyklejony był na dobre i na złe jakiś maleńki elektroniczny gadżet. – Ale dzięki temu... – Kliknął przyciskiem na dołączonym urządzeniu, potem otworzył telefon i zaczął zrećcznie wciskać kciukiem klawisze. – Kiedy będzie dostępne na rynku jako całość... – Podał jej pakiecik. Telefon i coś, w czym rozpoznała zestaw GPS, tyle że obudowa tego ostatniego została częściowo usunięta, co umożliwiło upchnięcie dodatkowej elektroniki utrzymywanej w miejscu srebrną taśmą.

– Czemu to służy?

– Sama zobacz – odparł.

Rzuciła okiem na niewielki ekranik. Przysunęła go bliżej. Widziała obleczoną w wełnę pierś Alberta, ale na obraz nakładały się blade linie, pionowe, poziome, niemalże przezroczyste kubistyczne wzory. Krzyże? Podniosła wzrok.

– To nie jest sztuka lokacyjna – powiedział. – Nie została oznaczona przestrzennie. Skieruj go na ulicę.

Odwróciła stworzoną dzięki taśmie klejącej hybrydę w stronę Sunsetu i zobaczyła zarysy idealnie nakreślonych krzyży rozmieszczonych na niewidzialnej siatce, rozstawionych wzdłuż ulicy i w wirtualnej przestrzeni. Ich kwadratowe białe ramiona i podstawy wyrastające na wysokości chodnika zdawały się ciągnąć w nieskończoność, znikając gdzieś pod wznoszącymi się na horyzoncie wzgórzami Hollywood.

– Amerykanie polegli w Iraku – powiedział Alberto. – Podpiąłem się swego czasu do strony, na której dodawano krzyż dla każdego ogłoszonego poległego. Możesz to zabrać ze sobą wszędzie. Mam slajdy z wielu miejsc. Zamierzałem wysłać tę instalację do Bagdadu, ale pomyślałem, że wtedy ludzie zaczną uznawać prawdziwe krzyże za zwykłe triki robione za pomocą Photoshopa.

Spojrzała na Latynosa w chwili, gdy czarny land-rover przetoczył się przez las krzyży, w samą porę, by zobaczyć, że wzrusza ramionami.

Odile także zerkała zza stanowiącej ekwiwalent śniadania filiżanki cafe au lait.

– Kartograficzne atrybuty niewidzialności – powiedziała opuszczając naczynie. – Przestrzennie oznaczone hipermedia. Tak skomplikowana terminologia zdawała się zwiększać płynność jej wymowy, i to co najmniej dziesięciokrotnie, niwelując także jej paskudny akcent. – Artysta komentuje każdy cal przestrzeni, każdy przedmiot. A komentarz można zobaczyć dzięki takim rzeczom jak ta. – Wskazała na telefon Alberta, jak gdyby w jego oklejonych taśmą trzewiach kryła się cała przyszłość.

Hollis skinęła głową i oddała aparat właścicielowi.

Kelnerka przyniosła sałatkę owocową i rogalą.

– Masz zamiar otoczyć kuratelą ten rodzaj sztuki u siebie, w Paryżu?

– Wszędzie.

Rausch dobrze kombinował, pomyślała. Opisanie tego zjawiska miało sens, choć jeszcze go w pełni nie pojmowała.

– Czy mogę o coś zapytać? – Alberto zdążył już pochłonąć prawie połowę zamówionej sałatki. Metodyczny pożeracz. Przerwał i spoglądał na nią z widelcem zawieszonym w połowie drogi do talerza.

– Tak.

– Skąd wiedzieliście, że czas rozwiązać Curfew?

Spojrzała mu głęboko w oczy i dostrzegła w nich to głębokie skupienie charakterystyczne dla *otaku*. Nie wątpiła, że osoba, która rozpoznała w niej wokalistkę kultowej kapeli z początku lat dziewięćdziesiątych, musi należeć do tej właśnie kategorii, gdyż jedynymi ludźmi, którzy pamiętali do dzisiaj o istnieniu zespołu, oczywiście poza dziennikarzami rozgłośni muzycznych, historykami popu, krytykami i kolekcjonerami, byli najbardziej zagorzali fani Curfew. Aczkolwiek zgodnie z teorią ponadczasowości muzyki Curfew zdobywali wciąż nowych wyznawców. A ci, jak choćby Alberto, podchodzili do rzeczy niezwykle serio. Hollis nie miała pojęcia, ile on mógł mieć lat w czasie, gdy kapela się rozpadła, ale w jego umyśle to wydarzenie wciąż było tak świeże, jakby rozegrało się dopiero wczoraj. Sama była fanką kilku przebrzmiałych gwiazd, wiedziała więc doskonale, jak to jest, i czuła, że na tak postawione pytanie musi paść absolutnie szczerą odpowiedź. Nawet jeśli nie będzie satysfakcjonująca.

– Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy. Coś po prostu się skończyło. Na jakimś podstawowym poziomie przestało iskrzyć między nami, ale nawet nie potrafię określić dokładnie, kiedy to nastąpiło. Po prostu nagle stało się dla wszystkich jasne. Dlatego daliśmy sobie spokój.

Jej odpowiedź zadowoliła Alberta na tyle, na ile się spodziewała – ale taka była prawda, przynajmniej to jej oblicze, które знаła, i nie mogła mu powiedzieć wiele więcej. Sama nigdy nie doszła do tego, z jakiego faktycznie powodu zespół się rozpadł, choć prawdę mówiąc, niewiele się nad tym zastanawiała.

– Właśnie wydaliśmy krążek z czterema kawałkami, i tyle. Wiedzieliśmy. Wystarczył moment, żeby to pojąć. – Mając nadzieję, że takie tłumaczenie załatwia sprawę, zajęła się rozprowadzeniem kremowego sera po połówce rogalika.

– To się wydarzyło w Nowym Jorku?

– Tak.

– A czy był jakiś szczególnie moment, jakieś miejsce, w którym padły słowa o rozpadzie Curfew? Gdzie podjęliście decyzję, że przestajecie być zespołem?

– Musiałabym się nad tym zastanowić – odparła, wiedząc doskonale, że to nie najlepsza odpowiedź.

– Chciałbym tam zrobić instalację – rzucił Alberto. – Ciebie, Inchmale’a, Heidi, Jimmy’ego. Gdziekolwiek wtedy byliście. Zerwanie.

– Odile zaczęła się nerwowo kręcić na swoim miejscu, tak mrocznym jak dla niej temat, który poruszali, co najwyraźniej przestało jej się podobać.

– Eenchmale’a? – Zmarszczyła brwi.

– Co jeszcze chcecie mi pokazać w Los Angeles? – Hol lis uśmiechnęła się do Alberta, mając nadzieję, że tym samym zasygnalizowała koniec przesłuchania. – Potrzebuję wskazówek. Muszę też umówić się na wywiad z tobą – skierowała te słowa do Odile. po czym zwróciła się do Latynosa – i z tobą też. Ale teraz jestem wyczerpana. Potrzeba mi snu.

Francuzka opłotła palcami białą chińską filiżankę tak ciasno, jak to tylko było możliwe. Jej paznokcie wyglądały jak małe zębate stworzenia.

– Dzisiaj wieczorem. Przyjedziemy po ciebie. Bez problemu odwiedzimy tuzin instalacji.

– Atak serca Scotta Fitzgeralda – zaproponował Alberto. – Jest niedaleko.

Spojrzała na wielkie, wytatuowane siną barwą, znajdujące się niemal jedna na drugiej i frenetycznie kwieciste litery, które zdobiły oba jego przedramiona, i spróbowała je odczytać.

– Przecież on nie umarł na atak serca.

– Instalacja jest w Virgin – powiedział Alberto. – Na stoisku muzycznym.

Po obejrzeniu hołdu Alberta ku czci Helmuta Newtona, zawierającego ogromną liczbę utrzymanych w stylistyce deco czarno-białych aktów, które miały honorować dzieło mistrza, ruszyła w stronę Mondriana dokładnie w tym niezwykłym, choć ulotnym momencie, jaki towarzyszy każdemu słonecznemu porankowi w West Hollywood, kiedy to w powietrzu daje się wyczuć tak wiele aromatów nieznanymi owoców i roślin, na chwilę przed tym, gdy otuli je wszechobecna woń węglowodorów. To uczucie nieistotnego i odwiecznego piękna, czegoś naprawdę starego, ale jednocześnie boleśnie współczesnego sprawiało, że pomyślała, iż wystarczy przetrzeć okulary, a miasto zniknie bezpowrotnie.

Okulary słoneczne. Zapomniała wziąć je ze sobą w podróż.

Spojrzała w dół, na chodnik upstrzony zużytą gumą do żucia. Na brązowe, beżowe i włókniste pozostałości po burzy. I wtedy dotarło do niej, że ów moment oświecenia minął jak zawsze.

5. DWA RODZAJE PUSTKI

Wracając z Sunrise Market na Broome, dokąd udał się tuż przed zamknięciem, Tito zatrzymał się na moment, by spojrzeć w okna Yohji Yamamoto na Grand Street.

Kilka minut po dziesiątej. Grand była zupełnie opustoszała. Tito popatrzył w obie strony. W perspektywie ulicy nie poruszało się nic, nie było widać nawet jednej taksówki. Przeniósł wzrok na asymetryczne klapy wystawionej peleryny. Dostrzegł w szybie własne odbicie, ciemne oczy i także ubranie. W jednej ręce reklamówka Sunrise, wypakowana lekkimi jak piórko japońskimi makaronami błyskawicznymi w kubkach z białej pianki. Alejandro nabijał się z nich, twierdząc, że gdyby zjadł je z opakowaniem, nie poczułby różnicy, ale Tito po prostu lubił takie dania. Japonia to planeta dobrych tajemnic, źródło gier, anime i telewizorów plazmowych.

Ale asymetryczne klapy Yohji Yamamoto nie stanowią tajemnicy. To po prostu moda, a Tito sądził, że poznał jej tajniki.

Jedyne, co czasami nie dawało mu spokoju, miało związek z różnicą – bądź podobieństwem – pomiędzy ascetycznym bogactwem wystaw takich jak ta, na którą teraz spoglądał, a siermiężną prostotą sklepowych witryn, jakie zapamiętał z Hawany.

W tamtych oknach nie było szyb. W każdym z nich za gęstymi stalowymi kratami znajdowała się pojedyncza świetlówka, która nadawała wystawie niezemi wygląd. I żadnych towarów bez względu na to, czym handlowano za dnia, tylko dokładnie wymyte podłogi i upstrzone zaciekami tynki ścian.

Widział wyraźnie, jak jego odbicie w szybie wystawowej Yamamoto wzrusza ramionami. Odszedł, zadowolony z grubych i suchych skarpet.

Ciekawe, gdzie teraz jest Alejandro, pomyślał. Może w tym pozbawionym nazwy barze przy Ósmej Alei, poniżej Times Square, który tak uwielbiał, a na którego szyldzie widniało tylko jedno słowo: TAWERNA. To tam kuzyn spotykał się ze swoimi kontaktami z galerii, bawiło go zabieranie kustoszy i marszandów pomiędzy zasypiających transwestytów z Portoryka i lokalnych kurewek szukających chwili wytchnienia przed władzami portowymi. Tito nienawidził tego pogrążonego w wiecznym półmroku miejsca. Zdawało się istnieć na własnej oślizłej ścieżce temporalnej, w ślepym zaułku kontinuum czasoprzestrzennego, gdzie drinki zawsze są rozwodnione, a strach ma małe oczy.

Po powrocie do pokoju zauważył, że jedna ze skarpet, które niedawno wyprał, spadła z ramienia wieszaka, na którym powiesił ją, by wyschła. Ułożył ją ponownie na miejscu.

6. RIZE

Milgrimowi bardzo się podobała niezwykła jasność obrazu, jakiej dostarczała wypełniona azotem optyka austriackiego monokularu Browna, ale o wiele mniej cieszyło go obcowanie z zapachem gumy do żucia agenta, który znajdował się tuż obok niego w obserwacyjnej furgonetce.

Wóz stał przy Lafayette, tam, gdzie zaparkował go dla nich jeden z ludzi Browna. Agent zlekceważył czerwone światło na przejściu dla pieszych, byle dostać się do niego na czas, ledwie usłyszał w wetkniętej w ucho słuchawce, że UZ kieruje się w tę stronę, ale wkrótce okazało się, iż cel, stojąc bez ruchu, gapi się na wystawę sklepu Yohji Yamamoto.

– Co on robi? – Brown odebrał monokular, który podobnie jak jego pistolet i latarka, miał identyczny szarozielonkawy kolor.

Milgrim pochylił się do przodu, niemal przytykając oko do otworu obserwacyjnego, aby po utracie wzmacniacza wizji uzyskać lepsze pole widzenia. W burtach ecoline'a znajdowało się sześć podobnych dziur, każdą z nich zabezpieczono kawałkiem czarnego tworzywa, które można było zdjąć w każdej chwili. Pasowały idealnie do graffiti, jakim przyozdobiono karoserię furgonetki, mieszcząc się idealnie w równie czarnych obszarach kolejnych tagów. Milgrim zastanawiał się, czy – zakładając, że graffiti było oryginalne i uzyskano je pozostawiając wóz na ulicy – prawdziwy tagger dałby się teraz oszukać takiemu maskowaniu. Jak stare były te tagi? Czy stanowiły urbanistyczny ekwiwalent używania roślinności do tworzenia kamuflażu w plenerze?

– Gapi się na wystawę – odparł zupełnie niepotrzebnie. z czego zdawał sobie sprawę. – Pojedziemy za nim do domu?

– Nie – odparł Brown. – Może zauważyć nasz wóz.

Milgrim nie miał pojęcia, jak wielu agentów śledziło UZ-a w japońskim spożywczości, podczas gdy Brown zmieniał w jego mieszkaniu baterię w pluskwie. Świat ludzi, którzy śledzą i obserwują innych, był dla Milgrima nowością, chociaż od dawna podejrzewał, że taki świat istnieje. Widuje się takie sytuacje na filmach, czyta o nich w książkach, ale jakoś człowiek nigdy nie pomyśli, że i jemu ktoś będzie dyszał do ucha w starej furgonetce.

Teraz Brown nachylił się do przodu, przykładając sprężystą krawędź monokularu do zimnego, pokrytego kropelkami wody plastiku, aby przyjrzeć się UZ-owi. Milgrim, pozbawiony chwilowo lepszego zajęcia, zaczął rozmyślać nad tym, co by się stało, gdyby chwycił teraz coś, cokolwiek, i dzielił tym Browna przez łeb. Nawet zaczął się rozglądać po wnętrzu furgonetki w poszukiwaniu przedmiotu, który mógłby mu posłużyć do tego celu, ale zobaczył jedynie odwrócone do góry nogami plastikowe pojemniki na mleko, na których obecnie klęczeli, i kawałek złożonego brezentu.

Brown odwrócił się nagle od wizjera, jakby potrafił czytać w myślach Milgrima, i spojrzał groźnie.

Milgrim mrugnął nerwowo, mając nadzieję, że wygląda przy tym przyjaźnie, a nade wszystko niegroźnie. W końcu nie powinien sprawiać innego wrażenia, przecież nie walnął nikogo w głowę od

czasów podstawówki. Ale też nigdy wcześniej nie zostałem porwany, uświadomił sobie.

– On prędzej czy później coś nada albo odbierze z tamtego pokoju – powiedział Brown. – A jeśli to zrobi, ty mi wszystko przetłumaczysz.

Milgrim przytaknął gorliwie.

*

Zameldowali się w New Yorkerze na Ósmej Alei. Połączone pokoje na czternastym piętrze. Wyglądało na to, że New Yorker znajduje się na liście ulubionych miejsc Browna. Wybrali go już piąty albo szósty raz. Większą część pokoju Milgrima zajmowało podwójne łóżko ustawione na wprost szafy z płyt wiórowych, w której krył się telewizor. Jego zdaniem piksele na drewnopodobnej okleinie były stanowczo za duże. Tak pomyślał, zdejmując kradziony płaszcz i siadając na skraju łóżka. Zaczął właśnie dostrzegać, że produkty w wysokiej rozdzielczości dostaje się wyłącznie w lepszych miejscach.

Brown wszedł do jego pokoju i wykonał sztuczki z dwoma pudełeczkami, umieszczając jedno na drzwiach, drugie na futrynie. Oba przedmioty miały tę samą nijaką szarą barwę co pistolet, latarka i monokular. Potem zrobi to samo na swoich drzwiach, domyślił się Milgrim sądząc, że pudełeczka służą do tego, by uniemożliwić mu ucieczkę, gdy Brown zaśnie. Nie miał pojęcia, jak działają owe urządzonek, ale agent ostrzegł go, by nie dotykał drzwi, gdy są zamontowane. I Milgrim posłuchał.

Brown rzucił na pokryte wzorzystą kapą łóżko opakowanie konturowe z czymś, co mogło być jedynie czterema pastylkami ativanu, odwrócił się i wrócił do swego pokoju. Po chwili Milgrim usłyszał zza ściany głosy dobiegające z włączonego telewizora. Rozpoznawał tę muzykę, to był kanał Fox News.

Spojrzał na niewielki, pokryty wypukłymi bańkami plastiku kartonik. To nie pudełeczka zamontowane na drzwiach zatrzymają go w tym miejscu.

Podniósł kartonik. Napis na nim głosił: RIZE i jeszcze „5 mg”, reszta była napisana chyba... Tak, po japońsku. A w każdym razie wyglądała jak japońskie napisy zdobiące wszelkie opakowania.

– Hej!

Drzwi łączące ich pokoje były nadal otwarte. Stukanie palców Browna w klawiaturę laptopa ustało.

– Słucham?

– Co to za towar?

– Twoje lekarstwa – odparł Brown.

– Ale tu jest nazwa rize i jakieś japońskie napisy. To nie ativan.

– To taki sam mózgojeb – złowieszczo wycedził przez zęby Brown. – W DEA też jest na

pierdolonym czwartym wykazie narkotyków!

Milgrim spojrział na opakowanie.

– A teraz zamknij pysk.

Usłyszał, że Brown znów zaczął pisać.

Usiadł ponownie na łóżku. Rize? W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do swojego dilerka z East Village. Spojrzął na telefon, choć wiedział, że aparat jest wyłączony. Potem pomyślał, czy nie poprosić Browna o pożyczenie laptopa, mógłby przecież wygooglać informacje o tym towarze. DEA miała stronę poświęconą produktom kategorii czwartej, w tym też zagranicznym. W tym momencie uświadomił sobie, że jeśli Brown jest federastą, mógł dostać towar wprost z DEA. A to znaczyło, że pożyczenie jego laptopa jest równie prawdopodobne jak zadzwonienie do Dennisa Birdwella.

No i na domiar złego wisiał Birdwellowi kasę. To przesądziło sprawę.

Odłożył czteropak z pastylkami na skraj bliższego stolika nocnego, układając go idealnie równo z krawędziami blatu, na których wciąż widać było czarne ślady przypaleń w miejscach, gdzie poprzedni goście odkładali papierosy. Kształt tych spalonych miejsc przypominał mu wygląd łuków w logo McDonalda. Ciekawe, czy Brown zamówi szybko jakieś żarcie, pomyślał.

Rize.

7. BUENOS AIRES

Hollis śniła o tym, że maszeruje zwawym krokiem u boku Philipa Rauscha po Londynie, przemierzając Monmouth Street w kierunku igły Seven Dials. Nigdy nie spotkała osobiście Rauscha, ale teraz, zgodnie z prawidłami snu, był dla niej jednocześnie Regiem Inchmale'em. Z początku wydarzenia z pewnością miały miejsce w dzień, ale taki naprawdę zimowy, niebo stanowiło bezgraniczną taflę szarości, lecz nagle nad jej głową pojawiła się istna feeria karnawałowych barw, kiedy wielki okręt kosmiczny, przypominający zwieńczenie klasycznego Wurlitzera, zupełnie taki, jak w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia” – filmie, który miał premierę, gdy kończyła siedem lat i był jednym z ulubionych obrazów jej matki. – przymierzał się do wylądowania tu i teraz, jakby pomimo gigantycznych rozmiarów mógł tego dokonać na wąskiej przecież Monmouth Street, jarząc się niczym wielka elektryczna grzałka, przy jakiej wylegają się gady w terrariach, a ona stojąc obok Inchmale'a, gapiała się na to skulona, z zadartą głową i otwartymi ustami.

W tym właśnie momencie Rausch-Inchmale puścił jej rękę i powiedział, że to wielka wprawdzie, ale tylko bożonarodzeniowa dekoracja rozwieszona pomiędzy budynkiem hotelu po prawej i kawiarniana przeciwległej stronie ulicy. Tak, teraz wyraźnie widziała linki, na których wisiała konstrukcja, ale już rozdzwonił się telefon, zobaczyła go w witrynie pobliskiego sklepu, aparat wyglądał zupełnie jak jedno z tych wojskowych urządzeń polowych wprowadzonych do użytku podczas pierwszej wojny światowej. Jego płócienny futerał był wypapwany jasną gliną, podobnie jak nogawki wełnianych spodni Rauscha-Inchmale'a...

– Halo?

– Rausch.

Rausch we własnej osobie, pomyślała przykładając komórkę do ucha. Ostre słońce kalifornijskiego poranka kasało już z drugiej strony nakładające się na siebie zasłony Mondriana.

– Spałam.

– Muszę z tobą porozmawiać. Nasi chłopcy dotarli do kogoś, z kim powinnaś się spotkać. Wątpię, by Odile wiedziała cokolwiek o tej osobie, ale Corrales z pewnością ją zna.

– Kim jest ten znajomy Alberta?

– Bobby Chombo.

– Chombo?

– To król pomocy technicznej w środowisku sztuki lokacyjnej. Ich geohaker. Sygnały GPS nie są w stanie przenikać do wnętrza budynków. A on potrafi to obejść. Wykorzystuje triangulację anten telefonii komórkowej i inne systemy. Łebski gość.

– Chcesz, abym się z nim spotkała?

– Jeśli nie uda się tego zaaranżować przez Corralesa, zadzwoń do mnie. Spróbujemy coś

wykombinować z tej strony.

To nie była prośba. Uniosła brwi w całkowitej ciemności i skinęła posłusznie głową: tak jest, szefie.

– Tak zrobię.

Zapadła cisza.

– Hollis?

Usiadła nie zapalając światła i złożyła nogi do defensywnej pozycji lotosu.

– Tak?

– Jeśli spotkasz się z nim, miej oko na wszystko, co kojarzy się ze spedycją towarów.

– Ze spedycją?

– Wzorce globalnej spedycji. Zwłaszcza te dotyczące geoprzestrzennych oznaczeń, które interesują Odile i Corralesa... – Znów przerwa. – I na iPody.

– Na iPody?

– Jako narzędzia transferu danych.

– Niektórzy ludzie używają ich jak przenośnych dysków?

– Właśnie o to chodzi.

Nagle zrozumiała, że w tej sprawie cały czas było coś niepokojącego, coś, co teraz jeszcze bardziej jej się nie podobało. Wyobraziła sobie, że jej łóżko jest pustynią wypełnioną oślepiająco białym piaskiem. Coś krążyło wokół niej, ukryte tuż pod jego powierzchnią. Być może sam Mongolski Robal Śmierci, jedno ze stworzeń, które wymyślał Inchmale.

Są takie chwile, kiedy im mniej się powie, tym lepiej.

– Zapytam Alberta.

– Dobrze.

– Zająłeś się już moim rachunkiem za hotel?

– Oczywiście.

– Chwileczkę... – powiedziała. – Zadzwoń do recepcji z drugiej linii.

– Daj nam dziesięć minut. Sprawdzę to jeszcze osobiście.

– Dzięki.

– Rozmawialiśmy o tobie, Hollis. – Znów słyszy to mętne „my”.

– Tak?

– Jesteśmy z ciebie zadowoleni. Co byś powiedziała na etacik?

Poczuła, że Mongolski Robal Śmierci zaczyna się do niej zbliżać, pełzając pod bawełnianymi wydmami.

– To wielka rzecz, Philipie. Muszę ją przemyśleć.

– Jasne.

Złożyła telefon.

Dokładnie dziesięć minut później zadzwoniła do recepcji wykorzystując aparat stojący w pokoju i dowiedziała się, że jej rachunek, nie wyłączając wszystkich dodatkowych obciążeń, został przeniesiony na kartę kredytową Amex wystawioną na nazwisko Philip M. Rausch. Potem przełączyła się do hotelowego salonu fryzjerskiego, gdzie powiedziano jej, że za godzinę będzie wolne miejsce, i umówiła się na strzyżenie.

Było po drugiej, czyli po piątej w Nowym Jorku, a w Buenos Aires jeszcze dwie godziny później. Znalazła numer Inchmale’a na wyświetlaczu komórki, ale zadzwoniła z aparatu hotelowego. Odebrał natychmiast.

– Reg? Tu Hollis. Jestem w Los Angeles. Przeszkodziłam ci w kolacji?

– Angelina karmi Willy’ego. Jak się masz?

Synek ma dopiero rok. Angelina to argentyńska żona Rega Inchmale’a, jej panięskie nazwisko brzmi Ryan, a jej dziadek był pilotem okrętów na Rio Parana. Spotkała Inchmale’a, kiedy pracowała dla „Dazed & Confused” albo jakiegoś innego magazynu. Hollis nie miała głowy do ich nazw. Ale Angelina wiedziała o świątku wydawniczym Londynu więcej niż ktokolwiek z ludzi, których Hollis знаła.

– Ciężko powiedzieć – odparła. – A co u ciebie?

– Po staremu. Przynajmniej w dobre dni. Wiesz, ojcostwo chyba mi służy. A poza tym, sam nie wiem, tutaj jest dość oldskulowo. Jeszcze niczego nie piaskowano. Wszędzie czerń i brud. Zupełnie jak kiedyś w Londynie. Albo w Nowym Jorku, skoro już o tym mowa.

– Możesz o coś zapytać Angelinę w moim imieniu?

– A nie chcesz z nią sama porozmawiać?

– Nie. Przecież karmi Willy’ego. Po prostu zapytaj, czy wie coś, cokolwiek, o piśmie zatytułowanym „Node”. Powinno niedługo wystartować.

– „Node”?

– Ponoć chcą zrobić coś na wzór „Wired”, choć sami się do tego nie przyznają. Sądzę, że fundusze pochodzą z Belgii.

– Chcą zrobić z tobą wywiad?

– Zaoferowali mi robotę. Już wykonuję dla nich zadanie, ale jako wolny strzelec. Chciałabym wiedzieć, czy Angelina słyszała cokolwiek o tym tytule.

– Nie rozłączaj się – powiedział. – Muszę odłożyć słuchawkę. Niestety nasze telefony są jeszcze przewodowe, pamiętasz ten śmieszny spiralny kabel... – Usłyszała charakterystyczny dźwięk odkładanej na twardą powierzchnię słuchawki. Odsunęła własną od ucha i skupiła się na dźwiękach ruchu ulicznego dochodzących z Sunsetu. Nie miała pojęcia, gdzie podział się robot Odile, ale nie było go już słycać.

Inchmale znów był na linii w Buenos Aires.

– Bigend – powiedział.

Z ulicy dobiegł pisk hamulców, odgłos zderzenia, brzęk tłuczonego szkła.

– Co powiedziałaś?

– B-I-G-E-N-D. Magnat reklamowy.

Zawył alarm samochodowy.

– Ten, który poślubił Nigellę?

– To był Saatchi. Hubertus Bigend. Belg. Jego firma nazywa się Blue Ant.

– I?

– Ange mówi, że „Node” to jego projekt, ale nie wie, czy to ma być czasopismo. Node to jedna z mniejszych firm, które Bigend ma w Londynie. Ange miała jakieś kontakty z ich agencją, kiedy jeszcze pracowała dla czasopism, jeśli dobrze pamiętam. Zdaje się, że były burzliwe.

Alarm umilkł, lecz zastąpiło go natychmiast narastające wycie zbliżających się syren.

– Co tam się dzieje? – zapytał Inchmale.

– Wypadek na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Jestem w Mondrianie.

– Czy oni nadal urządzają castingi na bagażowych?

– Na to wygląda.

– Bigend za to płaci?

– Za wszystko – odparła. Tuż za oknem rozległ się kolejny pisk hamulców i moment później

ogłuszający ryk syreny zamilkł.

- No to nie jest źle – rzucił Inchmale.
- Nie jest – odparła. – A dlaczego miałoby być?
- Brakuje mi ciebie. Nie zrywajmy kontaktu.
- Dobrze, Reg. Dzięki. Podziękuj Angelinie.
- Do usłyszenia.
- Cześć.

Gdy odkładała słuchawkę, usłyszała kolejną syrenę. To musi być karetka, pomyślała. Zdecydowała, że nie będzie oglądać tego wypadku. Sądząc z odgłosów nie stało się nic poważnego, ale nie miała ochoty widzieć niczego, co by kojarzyło się z nieszczęściem.

Idelnie zaostrzonym ołówkiem na pierwszej kartce bloczku firmowego hotelu Mondrian napisała tylko jedno słowo: BIGEND.

Wygoogła go później.

8. PRZERAŻONA

Obserwowała, jak Alberto usiłuje wytłumaczyć ochronie w Virgin, dlaczego wnosi laptopa i maskę. Obaj elegancko umundurowani funkcjonariusze nie wyglądali na wielkich miłośników sztuki lokacyjnej. Prawdę mówiąc, ona sama też do nich w chwili obecnej nie należała.

Alberto zamierzał jej pokazać instalację poświęconą Jimowi Morrisonowi gdzieś na Wonderland Avenue, ale to jej wybitnie nie podchodziło. Gdyby nawet jakimś cudem udało mu się pominąć ikoniczne wręcz grubiaństwo Lizard Kinga i skupić się, powiedzmy, na klawiszach Raya Manzarka, i tak nie chciałaby za nic napisać jednego słowa o niewidzialnym wirtualnym pomniku stawianym The Doors – ani całej kapeli, ani każdemu z nich z osobna. Mimo że Inchmale kilka razy wykazał jej, kiedyś, dawno temu, gdy stanowili jeszcze zespół, że Manzarek i Krieger czynili cuda, by zneutralizować ekstrawagancję serwowaną przez solistę.

Stojąc w spalinowym zmięczeniu przed centrum handlowym na rogu Crescent Heights i Sunsetu, obserwując Alberta Corralesa udowadniającego ochronie, że ona, Hollis Henry, ma pełne prawo obejrzeć wirtualną instalację poświęconą atakowi serca Scotta Fitzgeralda, poczuła nagle, iż spływa na nią fala obojętności, wręcz senności – może stało się tak za sprawą nowej fryzury, wykonanej ku jej absolutnemu zadowoleniu przez niezwykle utalentowanego młodzieńca w salonie Mondriana.

W końcu atak serca Fitzgeralda nie zakończył się tragicznie. Pominięcie tego dzieła w artykule także nie spowoduje katastrofy. Czy raczej pominięcie większości elementów, gdyż dane jej było rzucić przelotne spojrzenie na mężczyznę w tweedowej marynarce przy chromowanym kontuarze, trzymającego się za serce jedną ręką, a w drugiej ściskającego paczkę chesterfieldów. Zauważyła, że opakowanie papierosów ma znacznie wyższą rozdzielczość niż pozostałe elementy instalacji, choć i one zostały ciekawie pokazane, łącznie z nie znanymi jej kształtami samochodów na bulwarze, lecz niestety ochrona Virginia uznała, że paradowanie w hełmie czy raczej masce po dziale muzycznym źle wpływa na innych klientów, i zabawa się skończyła. Hollis oddała sprzęt Albertowi i szybkim krokiem skierowała się do wyjścia.

Odile mogłaby wprawdzie użyć swojego uroku osobistego na ochroniarzach, ale akurat dostała ciężkiego ataku astmy spowodowanego, jak sama powiedziała, przez unoszącą się w powietrzu biomasę stanowiącą pozostałość po burzy, która przeszła minionej nocy, albo krytyczną ilością produktów do aromaterapii, z jakimi stykała się w Standardzie.

Pomimo tego wszystkiego Hollis zachowywała całkowity spokój, dziwny, nieoczekiwany moment jasności umysłu, który Jimmy Carlyle, dawny basista Curfew z Iowa, zanim odszedł z tego heroinowego padołu, nazywał pogodą ducha. Pogrążając się w tym stanie (spokoju) nadal była kobietą w średnim wieku i niosła bagaż należących do niej wspomnień, tutaj, teraz, i nie miała większych problemów z akceptacją tych faktów, wszystkich faktów, przynajmniej do czasu, gdy zadzwoniono z „Node’a” jakiś tydzień temu z ofertą, której nie mogła ani odrzucić, ani zrozumieć.

Gdyby „Node” był, jak to określił małe dziecko, ale drętwo brzmiący Rausch, magazynem o technice z zacięciem kulturalnym (magazynem o technice w krótkich spodenkach, tak to widziała), czy naprawdę chciałby zatrudnić ją, byłą wokalistkę kapeli o nazwie Curfew, a od pewnego czasu mało znaną

dziennikarkę, za całkiem niezłe pieniądze, by opisała znany tylko wyjątkowym palantom trend w sztuce?

Nie, powiedział głos dobywający się z samego serca jej pogody ducha. Na pewno nie. I tak dotarła do sedna tej anomalii, pojmując teraz jasno, że Rausch wydał jej wyraźny rozkaz znalezienia Bobby'ego Chomba, kimkolwiek czy też czymkolwiek on jest, a gdy już się z nim spotka, sprawdzenia, czy ma coś wspólnego ze spedycją, „z wzorcami globalnej spedycji”. To właśnie, Hollis pojęła rzecz natychmiast, było jej prawdziwym zadaniem i z pewnością nie miało nic wspólnego z Odile Richard ani resztą jej znajomych.

Nagle, gdy spojrzała na strumień pojazdów przesuających się po Sunsecie, zauważyła perkusistkę z Curfew. Laurę „Heidi” Hyde. prowadzącą wóz, który Hollis, nie mająca pojęcia o samochodach, uznała za maleńkiego SUV-a niemieckiej produkcji. Wiedziała, że Heidi, z którą nie rozmawiała już od niemal trzech lat, mieszka aktualnie w Beverly Hills i pracuje w Century City. co czyniło możliwym to nieprawdopodobne inaczej spotkanie, w czasie gdy wracała do domu po całym dniu pracy.

– Faszystowskie gnoje – złorzeczył rozszalony Alberto, stając obok niej z laptopem pod jedną pachą i maską pod drugą. Wyglądał przy tym zbyt poważnie jak na człowieka rzucającego takie wyzwiska, dlatego na moment wyobraziła go sobie jako postać z prymitywnej kreskówki.

– Nie ma sprawy – zapewniła go. – Naprawdę wszystko jest okay. Rzuciłam okiem. Widziałam instalację. Załapałam ideę.

Zamrugął oczami, patrząc w jej stronę. Czyżby był o krok od wybuchnięcia płaczem?

– Bobby Chombo – powiedziała, gdy usiedli w Hamburger Hamlet, do którego Alberto przywiózł ją z Crescent Heights na jej własną prośbę.

Zaniepokojony Latynos zmarszczył brwi.

– Bobby Chombo – powtórzyła.

Pokiwał głową z powagą.

– Wykorzystuję go przy wszystkich instalacjach. Jest świetny.

Raz jeszcze przyjrzała się niezwykle dopracowanemu liternictwu, jakie wytatuowano na obu jego przedramionach. Nadal nie potrafiła znaleźć jakiegokolwiek sensu w tych słowach.

– Alberto, powiedz mi, co znaczą te napisy na twoich rękach?

– Nic.

– Nic?

– Zrobił mi je pewien artysta w Tokio. Obrabia litery tak długo, aż przestają być rozpoznawalne. Te moje ułożył w przypadkowej kolejności.

– Alberto, co wiesz o piśmie „Node”, dla którego mam napisać ten artykuł?

– Europejskie? Nowe?

– Znałeś Odile, zanim zajęła się tym tematem?

– Nie.

– A słyszałeś o niej kiedykolwiek?

– Tak. Zajmowała się sztuką.

– I skontaktowała się z tobą w sprawie zaaranżowania spotkania ze mną dla „Node’a”.

– Tak. – Kelner przyniósł dwie corony. Hollis wzięła jedną, stuknęła nią w szyjkę drugiej i napiła się prosto z butelki. Po chwili Alberto poszedł w jej ślady. – Dlaczego zadajesz mi te pytania?

– Nigdy wcześniej nie pracowałam dla „Node’a”. Chcę się po prostu zorientować, czym się zajmują i w jaki sposób załatwiają interesy.

– A dlaczego pytałaś o Bobby’ego?

– Mam pisać o twoich instalacjach. To zrozumiałe, że interesuje mnie także strona techniczna.

Alberto najwyraźniej poczuł się nieswojo.

– Bobby... – zaczął i przerwał. – To bardzo skryty człowiek.

– Naprawdę?

Teraz wyglądał na rzeczywiście nieszczęśliwego.

– Wizje są moje, ja odwalam też całą robotę przy konstrukcji, Bobby zajmuje się hakerstwem. Sprawia, że dzieła trafiają gdzie trzeba, nawet do budynków. No i instaluje routery.

– Routery?

– Na tym etapie każda instalacja potrzebuje łączności bezprzewodowej.

– A gdzie znajduje się router Rivera?

– Nie mam pojęcia. Router Newtona jest w klombie. W wypadku Fitzgeralda sprawa jest bardziej skomplikowana, nie zawsze można go oglądać.

– Bobby nie zechce ze mną rozmawiać?

– Obawiam się, że nie spodoba mu się nawet to, że o nim słyszałaś. – Zmarszczył brwi. – Kto ci o nim powiedział?

– Mój wydawca z „Node’a”, facet z Londynu, który nadzoruje moją pracę. Nazywa się Philip

Rausch. Powiedział, że ty możesz go znać, ale Odile najprawdopodobniej nic o nim nie wie.

– Bo nie wie.

– Alberto, czy możesz załatwić spotkanie z Bobbym?

– To nie...

– A on nie jest przypadkiem fanem Curfew? – W duchu poczuła zażenowanie, że zagrała tą kartą.

Alberto zachichotał. Zabrzmiało to tak, jakby z jego masywnego ciała wytrysnął nagle strumień dwutlenku węgla. Uśmiechnął się do niej, jakby znów zobaczył wielką gwiazdę. Pociągnął kolejny łyk piwa.

– Prawdę mówiąc – rzekł – słucha twoich kawałków. Nagrania Curfew przełamały między nami pierwsze lody.

– Alberto, podoba mi się to, co robisz. Instalacje, które widziałam, są wspaniałe. River Phoenix był pierwszym, ale jakże mocnym kontaktem z tym rodzajem sztuki. – Na jego twarzy malował się absolutny spokój, wręcz oczekiwanie. – Potrzebuję twojej pomocy, Alberto. Nigdy wcześniej nie robiłam niczego podobnego. Staram się zrozumieć zasady działania „Node’a”, a oni kazali mi skontaktować się z Bobbym. Wiem, że nie masz żadnego powodu, by mi zaufać...

– Mam – powiedział szarmancko. I dodał: – Ufam ci, Hollis, ale... – Skrzywił się. – Nie znasz Bobby’ego.

– To mi o nim opowiedz.

Położył palec wskazujący na białym obrusie i przesunął nim wzdłuż linii prostej. Potem nakreślił następną, pod idealnym kątem Prostym.

– Sieć GPS – powiedział.

Poczuła, jak jeżą jej się włoski na plecach, tuż ponad talią.

Alberto pochylił się nad stołem.

– Bobby podzielił przestrzeń na małe kwadraty za pomocą takiej siatki. On pojmuje wszystko w kategoriach sieci GPS, cały świat. Tak jest, oczywiście, ale... – Zmarszczył brwi. – Nigdy nie śpi dwa razy w tym samym kwadracie. Skreśla je i nie wraca do miejsc, w których raz już nocował.

– I to cię dziwi? – Dla niej takie zachowanie było bardzo dziwne, lecz nie znała Alberta na tyle, by wiedzieć co u niego uchodzi za rzecz niezwykłą.

– Bobby to... no po prostu Bobby. Czy jest dziwny? Z pewnością. I trudny.

Nie zmięzali w tę stronę, w którą pragnęła się skierować.

– Chciałabym się też dowiedzieć czegoś więcej na temat tworzenia instalacji. – To powinno

pomóc w powrocie na właściwy trop, pomyślała. Alberto natychmiast wyjaśniał na twarzy.

Podano hamburgery, ale Corrales wyglądał, jakby chciał odsunąć swoją porcję na bok.

– Zaczynam od rozpoznania miejsca – powiedział. – Miejsca zdarzenia. Potem zaczynam poszukiwania. Zbieram zdjęcia. W wypadku Fitzgeralda nie było, rzecz jasna, żadnych zdjęć. Może i dobrze, bo bym się przeforsował finansowo... Ale istniało sporo fotografii z tamtej epoki. Opis jego ubrania, fryzury. Inne zdjęcia. I wszystko co mogłem znaleźć na temat Schwaba. A sporo się tego uzbierało, bo to był jeden z najpopularniejszych sklepów w Ameryce. Po części dlatego, że Leon Schwab rozgłaszał wszędzie, że u niego odkryto Lane Turner, siedziała ponoć przy barze z przekąskami. Ona sama wielokrotnie zaprzeczała pogłoskom, które właściciel rozpowszechniał, aby przyciągnąć klientów do sklepu. Ale wiele magazynów dokładnie obfotografowało całe miejsce. Istna kopalnia detali.

– I przerobiłeś te fotografie na... trójwymiar? – Nie była pewna, jak to ująć.

– Żartujesz? Wszystko tworzę od podstaw.

– Jak?

– Buduję wirtualne modele, potem nakładam na nie skórę tekstur, które sampluję albo wymyślam na potrzeby projektu. Każdy model posiada wirtualny szkielet, abym mógł go spozycjonować i ustawić w tworzonym środowisku. Wykorzystuję wirtualne źródła światła, by stworzyć cienie i odbicia. – Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę go słucha. – Modelowanie to coś w rodzaju formowania glinianej rzeźby. Używam tej techniki do połączenia wewnętrznej struktury projektu, szkieletu, z kręgosłupem, wszystkimi stawami, nawet z palcami. Zupełnie jakbym tworzył postać bohatera gry komputerowej. Potem projektuję kilka głów, każdą z nieco innym wyrazem twarzy, i łączę je w jedno.

– Dlaczego?

– Bo tak jest subtelniej. Ekspresja twarzy nie wygląda sztucznie, jeśli stosujesz tę technikę. Potem nakładam barwy, a na końcu wszystkie elementy instalacji pokrywam teksturami. Niektóre z tych tekstur są skanami prawdziwej ludzkiej skóry. Do postaci Rivera nie mogłem znaleźć odpowiedniej skóry, wreszcie zsamplewałem młodzieńką Wietnamkę. I zadziałało. Wiem to od ludzi, którzy go znali.

Przełknęła kęs i odłożyła hamburgera.

– Nie sądziłam, że to wymaga tak wielkich nakładów pracy. Wydawało mi się, że to po prostu powstaje i... już. Wiesz... za sprawą techniki.

Skinął głową.

– Tak. Często to słyszę. Tymczasem większość roboty, jaką wykonuję, to czysty archaizm. Muszę ręcznie ustawić wirtualne oświetlenie, aby cienie układały się zgodnie z planem. Do tego dochodzi spora liczba elementów otoczenia, które mają tworzyć atmosferę chwili. – Wzruszył ramionami. – Oryginał istnieje tylko na serwerze, kiedy kończę robotę, ma wirtualną wysokość, szerokość i

głębokość. Czasami myślę sobie, że kiedy taki serwer siądzie i szlag trafi dane, moja instalacja pozostanie na swoim miejscu, przynajmniej jako matematyczne prawdopodobieństwo, i że nasza przestrzeń... – przerwał.

– Tak?

– Że działa na podobnej zasadzie. – Raz jeszcze wzruszył ramionami i wgryzł się w swojego hamburgera.

Chłopie, pomyślała Hollis, ty mnie naprawdę przerażasz.

Ale jedynie pokiwała głową z powagą i wzięła w ręce swojego hamburgera.

9. ZIMNA WOJNA DOMOWA

Obudził go sygnał wiadomości. Sięgnął po telefon nie zapalając światła i spojrzał na szybko przewijany tekst w wolapiku. Alejandro czekał na zewnątrz, chciał wejść. Było dziesięć po drugiej nad ranem. Wstał, włożył dżinsy, skarpety i sweter. Potem buty, które dokładnie zasznurował; tego wymagał protokół.

Na korytarzu, gdy zamykał za sobą drzwi, poczuł chłód. W windzie było nieco cieplej. Zszedł do wąskiego oświetlonego fluorescencyjną lampą holu na dole i stuknął raz we framugę, kuzyn odpowiedział trzema stuknięciami, a po krótkiej przerwie jeszcze jednym. Kiedy mu otworzył, Alejandro wszedł otoczony nimbem mroźnego powietrza i zapachem whisky. Tito zamknął za nim drzwi, ryglując je ponownie.

– Spałeś już?

– Tak – odparł Tito, kierując się do windy.

– Byłem u Carlita – powiedział Alejandro, idąc w jego ślady. Tito nacisnął klawisz i drzwi się zasunęły. – Carlito i ja prowadzimy wspólny interes. – To oznaczało działanie poza rodziną. – Wypytałem go o twojego starca. – Drzwi windy otworzyły się.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Tito otwierając swój pokój.

– Bo pomyślałem, że nie potraktowałeś mnie serio.

Weszli w mrok mieszkania, Tito zapalił niewielką lampkę przymocowaną do keyboardu.

– Zaparzyć kawy? A może herbaty?

– Masz czaj?

– Z torebki. – Tito już od dawna nie robił herbaty na rosyjską modłę, chociaż wciąż wrzucał białe woreczki do taniego chińskiego czajniczka.

Alejandro usiadł w nogach materaca i podciągnął kolana aż do twarzy.

– Carlito parzy czaj. I podaje go z łyżeczką dżemu. – Jego zęby zaśniły w świetle lampki z keyboardu.

– I co ci powiedział?

– Nasz dziadek był zastępcą Semenowa – odparł Alejandro.

Tito włączył kuchenkę i nalał wody do czajnika.

– Czyli kogo?

– Semenów był pierwszym doradcą K. GB u Castra.

Tito obejrzał się na kuzyna. Słowa te zabrzmiały w jego uszach jak bajka, choć pobrzmiewająca dość znajomo. A potem chłopczyk spotkał latającego konia, opowiadała mu kiedyś mama. A potem dziadek spotkał doradcę KGB u Castra. Odwrócił się do kuchenki.

- Dziadek był jednym z mniej ważnych członków Dirección General de Inteligencia.
- Carlito ci to powiedział?
- Wiedziałem już wcześniej. Od Juany.

Tito zastanawiał się nad tą informacją, gdy stawiał czajnik na palniku. Sekret dziadka nie mógł przecież odejść razem z nim. Legendy dojrzewają jak wino, zwłaszcza w rodzinach takich jak ta, gdzie wszyscy dzielili, chcąc czy nie chcąc, te same tajemnice. Juana, latami produkująca potrzebne wszystkim dokumenty, miała z pewnością najpewniejsze informacje. Była też, Tito wiedział o tym doskonale, najrozsądniejsza z nich wszystkich, najspokojniejsza i najbardziej cierpliwa. Często ją odwiedzał. Zabierała go wtedy do marketu El Siglo XX, gdzie kupowali *malangą* i *boniato*. Sosy, jakie z nich przygotowywała, miały dla niego zbyt wielką moc, ale jej *empanadas* sprawiały, że czuł się jak w raju. Nigdy nie wspominała mu o Semenowie, ale opowiedziała za to o wielu innych rzeczach. Rzucił okiem na naczynie, w którym spoczywała Oszun.

- A co Carlito mówił o starcu?

Alejandro spojrzał zza kolan.

- Powiedział, że w Ameryce trwa wojna.
- Wojna?
- Wojna domowa.
- W Ameryce nie ma żadnej wojny.
- Czy Amerykanie prowadzili wojnę z Rosjanami, kiedy dziadek pomagał zakładać DGI?
- To była tak zwana „zimna wojna”.

Alejandro przytaknął, przesunął dłonie w górę, w stronę kolan.

- W takim razie mamy teraz zimną wojnę domową.

Tito usłyszał ciche kliknięcie dochodzące od strony wazonu Oszun, ale w tym samym momencie pomyślał o Elegbie, który wytycza i niszczy drogi. Odwrócił się do kuzyna.

- Nie śledzisz wydarzeń politycznych, kolego.

Tito pomyślał o audycjach Russian Network of America, które odeszły w zapomnienie razem ze znajomością rosyjskiego.

- Coś tam wiem – odparł.

Gwizdek oznajmił, że woda się zagotowała. Tito zdjął naczynie z palnika, wlał trochę wrzątku do czajniczka i włożył do niego dwie torebki herbaty. Potem dolał wody do pełna zamaszystym ruchem i nałożył pokrywkę.

Sposób, w jaki Alejandro przycupnął na materacu, przypomniawszy Titowi czasy, gdy razem z kolegami, klęcząc od świtu na bruku, kręcił drewnianymi bączkami nie bacząc na upał, którym sływały ulice. Nosili wtedy białe odprasowane spodnie i czerwone chusty. Ciekawe, czy w Ameryce ktokolwiek bawi się bączkami?

Czekając, aż herbata się zaparzy, usiadł na materacu obok kuzyna.

– Tito, czy wiesz, dlaczego nasza rodzina stała się tym, czym teraz jest?

– Zaczęło się od dziadka i DGI.

– On nie spędził tutaj wiele czasu. KGB potrzebowało go do stworzenia własnej siatki w Hawanie.

Tito skinął głową.

– Rodzina ze strony babci zawsze mieszkała w Barrio de Colon. Juana twierdzi, że jeszcze przed Batistą.

– Carlito powiedział, że ludzie z rządu poszukują twojego starca.

– Jacy ludzie?

– Carlito mówi, że dzisiejsza Ameryka przypomina mu Hawanę z czasów, gdy stacjonowali tam Rosjanie. Nie ma już takich interesów jak dawniej. Powiedział mi, że starzec pomagał nam się tutaj sprowadzić. To była wielka magia, kuzynie. Większa niż ta, którą mógł czynić nasz dziadek.

Tito przypomniawszy sobie nagle zapach angielskojęzycznych zapisków wetkniętych w nadpłeśniałe etui.

– Powiedziałaś Carlitowi, że uważasz, iż może być niebezpieczny?

– Tak.

Tito wstał i nalał herbatę z czajniczka do dwóch szklanek.

– A on odparł, że nasza rodzina ma wobec niego dług wdzięczności? – zgadywał. Spojrzał w oczy kuzyna.

– Dodał też, że żąda właśnie ciebie.

– Dlaczego?

– Przypominasz mi naszego dziadka. I ojca. Wiesz, że załatwili go, gdy wykonywał jakąś robotę dla starca?

Tito podał Alejandrowi szklanę herbaty.

– *Gracias* – powiedział kuzyn.

– *De nada* – odparł Tito.

10. NOWY DEWON

Milgrim śnił właśnie o Mesjaszu Biczowników, fałszywym Baldwinie i władcy Węgier, gdy Brown zstąpił na rozgrzane płycizny jego sennych marzeń, chwytając go za ramiona i potrząsając z całych sił.

– Co to jest? – zadawał raz po raz pytanie, które dla Milgrima miało wymiar egzystencjalny aż do momentu, w którym Brown wbił oba kciuki w miejsce, gdzie żuchwa łączy się z kośćmi czaszki.

Zrobił to z taką siłą, że Milgrim dopiero po chwili zrozumiał, że owo straszne uczucie to nic innego jak ogromny ból. Zdawało mu się, że zaczyna lewitować wbrew swojej woli, otworzył więc usta, by krzyknąć, ale agent natychmiast zakrył je dłonią.

Cuchnęła świeżym lateksem, którym pokryty był palec wskazujący Browna.

Druga ręka pokazywała ekranik PDA firmy BlackBerry.

– Co to jest?

Milgrim już miał na końcu języka, że widzi zwykłego palmtopa, ale w tej właśnie chwili dostrzegł na wyświetlaczu, przez łyzy, króciutką wiadomość zapisaną wolapikiem stosowanym przez rodzinę UZ-a.

Smród rękawiczki Browna zelżał, gdy dłoń zniknęła z ust Milgrima.

– Jestem na ulicy – natychmiast zaczął tłumaczyć. – Jesteś tam? Podpisane A-L-E, Ale.

– To wszystko?

– Tak. To wszystko.

Milgrim masował zawiasy żuchwy opuszkami palców. To było bardzo unerwione miejsce. Sanitariusze wykorzystywali je, kiedy mieli do czynienia z ofiarami przedawkowania. Ten chwyt zawsze działał.

– Dziesięć po drugiej – powiedział Brown, spoglądając na wyświetlacz.

– Przynajmniej wiesz już, że twoja pluskwa działa – rzucił Milgrim pojednawczo. – Zmieniłeś baterię i proszę, od razu masz dowód, że poskutkowało.

Brown wyprostował się i wrócił do swojego pokoju, nie kłopotząc się nawet przymknięciem drzwi.

Nie ma za co, pomyślał Milgrim, kładąc się na łóżko z otwartymi oczami, aby przypomnieć sobie widok Mesjasza Biczowników.

W zakrytej ukośną klapą kieszeni płaszcza spoczywało grube broszurowe wydanie traktujące o rewolucyjnym mesjanizmie w średniowiecznej Europie. Z powodu licznych podkreśleń w tekście,

zrobionych czarnym atramentem, została sprzedana za niewygórowaną cenę trzech i pół dolara, zapewne człowiekowi, którego Milgrim okradł.

Mesjasz Biczowników kojarzył się Milgrimowi z pomalowaną na jaskrawe kolory figurką z najwyższej jakości japońskiego winylu, wzorowaną na postaciach stworzonych przez Hieronima Boscha. Mesjasz, z żółtym kapturem nasuniętym głęboko na oczy, poruszał się w szarej scenerii zamieszkaney przez inne figurki wykonane z tego samego tworzywa. Niektóre z nich miały cechy zdradzające wpływ malarstwa Boscha, na przykład olbrzymie chodzące pośladki, spomiędzy których sterczy niczym komin wielka drewniana strzała. Inne, jak sam Mesjasz, pochodziły z ukradzionej książki, którą czytał każdego wieczora, ale raczej pobieżnie i wrywkowo. Nigdy wcześniej, jak daleko sięgał pamięcią, nie interesowały go tego typu historie, ale teraz, ubarwiając dzięki nim sny, znajdował swoisty rodzaj ukojenia.

Wyobraził sobie UZ-a, sam nie wiedząc dlaczego, jako ptasiogłową postać rodem z obrazu Boscha, ściganą przez Browna i jego ludzi, bandę odzianych w brązowe kaptury łotrów jadących okrakiem na heraldycznych bestiach, które z pewnością nie przypominały koni, zaś na łopoczących proporcach widniały hasła wypisane wolapikiem. Galopowali tak całymi dniami poprzez stylizowane ostępy okalające ów świat, dostrzegając w mrocznych zaroślach przedziwne kreatury. Czasami Brown i Mesjasz zlewali mu się w jedno i Milgrim budził się wciąż pamiętając, jak Brown wrywa sobie kawałki ciała, chłoszcząc się biczem z drutów kolczastych o takiej samej szarozielonkawej barwie jak jego latarka, pistolet i monokular.

Ale to nowe dewońskie morze, gorące jak krew płycizny, w których brodziły jego wizje, nie było już tworem ativanu, lecz rize'u, japońskiego produktu, do którego Milgrim natychmiast poczuł wielki szacunek. Tkwiły w nim jeszcze całe pokłady doznań, czuł to wyraźnie, których świadkiem będzie po zażyciu kolejnych działek. Obiecywały poczucie ogromnej swobody, której mu ostatnio brakowało – chociaż akurat w tej kwestii fakt, iż jest więziony przez Browna, również mógł mieć niebagatelne znaczenie.

Wpływ rize'u pomógł mu jednak trzeźwiej spojrzeć na uwięzienie i na ból, jaki mu sprawiało. Miał sporo kłopotów, kiedy pojawił się Brown, więc facet rozkazujący mu, za to z ativanem, wydał się całkiem rozsądnym rozwiązaniem sprawy. W rzeczy samej, Milgrim przyznał to sam przed sobą, gdyby nie Brown, najprawdopodobniej już by nie żył. Tak wielkie było prawdopodobieństwo zejścia z tego świata, jeśli zbyt raptownie odstawiło się swój ulubiony lek. A człowiek pozbawiony kasy, jak wiadomo, nie ma łatwego dostępu do źródła.

Ale jego główny problem nie zniknął. Jak długo da się przeżyć, będąc narażonym na działanie zważonego testosteronu kogoś takiego jak Brown? Mogą mnie zniknąć, powiedział głos należący do tej części osobowości Milgrima, która wciąż trwała w cytadeli jego duszy. Nigdy wcześniej niż. używał tego czasownika, zwłaszcza w tak szczególnej formie, ale teraz to zrobił, gdyż poczuł, że coś podobnego mu grozi. Patrząc na to, jak żył do tej pory, faktycznie został zniknięty. Nikt oprócz człowieka, który go przetrzymywał, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Brown zabrał mu wszystkie dokumenty. Milgrim nie miał gotówki ani kart kredytowych i sypiał w pomieszczeniach z drzwiami zabezpieczonymi szarozielonkawymi pudełeczkami na wypadek, gdyby chciał je opuścić bez wiedzy agenta.

A co najważniejsze, pozostawała jeszcze kwestia prochów. Brown je dostarczał. Gdyby nawet Milgrimowi udało się zwiać, miałby zapasy tylko na jeden dzień. Agent nigdy nie dawał mu więcej tabletek.

Westchnął, zanurzając się w ciepłej, falującej zupie płynów o wodniowych własnościach umysłu.

Jest dobrze. Nawet bardzo dobrze. Gdyby tylko ta chwila mogła trwać wiecznie.

11. BOBBYLAND

Alberto jechał ozdobionym azteckimi motywami garbusem ulicą La Brea, kierując się na wschód. Hollis siedziała obok niego.

– Bobby cierpi na agorafobię – oznajmił jej, kiedy czekali na zmianę świateł za czarnym jeepem grand cherokee laredo z mocno przyciemnianymi szybami. – Nie lubi wychodzić. A ponieważ nie cierpi spać dwa razy w tym samym miejscu, ma problem.

– Zawsze był taki?

Cherokee ruszył mijając skrzyżowanie, Alberto pojechał za nim. Hollis starała się podtrzymać rozmowę.

– Znam go dopiero od dwóch lat, więc ciężko mi powiedzieć – stwierdził Latynos.

– Ale ma chyba dobrą reputację w waszej społeczności w związku z tym, co dla was robi? – Specjalnie użyła trudnego do sprecyzowania terminu „społeczność”, aby zmusić go do wyjaśnienia kilku niewiadomych.

– Jest najlepszy. Kiedyś był szefem działu pomocy technicznej w firmie z Oregonu, która zajmowała się profesjonalnym sprzętem wojskowym. Ponoć były to bardzo nowatorskie rozwiązania.

– Ale teraz jest tutaj i pomaga ci w stawianiu instalacji.

– Umożliwia ich istnienie. Gdyby nie Bobby, nie byłbym w stanie ulokować moich instalacji na siatce. Zresztą jak każdy z artystów z miasta.

– A co z tymi, którzy tworzą w Nowym Jorku albo Tulsie? Bo ta sztuka nie ogranicza się chyba wyłącznie do Los Angeles?

– Objęła już cały świat.

– Więc kto odwała dla nich robotę Bobby’ego?

– On ma na koncie wiele instalacji stawianych w Nowym Jorku. A Linda Morse i bizon w Nolita? Też robota Bobby’ego. Z pewnością istnieją inni ludzie, którzy zajmują się tymi sprawami w Nowym Jorku. Londynie i gdzie tam jeszcze. Ale Bobby jest nasz...

– Jest kimś w rodzaju... producenta? – Miała nadzieję, że ta nazwa bardziej skojarzy mu się z branżą muzyczną niż filmową.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Właśnie, ale wolałbym, żebyś mnie nie cytowała w tej kwestii.

– Nie ma sprawy.

– On jest jak producent. Gdyby ktoś inny robił dla mnie to co Bobby, instalacje zapewne wyglądałyby zupełnie inaczej. Inaczej docierałyby do widza.

– Chcesz powiedzieć, że artysta pracujący w twojej branży, który skorzysta z umiejętności Bobby’ego, może stać się...

– Lepszy?

– Tak.

– Niekoniecznie. Analogia z nagrywaniem muzyki wydaje mi się bardzo trafiona. Ile w nagraniu jest wartości materiału, muzyka, a ile wnosi talent i wrażliwość producenta?

– Opowiedz o wrażliwości Bobby’ego.

– To typowy technik. Pozorny literalista, o czym sam chyba nie wie.

Bobby, z tego co zrozumiała, nie miał wielkiego wpływu na stronę estetyczną dzieła, mimo że w pewnym sensie był jego ojcem.

– Chce, aby instalacje wyglądały naturalnie, ale nie ma typowych ograniczeń, które by go wiązały z jednym tylko wyobrażeniem naturalności. Dlatego daje solidnego kopa każdej pracy...

– Jak w wypadku Rivera?

– Rzecz w tym, że gdybym nie miał Bobby’ego, nie mógłbym umieścić żadnej instalacji wewnątrz budynku. Nawet część dzieł umieszczonych na otwartej przestrzeni wygląda o wiele lepiej, kiedy triangulacja odbywa się za pomocą nadajników telefonii komórkowej. Na przykład Fitzgerald wykorzystuje system identyfikacji radiowej towarów w magazynach Virgin. – Nagle zrobił smutną minę. – Nie spodoba mu się, jeśli przyjadę z tobą.

– Gdybyś go zapytał, pewnie by odmówił.

– To prawda.

Sprawdziła nazwę ulicy na tabliczce, gdy przejeżdżali przez skrzyżowanie. Znajdowali się na Romaine, rozległej przestrzeni wypełnionej niskimi, nijakimi, przeważnie staro wyglądającymi budynkami przemysłowymi. Niewiele było szyldów, zdawać się mogło, że trafili do królestwa schludnej anonimowości. Idealne miejsce dla archiwów filmowych, speców od efektów specjalnych i studiów nietypowych nagrań. Atmosfera tego miejsca była domowa, nostalgiczna: cegły, wybielone bloki betonu, zamalowane okna ze stalowymi kratownicami i świetliki, drewniane słupy podtrzymujące masywne szyki transformatorów. Zupełnie jak fotografie w tekstach opisujących industrialną Amerykę lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. W tym momencie opustoszałe, ale mało prawdopodobne, by w dzień robiło się tutaj tłoczniej.

Alberto zjechał z Romaine, zwolnił, zaparkował i sięgnął na tylne siedzenie wozu po zestaw: laptop i maska.

– Przy odrobinie szczęścia będziemy mogli obejrzyć kilka najnowszych prac – powiedział.

Wysiedli; ruszyła za nim, przewieszając przez ramię torbę, w której trzymała PowerBooka, ku pozbawionemu wyrazu i okien masywnemu budynkowi z pomalowanego na biało betonu. Alberto zatrzymał się przed jaskrawozielonymi metalowymi drzwiami, oddał jej swój sprzęt i nacisnął guzik osadzony w tynku, który wyglądał tak eterycznie, jakby zaprojektowano go dla Standarda.

– Spójrz tam – powiedział Alberto, wskazując niczym nie wyróżniające się miejsce powyżej i na prawo od drzwi. Wykonała polecenie, domyślając się, że patrzy w niewidoczny obiekt kamery.

– Bobby – kontynuował tymczasem Latynos – wiem, że nie lubisz gości, zwłaszcza tych nie zaproszonych, ale wydaje mi się, że zrobisz wyjątek dla Hollis Henry... – przerwał niczym rasowy konferansjer. – Spójrz sam. Oto ona.

Hollis nieomal uśmiechnęła się do ukrytej kamery, lecz w ostatniej chwili skrzywiła się, zupełnie jakby pozowała do zdjęcia z okazji reedycji albumu Curfew. Miała swoisty znak firmowy dawnymi czasy, charakterystyczne zmarszczenie brwi. Kiedy była wystarczająco odprężona i udało jej się przywołać ducha tamtej epoki, ten wyraz twarzy przychodził samoistnie.

– Alberto... Kurwa... Co ty wyprawiasz? – Głos był cienki, bezpłciowy, nie mogła nawet wyczuć, skąd dochodzi.

– Bobby, mam tu z sobą Hollis Henry z kapeli Curfew.

– Alberto...

Cieniutkiemu głosowi najwyraźniej zabrakło słów.

– Przepraszam – wtrąciła, oddając maskę Latynosowi. Nie chciałam się narzucać. Ale Alberto pokazał mi swoje instalacje i opowiedział, jak ważną rolę odgrywa w nich twoja...

Metalowe drzwi szczęknęły i przesunęły się, tworząc szczelinę szeroką na kilka cali. W niej zobaczyła jasne kręcone włosy i jedno niebieskie oko. Powinna potraktować to jak dziecinadę i wybuchnąć śmiechem, lecz poczuła się naprawdę nieswojo.

– Hollis Henry – powiedział, a jego głos nie był już bezpłciowy.

Po chwili zobaczyła resztę głowy Bobby'ego. Miał, podobnie jak Inchmale, wyrazisty nos starego rockandrollowca. Wielgachny kinol w stylu Townsenda i Moona. Taki atrybut przeszkadzał jej tylko u facetów, którzy nie zostali muzykami rockowymi; odnosiła wrażenie, że ktoś tu z kogoś zrzyna. Jak gdyby wyhodowali sobie wielkie nozdrza po to, by wyglądać jak gwiazda rocka. Co dziwniejsze, wszyscy zapuszczali też – bez różnicy, czy byli księgowymi, radiologami czy kimkolwiek innym – długie grzywki, tak charakterystyczne dla dawnego Muswell Hill czy Denmark Street. Tłumaczyła to sobie tak, że ma do czynienia z efektem zastosowania jednej z dwu szkół czesania. Fryzjerzy widząc wielgachny nochal godny muzyka rockowego, dostosowywali do niego wygląd Włosów zgodnie z panującymi standardami albo dochodzili do tego rozwiązania instynktownie, dzięki znajomości sztuki fryzjerskiej, tworząc z opadającej aż na oczy grzywy istotną przeciwwagę dla zbyt wydatnego elementu twarzy.

Bobby Chombo nie miał wyraźnie zarysowanej szczęki, zatem w jego wypadku mogło chodzić o przeciwwagę.

– Bobby – powiedziała chwytając go za rękę. Ucisnęła chłodną, delikatną dłoń, którą właściciel, czuła to naprawdę wyraźnie, chciałby trzymać w zupełnie innym miejscu.

– Nie spodziewałem się... – odparł, otwierając drzwi nieco szerzej. Minęła je zgrabnie, podobnie jak przemilczała jego wyczuwalny niepokój, i weszła do środka.

Znalazła się w nieoczekiwanej wielkiej przestrzeni. Przez myśl przebiegły jej obrazy krytych basenów olimpijskich i kortów tenisowych. Oświetlenie centralnej części tego pomieszczenia miało w istocie jasność basenową, półkoliste lampy ze sztucznego kryształu zwisały z rozciągającej się pod sufitem kratownicy. Podłoga była betonowa, pokryta dość przyjemną dla oka szarą farbą. W takiej hali jak ta można było stawiać i magazynować dekoracje do filmów albo robić dokrętki.

Ale tego, co powstawało tutaj w tej chwili, jakkolwiek duże i znaczące, nie dało się dostrzec gołym okiem. Cała podłoga została podzielona na kwadraty o bokach mierzących na oko po dwa metry. Linie namalowano białym proszkiem zapewne za pomocą maszyn, jakich używa się na stadionach sportowych. W rzeczy samej dostrzegła takie urządzenie, o ścianę oparto soczyście zielony zbiornik na jednym kole. Sieć nie wyglądała na idealnie zsynchronizowaną z liniami, jakie opisywały miasto i sam budynek, postanowiła więc zapytać o to później Bobby'ego. Na oświetlonej przestrzeni stały dwa wielkie, dwudziestostopowe stoły otoczone kilkoma siatkowymi krzesłami biurowymi i wózkami pełnymi pecetów. Według niej na tej przestrzeni mogło spokojnie pracować więcej niż dwadzieścia osób, ale nie widziała nikogo prócz Bobby'ego z wielkim nosem.

Odwróciła się w jego stronę. Miał na sobie zielony golf ze znaczkiem Lacoste, białe obcisłe dżinsy i czarne tenisówki na gumowych podeszwach z dziwnie wydłużonymi, ostro zakończonymi noskami. Oceniała go na góra trzydzieści lat, z pewnością nie więcej. Zauważyła też, że jego rzeczy są znacznie czystsze niż on sam. Po obu stronach bawełnianego golfa nadal było widać charakterystyczne ślady po złożeniu, na bieli spodni nie dało się dostrzec ani jednej plamki, lecz sam Bobby wymagał długiego prysznica.

– Przepraszam, że wpadłam bez zapowiedzenia – powiedziała – ale bardzo chciałam cię poznać.

– Hollis Henry. – Wsunął dłonie do przednich kieszeni dżinsów. Odniosła wrażenie, że sporo się przy tym napocił.

– Tak, to ja – odparła.

– Dlaczego przyprowadziłeś ją do mnie, Alberto? – Bobby nadal nie wyglądał na zadowolonego.

– Byłem pewien, że się ucieszysz. – Latynos podszedł do jednego ze stołów i położył na nim laptopa i maskę.

Za stołem na podłodze zauważyła coś, co wyglądało jak wykonany przez dziecko rysunek rakiety kosmicznej, zrobiony z odbłaskowej pomarańczowej taśmy izolacyjnej. Jeśli dobrze oceniła wielkość kwadratów w siatce, zarys miał ponad piętnaście metrów długości. Wewnątrz niego

wszystkie linie zostały usunięte.

– Skończyłeś Archiego? – Alberto spoglądał w stronę przestrzeni ogrodzonej pomarańczową taśmą. – Jak poszło z animacją skóry?

Bobby wyjął dłonie z kieszeni spodni i potarł nimi twarz.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Że przyprowadziłeś ją tutaj.

– Przecież to Hollis Henry. Nie jesteś zadowolony?

– Pójdę już – wtrąciła.

Bobby opuścił dłonie, zarzucił lokiem na czole i wzniosł oczy do nieba.

– Skończyłem Archiego. Mapowanie zrobione.

– Hollis – powiedział Alberto – musisz to zobaczyć.

Trzymał w ręku coś, co musiało być wirtualną maską Bobby'ego, nie przypominało bowiem przedmiotu, jaki można znaleźć na każdej wyprzedaży garażowej.

– Bezprzewodowa. – Podeszła do niego, wzięła maskę i od razu ją założyła. – Spodoba ci się. zobaczysz – zapewnił ją. – Bobby?

– Liczę do trzech. Raz... Dwa...

– Poznaj Archiego – rzucił Alberto.

Dziesięć stóp nad powierzchnią podłogi pojawiła się szarawo-biała sylwetka gigantycznej kałamarnicy, miała niemal dziewięćdziesiąt stóp długości, jej macki falowały z gracją.

– *Architeutis* – mruknął Bobby. Jedyne widoczne oko miało wielkość koła terenówki. – Skórki – dodał natychmiast.

Cała powierzchnia kałamarnicy zaśniła, w dobywającym się jakby spod skóry blasku Hollis widziała zniekształcone obrazy, stylizowane kanji, wielkie oczy postaci z anime. Widok wspaniały, a zarazem groteskowy. Roześmiała się zachwycona.

– Zamówienie domu handlowego z Tokio – wyjaśnił Alberto. – Zawieśnię nad ulicą w Shinjuku. W samym środku morza neonów.

– Oni używają instalacji do reklamy? – Zbliżyła się do Archiego, a potem przeszła pod nim. Istniała spora różnica w odbiorze, jeśli korzystało się z bezprzewodowej maski.

– Mam tam wernisaż w listopadzie – dodał Alberto.

Tak, pomyślała spoglądając w górę, na niekończący się ruch zniekształconych obrazów przemykających aż do najdalszych krzywizn korpusu Archiego, River mógłby poszybować nad Tokio.

12. ŹRÓDŁO

Milgrim śnił o tym, że przebywa nagi w pokoju śpiącego Browna.

Nie była to jednak nagość zwyczajna, gdyż otaczała go okultystyczna aura mistycznej wręcz jasności ducha, dokładnie taka, jaką dysponowali wampiryczni bohaterowie powieści Annę Rice albo początkujący kokainiści.

Brown spał pod prześcieradłem New Yorkera i jednym z typowych hotelowych koców, które przypominają kanapkę – gruby plaster pianki otulony jest z dwu stron bawełnianą okładziną. Milgrim obserwował go z uczuciem, w którym było coś na kształt litości. Usta agenta rozchyłały się nieznacznie, a górna warga drgała lekko przy każdym wydechu.

W pokoju Browna nie było żadnego źródła światła oprócz czerwonej diody w telewizorze, ale senny dar Milgrima pozwalał mu widzieć każdy detal wyposażenia z niezwykłą dokładnością; meble i przedmioty osobiste Browna przypominały obrazki pojawiające się na lotniskowych maszynach prześwietlających bagaże. Dostrzegł pod poduszką pistolet i latarkę, i zaokrąglony prostokąt, który musiał być nożem (Milgrim nie wątpił, że ma identyczny kolor jak reszta sprzętu). Było w tym obrazku coś wzruszającego: Brown śpiący z ulubionymi przedmiotami pod ręką, zupełnie jak dziecko.

Milgrim wyobrażał sobie właśnie, że jest Tomkiem Sawyerem, a Brown to nie kto inny jak Huckleberry Finn, ich pokoje w New Yorkerze, podobnie jak wszystkie inne hotele, do których co rusz wracali, stanowią ekwiwalent tratwy, Manhattan zaś jest dorzeczem Missisipi, którą właśnie spływali – gdy dostrzegł, że na szafie z płyt wiórowych kryjącej telewizor, identycznej jak ta przy jego łóżku, stoi torebka. Papierowa torebka. Zmięta papierowa torebka. A w niej, co widział dzięki aurze przenikliwości, jaką posiadał w swej dziwnej nagości, która obnażała nie tylko jego, ale i wszystko inne, piętrzyły się tak doskonale znane kształty wypukłych listków tabletek.

Wiele ich było. Naprawdę mnóstwo. Cały zapas. Osobie, która nie będzie przesadzać, mogą wystarczyć na tydzień.

Pochylił się do przodu, jakby torba przyciągała go, jakby kości jego czaszki wypełniał narkotykowy magnes – i nagle, bez ostrzeżenia, znalazł się w swoim prawdziwym ciele, nie czując już żadnej aury, w gorącym, dusznym pokoju. Nie był już nadnaturalnie nagi, miał na sobie parę czarnych bawełnianych majtek, które dawno powinien zmienić, i stał z czołem i nosem przyciśniętym do zimnej szyby w oknie. Czternaście pięter niżej Ósma Aleja była praktycznie pusta, jakby stworzono ją wyłącznie dla żółtego prostokątka przemykającej samotnie taksówki.

Na policzkach poczuł łzy. Dotknął ich i przeszył go dreszcz.

13. PUDEŁKA

Stała pod ogonem Archiego i rozkoszowała się strumieniem obrazów przepływających od pletwy w kierunku przyssawek dwu niezwykle długich macek chwytnych. Właśnie przemknęły jej przed oczami wiktoriańskie dziewczęta w bieliźnie, zastanawiała się, czy to przypadkiem nie kadry z „Pikniku pod Wiszącą Skałą”, filmu, który Inchmale oglądał wrywkami na DVD przed każdym występem, rzekomo szukając inspiracji. Ktoś wykonał naprawdę fantastyczną robotę tworząc tę mozaikę obrazów dla Bobby’ego, nie widziała jeszcze miejsca, w którym projekcja się zapętląła. Strumień wizji płynął nieprzerwanie.

A kiedy tak stała pod kałamarnicą, z bezprzewodową maską wizyjną na głowie, mogła sobie pozwolić na udawanie, że nie słyszy syknięć zirytowanego Bobby’ego, który opieprzał Alberta za przyrowadzenie jej w to miejsce.

Archie zdawał się podskakiwać, teraz, w feerii bezgłośnych wybuchów, gdy bomby eksplodowały na tle czerni nieba. Podniosła rękę, by poprawić maskę, i poruszywszy głowę przy szczególnie jasnej eksplozji, przypadkiem nacisnęła umieszczony po lewej stronie niewielki klawisz, którym wyłączało się projekcję. Kałamarnicą z Shinjuku zniknęła razem z obrazami rojącymi się na jej skórze.

Za miejscem, w którym jeszcze przed chwilą tkwiła, tam, gdzie skierowany był jej ogon, wisiała skrzynia z przezroczystego tworzywa połączonego drucianym szkieletem, wyraźnie widoczna, ale zarazem nierealna. Była wielka, wystarczająco długa, by zaparkować w niej wóz albo i dwa, wysoka na tyle, że człowiek spokojnie mógł do niej wejść, a w jej kształtach wyczuwało się coś zarazem znajomego, jak i banalnego. We wnętrzu można było dostrzec inny kształt, a może kształty, ale ze względu na sieć linii, którymi wszystkie elementy były obrysowane, nie dawało się ich dokładnie zdefiniować.

Odwróciła się, by zadać Bobby’emu pytanie, w co przekształci się ta praca, gdy nagle zdarł jej z głowy maskę tak zdecydowanym ruchem, że omal nie upadła.

Zamarli oboje, stojąc na wprost siebie, dzielił ich tylko wspólnie trzymany wirtualny wizjer. Błękitne oczy Bobby’ego, tak wytrzeszczone, że przypominały sobie, wyzierały zza ukośnej kurtyny blond włosów, wyglądał w tym momencie zupełnie jak Kurt Cobain na jednej z najbardziej znanych fotografii. Alberto podszedł i wyjął z ich rąk ceną maskę.

– Bobby – powiedział. – Wyluzuj, człowieku. To ważne. Ona pisze artykuł o sztuce lokacyjnej dla „Node’a”.

– Node’a?

– „Node’a”.

– Co to, do kurwy nędzy, jest Node?

– Magazyn. Coś jak „Wired”. Tyle że angielski.

– Albo belgijski – wtrącała. – Tak naprawdę cholera wie czyj.

Bobby spojrzał na nich, jakby sądził, że to oni – a nie on – są szaleni.

Alberto nacisnął coś na panelu, którego dotknęła przypadkowo przed chwilą. Zobaczyła, jak gaśnie dioda elektroluminescencyjna. Latynos odniósł maskę i położył ją na blacie bliżej stojącego stołu.

– Ta kałamarnica jest oszałamiająca – powiedziała do Bobby’ego. – Cieszę się, że mogłam ją zobaczyć. Pójdę już. Przepraszam, że zakłóciłam ci spokój.

– Ja pierdolę – odparł, wydając ciężkie westchnienie rezygnacji.

Podszedł do drugiego stołu, gmerał przez chwilę w stosie niewielkich przedmiotów, a w końcu wrócił trzymając w ręce paczkę marlboro i bladoniebieskiego bica. Patrzyli, jak zapala papierosa, zamyka oczy i zaciąga się głęboko. Gdy je otworzył, przechylił głowę do tyłu i wydmuchnął dym. Sina chmura uniosła się w stronę wiszących nad nimi lamp. Po drugim sztachnięciu spojrzał na nich ponownie z groźną miną.

– Ja pierdolę – rzucił. – Nie mogę wprost uwierzyć, jak mocno mnie to jebnęło. Dziewięć godzin. Dziewięć. Jebanych. Godzin.

– Powinieneś spróbować plastrów – zasugerował Alberto. Odwrócił się do Hollis. – Ty kiedyś paliłaś – powiedział – jeszcze za czasów Curfew.

– Ale rzuciłam – odparła.

– Używałaś plastrów? – zapytał Bobby i znów się zaciągnął.

– W pewnym sensie.

– W jakim sensie?

– Inchmale znalazł oryginalne zapiski dotyczące początków upraw tytoniu w Wirginii. Plemiona Indian z tamtych terenów nie paliły tytoniu, w każdym razie nie robiły tego w sposób, jaki znamy.

– A co robili? – Oczy Bobby’ego nie miały już w sobie tak wiele szaleństwa, choć nadal wyzierały spod odjechanej grzywki.

– Po części to, co nazywamy paleniem biernym, z tą różnicą, że czynili to świadomie. Wchodzili do namiotu i rozpalali w nim ognisko z całej masy liści tytoniu. A drugi sposób to gorące okłady z liści.

– Okłady? – opuścił to, co zostało z papierosa.

– Nikotyna bardzo szybko wchłania się przez skórę. Inchmale po prostu pakował ubitą masę rozdrobnionych tytoniowych liści na gołą skórę i obwiązywał to wszystko folią...

– I dzięki temu rzuciłaś palenie? – Oczy Alberto zrobiły się ogromne.

– Niezupełnie. To dość niebezpieczne. Później dowiedzieliśmy się, że stosując tę metodę można nawet wykitować. Gdybyś zdołał przyswoić całą nikotynę zawartą w jednym tylko papierosie, dawka byłaby śmiertelna. Ale ta metoda jest też tak cholernie nieprzyjemna, że po kilku razach zaczynasz czuć awersję do nikotyny – uśmiechnęła się do Bobby’ego.

– Może kiedyś spróbuję – mruknął strzepując popiół na podłogę. – Gdzie on jest?

– W Argentynie – odparła.

– Nadal gra?

– Coś tam brzdąka, głównie na koncertach.

– Nagrywa?

– Nic o tym nie wiem.

– A ty zajmujesz się teraz dziennikarstwem?

– Przez cały czas pisywałam – powiedziała. – Gdzie masz toaletę?

– Za rogiem. – Bobby wskazał stronę przeciwną do miejsca, w którym widziała Archiego i tę drugą konstrukcję.

Idąc we wskazanym kierunku przyglądała się kwadratowi siatki nakreślonym, jak jej się wydawało, za pomocą maki. Linie nie były może idealnie proste, ale też niezbyt krzywe. Uważała, aby nie nadepnąć na żadną i nie roznieść białego proszku, zamazując siatkę.

W łazience znalazła trzy kabiny i jeden pisuar ze stali nierdzewnej, o wiele nowszy niż sam budynek. Weszła do pierwszej kabiny, zamknęła za sobą drzwi, powiesiła torbę na haku i wyjęła z niej PowerBooka. W czasie gdy się bootował, usiadła. Była pewna, że w tym miejscu będzie miała dostęp do sieci przez wifi. Czy chce skorzystać z bezprzewodowej sieci 72fofH00av? Chciała. I skorzystała, zastanawiając się równocześnie, dlaczego taki agorafobik jak Bobby nie zabezpieczył swojego łącza, no ale wiedziała doskonale, że bardzo wielu ludzi nie dba o takie szczegóły.

Dostała maila od Inchmale’a. Otworzyła go.

Angelina wciąż powtarza, że martwi ją to, iż możesz pracować dla le Bigenda, którego nazwisko powinno się wymawiać raczej jako „biza” czy jakoś tak, chociaż nawet sam właściciel rzadko to robi. Ale co być może ważniejsze, wysłała e-maila do swojej przyjaciółki Mari z „Dazed” i dostała odpowiedź, a jest to naprawdę wiarygodne źródło, że ten twój „Node” musi być wyjątkowo tajnym projektem, bo nikt w branży nigdy o nim nie słyszał. Utrzymywanie tytułu w tajemnicy aż do momentu wydania byłoby dziwne, aczkolwiek zrozumiałe, jednakże „Node” nie pokazuje się nigdzie tam, gdzie inne magazyny, nawet te, które powstają w sekrecie, muszą się pokazywać.

XOX „małe

Mój dysonans poznawczy zyskał kolejną warstwę, pomyślała, myjąc ręce. Odbicie w lustrze wciąż

miało fryzurę z Mondriana. Zamknęła PowerBooka i włożyła go do torby.

Wróciwszy przez pole minowe kwadratów rozdzielonych liniami usypanymi z mąki, zastała Alberta i Bobby'ego przy jednym ze stołów. Krzesła, na których siedzieli, miały bardzo nisko ustawione siedziska, co świadczyło o ich długiej historii: zakupione na cele otwieranego biznesu z góry skazanego na niepowodzenie, przejęte przez niedoszłych wspólników, wylądowały na aukcji i znalazły nowego właściciela. Na szarych siatkach oparć, w miejscach, gdzie Papierosy poprzednich użytkowników zetknęły się z naprężonym tworzywem, widniało sporo dziur.

W powietrzu unosiła się warstwa sinego dymu, co przypomnianej atmosferę dawnych występów.

Kolana Bobby'ego zawędrowały aż pod jego brodę, a nieistniejące obcasy imitacji winkle-pickerów od Kedsa wbijały się w szarą siatkę na siedzisku obrotowego krzesła. Wśród odpadków leżących na stole, do którego był zwrócony plecami, Hollis widziała puszkę po red bullu, wielkie wodoodporne markery i przypominające cukierki kawałki plastiku, w których z trudem rozpoznawała kształty klocków lego.

– Dlaczego białe? – Podniosła jeden z nich, gdy siadała na wolnym krześle, i obróciła się w stronę Bobby'ego. – Czy takie klocki są brązowymi M&M-satni komputerowej sztuki lokacyjnej?

– A oni chcieli brązowe – zapytał Alberto zza jej pleców – czy raczej ich nie chcieli?

Bobby zignorował Latynosa.

– To jedynie zastępnik dla taśmy klejącej. Przydają się, kiedy musisz poskładać do kupy kilka podzespołów elektronicznych, ale nie chcesz porysować ich obudowy. Patrzenie na jednobarwną powierzchnię jest mniej męczące, a biały to najbardziej neutralny kolor dla oka, no i stanowi znakomite tło, jeśli chcesz rzecz sfotografować.

Pozwoliła, aby klocek przetoczył się po jej dłoni.

– Ale nie możesz przecież kupić pojemnika tylko białych klocków.

– To specjalne zamówienie.

– Alberto mówi, że jesteś kimś w rodzaju producenta, zgodzisz się z tą opinią?

Bobby obserwował ją zza kurtyny blond loków.

– Jeśli nie traktować tego twierdzenia zbyt dosłownie, mógłbym się zgodzić.

– A jak wszedłeś w ten interes?

– Pracowałem przy komercyjnym wykorzystaniu technologii GPS. Zająłem się tą dziedziną, bo pragnąłem zostać astronomem i fascynowały mnie satelity. W pewnym momencie zrozumiałem, że najciekawszy sposób patrzenia na sieć GPS, na to, czym jest, co z nią robimy i co możemy z nią jeszcze zrobić, mają właśnie artyści. Artyści albo wojskowi. To taki trend, któremu ulegają wszystkie nowe technologie, najciekawsze zastosowania znajdziesz albo na polu bitwy, albo w

galerii.

– GPS zaczynał od zastosowań wojskowych.

– Jasne – przyznał – ale podobnie było z mapami. Siatka to podstawa. Dla wielu ludzi jest zbyt prosta, żeby wzbudzić ich zainteresowanie.

– Pewna kobieta powiedziała mi, że cyberprzestrzeń jest wycięta. Tak to właśnie ujęła.

– Jasne, a kiedy już wywróci się na drugą stronę, to przestaje być cyberprzestrzenią, prawda? I nigdy nią nie była, jeśli spojrzeć na zagadnienie z tej perspektywy. To był załedwie koncept, idea, coś, co chcieliśmy osiągnąć. Ale siatka to co innego. Jest jak najbardziej realna. To druga strona ekranu. Tu i teraz. – Odjechał na krześle i wbił w nią palące spojrzenie niebieskich oczu.

– A co do Archiego... – wskazała na puste teraz miejsce. – Zamierzasz zawiesić go nad jedną z ulic w Tokio?

Skinął głową.

– Ale przecież mógłbyś zrobić to w taki sposób, że byłby jednocześnie tam i tutaj? Mógłbyś przypisać go dwóm miejscom naraz. Mógłbyś go nawet umieścić w dowolnej liczbie miejsc, prawda?

Uśmiechnął się.

– I nikt by nie wiedział, że jest w tych dodatkowych miejscach.

– W obecnej chwili, jeśli ktoś nie powie ci, gdzie szukać, nie masz fizycznej możliwości odnalezienia instalacji, chyba że znasz jej URL i koordynaty GPS. Dopiero mając to wszystko, możesz obejrzeć dzieło. Albo przynajmniej wiesz, że istnieje. Ale to się zmienia. Zbyt wiele instalacji tego typu powstaje teraz na świecie. Wystarczy, że zalogujesz się do jednej z nich, zdobędziesz odpowiedni sprzęt – wskazał na maskę – do tego laptop i wifi i już rządysz.

Zamyśliła się na moment.

– Ale każda z tych lokacji czy serwerów albo... portali...

Pokiwał głową.

– W każdym z tych miejsc zobaczysz inny świat. Alberto pokazuje martwego Rivera Phoenixa na chodniku. Ktoś inny pokazuje – jak by to ująć... wyłącznie dobre rzeczy. Kocięta, powiedzmy. W końcu świat, po którym się poruszamy, zmieni się w sieć kanałów.

– Kanałów? – Podniosła na niego wzrok.

– Tak, chociaż może skojarzenie z telewizją nie jest zbyt szczęśliwe. Pomyśl w takim razie o blogach, o tym, że stworzono je, by opisywały rzeczywistość.

– Naprawdę? Nie wiedziałam...

– Cóż, takie przynajmniej było założenie.

– Rozumiem.

– Kiedy jednak przyjrzesz się im bliżej, zauważysz, że prawdziwe opisy znajdują się pod linkami. Ważniejsze od tego, kto zalinkował daną treść, jest to, do kogo te linki prowadzą.

Spojrzała na niego.

– Dzięki. – Odłożyła biały klocek na blat stołu obok przypominającego origami pięknego opakowania iPod'a. Kawałek dalej leżały instrukcja i gwarancja, tkwiące we wciąż zgrzanym foliowym opakowaniu, oraz fabrycznie złożone kabelki, oczywiście w osobnym woreczku, i jasnożółty prostokąt nieco tylko większy od klocka lego. Wzięła go do ręki, zawsze lepiej jej się myślało, kiedy trzymała coś w dłoni.

– Skoro tak jest, dlaczego tak mało ludzi tym się zajmuje? Czym lokacja różni się od rzeczywistości wirtualnej? Pamiętasz, kiedyś wydawało się, że wszyscy tym się zajmujemy. – Żółty, pusty w środku prostokąt wykonano z tłoczonego metalu powleczonego lśniąca farbą. Trzymała część zabawki.

– Wszyscy mamy do czynienia z WR. Za każdym razem gdy spoglądamy na ekran. A robimy to już od dziesięcioleci. Ot, tak, po prostu. I nie potrzebujemy do tego gogli ani rękawic. Przyszło nam to bez trudności. WR pokazała nam, w którym kierunku naprawdę zmierzamy. I to nie straszac nas zbyt, prawda? A sztuka lokacyjna... cóż, sporo ludzi ją uprawia. Tyle tylko, że nie zdołasz jej odbierać poprzez system nerwowy. Choć może kiedyś... Wykształcimy w sobie interfejs. Będzie ewoluował, aż w końcu zapomnimy, skąd się wziął. I takim sposobem dotrzemy prosto do... – rozłożył ramiona i wyszczerzył się do niej w uśmiechu.

– Bobbylandu – dokończyła.

– Właśnie.

Odwróciła żółty przedmiocik i zobaczyła napis MADE IN CHINA wybity maleńkimi literkami. Część modelu ciężarówka. Fragment naczepy. Kontener. To była miniaturka kontenera.

Miniatura prostopadłościanu spiętego szkieletem z drutu, który wisiał nad ich głowami. Kontener używany do spedycji towarów.

Położyła miniaturkę obok białych klocków lego, nie patrząc nawet w ich stronę.

14. JUANA

Zapamiętał jej mieszkanie w San Isidro, tuż przy wielkim dworcu kolejowym. Brudne przewody pięły się po tynku niczym pędy winorośli, gołe żarówki zwisały z sufitów, a patelnie i garnki z wbitych w ścianę grubych haków. Jej ołtarzem był labirynt przedmiotów, z których każdy pełnił jakąś rolę. Fiolki z cuchnącą wodą, na wpół ukończony model rosyjskiego bombowca, wojskowe filcowe purpurowo-żółte naramienniki, stare butelki, w których szkle uwięzły bąbelki powietrza – ostatnie istniejące próbki atmosfery sprzed stulecia, jeśli nie lepiej. Wszystkie te przedmioty stanowią sieć, powiadała Juana, która dzięki nim przywabiała bóstwa. A na cały ten bajzel patrzyła z góry, ze swego portretu, Matka Boska z Gwadelupy.

Ołtarz tamten, podobnie jak jego odpowiednik tutaj, w hiszpańskim Harlemie, poświęcony był przede wszystkim Temu, Który Wytycza i Niszczy Drogi, oraz Oszun. Energia tych dwóch bóstw nigdy nie osiągała równowagi, nigdy całkowicie nie znikiała.

Niewolnikom zabraniano modlenia się do własnych bogów, zatem gdy przystąpili do Kościoła katolickiego, czcili ich jako świętych. Każde z bóstw posiadało drugie, katolickie oblicze, jak choćby bóg Babalaye, który stał się Łazarzem, wskrzeszonym przez Chrystusa z martwych. Taniec Babalaye był tańcem żywych trupów. Tam, w San Isidro, pod koniec długiego wieczoru zdarzało mu się widywać Juanę palącą cygara i tańczącą w opętaniu.

A teraz, wiele lat później, siedział obok niej wczesnym rankiem przed nowojorskim ołtarzem, tak samo schludnie odkurzonym jak reszta jej mieszkania. Dla osoby, która nie знаła Juany, byłyby to jedynie zwykła półka, ale Tito wiedział doskonale, że stoją na niej Wyłącznie najstarsze butelki, takie, w których zamknięto naprawdę starożytne tchnienia.

Właśnie skończył opisywać starca.

Juana już nie paliła cygar. I nie tańczyła, tak przynajmniej podejrzewał, choć nie założyłby się z nikim w tej sprawie. Ciotka pochyliła się i zabrała z talerzyka stojącego na ołtarzu cztery kawałki miąższu orzecha kokosowego. Przesunęła palcami drugiej ręki po podłodze, a potem ucałowała ich opuszki i symboliczny proch, jaki na nich osiadł. Zamknęła oczy i zaczęła się szybko modlić w języku, którego Tito nie rozumiał. Zadała pytanie w nieznanym tonie stanowczym, potrząsnęła kawałkami kokosa zamkniętymi w kołysce jej dłoni i rzuciła je na podłogę. Przykucnęła, z łokciami wspartymi na kolanach, by im się przyjrzeć.

– Wszystkie upadły wnętrzem do góry. To oznacza sprawiedliwość. – Zebrała kawałki i raz jeszcze je rozrzuciła. Dwa do góry, dwa do dołu. Kiwnęła głową. – Potwierdzenie.

– Czego?

– Zapytałam, co idzie za człowiekiem, którym się przejmujesz. On mnie też niepokoi. – Wyrzuciła cztery kawałki kokosa do kosza na śmieci z logo Dodgersów. – Orisze służą nam czasem jako wyrocznia – dodała – co wcale nie znaczy, że mówią nam wiele albo że wiedzą, co wkrótce nastąpi.

Wstał, aby jej pomóc podnieść się z podłogi, ale odtrąciła jego rękę. Nosila długą szarą sukienkę

zapinaną z przodu na zamek błyskawiczny, wyglądającą zupełnie jak mundur, a na głowę narzucała chustę, pod którą ukrywała mocno przerzedzone włosy. Oczy miały barwę ciemnego bursztynu, białka przypominały wypłowiałą kość słoniową.

– Teraz zrobię ci śniadanie – powiedziała.

– Dziękuję. – Odmowa nie miałaby sensu, ale i niespecjalnie miał ochotę odmawiać.

Juana poczłapała ciężko w kierunku kuchni w równie szarych jak sukienka kapciach, które stanowiły nieodłączny element jej stroju.

– Pamiętasz mieszkanie swojego ojca w Alamar? – zapytała spoglądając przez ramię.

– Budynki wyglądały tam jak bryły plastiku.

– Tak – odparła. – Chcieli, by przypominały domy ze Smoleńska najbardziej, jak to tylko możliwe. Uważałam mieszkanie w nich za dowód na zboczenie twojego ojca. On przynajmniej miał wybór, co niewielu było dane.

Stał, gdyż w ten sposób mógł widzieć dokładniej, jak kroi i rozsmarowuje masło na grzankach wkładanych do tosterka, napełnia wodą i kawą maleńki aluminiowy ekspres, a potem wlewa mleko do metalowego kubeczka.

– Twój ojciec miał możliwość wyboru. Może nawet większą niż twój dziadek – odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały.

– Dlaczego?

– Twój dziadek był bardzo wpływową osobistością na Kubie, aczkolwiek mało kto o tym wiedział, dopóki byli tam Rosjanie. Twój ociec był pierworodnym synem potężnego człowieka, jego ulubieńcem. Ale dziadek wiedział, że Rosjanie kiedyś odejdą, że wszystko się zmieni. A kiedy odeszli w 1991 roku, przewidział, że nastąpi „okres przemian”, niedobory w zaopatrzeniu, deprawacja, przewidział także, że Castro będzie zmuszony sięgnąć po zniechęcony symbol swoich największych wrogów, po amerykańskiego dolara, ale co najważniejsze, był w stanie przewidzieć swój własny upadek. Wyznam ci teraz jeden z jego największych sekretów.

– Tak?

– Był komunistą. – Roześmiała się, wypełniając zadziwiająco dziewczęcym brzmieniem przestrzeń maleńkiej kuchni, jakby był tam jeszcze ktoś. – Bardziej komunistą niż *santero*. Wierzył. Nawet kiedy wszystko się waliło, gdy wszyscy inni tracili wiarę, on swoją zachował. Był, tak samo jak ja, w Rosji. I tak jak ja miał oczy, które wiele widziały. A mimo to wierzył. – Wzruszyła ramionami, nie przestając się uśmiechać. – Myślę jednak, że to właśnie pozwoliło mu na wywarcie większego wpływu na ludzi, od których, poprzez niego, byliśmy zależni. Oni podejrzewali, że może być komunistą. Choć nie na tak tragikomiczną modłę jak Niemcy z byłego NRD, raczej był dla nich wzorem niewinności. – Po kuchni rozszedł się przyjemny zapach gorących tostów. Juana za pomocą cienkiego bambusowego patyczka zamieszała mleko tuż przed tym, jak zaczęło wrzeć. Na powierzchni pojawiła się pianka. – Oczywiście nikt nie potrafił mu tego udowodnić. Wtedy wszyscy

twierdzili, że wierzą, przynajmniej publicznie.

– Dlaczego powiedziałaś, że miał mniejszą możliwość wyboru?

– Głowa wielkiej rodziny ma obowiązki. A my staliśmy się wyjątkowym rodzajem rodziny, firmą, tym, czym jesteśmy do dzisiaj. On stawiał rodzinę ponad marzenia o idealnym kraju. Gdyby chodziło tylko o niego, wierzę, że zostałby na wyspie. I może żyłby do dzisiaj. Ale śmierć twojego ojca wpłynęła na niego tak silnie, że zdecydował się zabrać nas tutaj. Siadaj. – Postawiła na stoliku żółtą tacę z *tostadas* na białym talerzyku i wielkim kubkiem *cafe eon leche*.

– A ten człowiek umożliwił dziadkowi przeniesienie nas tu?

– W pewnym sensie.

– Co to znaczy?

– Za dużo chcesz wiedzieć.

Uśmiechnął się do niej.

– On jest z CIA?

Spojrzała na niego spod szarej chusty. Błady koniuszek języka pojawił się na moment w kąciu ust i równie szybko zniknął.

– Czy twój dziadek był z DGI?

Tito wolno żuł kawałek umoczonego w kawie tosta, myśląc nad odpowiedzią.

– Tak.

– No pewnie – potwierdziła Juana. – Oczywiście, że był. – Otrzeptała pomarszczone ręce, jakby chciała je uwolnić od śladów po czymś. – Ale dla kogo pracował? Pomyśl o naszych świętych, Tito. Dwa oblicza. Zawsze dwa.

15. KOMBINATOR

Inchmale zawsze był łysawy, poważny, no i niemłody – nawet kiedy spotkała go po raz pierwszy, a mieli wtedy po dziewiętnaście lat. Prawdziwi fani Curfew lubili albo jego, albo ją, bardzo nieliczni wielbiciele darzyli sympatią oboje. Ale Bobby Chombo, doszła do takiego wniosku, kiedy Alberto odwoził ją do hotelu, należał do tej ostatniej kategorii. Nie było to złe, ponieważ mogła zagrywać kartami Inchmale'a, sama pozostając w cieniu. Mogła je tasować, przekładać i rozdawać, robić wszystko, byle zmusić Bobby'ego do mówienia. Nigdy o to nie pytała, ale była pewna, że Inchmale zachowałby się podobnie, gdyby musiał.

Pomocne okazało się i to, że Bobby też był muzykiem, tyle że nie w klasycznym słowa rozumieniu: z grana prawdziwych instrumentach i śpiewaniem do mikrofonu. Niemniej tak jak każdy muzyk wyszukiwał, samplował, a potem łączył dźwięki. Nie widziała w tym niczego złego, choć podobnie jak generał Bosquet, który obserwując szarżę lekkiej brygady, za nic nie chciał uznać jej za przejaw wojny, tak i ona powtarzała sobie w duchu, że takie brzdąkanie to nie muzyka. Inchmale o wiele lepiej wyczuwał potencjał, jaki tkwi w samplowaniu, co więcej, opanował do mistrzostwa tego typu zabiegi, choć nie od razu. Doszedł do wprawy dopiero wówczas, gdy pojawiły się możliwości cyfrowej separacji dźwięków gitary w warunkach garażowych, i maltretował je niczym szalony jubiler, który rozciąga masywne wiktoriańskie sztuce, dopóki nie przekształci ich w owadopodobne, nieporęczne delikatne i neurologicznie zabójcze narzędzia.

Czuła także, że sprzyja jej nałóg Bobby'ego. Niestety, w miarę jak chłopak zapalał kolejne papierosy, opróżniając paczkę, wyraźnie się denerwowała, że lada chwila sama poprosi o jednego. Początkowo próbowała odwrócić uwagę od tych myśli, popijając ciepłego red bulla z ostatniej nie otwartej puszki, jaką znalazła na stole, ale to tylko zwiększyło jej napięcie za sprawą kofeiny, a raczej tauryny, drugiego fantastycznego składnika tego napoju, pozyskiwanego ponoć z byczych jąder. Aczkolwiek byki, które widziała, wyglądały zazwyczaj znacznie spokojniej, niż ona w tej chwili się czuła. A może to były krowy? Nie знаła się na bydło.

Gadki Bobby'ego Chomba o samplowaniu pozwoliły jej wyczuć, przynajmniej w pewnym stopniu, jego osobowość, zrozumieć, dlaczego nosi te dziwaczne buty i obcisłe białe spodnie. On po prostu był didżejem. Albo człowiekiem aspirującym do tego miana, ale to wystarczyło. Jego praca zarobkowa, naprawianie usterek w systemach nawigacji satelitarnej czy co on tam robił, także pasowało do obrazka. Podobną fuchę miał na boku każdy didżej, który przecież także musi płacić czynsz. Czyniło to z niego hipiskujona, stworzeni tak bardzo kojarzące się jej z Inchmale'em, a może raczej z palantami, których jej partner z kapeli tak doskonale spławiał pewnie dlatego, że sam był jednym z nich.

– Poszło nam lepiej, niż sądziłem – powiedział Alberto, wyrrywając ją z zamyślenia. – Jego naprawdę nie sposób rozgryźć.

– Pojechałam kiedyś na koncert do Silverlake, impreza nazywała się reggaeton. Grali tam coś, co było połączeniem reggae i salsy.

– Tak?

– Chombo. Didżej prowadzący imprezę miał ksywkę El Chombo.

– To nie był Bobby.

– Wiem. Ale dlaczego nasz Bobby białasek przyjął ten nick?

Alberto uśmiechnął się.

– On lubi, kiedy ludzie się nad tym zastanawiają. Ale jego Chombo dotyczy softu.

– Softu?

– Tak.

Uznała, że zastanowi się nad tym później.

– On nocuje w tym miejscu?

– Nie wychodzi na zewnątrz, chyba że naprawdę go przypili.

– Mówiłeś, że nigdy nie śpi dwa razy w tym samym kwadracie siatki.

– Nigdy o tym przy nim nie wspominaj, dobrze?

– A koncerty, didżejowanie?

– Wykorzystuje podcasty – odparł Alberto.

Jej komórka zadzwoniła w tym momencie.

– Halo?

– Reg.

– Właśnie o tobie myślałam.

– Dlaczego?

– Kiedyś ci opowiem.

– Dostałaś mojego maila?

– Tak.

– Angelina prosiła, żebym zadzwonił i upewnił się. Wiele, wiele razy.

– Zrozumiałam wiadomość, dzięki. Ale niewiele mogę w tej sprawie działać, zrobię, co mam zrobić, i zobaczę, co z tego wyniknie.

– Jesteś na jakimś seminarium?

– Dlaczego pytasz?

– Bo brzmisz tak jakoś nietypowo filozoficznie.

– Wiesz, widziałam dzisiaj Heidi.

– Chryste – powiedział Inchmale. – Czyżby snuła się na tych swoich długich odnóżach?

– Przejechała obok mnie całkiem ładnie wyglądającym samochodem. Kierowała się w stronę Beverly Hills.

– Czyli tam, gdzie zmierzała od momentu wyjścia z łona matki.

– Reg, muszę kończyć, nie jestem sama.

– Narazka. – I już go nie było.

– Czy to był Reg Inchmale? – zapytał Alberto.

– Tak.

– I widziałas dzisiaj Heidi Hyde?

– Tak, podczas gdy ty wyklócałeś się w Virgin. Przejechała po Sunsecie.

– Jeju – jęknął Alberto. – Jakie to nieprawdopodobne.

– Może ze statystycznego punktu widzenia. Ale jak dla mnie wcale nie. Przecież ona mieszka w Beverly Hills i pracuje w Century City.

– A co robi?

– Coś w firmie męża. Facet jest doradcą podatkowym. I ma własną firmę produkcyjną.

– Patrz – powiedział Alberto po chwili. – Jednak istnieje życie pozarockowe.

– O, tak – odparła.

Robot Odile chyba umarł albo zapadł w stan hibernacji. Przycupnął przy kotarze, bezwładny i jakby niedokończony. Hol lis popchnęła go czubkiem adidasa.

Na sekretarce nie znalazła ani jednej wiadomości.

Wyjęła z torby PowerBooka, włączyła go i oparła otwarty ekran o okno. Czy chce podłączyć się do godnej zaufania sieci bezprzewodowej SpaDeLites47? Tak, proszę. Już raz skorzystała ze SpaDeLites47 i nie miała zastrzeżeń. Domyślała się, że sieć należy do firmy znajdującej się w budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Żadnych maili. Jedną ręką – drugą bowiem musiała podtrzymywać laptopa – wklepała w Google słowo „bigend”.

Na pierwszym miejscu znalazła się japońska strona o nazwie BIGEND, ale z opisu wynikało, że to firma produkująca oleje silnikowe dla dragsterów.

Spróbowała linka do Wikipedii.

Hubertus Hendrik Bigend, urodzony 7 czerwca 1967 roku w Antwerpii, założyciel Blue Ant, innowacyjnej agencji reklamowej o globalnym zasięgu. Jest jedynym synem belgijskiego przemysłowca Benoita Bigenda i rzeźbiarki Phaedry Seynhaev. Zarówno jego zagorzali wielbiciel, jak i krytycy wiele mówią o powiązaniach, jakie jego matka miała we wczesnym okresie twórczości z ruchem Situationist International (Charles Saatchi miał ponoć nazwać go kombinatorem podszywającym się pod sytuacjonistę), ale sam Bigend twierdzi, że ogromny sukces agencji Blue Ant zawdzięcza wyłącznie swoim talentom, głównie umiejętności dobierania najwłaściwszych osób do wykonywania powierzonych zadań. Pozostał znakomitym menedżerem, dzięki czemu jego firma rozrosła się znacznie w ciągu minionych pięciu lat.

Pozostawiona w torbie na stole komórka zaczęła dzwonić. Wiedziała, że jeśli odejdzie od okna, utraci połączenie z siecią bezprzewodową, ale wybrana strona pozostanie w pamięci podręcznej komputera. Podeszła do stołu, położyła otwartego laptopa na blacie i wyjęła telefon z torby.

– Halo?

– Hubertus Bigend do Hollis Henry.

Zabrzmiało to tak, jakby jej telefon otrzymał właśnie firmowe ulepszenie. Zamarła ze strachu na myśl, że Bigend przyłapał ją na myszkowaniu w Sieci.

– Pan Bigend – odparła, nie starając się nawet udawać, że potrafi wymówić to słowo w oryginalnym brzmieniu.

– Panna Henry. Rozumiem, że zostaliśmy sobie przedstawieni. Zapewne nie domyśla się pani, dlaczego dzwonię. Otóż widzi pani, czasopismo o tytule „Node” jest moim projektem.

– Właśnie przeglądałam informacje o panu w Google.

Otworzyła usta szeroko, bardzo szeroko – w niemym krzyku, którego nauczył ją Inchmale, a który miał być najlepszą metodą na rozładowanie stresu.

– Jak zwykle czujna. Tego właśnie oczekujemy od dziennikarza. Przed chwilą rozmawiałem z Londynem, z Rauschem.

Jeśli Rausch jest w Londynie, pomyślała, to ciekawe, gdzie ty teraz jesteś?

– A skąd pan dzwoni?

– Z holu pani hotelu. Chcę zaprosić panią na drinka.

16. DROGI EWENTUALNEJ UCIECZKI

Milgrim czytał „New York Timesa”, kończąc poranną kawę w cukierence na Bleecker, podczas gdy Brown przeprowadzał całą serię cichych, nerwowych i cholernie wzburzonych rozmów z ludźmi, którzy najwyraźniej stali na czatach, obserwując wszystkie drogi ewentualnej ucieczki, kiedy UZ przebywał w swoim mieszkaniu śpiąc czy co tam zwykł robić w czasie, kiedy był w domu. Wyrażenie „drogi ewentualnej ucieczki” sprawiało, że Milgrim oczyma wyobraźni widział setki wydrążonych pod mieszkaniem UZ-a, oświetlonych jedynie bladą poświatą narkotykowego dymu tuneli, z których składała się dziwaczna podziemna palarnia opium. Wizja tyleż pociągająca co nieprawdopodobna.

Kimkolwiek była osoba, z którą obecnie rozmawiał Brown, nie mogła powiedzieć, że jej dzień rozpoczął się dobrze. UZ w towarzystwie innego mężczyzny opuścił obserwowany lokal, udał się na stację metra przy Canal Street, zstąpił na peron i zniknął. Milgrim wiedział już, mając w pamięci usłyszaną połowę rozmów z poprzednimi agentami, że rodzina UZ-a przejawia inklinacje do znikania, zwłaszcza jeśli znajduje się w okolicach metra. Wyobraził sobie, że UZ i jego krewniacy posiadają klucz do tajemniczych szczelin, otwierający przed nimi przeróżne dziury, rozstępy w ziemi i inne naturalne wolne przestrzenie.

Milgrim ze swojej strony miał całkiem udany poranek, jeden z lepszych, jakie pamiętał, i to pomimo faktu, że Brown obudził go tak brutalnie, aby przetłumaczył wiadomość napisaną w wolapiku. Gdy zasnął ponownie, przyśniło mu się coś, czego już dokładnie nie pamiętał, aczkolwiek niezbyt przyjemnego, coś o błękitnej poświacie wydobywającej się z jego skóry albo spod jej powierzchni. Ale koniec końców dzień rozpoczął się naprawdę znakomicie poranną wizytą w Village, kawą i rogalikami oraz lekturą pozostawionego przez poprzedniego klienta „Timesa”.

Brown nie lubił „New York Timesa”. Prawdę powiedziawszy, nie lubił mass mediów w ogóle, co jak podejrzewał Milgrim, spowodowane było tym, że podawane do publicznej wiadomości newsy nie pochodziły z wiarygodnych, czyli rządowych źródeł. W czas wojny nie mogły także, co było zrozumiałe samo przez się, zawierać prawdy ani informacji o znaczeniu strategicznym, z definicji cennych i do niczego nieprzydatnych szarym obywatelom tego kraju.

Milgrim nie miał zamiaru występować w obronie prasy i telewizji. Nie zaprotestowałby nawet wtedy, gdyby Brown oświadczył, że królowa brytyjska jest zmiennokształtnym gadem z innej planety, który pożywia się świeżym mięsem wyrzniętym z noworodków.

Ale w połowie lektury trzeciej strony natrafił na interesujący artykuł o NSA – Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – i eksploracji danych.

– Słuchaj – powiedział do Browna, który właśnie skończył kolejną rozmowę i spoglądał na swoją komórkę tak, jakby żałował, że nie może poddać jej torturom – ten sposób eksploracji danych wynaleziony przez NSA...

Słowa te zawisły w powietrzu gdzieś pomiędzy nimi, nad stolikiem. Milgrim nagle stracił ochotę na jakiegokolwiek pogawędki z agentem, który przeniósł na niego wzrok, ani na jotę nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Myślałem – mimo wszystko usłyszał własne słowa o twoim UZ-ie. O wolapiku. Jeśli to, co napisano w artykule, jest prawdą i NSA potrafi robić takie rzeczy, stworzenie logarytmu, który będzie zdolny wychwytywać wiadomości pisane jedynie w tym języku, nie powinno stanowić trudności. Niepotrzebne by nawet były próbki ich rodzinnego dialektu. Wystarczy góra sześć przykładów wzorcowych i powstanie uśrednienie. Jeśli przez telefon popłynie jakakolwiek treść zawierająca tag, bingo. Nie musiałbyś zmieniać kolejnych baterii w wieszaku.

Milgrim poczuł ogromne zadowolenie z wyartykułowania tak skomplikowanej myśli. Ale Brown, co było bardzo widoczne, wcale nie sprawiał wrażenia zadowolonego z tego, że facet siedzący obok myśli o takich rzeczach.

– To się sprawdza jedynie w rozmowach zagranicznych – odparł, wyglądając tak, jakby walczył z myślą, czy nie zdzielić rozmówcy.

– Aha – skwitował Milgrim i opuścił głowę.

Udawał, że czyta, dopóki Brown nie zajął się na powrót telefonem, aby zwymyślać kolejnego winnego zniknięcia UZ-a i jego kompana.

Milgrim nie potrafił skupić się ponownie na treści artykułu, udawał więc, że pilnie przegląda gazetę. Lecz narastało w nim nowe uczucie, coś zupełnie innego i naprawdę nieprzyjemnego. Do tej pory uważał, że Brown i jego ludzie należą do jednej z wielu agencji rządowych, może nawet federalnych. Ale jeśli to, co napisano w „Timesie” o działaniach NSA, i co on, Milgrim, właśnie przeczytał, jest prawdą, czy powinien uwierzyć w ostatnie słowa Browna? Powodem, z którego społeczeństwo Ameryki nie wkurzało się na takie wybryki NSA, była powszechna świadomość, wywodząca się jeszcze z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, że CIA podsłuchuje wszystkie rozmowy telefoniczne. Tandetne seriale umacniały tylko tę wiarę. Nawet małe dzieci wiedziały, że podsłuchy istnieją.

Ale jeśli na Manhattanie powstawały teksty w wolapiku, a rząd pragnął je złamać tak desperacko jak sam Brown, dlaczego nie zastosowano podobnych metod? Milgrim złożył gazetę.

A jeśli, zapytał sam siebie, Brown nie jest agentem rządowym? Do tej pory cząstka umysłu Milgrima była w stanie przyjąć założenie, że schwytanie przez agentów federalnych równa się ochronie z ich strony. Podczas gdy znacznie większa część jego jaźni uznawała to sformułowanie za niezbyt prawdziwe, zniecka – być może dzięki nowemu środkowi – zyskał inny, bardziej rzeczowy ogląd sytuacji, który prowadził do niepokojącej konkluzji: co będzie, jeśli okaże się, że Brown to tylko działający na własny rachunek dupek z gnatem w kieszeni?

Rzecz warta była przemyślenia, a co najciekawsze, czuł, że podoła temu zadaniu.

– Muszę skorzystać z łazienki – powiedział.

Brown wyciszył telefon.

– Na zapleczu są drugie drzwi – powiedział. – Wyjście kuchenne. Stoją tam ludzie na wypadek, gdybyś zechciał nas opuścić. Jeśli uznają, że uciekasz, zastrzelą cię.

Milgrim skinął głową. Wstał. Nie zamierzał uciekać, ale po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Brown może blefować.

W łazience puścił strumień zimnej wody na nadgarstki, a potem spojrział na ręce. To były wciąż jego dłonie. Poruszył palcami. Niesamowita sprawa.

17. PIRACI I ZESPOŁY

Przednia część fryzury stworzonej w salonie Mondriana zaczęła przypominać jej cierpiący na słońcowaciznę lok Bobby'ego Chomba, co było z pewnością efektem wielogodzinnej ekspozycji lakieru na tutejszy smog. Czegokolwiek użył stylistą, zostało wzbogacone o molekuly zawiesiny zbierającej się w niecce Los Angeles oraz całą masę dymu z papierosów wypalonych w jej towarzystwie przez Bobby'ego.

Nie wygląda to za dobrze, pomyślała, oceniając nie tyle swój wygląd, bo miała jeszcze chwilę, by przygotować się do spotkania z nowym pracodawcą, ile kierunek, w jakim ostatnimi czasy zmierzało jej życie. Wszystko, nawet ten moment, nawet Bobby Chombo i jego podłoga w kratkę. Chombo obawiający się spać dwa razy w tym samym kwadracie...

Spokojnie. Pomaluj usta. Kolczyki. Bluzka, spódnica i pończochy z torby ciuchów od Barneya, której używała, aby oddzielić rzeczy do pracy od bardziej eleganckich strojów.

Zamiast torebki wzięła jedną z kosmetyczek, tę czarną. Wysypała zawartość i wrzuciła tylko niezbędne minimum. Na stopy wsunęła buty zaprojektowane przez katalońskiego projektanta, który już dawno zmienił branżę – czarne baletki, które zmutowały w bambosze.

– No to idziemy – powiedziała do kobiety widocznej w lustrze.

Ponownie zignorowała dzieła sztuki wideo w windzie.

Drzwi otworzyły się na charakterystyczne dla nocnych barów szmery rozmów i brzęk szkła. Szatyn w tradycyjnym jasnym stroju boya hotelowego stał dokładnie na środku pseudoislamskich zawijasów imitujących kobierzec, uśmiechając się szeroko w jej kierunku.

Jego zęby, oświetlone przypadkowym promieniem światła rzucanym przez projektor, załśniły reklamową bielą. Gdy zbliżała się do niego, skanując otoczenie w poszukiwaniu belgijskiego magnata, uśmiech boya rósł w obu kierunkach, zarówno na szerokość, jak i na wysokość, a w chwili gdy go mijala, usłyszała głos, który przed paroma chwilami dobiegał z jej komórki.

– Panna Henry? Jestem Hubertus Bigend.

Zamiast krzyknąć, po prostu uścisnęła jego dłoń, miękką, suchą i o bardzo neutralnej temperaturze. Odpowiedział równie delikatnym uściskiem, a jego uśmiech poszerzył się jeszcze bardziej.

– Miło mi pana poznać, panie Bigend.

– Mów mi Hubertus – poprawił ją – proszę. Podoba ci się ten hotel?

– Tak, dziękuję.

To co brała za poliestrowy uniform boya hotelowego, było w rzeczywistości strojem z beżowej wełny. Spod niego wyzierała błękitna jak niebo koszula rozpięta pod samą szyją.

– Może zajrzemy do Skybaru? – zapytał spoglądając na zegarek wielkości średniej popielniczki. – Chyba że wolisz usiąść tutaj. – Wskazał wysoki, wąski i surrealistycznie długi alabastrowy kontuar, zawieszony na licznych smukłych, biomorficznych nogach, stanowiący front hotelowego baru.

Głos rozsądku podpowiadał jej, że powinna wybrać to miejsce, przyjmując oferowanego drinka i odbyć uprzejmą, ale krótką wymianę zdań.

– Skybar – zdecydowała, nie wiedząc dlaczego, za to mając nadzieję, że o tej porze nie dostaną miejsca przy stoliku.

Kiedy prowadził ją w stronę basenu i wielkich jak hangary kwietników, na których rosły ogromne fikusy, przypomniała sobie fragmenty ostatnich wizyt w tym miejscu w trakcie rozpadu Currew i wkrótce po nim. Ludzie, którzy nie znają branży muzycznej, twierdził Inchmale, wierzą, iż przemysł filmowy jest niesamowicie okrutny, bezwzględny i hienowaty.

Minęli futon Brobdingnagiana, który w swoich miękkich trzewiach skrywał całe stado półleżących, okrutnych, bezwzględnych, hienowatych i na dodatek niezwykle urodziwych młodzieńców z drinkami w rękach. Nie znasz ich przecież, napomniała się, oni mogą jedynie wyglądać jak ludzie z działów artystycznych. Ale niemal wszyscy tutaj należeli do tej kasty.

Bigend minął ochroniarza, jakby go tu nie było. W rzeczy samej facet z bluetoothem w uchu wręcz wprasował się w ścianę, byle w porę się przed nim usunąć, co kazało jej pomyśleć, że nowy szef nie jest przyzwyczajony do sytuacji, gdy ktoś staje mu na drodze.

Bar był wypełniony po brzegi, jak zawsze zresztą, ale Hubertus nie miał problemu ze znalezieniem stolika. Barczysty i o jasnych oczach wyglądał, jak przypuszczała, na typowego Belga. Odsunął dla niej masywne dębowe krzesło, bardziej pasujące do wystroju biblioteki niż baru, i szepnął jej do ucha, gdy siadała:

– Byłem kiedyś fanem Curfew.

I założyła się, że na dodatek gotem, chciała odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Lepiej jak najszybciej zapomnieć o wizji dzieciaka będącego przyszłym belgijskim magnatem reklamowym, który macha na mrocznym koncercie Curfew plastikowym bikiem. Dzisiaj, jeśli wierzyć słowom Inchmale'a, publika unosiła w górę swoje telefony komórkowe, ponoć blask ich wyświetlaczy dawał zaskakująco dużo światła.

– Dziękuję – odparła, starając się, aby zabrzmiało to wystarczająco dwuznacznie i mogło być przez niego odebrane jako podziękowanie bądź za dobre słowo o Curfew, bądź za odsunięcie krzesła.

Siedząc naprzeciw niej, z łokciami opartymi o blat i złączonymi czubkami palców, których paznokcie nosiły wyraźne ślady niedawnego manikiuru, obdarzał ją spojrzeniem kojarzącym się jej ze wzrokiem rozanielonych wielbicieli spoglądających nie tyle na portret pędzla Antona Corbijna, z nią w niezwykle skąnym tweedowym mini w roli głównej, ile na prywatną wariację na temat tego obrazu.

– Moja matka – zaczął rozmowę z nieoczekiwanej strony – wprost uwielbiała Curfew. Była rzeźbiarką. Nazywała się Phaedra Seynhaev. Kiedy odwiedziłem ją ostatni raz w jej paryskim studiu, słuchała waszych nagrań. Bardzo głośno. – Uśmiechnął się.

– To miłe. – Woląłem nie podejmować tematu nieżyjącej matki. – Teraz jednak jestem dziennikarką. Na razie bez referencji.

– Rausch jest bardzo zadowolony z waszej dotychczasowej współpracy – odparł. – Widzi cię w zespole. – Do stolika podszedł kelner i zaraz zniknął z zamówieniem dżinu z tonikiem dla Hollis i *piso mojado* dla Bigenda, drinka, którego jeszcze nie znała.

– Opowiedz mi o „Node” – poprosiła. – Zdaje się, że twoje pismo nie robi wokół siebie szumu tak charakterystycznego dla tej branży.

– Nie?

– Nie.

Obniżył złączone dłonie.

– Antyszum – powiedział. – Reklama poprzez ciszę.

Odczekała moment, by sprawdzić, czy uśmiechem nie zasugeruje, że żartował. Nie zrobił tego.

– To niedorzeczne.

Zza kurtyny warg wyłoniły się na moment białe zęby, ale to był jedynie przelotny uśmiech, który skończył się w momencie, gdy kelner podał im drinki w jednorazowych plastikowych kubkach, które miały zapewne uchronić hotel przed ewentualnymi sprawami sądowymi, na przykład o rozcięte stopy odpoczywających przy basenie bosonogich leni. Hollis przeskanowała otoczenie, skupiając się na pozostałych gościach. Gdyby za chwilę w zatłoczony dach hotelu uderzył pocisk samosterujący, wydawca magazynu „People” nie odczułby pilnej potrzeby uwiecznienia tego faktu na okładce następnego wydania, pomyślała. Towarzycho, jak zwykł nazywać ich Inchmale, poszło gdzie indziej. Nawet jej to odpowiadało.

– Możesz mi coś wyjaśnić? – zapytała pochylając się nieco.

Bigend uśmiechnął się zachęcająco.

– Tak?

– Chombo. Bobby Chombo. Dlaczego Rausch uważał, że powinnam się z nim spotkać?

– Rausch jest redaktorem naczelnym – odparł łagodnie. – Może to jego powinnaś zapytać.

– Ta sprawa ma drugie dno – drążyła, czując, że zmierza prostą drogą do konfrontacji z Mongolskim Robalem Śmierci, i to na jego własnym terytorium. Może nie był to najlepszy pomysł, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. – Naciski Philipa nie mają nic wspólnego z tekstem

artykułu.

Bigend przyglądał się jej uważnie.

– Cóż. Zgadłaś. To temat na inny artykuł. Grubsza sprawa. Twoja następna. Taką mamy nadzieję. Domyślam się, że dopiero wróciłaś ze spotkania z tym... Chombem.

– Tak.

– I co o nim myślisz?

– On wie, że robi coś, czego nikt inny nie potrafi dokonać. Albo przynajmniej tak mu się wydaje.

– A cóż to takiego może być, Hollis? Mogę zwracać się do ciebie po imieniu?

– Proszę. Moim zdaniem Bobby'emu wcale nie zależy na pozycji zajmowanej w awangardzie sztuki lokacyjnej. On po prostu uwielbia mieć swój udział w każdym przełomowym wydarzeniu, ale przyjemna robota śmiertelnie go nudzi. Jednak gdy pomagał wynaleźć podstawy sztuki lokacyjnej, w pewnej mierze rzecz jasna, wcale się nie nudził.

Uśmiech Bigenda poszerzył się raz jeszcze. Nagła biel zębów skojarzyła jej się z reflektorami pociągu mijającego się nocą z tym, którym jedziesz. A potem uśmiech zniknął. I poczuła się tak, jakby jej wagon wjechał do tunelu.

– Mów dalej. – Napił się *piso*, który wizualnie niczym nie różnił się od NyQuilu.

– Z pewnością nie jest też didżejem – powiedziała. – Ani nikiem, za kogo chce uchodzić publicznie. Uważam, że jego prawdziwe zajęcie ma wiele wspólnego z siatką GPS, którą wyrysował na podłodze swojej hali. Podobno nie sypia dwa razy w tym samym kwadracie. Czymkolwiek jest ta praca, sprawia, że Bobby czuje się niezwykle ważny, ale i doprowadza go do szaleństwa.

– Wiesz, co to może być?

Pomyślała o szkieletowym kontenerze, którego istnienie pragnął ukryć tak bardzo, że zerwał jej maskę z głowy w brutalny sposób. Zawahała się.

– Piraci – wyręczył ją Bigend.

– Piraci?

– Cieśnina Malakka, Morze Południowochińskie. Niewielkie, piekielnie szybkie łodzie polujące na jednostki handlowe. Mają bazy wypadowe na lagunach, w zatokach, na wysepkach. Półwysep Malajski, Jawa, Borneo, Sumatra.

Przeniosła spojrzenie z Bigenda na otaczających ją ludzi. Czowała się tak, jakby przypadkiem znalazła się na tajnym spotkaniu mafii. Widmowa lina zwisająca swobodnie z pofalowanej powały drewnianego baru opadła na nią, pierwszą ofiarę siedzącą przy tym stoliku. Jak w filmie o piratach.

Otrząsnęła się, krzyżując spojrzenie z Bigendem i dopijając resztkę dzinu z tonikiem.

– A niech to.

– Prawdziwi piraci – powiedział Hubertus, tym razem bez cienia uśmiechu. – Przynajmniej większość z nich jest prawdziwa.

– Większość?

– Niektórzy należą do tajnego programu morskiego CIA. – Odstawił plastikowy kubek z taką ostrożnością, jakby zamierzał sprzedać go na aukcji w Sotheby's. Otoczył go klatką splecionych palców niczym reżyser oceniający kolejne ujęcie. – Zatrzymują podejrzone statki, aby sprawdzić, czy nie przewożą broni masowej zagłady. – Spojrzał na nią, nadal bez uśmiechu.

– Poważnie?

Skinął głową ledwo dostrzegalnym, ale niezwykle precyzyjnym ruchem.

Zapewne takimi gestami porozumiewają się pośrednicy w handlu diamentami w Antwerpii, pomyślała.

– Nie żartuje pan sobie ze mnie, panie Bigend?

– Mówię ci tyle prawdy, na ile mogę sobie pozwolić. Pewnie zdajesz sobie sprawę, że taka wiedza to coś w rodzaju gorącego kartofla. Jedyna ironia tkwi w tym, że ten program, aczkolwiek bardzo efektywny, padł ofiarą wewnętrznych walk politycznych w kraju. Wcześniej jednak zespoły agentów CIA, w przebraniu, towarzysząc prawdziwym piratom, dostawały się na pokłady obcych jednostek handlowych podejrzewanych o przemyt broni masowej zagłady. Używając liczników Geigera i innego sprzętu przeszukiwały ładownie i kontenery, podczas gdy ich kompani rabowali, co popadnie. Taka była umowa, piraci otrzymywali wszystkie łupy w nagrodę za to, że agenci mieli pierwszeństwo w sprawdzeniu ładowni i kontenerów.

– Kontenerów...

– Tak. Piraci i agenci wspierali się wzajemnie w tych działaniach. CIA przekupywało lokalne władze, a marynarka wojenna trzymała się z dala od miejsca przeprowadzenia takiej akcji. Załogi statku nigdy nie wiedziały, czy przemywany ładunek został odkryty czy też nie. Jeśli agenci znaleźli trefny towar, przejęcie następowało znacznie później i nie miało nic wspólnego z naszymi piratami. – Skinął na kelnera, zamawiając kolejne *piso*. – Chcesz jeszcze jednego drinka?

– Wodę mineralną – odpowiedziała. – Conrad, Kipling. Albo film.

– Najbardziej przydatni piraci pochodzili z prowincji Aceh na północy Sumatry. To zdaje się terytorium Conrada.

– Czy ci fałszywi piraci znajdują wiele takich ładunków?

Kolejne skinienie handlarza diamentami.

– Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim?

– W sierpniu 2003 roku jeden z tajnych zespołów CIA dostał się na pokład frachtowca zarejestrowanego w Panamie. Statek zmierzał z Iranu do Makao. Agentów zainteresował jeden z kontenerów. Zerwali plomby i otworzyli go, ale w tym momencie otrzymali rozkazy.

– Jakie rozkazy?

– Zostawić kontener. Opuścić pokład. Oczywiście wykonali je, jak im kazano.

– Kto ci o tym powiedział?

– Ktoś, kto twierdził, że był członkiem tego zespołu.

– I uważasz, że Chombo może być w tę sprawę zamieszany?

– Podejrzewam, że tak właśnie jest – powiedział Bigend, pochylając się do niej i zniżając głos. – Bobby od czasu do czasu wic. gdzie ten kontener się znajduje.

– Od czasu do czasu?

– Jedno jest pewne, kontener gdzieś tam jest – odparł Bigend. – Jak Latający Holender. – Kelner podał drugie *piso* i wodę dla Hollis. – Za twój następny artykuł – wznosił toast i stuknęli się plastikowymi krawędziami kubków.

– A piraci?

– Co piraci?

– Czy widzieli, co było w kontenerze?

– Nie.

– Większość ludzi nie prowadzi sarna takich wozów – powiedział Bigend włączając się do ruchu na Sunsecie i kierując się na wschód.

– Większość w ogóle nimi nie jeździ – poprawiła go Hollis siedząca w fotelu obok kierowcy. Odwróciła głowę starając się objąć wzrokiem to, co zwykle nazywa się przestrzenią dla pasażerów. Nad głową miała panoramiczne okno z widokiem na niebo, w normalnych autach nazywane szyberdachem. I mnóstwo lśniącego drewna, którym wykończono obicia z jagnięcej skóry.

– Maybach tuningowany przez Brabusa – powiedział Bigend. gdy ponownie odwróciła się w jego stronę, akurat by zobaczyć, jak delikatnie poklepuje kierownicę. – Brabus przerabia niemal od podstaw wyroby Maybacha, aby przekształcić je w takie cacka.

– Odvaderuj moją brykę?

– Gdybyś jechała z tyłu, mogłabyś oglądać wszystkie instalacje lokacyjne na monitorach zamontowanych w przednich siedzeniach. Mam tutaj MWAN i poczwórny router GPRS.

– Nie, dziękuję. – Siedzenia z tyłu, obite jagnięcą skórą w kolorze połyskującej szarości, z

pewnością rozkładane, kojarzyły jej się z niezwykle eleganckimi stolami operacyjnymi. Przez przyciemnianą szybę widziała przechodniów, którzy z chodnika Sunsetu gapili się na maybacha. Światła się zmieniły i Bigend ruszył, ale Wnętrze jego wozu nadal przypominało hol muzeum o północy.

– Zawsze jeździsz czymś takim?

– Agencja ma na stanie phaetony – odparł. – Znakomite, niewidzialne wozy. Z daleka można je pomylić z jettami.

– Nie znam się na samochodach. – Przesunęła opuszką palca po gładkiej skórze obicia fotela. Czy takie wrażenie można odnieść, dotykając tyłka supermodelki?

– Chciałbym zapytać, jeśli nie masz nic przeciwko temu, dlaczego zdecydowałaś się zostać dziennikarką?

– Trzeba z czegoś żyć. Tantiemy za Curfew nie wystarczały, nie mam też talentu do inwestycji.

– Niewielu go ma – przyznał. – Oczywiście są tacy, którym się wydaje, że mają do tego smykałkę; wystarczy jeden czy dwa sukcesy. Ale wszyscy robią dokładnie to samo.

– Jeśli to prawda, ktoś dawno powinien mi być podpowiedzieć, co trzeba robić.

– Skoro chcesz zarabiać pieniądze, dziennikarstwo nie jest chyba najlepszym wyborem.

– Starasz się zniechęcić mnie do pisania?

– Nic z tych rzeczy. Zachęcam cię do wybrania właściwej drogi. Jestem też ciekawy, czym się kierowałaś i jak pojmujesz świat. – Rzucił jej przelotne spojrzenie. – Rausch mówił mi, że pisywałaś o muzyce.

– Garażowe kapele lat sześćdziesiątych. Zaczęłam o nich pisać, zanim rozpadł się Curfew.

– Były dla ciebie inspiracją?

Spojrzała na niemal czternastocalowy wyświetlacz na desce rozdzielczej. Czerwony kursor symbolizujący maybacha i przesuwający się po zielonej linii odwzorowującej Sunset oznaczał aktualną pozycję samochodu. Przeniosła wzrok na Bigenda.

– Na pewno nie bezpośrednio, nie w odniesieniu do tego, co graliśmy. To były moje ulubione kapele... Są – poprawiła się niemal natychmiast.

Przytaknął.

Spojrzała ponownie w dół, na deskę rozdzielczą, i zobaczyła, że schemat mapy zniknął i zastąpił go szkieletowy szkic helikoptera, ale dziwny bulwiasty kształt kadłuba był jej zupełnie obcy. Teraz widziała go wyraźnie, pod nim pojawił się też siatkowy obrys statku. Albo statek był taki mały, albo helikopter nienaturalnie wielki. Po chwili obraz znów się zmienił; przedstawiał startujący samolot.

– Co to?

– Tak zwany hook. Stary sowiecki helikopter, zdolny do uniesienia ogromnych ciężarów. Syria ma wciąż co najmniej jeden egzemplarz.

Na monitorze hook unosił właśnie w powietrze rosyjski czołg, jakby chcąc zademonstrować swoją moc.

– Patrz na drogę – poleciła. – Nie gap się na wytwory własnego PowerPointa.

Po przełączeniu na uproszczoną animację zobaczyła, w jaki sposób helikopter (wcale teraz niepodobny do hooka) przenosi kontenery z pokładu do ładowni frachtowca.

– Ten kontener z twojej opowieści... – podjęła.

– Tak?

– Czy był bardzo ciężki?

– O ile wiem, nie – odparł Bigend. – Ale czasami znajduje się pod wieloma znacznie cięższymi kontenerami. To bardzo dobre zabezpieczenie. Podczas rejsu praktycznie wyklucza dostęp do niego. Ale dzięki hookowi zyskujemy taką możliwość. No i możemy go przenieść w jakiegokolwiek miejsce, powiedzmy na inny statek. Maszyna ma spory zasięg i jest dość szybka.

Wjechał na autostradę numer 101, kierując się na południe. Zawieszenie maybacha doskonale radziło sobie z nierówną nawierzchnią, zmieniając ją w jedwabistą miękką masę. Teraz mogła poczuć prawdziwą moc tego wozu. Na monitorze pojawiły się linie symbolizujące aktualne położenie kontenera. Wznosiły się pod ostrym kątem, a gdy przechwytywał je satelita, odbijały się od niego, kierując znów w dół, poza krzywiznę Ziemi.

– Dokąd jedziemy?

– Do agencji. To najlepsze miejsce na rozmowę.

– Do agencji?

– Blue Ant.

Na wyświetlaczu dokładnie w tej samej chwili pojawił się nieruchomy, wręcz hieroglificzny wizerunek owada. Mrówka. Spojrzała ponownie na Bigenda.

Z profilu bardzo jej kogoś przypominał.

18. OKNO ELEGBY

Ciotka Juana nakazała mu przejść się po mieście, wzdłuż Sto Dziesiątej ulicy do Amsterdam i katedry Świętego Jana, aby lepiej wysłuchał Elegby. Jak rzekła, pana dróg i wrót tego świata. Władcy rozdroży, na których krzyżują się drogi ludzi i bogów. Z tego też powodu, mówiła dalej Juana, w wielkim kościele na Morningside Heights w wielkim sekrecie stworzono okno ku jego czci i chwale.

– Nic nie zrobisz w żadnym ze światów – powiedziała – bez jego przyzwolenia.

Zaczął padać śnieg, gdy szedł pod górkę, mijając wykruszone wsporniki katedralnych murów, wzmocnione teraz heksagonalną siatką i płytami ze sklejki obrosłej skorupą plakatów w miejscu, w którym już dawno dzieło człowieka przegrało z deszczem. Podniósł kołnierz, mocniej nacisnął kapelusz i szedł dalej, śnieg już nie był dla niego niczym niezwykłym, ale gdy wreszcie dotarł na Amsterdam, poczuł ulgę. Zauważył zgaszony neon pizzerii V&T, który zdawał się wskazywać na jakże zwyczajną przeszłość tego miejsca, a potem przeszedł obok domu kapłana i minął ogród okalający wiecznie suchą fontannę, którą zdobiła przedziwna rzeźba przedstawiająca odlaną w brązie głowę szatana odciętą szczypcami Świętego Kraba. Właśnie ten posąg najbardziej interesował Tita, kiedy Juana przyprowadziła go tutaj po raz pierwszy, i może jeszcze owe cztery katedralne pawie, z których jeden był albinosem poświęconym – jak twierdziła ciotka – Orunmilowi.

Przy wrotach katedry nie było strażników, ale znalazł ich we wnętrzu, czekali tam na wiernych z nieodłączną sugestią pięciodolarowego datku. Juana nauczyła go, jak zdejmować kapelusz, przeżegnać się porządnie, zignorować natrętów – najlepiej udając, że nie zna angielskiego – a potem zapalić świecę i pozorować modlitwę.

Ogromna była przestrzeń we wnętrzu tej świątyni, Juana twierdziła, że to największa katedra na świecie. Ale tego zaśnieżonego poranka odkrył, że jest pusta, a przynajmniej niemal pusta i co ciekawe, w jej wnętrzu panował o wiele większy ziąb niż na ulicy. Znalazł za to mgiełkę, ulotny kłęb dźwięku; najcichsze echa budzące się do życia przy najdrobniejszym ruchu, by szaleć bez końca pomiędzy wielkimi filarami i odbijając się od kamiennej posadzki.

Zostawił świecę, by dopaliła się obok czterech jej podobnych, i ruszył w stronę głównego ołtarza, obserwując parę buchającą przy każdym wydechu i zatrzymując się tylko raz, by spojrzeć na przydymiony blask okna w kształcie rozety nad drzwiami, którymi wszedł do kościoła.

Jeden z wykuszów ściennych okalających tę ogromną przestrzeń poświęcony był Elegbie, co znajdowało potwierdzenie w kolorowych obrazach. *Santero*, przyglądający się kobiercowi znaków, odkrywający liczby 3 i 21, poprzez które przejawiają się orisze, mężczyzna wspinający się na pal, by zamontować na nim podsłuch, inny ślęczący przed ekranem komputera. Znaki układają się tak, jak przenikają się światy, a wszystko to pod baczynym okiem bóstw.

W milczeniu, ale z głębi serca, tak jak nauczyła go tego Juana. oddał im cześć.

Nagle w zawieszynie dźwięków pojawiło się zakłócenie, głośniejsze od innych, ale jego źródło znikło natychmiast w masie odbić i ech. Tito obejrzał się, rzucił spojrzenie w dół nawy i zauważył

zbliżającą się postać.

Znowu popatrzył w górę, na okno Elegby, gdzie jeden mężczyzna posługiwał się myszą, a inny klawiaturą, choć kształty tych przedmiotów były dziwne, wręcz archaiczne. Poprosił o ochronę.

Starzec, na którego obejrzał się Tito, był wierną ilustracją perspektywy i nieuniknioności momentu, który musi nadejść. Śnieg przyprószył ramiona tweedowego płaszcza i rondo ciemnego kapelusza, który trzymał teraz na piersi. Zdawało się, że idzie cały czas lekko schylony, jakby w pokłonie. Jego siwe włosy lśniły niczym stal, kontrastując żywo z mroczną szarością katedralnych murów.

I nagle stał tuż przed Titem. Spojrzał mu prosto w oczy, a potem w górę na okno.

– Gutenberg – powiedział, unosząc kapelusz, by wskazać *santero*. – Samuel Morse przesyłający pierwszą wiadomość.

– Teraz pokazywał na człowieka z myszką. – Monter, telewizor. – W tym obrazie Tito widział monitor. Kapelusz mężczyzny powędrował w dół. Jego wzrok powrócił na Tita. – Jesteś bardzo podobny do swojego ojca i dziadka – dodał już po rosyjsku.

– Powiedziała ci, że tutaj będę? – Tito zadał pytanie po hiszpańsku.

– Nie – odpowiedział starzec z akcentem charakterystycznym dla dawnej Kuby. – Niestety nie miałem tej przyjemności. Twoja ciotka to cudowna kobieta. Szedłem za tobą do tego miejsca. – Przeszedł na angielski. – Dawno się nie widzieliśmy.

– *Verdad*.

– Ale zobaczymy się ponownie, i to wkrótce – powiedział starzec. – Dostaniesz kolejny, identyczny przedmiot. I przyniesiesz mi go jak poprzednie. I jak poprzednio będziesz obserwowany, śledzony.

– Zatem Alejandro miał rację.

– To nie twoja wina. Protokół jest niezwykle dokładny, a *sistiema* sprawna – wtrącił rosyjskie słowo w zdanie wypowiedziane po angielsku. – Dlatego było niemal pewne, że będziesz obserwowany. Takie są wymagania.

Tito czekał.

– Będą chcieli nas przyskrzynić – powiedział starzec – kiedy będziesz dostarczał towar. Nie uda im się, ale zgubisz przedmiot transakcji. To podstawowy cel tej akcji, tak jak twoja i moja ucieczka. Masz przecież *sistiemu* na taką okoliczność, prawda?

Tito przytaknął, poruszając nieznacznie głową.

– A potem – dodał starzec – odejdziesz tak, jak cię do tego przygotowano. To miasto nie będzie już dla ciebie bezpieczne. Zrozumiałeś?

Tito pomyślał o swoim pozbawionym okien pokoju. O komputerze. Keyboardzie. Zapamiętał dokładnie wytyczne protokołu dotyczące ucieczki. Nie miał jednak pojęcia, jakie miejsce dla niego wybrano, ta kwestia nie należała do protokołu. Wiedział tylko, że to nie będzie już Nowy Jork.

– Zrozumiałem – odpowiedział po rosyjsku.

– W tej świątyni znajduje się pewien szczególny łuk – dodał starzec po angielsku. – Poświęcono go Pearl Harbor. – Spojrzał w górę, na sam koniec nawy. – Kiedyś mi go pokazano, ale nie pamiętam już, który to z nich. W dniu ataku murarze odłożyli narzędzia. Budowa stanęła na długie lata.

Tito poruszył się niespokojnie, nie bardzo wiedząc, na co ma patrzeć. Te łuki znajdowały się tak wysoko. Kiedyś razem z Alejandrem bawił się w Battery Parku modelem sterowca wypełnionym helem. Niewielkim, sterowanym radiem statkiem powietrznym. Mając go tutaj teraz, mógłby przeczesać gęstwinę łuków i mrok cieni, jakie rzucały na głębokie, odwrócone podmorskie kaniony nawy. Chciał zapytać tego człowieka o swojego ojca, chciał zapytać, jak i dlaczego jego ojciec zginął.

Ale gdy się odwrócił, nikogo przy nim nie było.

19. FISH

Brown ponownie zabrał Milgrima do koreańskiej pralni przy ulicy Lafayette, aby go tam uziemić. Ze strzępków porannych rozmów telefonicznych dało się wywnioskować, że agent zrozumiał wreszcie, iż nie obejdzie się bez poważnej przeprawy z zespołem obserwacyjnym na temat zgubienia UZ-a.

Tym razem nie silił się już na uwagi o tajniakach stojących opodal, nie wspomniał też o tym, że próba ucieczki może zakończyć się równie bezowocnie jak boleśnie. Być może Brown zakładał, że narkoman przyjął w końcu do wiadomości istnienie strażników (bez względu na to, jak było naprawdę, choć Milgrim szczerze wątpił, by kiedykolwiek ktoś go pilnował). Zaczyna robić się ciekawie, pomyślał.

Brown nie powiedział nawet „do widzenia”. Po prostu odwrócił się i poszedł, trzymając się zachodniej strony ulicy Lafayette.

Milgrim i koreański właściciel pralni, mężczyzna po siedemdziesiątce, o wciąż młodej twarzy i kruczoczarnych włosach łudząco przypominających fryzurę Kim Dzong Ha, mierzyli się obojętnym wzrokiem. Milgrim przypuszczał, że lokal ten jest dziuplą Browna, gdyż Koreańczyk nigdy nie zapytał nawet o jego pranie ani o to, dlaczego włóczęga ma spędzić najbliższe kilka godzin w najdalszym rogu pokrytej czerwonym winylem kanapy, poczytując swoją książkę o średniowiecznym mesjanizmie, przerzucając wyblakłe plotkarskie czasopisma leżące na stole albo po prostu gapiąc się w przestrzeń.

Milgrim rozpiął płaszcz od Paula Stuarta, ale usiadł nie zdejmując go. Rzucił okiem na grubą warstwę kompostu o wyczynach gwiazd wszelkiej maści, jaka zalegała na blacie stolika do kawy tuż przed nim (czy pępek także można zaliczyć do wyczynów?), i zauważył numer „Time’a”, na którego okładce prezydent stał w kombinezonie pilota na pokładzie lotniskowca.

Ten numer musi mieć niemal trzy lata, uznał po dokonaniu niezbędnych obliczeń, jest starszy od większości plotkarskich pism zgromadzonych na stoliku, na które Milgrim od czasu do czasu się przerzucał, gdy dwunastowieczny mesjanizm zaczynał działać jak środek nasenny. Wiedział już, że jeśli utnie sobie drzemkę, Koreańczyk natychmiast go obudzi, szturchając w żebra zrolowanym numerem „Us”.

W tym momencie jednak czuł, iż jest gotowy na przyjęcie Wilhelma Złotnika i „idei” amarykian, która była wstępem do najbliższej jego sercu herezji Wolnego Ducha. Sięgał właśnie do kieszeni, by wyjąć mocno już sfatygowany tomik, gdy do pralni weszła czarnowłosa dziewczyna w brązowych wysokich butach i krótkiej białej kurteczce. Przyjrzał się zatem transakcji, jaka miała miejsce przy kontuarze. Koreańczyk dał dziewczynie kwitek w zamian za dwie pary ciemnych spodni. A ona, zamiast wyjść od razu, wyjęła komórkę, powiedziała coś płynnie po hiszpańsku, podeszła do kanapy i rozsiadła się wygodnie, rozmawiając i grzebiąc bez widocznego zainteresowania w stercie czasopism leżących na koreańskim stoliku ze sklejki. Prezydent Bush w kombinezonie pilota natychmiast zniknął pod stertą innych tytułów, lecz dziewczyna nie wyjęła na wierzch nic, czego Milgrim wcześniej nie widział. Ale to, że siedzieli razem na jednej winylowej kanapie i mógł

rozkoszować się językiem, którego nie rozumiał, sprawiało mu czystą przyjemność. Zawsze miał poczucie, że za wrodzoną, zdałoby się, znajomość rosyjskiego musiał zapłacić brakiem zdolności przyswojenia języków romańskich.

Dziewczyna wrzuciła komórkę do przepastnej torby, wstała, uśmiechnęła się sama do siebie, a potem wyszła.

Milgrim, sięgając ponownie do kieszeni po książkę, zauważył, że jej telefon wciąż leży na czerwonej winylowej tapicerce.

Spojrzał na Koreańczyka, który czytał właśnie „Wall Street Journal”. Z tej odległości niewielkie drukowane portrety komentatorów wyglądały jak wizerunki odcisków palców. Milgrim przeniósł wzrok na komórkę.

Niewola zmieniła go. Zanim spotkał Browna, natychmiast schowałby taki przedmiot do kieszeni. Ale teraz, gdy utknął w samym środku szpiegowskiej sieci tkanej przez agenta, nawet takie przypadkowe spotkania wydawały mu się podejrzane. Czy ta mówiąca po hiszpańsku piękność naprawdę przyniosła tutaj dwie pary służbowych spodni do prania, czy też należała do zespołu Browna? Czy pozostawienie przez nią telefonu było dziełem przypadku?

A jeśli nie było?

Spoglądając kątem oka na Koreańczyka, nakrył komórkę dłonią. Była wciąż ciepła, co sprawiło, że Milgrim poczuł się tak, jakby dotknął odsłoniętego uda dziewczyny.

Wstał.

– Chciałbym skorzystać z toalety.

Koreańczyk spojrzał na niego znad gazety.

– Chcę się wysikać.

Właściciel pralni wstał, składając „Wall Street Journal”, odsunął zasłonkę zrobioną z kwiecistego materiału i gestem wskazał na zaplecze. Milgrim szybko przedostał się przez pomieszczenie pełne specjalistycznego sprzętu do prasowania, kierując się prosto na wąskie drzwi pomalowane na jasnobezowy kolor, na których widniała tabliczka z napisem TYLKO DLA PERSONELU.

Wewnętrzne ściany ubikacji, zrobione z wymalowanej na biało sklejki, przypomniały Milgrimowi toalety na obozie letnim w Wisconsin, na który udało mu się kiedyś wyjechać. W niewielkim pomieszczeniu unosił się charakterystyczny mocny zapach środków czyszczących, ale Milgrimowi to nie przeszkadzało. Dla formalności zamknął drzwi, wykorzystując połączane i dość wątko wyglądające tajwańskie ustrojstwo służące chyba do tego właśnie celu. Opuścił klapę sedesu, usiadł i zaczął oglądać telefon dziewczyny.

Była to motorola z wielkim wyświetlaczem i aparatem. Model mający już kilka lat, chociaż wciąż znajdujący się w sprzedaży. Gdyby jak za dawnych czasów ukradł go po to, by odsprzedać, pewnie byłby zawiedziony. Ale w jego obecnej sytuacji znacznie bardziej interesowało go to, że bateria jest

naładowana, a aparat włączony.

Zadarł głowę i nad sobą zobaczył kalendarz z 1992 roku, który wisiał dosłownie dziesięć cali od jego oczu. Ktoś przestał zrywać z niego kartki w sierpniu. Znajdowała się na nim reklama pewnej firmy deweloperskiej, ozdobiona bijącą po oczach panoramą Nowego Jorku, z nieodłącznymi podówczas wieżami World Trade Center. Był to widok tak nierealny, przywodzący na myśl czystą fantastykę, że ilekroć Milgrim się nań natykał, myślał, że budynki te nigdy nie istniały, a ich wizerunki wmontowywano, gdzie popadnie, za pomocą Photoshopa.

Pod kalendarzem, na półeczce o szerokości góra czterech cali, którą utworzyło poziome łączenie płyt w ścianie kabiny, stała nieco już pordzewiała samotna puszka. Milgrim pochylił się, by do niej zajrzeć. Cienka warstwa łupinek po orzeszkach, jakieś sworznie, dwa kapsle, spinacze i pluskiewki, kilka nierozpoznawalnych części z metalu, pancerzyki martwych owadów. Wszystko, co było podatne na proces utleniania, pokryła rdza.

Oparł się o rezerwuar i otworzył telefon. Książkę telefoniczną wypełniały wyłącznie hiszpańsko brzmiące nazwiska, przeplatane kobiecymi imionami, które z kolei na pewno nie należały do osób z tego kręgu kulturowego.

Wybrał z pamięci numer Fisha, przymknął oczy i nacisnął klawisz połączenia.

Fish – ksywa od nazwiska Fisher – odebrał po trzecim sygnale.

– Halo?

– Cześć, Fish.

– Kto mówi?

– Milgrim.

– Hej. – Fish wydawał się zaskoczony faktem, że słyszy go w słuchawce, i Milgrima wcale to nie dziwiło.

Fish był jego bratem w braniu. Ale mieli coś jeszcze wspólnego w życiu. Dennisa Birdwella, dilera. Byłego dilera, Milgrim poprawił się szybko w myślach. Obaj, zarówno on, jak i Fish, mieli za sobą długi okres wyłudzenia recept i odwiedzili chyba każde miejsce w Nowym Jorku, gdzie można było je dostać. Fish na krótko znalazł źródło w New Jersey (zapewne lekarza), ale w ostatnim czasie polegali jedynie na Birdwellu. Forma czasu przeszłego wydała mu się prawidłowa, gdyż teraz miał nowego dostawcę i utrudniony kontakt ze starym.

– Jak ci leci, Milgrim?

Znaczyło to: masz coś dla mnie?

– Jako tako – odparł.

– Och – powiedział Fish. Zawsze wyrażał się nadzwyczaj lakonicznie. Pracował przy animacjach

komputerowych, miał dziewczynę i dzieciaka.

– Widziałeś się z Dennisem, Fish?

– No tak, widziałem się.

– Co u niego?

– Cóż, jest wkurzony na ciebie. Tak powiedział.

– A powiedział dlaczego?

– Mówił, że dał ci kasę na coś i tego nie dostał.

Milgrim westchnął.

– To prawda, ale nie chciałem go wykiwać. To przez faceta, na którego wpadłem, wiesz?

W tle zaczęło płakać dziecko.

– Tak. Ale wiesz, ja na twoim miejscu nie zadzierałbym teraz z Dennisem. Nie w taki sposób. – Fish wydawał się nieswój, i to nie tylko z powodu drącego się dzieciaka.

– To znaczy?

– No wiesz – odparł Fish. – Chodzi o ten drugi towar.

Drugim towarem Dennisa była metamfetamina, na której zbijał największą kasę i której Milgrim i Fish jeszcze nie spróbowali – i nie chcieli spróbować. Wywoływała ona u pozostałych klientów Dennisa nagłą potrzebę zażywania silnych środków uspokajających, co sprawiło, że diler zainteresował się też benzodwuzepinami, dzięki którym obaj zyskiwali jasność umysłu.

– Wydaje mi się, że on bierze – powiedział Fish. – Wiesz. Jeszcze bardziej.

Milgrim uniósł brwi przed obrazem bliźniaczych wież.

– Przykro mi to słyszeć.

– Wiesz, jacy oni potrafią być.

– Co masz na myśli?

– Paranoję – odparł Fish. – Brutalność.

Dennis studiował kiedyś na Uniwersytecie Nowojorskim. Milgrim mógł go sobie wyobrazić w stanie gniewu, ale brutalne zachowania tego człowieka nie mieściły mu się w głowie.

– Zbiera pamiątki z „Gwiezdných wojen” – powiedział. Wyszukuje je, całymi nocami przesiadując na eBayu.

Zapadła cisza. Nawet dziecko Fisha umilkło, jak na zawołanie.

– Powiedział, że wynajmie czarnuchów z Brooklynu. – Dziecko rozdarło się jeszcze głośniejsze niż przed chwilą.

– Cholera – rzekł Milgrim bardziej do zardzewiałej puszeki niż do Fisha. – Zrobisz coś dla mnie?

– Co takiego?

– Nie mów mu, że dzwoniłem.

– Spoko – powiedział Fish.

– Jak mi coś wpadnie – skłamał Milgrim – dam ci znać.

Rozłączył się.

Po powrocie do pralni pomógł zrozpaczonej Portorykance odsunąć czerwoną kanapę, aby sprawdziła, czy nie wpadł za nią jej telefon. Gdy tam zaglądała, wsunął aparat pod wymięty egzemplarz „In Touch” z Jennifer Aniston na okładce.

Czytał o Wilhelmie Złotniku, stojąc przy suszarce, gdy wreszcie znalazła zgubę.

20. TULPA

Czy ta kobieta w wózku inwalidzkim, wprawiająca koła w ruch jedną ręką, wlokła za sobą stojak na kropłówki, za wszelką cenę starając się utrzymać go w pionie?

Czy miała nogi? Hollis nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć, ale po skateboardziście pozbawionym zuchwy nie wydawało jej się to aż tak istotne.

– Masz firmę w tej okolicy? – zapytała Bigenda, gdy skręcił maybachem w zaułek, po którym najrozsądniej byłoby jeździć opancerzonym bradleyem.

Dostali się pomiędzy zamrożone fale graffiti, swoiste uliczno-fraktalne wyobrażenie Hokusai, i przejechali pod zwojami drutu kolczastego zwisającego znad pokrytej siatką bramy.

– Tak – odparł, wjeżdżając na wysoką rampę wznoszącą się ponad piętnaście stóp i docierającą do muru, który wydał jej się tak stary, że nie mógł być wzniesiony w czasach powstawania Los Angeles. Może pasowałby do Babilonu, gdyby tylko pokryć go swoistym graffiti pisma klinowego i wyrytymi w ceglach, nie rzucającymi się w oczy urzędowymi bazgrołami.

Maybach zatrzymał się na moment na niewielkiej platformie, która mogłaby pomieścić sporą ciężarówkę, tuż przed metalowymi wrotami. Ponad nimi widać było półkule dymionego plastiku, w których znajdowały się kamery, a może i inne urządzenia służące do zbierania informacji. Same wrota, w Orwellowskiej skali, zdobił czarny pointylistyczny portret Andrego The Gianta. Kiedy zaczęły się podnosić, posępne tarczycowe spojrzenie zapaśnika zmieniło się w halogenową jasność. Bigend wprowadził samochód do rozległego pomieszczenia przypominającego hangar, nieco tylko mniejszego niż siedziba Bobby'ego Chomba, ale i tak robiącego wrażenie. Zaparkowano w nim sześć identycznych srebrnych sedanów, stały w równym rzędzie obok nowiutkiego żółtego wózka widłowego i wysokiej sterty płyt gipsowych.

Bigend zatrzymał wóz. Strażnik w czarnych szortach mundurowych i bluzie z krótkimi rękawami spoglądał na nich zza lustrzanych okularów. Na prawym udzie wisiała mu ciężka kilkukomorowa kabura.

Hollis nagle poczuła nieprzewartą chęć, by wysiąść z maybacha i pobawić się nią.

Drzwi samochodu otworzyły się, jakby był hybrydą sejfu bankowego i torebki wieczorowej Armaniego; z jednej strony idealne zabezpieczenie przed atakiem bombowym, z drugiej nieziemski wdzięk i elegancja. Na szczęście porowata powierzchnia betonowej podłogi upstrzona odłamkami gipsu stanowiła uspokajający kontrast. Strażnik machnął pilotem i usłyszała, jak segmentowana stal za nimi zaczyna się poruszać.

– Tędy proszę – Głos Bigenda przebił się przez rumor zamykanych wrót. Wysiadł z maybacha nie kłopotząc się zamknięciem drzwi po stronie kierowcy, więc i ona zostawiła swoje w podobnej pozycji. Obejrzała się dyskretnie, zrównując z nim krok, i zobaczyła, że wóz stoi tam nadal otwarty, niczym wylot jaskini wyściełanej jagnięcą skórą, lśniąca szarością w ostrym świetle lamp garażu.

– Tracimy najlepsze, co w tej dzielnicy, w miarę jak postępuje modernizacja zabudowy – powiedział, przeprowadzając ją obok wysokiego na dziesięć stóp stosu płyt wiórowych.

– Najlepsze?

– Zdecydowanie. Prawdę mówiąc będzie mi brakowało tego bałaganu. Tak pięknie rozprasza gości. Lubię deprymować ludzi. W zeszłym tygodniu otworzyliśmy biura w Pekinie, z których ani trochę nie jestem zadowolony. Trzy piętra w nowo oddanym budynku, naprawdę niewiele dało się zrobić. No ale to Pekin – wzruszył ramionami. – Jaki mieliśmy wybór?

Nie była pewna, czy rozumie, więc zmilczała. Poprowadził ją na górę szerokimi schodami do pomieszczenia, które najwyraźniej zamierzano zaadaptować na lobby. Kolejny strażnik, wpatrzony w ekrany telewizji przemysłowej, kompletnie zignorował ich obecność.

W windzie, gdzie wszystkie powierzchnie obłożono pokrytymi warstwą pyłu arkuszami falistego kartonu, Bigend uniósł róg jednego z nich i nacisnął klawisz na panelu. Wjechali dwie kondygnacje i drzwi ponownie się rozsunęły. Gestem poprosił, by poszła przodem.

Wyszła na korytarz, na którym podobne kartony zakrywały niemal całą szarą wykładzinę. Idąc po nich dotarli do sali konferencyjnej z masywnym stołem otoczonym sześcioma krzesłami. Nad nim na ścianie znajdował się jej portret autorstwa Antona Corbijna, w idealnej rozdzielczości, mimo iż rzucono go na ekran o przekątnej niemal trzydziestu stóp.

– Wspaniały obraz – powiedział Bigend, gdy przeniosła wzrok znów na niego.

– Nigdy się do niego nie przyzwyczaję.

– Może dlatego, że bycie gwiazdą jest czymś w rodzaju *tulpa* – odparł.

– Co takiego?

– *Tulpa* oznacza tworzenie rzeczy za pomocą myśli. To termin z tybetańskiego mistycyzmu. Gwiazdorstwo ma swoje własne życie. Może nawet, w sprzyjających okolicznościach, przeżyć śmierć nosiciela. Czyż Elvis nie jest tego znakomitym przykładem?

Ta opinia przypomniała jej, jak bardzo podobne zdanie w tej materii miał Inchmale, choć sama również wierzyła, że to prawda.

– A co się dzieje – zapytała – jeśli gwiazdorstwo umiera pierwsze?

– Niewiele – odparł. – I w tym problem. Ale obrazy tego kalibru stanowią znakomite zabezpieczenie. A muzyka jest najbardziej pozaczasowym z mediów.

– Przeszłość nie umarła. Ona nawet nie jest przeszłością – cytując Inchmale'a, zacytowała Faulknera. – Mógłbyś zmienić kanał?

Machnął rękaw stronę ekranu i na jej miejscu pojawił się hook. Tym razem radziecki helikopter widziany był od dołu.

– Jak sądzisz, o co w tym wszystkim chodzi? – Uśmiech pojawił się i zniknął jak błysk latarni morskiej. Pomieszczenie nie miało okien i jedynym źródłem światła był projektor.

– Lubisz deprimować ludzi?

– Tak.

– Zatem i mnie.

– Owszem. I myślę, że byłoby naprawdę niedobrze, gdybyś nie czuła się zdeprimowana.

Podeszła do stołu konferencyjnego i przejechała palcem po czarnym blacie, zostawiając wyraźny ślad w pokrywie gipsowego pyłu.

– To naprawdę będzie czasopismo?

– Wszystko – odparł Bigend – jest możliwe.

– Wszystko – odbiła piłeczkę – jest możliwe, zwłaszcza oszustwo.

– Traktuj mnie jak patrona, proszę.

– Nie podoba mi się brzmienie tego słowa.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym roku – zaczął Bigend w tym kraju żyli ludzie, którzy nigdy nie słyszeli odtwarzanej muzyki. Nie było ich wielu, ale istnieli. A to było niespełna sto lat temu. Twoja kariera „studyjna” – wykonał palcami znak cudzysłowu – miała miejsce pod koniec okresu technologicznego, który trwał niespełna sto lat. Okresu, w którym odbiorcy muzyki nagrywanej nie mieli pojęcia, w jaki sposób powstaje upragniony przez nich produkt. Mogli kupować nagrania, ale nie potrafili ich duplikować. Curfew pojawiło się na scenie w momencie, gdy system ten zaczynał erodować. Wcześniej artystom płacono za występy, wydawali oraz sprzedawali nagrania albo mieli patronów. Gwiazda pop, jaką znamy – tutaj uklonił się lekko w jej kierunku – była prawdę mówiąc jedynie artefaktem przedwszechobecných mediów.

– Artefaktem czego...?

– Chodzi mi o stan, w jakim mass media funkcjonowały w otaczającym je świecie.

– W przeciwieństwie do...

– Stanu, w którym to one zawierają świat w sobie.

Światła w pokoju przygasły, gdy wypowiedział te słowa. Uniosła spojrzenie na ekran, pojawił się glif metalicznej niebieskiej mrówki.

– Co jest w kontenerze Chomba? – zapytała.

– To nie jest kontener Chomba.

– W twoim kontenerze.

– To nie jest nasz kontener.

– Nasz, czyli twój i czyj jeszcze?

– Twój.

– To nie jest mój kontener.

– Przecież to właśnie powiedziałem – rzekł Bigend uśmiechając się.

– Zatem czyj?

– Tego nie wiem. Ale ufam, że się tego dowiesz.

– Co zawiera?

– Tego też nie wiemy.

– A co Chombo ma wspólnego z tą sprawą?

– Chombo znalazł sposób, aby lokalizować go od czasu do czasu.

– Dlaczego więc nie zapytasz go wprost?

– Bo to tajemnica. Zapłacono mu dobrze, żeby zachował ją dla siebie, a jak sama zauważyłaś, to typ człowieka, który uwielbia tajemnice.

– Kto mu zapłacił?

– To jeszcze większa tajemnica.

– Myślisz, że to mógł być właściciel kontenera?

– Albo jego ostateczny odbiorca, o ile taki w ogóle istnieje. Nie mam pojęcia. Ale ty, Hollis, jesteś osobą, z którą mam nadzieję, Bobby chętnie na ten temat porozmawia.

– Nie byłeś obecny przy poprzedniej rozmowie. On wcale nie wyglądał na zachwyconego, kiedy Alberto przyprowadził mnie ze sobą. I nie zauważyłam żadnych oznak sugerujących kolejne zaproszenia.

– I tu się mylisz – odparł Bigend. – Kiedy dotrze do niego, że będzie mógł cię znowu zobaczyć, odezwie się.

– A co mają z tym wspólnego iPody?

Uniósł brew.

– Rausch kazał mi wypatrywać iPodów wykorzystywanych do przechowywania danych. Ludzie

naprawdę nadal to robią?

– Chombo od czasu do czasu pakuje dane do i Poda i wysyła go poza granice Stanów.

– Jakie dane?

– Teoretycznie pliki muzyczne. Nie mieliśmy okazji tego sprawdzić.

– Wiesz, dokąd je wysyła?

– Wiemy, że najpierw trafiają do San Jose na Kostaryce, ale co się z nimi dzieje dalej, jeden Bóg tylko wie.

– Kto je odbiera?

– Ktoś, kogo jedynym zajęciem jest otwieranie wyjątkowo drogiej skrzynki pocztowej. W San Jose to dość powszechne zajęcie. Pracujemy nad tym. Byłaś tam kiedyś?

– Nie.

– Jest tam całkiem spora kolonia byłych pracowników CIA. Również DEA. Mamy tam teraz kogoś, kto stara się po cichu sprawdzić to i owo, ale na razie nie zaszedł za daleko.

– Dlaczego tak bardzo interesuje cię zawartość tego kontenera?

Bigend wyjął z kieszeni bladoniebieską chusteczkę z mikrofazy, wysunął jedno z krzeseł i porządnie je odkurzył.

– Usiądź – zaproponował wskazując na nie.

– Dziękuję, postoję. Ale ty się nie krępuj.

Usiadł. Spojrzał na nią z dołu.

– Nauczyłem się cenić anomalie. Osobliwe rzeczy, które ludzie robią w sekrecie, interesują mnie najbardziej. Wydaję naprawdę dużo pieniędzy, aby je zrozumieć. To dzięki nim Blue Ant osiąga takie sukcesy na rynku. Na przykład Trope Slope, nasza wirusowa platforma reklamowa, została stworzona na bazie anonimowych filmików zamieszczanych w Sieci.

– Ty to zrobiłeś? Wpakowałeś to gówno w tło wszystkich starych filmów? To kurewsko popierdolone. Wybacz łacinę.

– Ale buty idą jak woda.

– A jaką korzyść możesz odnieść z tego, co zawiera kontener?

– Nie mam pojęcia. Może żadną. J dlatego te poszukiwania są tak intrygujące.

– Nie rozumiem.

– Wywiad, Hollis, jest przeciwieństwem reklamy.

– To znaczy?

– Sekrety – powiedział Bigend wskazując na ekran – są fajne.

Zobaczyła wewnątrz sali, siebie i Bigenda stojących obok stołu. Bigend jeszcze nie usiadł, kamera ujmowała ich gdzieś z góry. Jego wizerunek na ekranie wyjął bladoniebieską chusteczkę, wysunął jedno z krzeseł i zaczął je dokładnie wycierać, najpierw podłokietniki, potem oparcie i siedzisko.

– Sekrety – powtórzył Bigend siedzący tuż obok niej – są cholernie fajne.

21. SÓL Z SOFII

Tito przeszedł na drugą stronę ulicy Amsterdam, potem przysypaną warstewką śniegu namiastkę parku i skierował się w dół Sto Jedenastej Ulicy, prosto na Broadway.

Śnieg przestał padać.

Z daleka rozpoznał sylwetkę kuzynki. Vianca, stała pod Banco Popular ubrana jak nastolatka. Ciekawe, kto jeszcze znajdzie się na jego trasie do Chinatown?

W momencie gdy docierał do środkowego Broadwayu, Vianca zniknęła już z pola widzenia. Skręcił na południe, wybierając chodnik po zachodniej stronie ulicy, i ruszył ku Sto Dziesiątej Ulicy trzymając ręce w kieszeniach. Gdy mijał warsztat ramiarski, sylwetka kuzynki mignęła mu w głębi lustra na wystawie – właśnie przechodziła przez ulicę pod ostrym kątem, kilka jardów za jego lewym ramieniem.

Gdy wkraczał w kłębowisko tuneli metra ukrytych pod grubą warstwą stali i asfaltu, zauważył, że ma przyspieszony oddech.

Lokalna „jedyńka” nadjechała dosłownie jak na zawołanie, ledwie stanął na peronie. Zamierzał podjechać metrem na Canal Street, a potem spokojnie pójść dalej na wschód. Wsiadł do wagonu, mając pewność, że Vianca i co najmniej dwa inne ogony zdążyły zrobić to samo. Protokół w punkcie „śledzenie i identyfikacja” wymagał uczestnictwa minimum trzech osób.

Gdy minęli Sześćdziesiątą Szóstą Ulicę, z tylnego wagonu wyszedł Carlito. Tito był sam w tej części składu, jeśli nie liczyć Vianki, która siedziała na szarym końcu przedziału udając, że gra na przenośnej konsoli.

Carlito ubrany był w ciemnoszary płaszcz i szal, może o jeden ton jaśniejszy, na rękach miał czarne skórzane rękawiczki tak obcisłe, że Tito pomyślał, iż zostały wyciosane z hebanu, na nogach zaś czarne kalosze ochraniające włoskie buty z polerowanej skóry cielęcej. Wyglądał na człowieka o poglądach konserwatywnych, obcokrajowca, niezasymilowanego i na swój sposób religijnego.

Usiadł po lewej stronie Tita.

– Co słyszeć – zapytał po hiszpańsku – u Juany?

– Wszystko w porządku – odparł Tito.

– Spotkałeś się z nim. – To nie było pytanie.

– Tak.

– Dostałeś instrukcje.

– Tak.

Tito poczuł, że Carlito wsuwa mu coś do kieszeni.

– *Bulgaro*. – Jedno słowo wuja wyjaśniło, czym jest ten ciężki przedmiot.

– Działa?

– Tak. Wymieniłem zawór.

Pistolety Bułgara miały już niemal pół wieku, ale wciąż były zadziwiająco skuteczne. Od czasu do czasu trzeba było wymienić zaworek znajdujący się w dolnej części zbiorniczka służącego równocześnie za kolbę, ale nie była to przesadnie skomplikowana czynność.

– Naładowany?

– Solą – odparł Carlito.

Tito pamiętał solne kartridże z żółtymi, szklistymi membranami zamykającymi z obu stron jednocalowe odcinki śmiesznie pachnącej tekturowej rurki.

– Musisz być gotowy do odejścia.

– Na jak długo? – Tito był świadom, że jego pytanie jest nie na miejscu, jednakże nauka Alejandra nie poszła w las.

Carlito nie odpowiedział.

Tito miał już na końcu języka pytanie o to, co jego ojciec robił dla starego, gdy zginął.

– Nie mogą go złapać. – Carlito poprawił twardymi, odzianymi w skórę dłońmi wiązanie szala. – Nie mogą ciebie złapać. Tylko przedmiot, który dostarczysz, musi być zabrany, i to tak, aby nie zorientowali się, że został im podrzucony.

– Co jesteście mu winni, wujku?

– Widział, jak przybywamy. Dotrzymał słowa.

Carlito wstał, kiedy pociąg dojechał do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Jedna z hebanowych dłoni wuja spoczęła na moment na ramieniu Tita.

– Spraw się, bratanku. – Odwrócił się i odszedł.

Tito przebił wzrokiem kłębowisko ciał wsiadających pasażerów, mając nadzieję, że Vianca nadal siedzi na swoim miejscu, ale jej też już nie było.

Sięgnął do kieszeni i namacał wyjątkową, niezwykle precyzyjnie wykonaną przez Bułgara broń. Zawinięto ją luźno w nowiutką białą chińską chusteczkę, wciąż sztywną od krochmalu.

Gdyby wyjął ją z kieszeni, ludzie stojący obok pomyśleliby, że zamierza wytrzeć nos. Tito nie musiał zaglądać, żeby mieć pewność, iż w bardzo krótkiej lufie znajduje się kartonowy nabój pełen

dokładnie zmielonej soli. Dlatego pistolecik pozostał tam, gdzie był. Teraz, gdy zastąpiono silikonem oryginalne gumowe zaślepiki robione przez Bułgara, broń mogła być użyta nawet po upływie czterdziestu ośmiu godzin.

Ciekawe, czy ta sól także pochodzi z Bułgarii, pomyślał Tito. Gdzie produkuje się takie naboje? W Sofii? A może w Moskwie? A może w Londynie, gdzie podobno Bułgar pracował, zanim dziadek sprowadził go na Kubę? A może w Hawanie, tam, gdzie dokonał żywota?

Pociąg opuścił stację Columbus Circle.

22. BĘBNI I BAS

Pamela Mainwaring, Angielka z blond lokami zakrywającymi całe czoło, odwiozła Hollis do Mondriana jednym ze srebrnych sedanów. Po drodze wyznała, że wcześniej pracowała w biurze agencji Blue Ant w Londynie, potem rozważała odejście, ale zaproponowano jej przeniesienie tutaj, by pełniła nadzór nad działaniami firmy za oceanem.

– Nigdy wcześniej nie spotkałaś Hubertusa – oceniła, gdy jechały stojedynką.

– To takie oczywiste?

– Powiedział mi o tym, kiedy wyjeżdżał na spotkanie z tobą. Hubertus uwielbia współpracę z nowymi talentami.

Hollis spojrzała za okno, na mijany krajobraz, rozchwiane czarne wierzchołki palm podświetlone szarawo-różowym blaskiem.

– Po tym jak już go spotkałam, zadziwia mnie, że nigdy wcześniej o nim nie słyszałam.

– Wiele robi, żebyś o nim nie słyszała. Nie chce, żeby ludzie słyszeli o Blue Ant. Sami siebie określamy jako pierwszą agencję wirusową. Hubertus nie cierpi tego określenia, i ma powody. Stawianie na pierwszym planie agencji albo jej założyciela uważa za niecelowe. Mawia czasem, że jego marzeniem jest działać jak w czarnej dziurze, w niebycie, ale nie ma możliwości, by osiągnął podobny stan. – Zjechały z autostrady. – Potrzebujesz czegoś?

– Słucham?

– Hubertus chce, żebyś miała wszystko, czego możesz potrzebować. I kiedy mówię „wszystko”, mam na myśli naprawdę wszystko. W końcu ten projekt to jego ukochane dziecko.

– Jak bardzo ukochane?

– Żadnych wyjaśnień, żadnych określonych celów czy ram budżetowych, no i absolutny priorytet. On zalicza go do swoich marzeń, mówi, że to coś w rodzaju fazy REM snu firmy. Uważa, że to dopiero początek. – Wyjęła z kieszeni w osłonie przeciwsłonecznej volkswagena wizytówkę i podała ją Hollis. – Na wszelki wypadek. Po prostu zadzwoń. Masz samochód?

– Nie.

– Chcesz ten? Mogę ci go zostawić.

– Nie, dziękuję.

– Gotówkę?

– Nie mam przy sobie rachunków.

Pamela Mainwaring wzruszyła ramionami.

Przejechały obok posągów przy wejściu. Hollis otworzyła drzwi od swojej strony, zanim samochód na dobre się zatrzymał.

– Dziękuję za odwiezienie. Miło było cię poznać. Dobrej nocy.

– Dobranoc.

Hollis zamknęła drzwi. Gdy srebrny sedan ponownie zanurzał się w strumieniu aut na Sunsecie, światła przy wejściu Mondriana odbiły się mdło na jego karoserii.

Nocny strażnik otworzył jej drzwi, w jego uchu tkwiło coś, co przypominało ozdobny karabińczyk.

– Panna Henry?

– Tak?

– W recepcji jest wiadomość dla pani – powiedział, wskazując kierunek. Ruszyła w stronę kontuaru, mijając po drodze dziwną krzyżową kanapę obitą dziewczęco białą skórą.

– Wreszcie pani wróciła – powiedział model za kontuarem, gdy Hollis podała mu swoje dane. Chciała zapytać, czego używa do barwienia brwi, ale się powstrzymała. Wyczarował dla niej kwadratowy brązowy karton, o bokach nie dłuższych niż pół metra, i kazał podpisać przypięte do niego dokumenty.

– Dziękuję – powiedziała, zabierając przesyłkę. Nie była taka ciężka. Odwróciła się i ruszyła w stronę wind.

I wtedy zobaczyła na rozkrzyżowanej kanapie Laurę Hyde, zwaną też Heidi, dawną perkusistkę Curfew. W tejże chwili częścią świadomości odnotowała, iż nie przywidziało jej się, że dostrzegła ją dzisiaj przejeżdżającą opodal Virgin Records.

– Heidi? – zapytała, choć nie miała żadnych wątpliwości.

– Laura – poprawiła ją Hyde. Miała na sobie coś, co Hollis oceniła jako ciuchy od Girbauda. Nabrała dzięki nim nieco blade-runnerowego wyglądu, lecz i tak pasowała do klimatu tego holu. Jej ciemne włosy zostały przystrzyżone tak, że korespondowały ze strojem, aczkolwiek Hollis nie umiałaby powiedzieć, dlaczego tak jest.

– Jak się masz, Lauro?

– Nieciekawie. Inchmale wyciągnął mój numer komórki od faceta z Nowego Jorku. Byłego przyjaciela. – Zabrzmiało to tak, jakby podanie numeru Inchmale'owi zakończyło tę przyjaźń. – Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że tutaj jesteś.

– Przepraszam...

– To nie twoja wina. Naprawdę. Laurence przegląda materiały z dzisiejszych zdjęć dwie przecznice stąd. Gdybym nie przyjechała tutaj, musiałabym być tam.

– Produkuje?

– Reżyseruje.

– Gratulacje. Nie wiedziałam.

– Ja też nie.

Hollis zawahała się, nie wiedziała, jak zareagować.

– Nie na to się pisałam. – Szerokie, pełne usta Laury zrobiły się zupełnie proste, co nie wróżyło niczego dobrego. – Z drugiej strony, to na pewno nie potrwa długo.

Miała na myśli reżyserowanie męża czy małżeństwo? Hollis nigdy nie umiała jej rozgryźć. Podobnie zresztą jak inni, jeśli wierzyć Inchmale'owi, który utrzymywał, że bębnienie było jedynym sposobem, w jaki Heidi komunikowała się ze światem.

– Napijesz się czegoś, a może... – Hollis odwróciła się z kartonem przyciśniętym do piersi, ściskając kurczowo zaimprovizowaną torebkę w lewej dłoni, i zobaczyła, że bar w holu całkowicie zmienił wygląd, wewnątrz odarto ze świec wotywnych i kandelabrow, przystosowując do japońskiego śniadania, a w każdym razie takiego, jakie można zjeść tylko za pomocą czarnych pałeczek, na dodatek jeszcze nie podanego. Czując głęboką niechęć do zaproszenia Heidi na górę, do pokoju, ruszyła w stronę niekończącego się marmurowego stołu.

– Nie piję – powiedziała Heidi. – O co tu chodzi, do kurwy nędzy? – Wskazała na tyły pomieszczenia, za zamknięty bar, który musiano przearanżować, aby pomieścić wielkie skrzynie na kółkach.

Hollis zwróciła uwagę na te instrumenty już wcześniej, kiedy się meldowała. Jeden bęben conga, zestaw bongo, gitara akustyczna oraz elektryczna basowa, te dwie ostatnie wisiały na tanich chromowanych stojakach. To były używane instrumenty, nawet bardzo, chociaż wątpiła, czy ktokolwiek grał na nich ostatnio, a jeśli już, zapewne robił to bardzo rzadko.

Heidi nie zatrzymała się, jej barki perkusistki poruszały się miarowo wewnątrz blezera od Girbauda w kolorze zmatowiałego indygo. Hollis przypomniała sobie jej bicepsy, gdy występowały wspólnie w Curfew, a Heidi nosiła koszulki z krótkim rękawem. Ruszyła za nią.

– Co to za gówno? – Spojrzała najpierw na instrumenty, potem na Hollis. – Mamy pomyśleć, że wpadnie do nich Clapton? Że odbędzie się sesyjka, kiedy już opchamy się sushi?

Niechęć Heidi do stylizowanego wystroju wewnątrz brała się z niechęci do wszelakich oznak sztuki, zdaniem Hollis. Córka technika wojskowego była jedyną znaną Hollis kobietą, której podobało się spawanie, ale tylko gdy trzeba było naprawić jakiś użyteczny przedmiot.

Hollis przyjrzała się drewnianej, nie firmowej gitarze.

– Czas na Hootenanny. Wydaje mi się, że odwołują się do epoki przedbeatlesowskiego Venice Beach.

– Odwołują się – powtórzyła Laura. – Laurence twierdzi, że on odwołuje się do Hitchcocka. – Powiedziała to tak, jakby mówiła o wstydlivej chorobie.

Hollis jeszcze nigdy nie spotkała Laurence'a, ale prawdę mówiąc nigdy nie miała po temu ani okazji, ani ochoty, a sama Heidi zniknęła jej z oczu chwilę po rozwiązaniu Curfew, lecz teraz, gdy pojawiła się obok tych bitnikowsko-jazzowych zabytków rodem ze Starck's goy Scouts of America, ożyły wszystkie wspomnienia i ból po Jimmym. Czuła się tak, jakby się go spodziewała, jakby powinien tutaj być, jakby był tutaj, tylko zniknął jej z oczu albo wyszedł gdzieś za róg – Czy spirytyści nie ustawiają instrumentów w swoich salonach właśnie w taki sposób podczas seansów? Z tych czterech instrumentów nie można było zagrać jedynie na gitarze basowej, na takiej samej, jakiej używał Jimmy. Nie było kabli, wzmacniacza, kolumn. Ciekawe, co stało się z Jimmym Świńskim Ryjem, pomyślała.

– Był u mnie na tydzień przed śmiercią. – Heidi odezwała się tak nieoczekiwanie, że Hollis aż podskoczyła. – Siedział w tym miejscu za Tucson, odbębnił dwadzieścia osiem dni. Mówił, że chodzi na spotkania.

– Tutaj się widzieliście?

– Tak. Dopiero poznałam Laurence'a. Nawet ich sobie nie przedstawiłam. Wiesz, Jimmy nie wyglądał za dobrze. Znaczą, według mnie. – Ten aspekt osobowości Heidi, który zawsze zaskakiwał Hollis, ta czułość przebijająca chwilami spod maski obcesowości, dziecinności i strachu, pojawił się na moment i zaraz zniknął. – Byłaś w Nowym Jorku, kiedy umarł?

– Tak. Ale nie w północnej części stanu. Byłam w samym mieście, tyle że nie wiedziałam nawet, że wrócił. Nie widziałam go prawie od roku...

– Był ci winien pieniądze.

Hollis spojrzała na nią.

– Tak. Był. Prawie o tym zapomniałam.

– Powiedział mi, że pożyczył od ciebie pięć tysięcy w Paryżu pod koniec naszej trasy.

– Zawsze mówił, że mi je odda, ale prawdę mówiąc, nie liczyłam specjalnie na to.

– Nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować – powiedziała Heidi wkładając dłonie do kieszeni blezera. – W końcu uznałam, że prędzej czy później sama się pokażesz. No i jesteś. Przepraszam, że nie oddałam ci tego wcześniej.

– Czego?

Heidi wyjęła z kieszeni postrzępioną na brzegach białą kopertę, teką, w jakich wysyła się listy, i podała ją Hollis.

– Pięćdziesiąt setek. W tej samej kopercie, którą mi dał.

Hollis dostrzegła własne inicjały napisane wyblakłym już czerwonym atramentem w lewym górnym rogu. Zabrakło jej tchu. Zmusiła się do westchnięcia. Nie bardzo wiedząc, co ma zrobić z kopertą, położyła ją na kartonowym pudle i spojrzała w oczy Heidi.

– Dzięki. Dzięki, że przetrzymałaś ją dla mnie.

– To było dla niego takie ważne. Odnosiłam wrażenie, że cała reszta, nawet to, o czym mówił, wcale się nie liczy. To miejsce w Arizonie, program odwykowy, te oferty nagrań w Japonii... Ale jednego chciał na pewno: żebyś dostała te pieniądze z powrotem, i właśnie dlatego dał je mnie. Może dlatego – zmrużyła oczy – że skoro już mi powiedział, że jest ci dłużny, nigdy w życiu nie oddałabym mu ich na kolejne prochy.

Inchmale powiedział kiedyś, że Curfew powstało na solidnych dźwiękowych fundamentach uporu i wojowniczego braku wyobraźni Heidi, ale nawet wiedza o tych cechach nigdy nie ułatwiała im życia z nią, no ale wiedzieli o tym dobrze od samego początku. Hollis zawsze zgadzała się z tym twierdzeniem, lecz dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo było prawdziwe.

– Zabieram się stąd – powiedziała Heidi, ściskając Hollis szybko i lekko, co jak na nią i tak było wyjątkowym pokazem czułości.

– Do widzenia... Lauro.

Patrzyła za nią, kiedy szła w stronę wyjścia, mijała krzyżową kanapę i znikwała za drzwiami.

23. DWAJ MAUROWIE

Milgrim czekał na Browna w koreańskiej pralni naprawdę długo. Po pewnym czasie w lokalu pojawił się młodszy Azjata, zapewne syn właściciela, z brązowymi torbami zawierającymi chińskie zarcie i przekazał je bez słowa komentarza. Milgrim odsunął na bok stopy czasopism zalegających na stoliku do kawy i rozpakował swój lunch. Czysty ryż, kurczakowe nuggety posmarowane czerwonym barwnikiem numer 3, fluorescencyjne kawałki warzyw i tajemnicze, cienko krojone ciemnobrązowe mięso. Mając wybór, Milgrim wziął plastikowy widelec, nie pałeczki. Gdyby podano ci takie jedzenie w więzieniu, pocieszał się w duchu, uznałbyś je za ucztę. Chyba że byłoby to chińskie więzienie – skontrowała ta mniej chętna do współpracy część jego osobowości, ale nie przeszkodziło mu to w metodycznym opróżnieniu naczyń. Przy Brownie należało korzystać z każdej nadarzającej się okazji do jedzenia.

Jedząc, rozmyślał na temat dwunastowiecznej herezji Wolnego Ducha. Albo Bóg jest wszystkim, głosili wyznawcy Wolnego Ducha, albo niczym. A dla nich bez wątpienia był wszystkim. Nie istniało nic, co nie byłoby jego częścią, bo jakże mogłoby coś takiego istnieć? Milgrim nigdy nie miał ciągot do metafizyki, ale teraz kombinacja uwięzienia, wydzielania prochów i tekstu książki pokazała mu dobitnie, jak wielką przyjemność mogą dawać rozważania tego rodzaju. Zwłaszcza gdy kontempluje się postaci wyznawców Wolnego Ducha, przypominających krzyżówkę Charliego Mansona i Hannibala Lectera, ludzi uważających, że skoro wszystko pochodzi od Boga, ci, którzy dostąpili największego zbliżenia do boskości, mogą uczynić praktycznie wszystko, ze szczególnym naciskiem na to, co do tej pory było zakazane przez tych, którzy nie dostąpili jeszcze oświecenia przez Wolnego Ducha. Dlatego też uprawiali seks bez umiaru, z każdą osobą, jaka wyraziła na to zgodę albo i nie, gwałty bowiem uważano za rzecz dopuszczalną i prawą, podobnie jak morderstwa. Było to coś w rodzaju tajnego kultu dającego usprawiedliwienie wszelkiej maści socjopatom, a Milgrim doszedł do wniosku, że odkrył najbardziej pokręcony przykład zachowań ludzkich, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Dla przykładu, ktoś taki jak Manson, gdyby trafił między braci i siostry Wolnego Ducha, pozostałby nikiem. I bardzo by mu się to nie spodobało. Bo jakże tu być Charliem Mansonem w zbiorowisku seryjnych morderców i gwałcicieli, którzy przekonują się wzajemnie, że Wszystkie ich czyny są manifestacją Wolnego Ducha?

Ale istniał także inny aspekt Wolnego Ducha, przewijający się Przez niemal całą książkę, który nie mniej fascynował Milgrima. Chodziło o łatwość, z jaką rodzą się takie herezje; w tym wypadku miał do czynienia ze spontanicznym ruchem powstałym wokół średniowiecznego osobnika będącego odpowiednikiem dzisiejszego bełkoczącego bezdomnego łazęgi. Zorganizowana religia w tamtych czasach, co widział na tym przykładzie, ginęła pośród szumów, będąc zarazem medium i przekazem, tworząc jednokanałowy świat. Dla Europy owym kanałem było chrześcijaństwo, a nadajnik znajdował się w Rzymie, lecz żaden sygnał nie docierał do ludzi szybciej, niż mógł tego dokonać jeździec na koniu. Istniała oczywiście hierarchia oraz dopracowana metodologia rozsiewania sygnału, wszystko więc niby było pod kontrolą, ale opóźnienia wynikające z zacofania technologicznego sprawiały, że szum herezji brał górę i zagłuszał właściwy przekaz.

Trzaśnięcie drzwiami wyrwało Milgrima z zamyślenia. Oderwał spojrzenie od pozostałości po lunchu i stał się świadkiem wkroczenia do pralni ogromnego Murzyna, bardzo wysokiego i bardzo masywnego, odzianego w obszerny płaszcz z czarnej skóry, dwurzędowy, z paskiem, i wełnianą

prostą czapkę, jaką noszą marynarze, naciągniętą aż na uszy. Czapka z jakiegoś powodu skojarzyła się Milgrimowi z dzierganym nakryciem głowy noszonym przez krzyżowców pod hełmami, co z kolei doprowadziło go do porównania skózanego barnstormera z sięgającą kolan kolczugą. I tak czarny rycerz wstąpił w progi pralni owego wczesnego, aczkolwiek mroźnego wieczora.

Milgrim nie był pewien, czy istnieli czarnoskórzy rycerze, ale uznał w końcu, że skoro nawracano Maurów, to i kilku afrykańskich gigantów nie byłoby niczym dziwnym w Chrystusowych zastępach. Zważywszy na historię Wolnego Ducha, był to bardzo prawdopodobny scenariusz.

Tymczasem czarnoskóry rycerz podszedł do kontuaru koreańskiej pralni i zapytał właściciela, czy podjąłby się czyszczenia futra. Koreańczyk odmówił tej usługi, a Murzyn pokiwał głową ze zrozumieniem. Potem omiół pralnię wzrokiem i skrzyżował spojrzenie z Milgrimem. Ten także skinął głową, choć nie miał pojęcia, dlaczego to robi.

I rycerz wyszedł. Przez okno Milgrim zobaczył, że spotkał się na chodniku z drugim niemal identycznie wyglądającym czarnoskórym mężczyzną, noszącym równie czarny skórzany dwurzędowiec z paskiem. Obaj ruszyli na południe, wzdłuż Lafayette, w identycznych wełnianych czapkach i w jednej chwili zniknęli z pola widzenia.

Gdy Milgrim sprzątał czarę z pianki i folię, w którą opakowano jego jedzenie, doznał dziwnego uczucia, że coś umknęło jego uwadze. Starał się, jak mógł, ale nie zdołał określić, cóż to mogło być.

To był taki długi dzień.

24. MAKI

W zaciemnionym pokoju paliły się świece wotywnie. Napełniła wodą dzban ustawiony obok łóżka zaścielonego lśniąca bielą bawełnianej pościeli. Odłożyła karton, kopertę wypełnioną przez zmarłego Jimmy'ego Carlyle'a studolarówkami i prowizoryczną wieczorową torebkę na marmurowy wysoki stół znajdujący się w aneksie kuchennym.

Użyła tępego ostrza ukrytego w rękojeści korkociągu, aby rozciąć taśmę klejącą, którą zabezpieczono pudło.

W środku znalazła prostokątny kawałek szarego kartonu z dziwnym pismem przywodzącym na myśl sumeryjskie znaki. Leżał na wybrzuszonej się warstwie bąbelkowej folii.

„Musisz mieć własny. Naciśnij. H. „ – odcyfrowała napis.

Odłożyła kartonik na bok i zdjęła folię. Wewnątrz leżało coś czarnego, matowo srebrnego. Po chwili trzymała w dłoniach nieco bardziej agresywnie wyglądającą wersję bezprzewodowej maski, jakiej używała do obejrzenia kałamarnicy Bobby'ego Chomba. Na rozpiętej opasce zauważyła identyczny zestaw prostych przycisków. Odwróciła maskę, szukając logo producenta, ale nie znalazła niczego takiego. Znalazła za to miniaturowy napis: MADE IN CHINA, ale na czym dzisiaj nie znajdziesz podobnego?

Przymierzyła maskę, nie zamierzając robić niczego więcej, jak tylko przyjrzeć się oświetlonemu blaskiem świec odbiciu w lustrze, ale przypadkiem musiała dotknąć jeden z przycisków.

– Instalacja lokacyjna w twoim pokoju – powiedziała Odile, a zabrzmiało to tak, jakby stała tuż obok Hol'is. Aż usiadła na zaścielonym łóżku, chwytając za maskę od Bigenda, tak zaskakujące to było. – Maki Moneta. Rotch. – Kim jest Rotch? – Maki i to, Co znajduje się w ich tle, są ekwiluminacyjne.

Nie wyższe od łóżka, czerwono-pomarańczowe, kołysały się leniwie, jakby rosły na prawdziwym polu.

Obracała głowę, sprawdzając, jaki to da efekt.

– To część produkowanej właśnie serii. Argenteuil. Pani Rotch – znów to samo nazwisko – stara się wypełniać makami Moneta każdą wolną przestrzeń. Zadzwoń do mnie, gdy dostaniesz tę wiadomość. Musimy porozmawiać, także o Chombie. – Wymówiła jego nazwisko jak „Shombo”.

– Odile?

To było tylko nagranie. Nadal przycupnięta na łóżku zanurzyła lewą dłoń w łanie maków, choć wiedziała, że tak naprawdę nie istnieją. Ale niemalże czuła ich dotyk. Zsunęła ostrożnie nogi z materaca i postawiła stopy na podłodze, w otoczeniu czerwonych kwiatów. Brodziła w nich w stronę zaciągniętych zasłon, mając wrażenie, że unoszą się na powierzchni nieruchomego lustra wody. Choć zapewne nie było to intencją autorki, pomyślała.

Gdy dotarła do okna, rozsunęła łokciem zasłony i spojrzała w dół na Sunset, jakby oczekiwała, że Alberto przyozdobił wszystkie chodniki instalacjami martwych gwiazd, ołtarzami ich sławy i upadku, ale nie zauważyła nawet śladu jego sztuki.

Zdjęła maskę, wróciła do stołu poprzez nagłą pustkę, która zastąpiła pole maków, i naciskała kolejne klawisze, dopóki nie zgasła zielona leda. Gdy odkładała maskę do kartonu, zauważyła, że pod folią znajduje się coś jeszcze.

Wyjęła winylową mrówkę, logo Blue Ant. Zostawiła ją na stole, zabierając z niego wieczorową torebkę, i przeszła do łazienki. Gdy wanna napełniała się gorącą wodą, zamieniając w pianę dzienny przydział żelu pod prysznic, opróżniła kosmetyczkę i włożyła do niej przedmioty, które zazwyczaj tam trzymała.

Sprawdziła temperaturę wody, rozebrała się i weszła do wanny, sadowiąc się w niej wygodnie.

Przestała rozumieć, dlaczego Jimmy musiał pożyczyć od niej w Paryżu tak wielką sumę pieniędzy, dlaczego była skłonna mu je dać, a zwłaszcza jak to się stało, że miała przy sobie tyle gotówki.

Dała mu całą kwotę we frankach. Tak dawno temu to było.

Poziom wody podniósł się, kiedy ześlizgnęła się plecami niżej, zanurzając po samą brodę, a potem odchylając głowę do tyłu, tak że niewielkie fale załaskotały ją w policzki. Z lustra wody wystawała tylko wysepka twarzy. Isla de Hollis.

Maki Odile. Przypomniała sobie opowieść Alberta o tym, jak kształtuje i przyobleka w skórę nieszczęście kolejnego gwiazdora. Domyślała się, że maki Odile wymagają innej, o wiele prostszej skórki. Prawdę mówiąc można ją było zrobić z byle czego.

Wyprostowała się i zaczęła metodycznie wcierać szampon we włosy.

– Jimmy – powiedziała na głos. – Znów dałeś mi w kość. Ten świat jest dziwniejszy i głupszy, niż byłeś to sobie w stanie wyobrazić. – Na powrót zanurzyła pokrytą pianą głowę w wodzie. Łazienka powoli wypełniała się nieobecnością zmarłego przyjaciela, a w oczach Hollis, zanim zdołała opłukać włosy, pojawiły się łzy.

25. SUNSET PARK

Vianca usiadła po turecku na podłodze w pokoju Tita, trzymając na kolanach jego plazmowy telewizor. Na włosach miała czepek z siatki, a na dłoniach białe bawełniane rękawiczki i właśnie doczyszczala powierzchnię matrycy chusteczkami Armor Ali. Gdy już skończy, telewizor trafi do fabrycznego kartonu, który również przejdzie przez proces oczyszczenia.

Tito, w identycznej siateczce i rękawiczkach, siedział naprzeciw niej, polerując klawisze swojego casio. Cały karton środków czyszczących czekał w holu obok nowiutkiego i niebywale drogiego odkurzacza, niemieckiego, jeśli wierzyć zapewnieniom Vianki. Jego wnętrze może opuścić jedynie powietrze, twierdziła, więc nie ma obaw, że pozostanie tutaj jakikolwiek włos czy inny ślad. Kiedyś Tito pomagał kuzynowi Eusebiowi w takiej samej procedurze, ale tam miał do czynienia z książkami, z których każdą trzeba było przed wytarciem dokładnie przejrzeć w poszukiwaniu zapomnianych wrzutek. Nigdy nie dowiedział się, dlaczego Eusebio musiał uciekać. To też należało do protokołu.

Spojrzał w górę na symetrycznie rozmieszczone otwory w ścianie, tam, gdzie jeszcze niedawno wisiał telewizor.

– Wiesz, gdzie jest teraz Eusebio?

Vianca, mrużąc oczy, zerknęła na niego spod białej opaski utrzymującej siatkę na włosy.

– Doctores – powiedziała.

– Słucham?

– Doctores. Distrito Federal. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Wzruszyła ramionami i wróciła do czyszczenia.

Tito miał nadzieję, że nie będzie musiał jechać do Meksyku, do Mexico City. Nie opuszczał Stanów od momentu, gdy tutaj przybył, i teraz także wcale mu się to nie uśmiechało. Zwłaszcza że w dzisiejszej sytuacji powrót do kraju mógłby okazać się trudny. Zresztą w Los Angeles mieszkali jacyś ich krewni. Gdyby miał jakikolwiek wybór, wolałby pojechać do nich.

– Eusebio i ja razem uczyliśmy się *sistemy* – powiedział, odwracając do góry nogami keyboard, aby wyczyścić go także z drugiej strony.

– To był mój pierwszy chłopak – dodała Vianca, a jemu wydało się to wręcz nieprawdopodobne. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie jest już nastolatką.

– I nie wiesz, gdzie teraz przebywa?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Domyślam się, że w Doctores. Ale lepiej nie mieć pewności.

– W jaki sposób oni decydują, dokąd kogoś wysłać?

Odłożyła chusteczkę na pojemniczek Armor Ali i wyjęła segment pianki do pakowania. Idealnie pasowała na jeden koniec telewizora.

– To zależy od tego, kto będzie szukał. – Zabrała się do ochrania drugiego końca.

Tito rzucił okiem na niebieski wazon. Zupełnie o nim zapomniał. Musi znaleźć dla niego miejsce. Wiedział już nawet gdzie.

– A ty gdzie wyjechałeś po jedenastym września? – zapytała. – To znaczy, zanim dotarłeś tutaj.

Mieszkał za Canal Street razem z matką.

– Pojechaliśmy do Sunset Park. Razem z Antuliem. Wynajęliśmy dom. Czerwona cegła, bardzo małe pokoiki. Mniejsze od tego.

Jedliśmy dominikańskie żarcie. Spacerowaliśmy po starym cmentarzu. Antulio pokazał nam grób Joeya Calla. – Odłożył casio na bok i wstał, zdejmując przy tym siatkę na włosy. – Idę na dach oświadczył. – Mam tam coś do zrobienia.

Vianca skinęła głową. Właśnie wkładała obłożonego styropianem soniaka do kartonu.

Włożył płaszcz, podniósł wazon i wsunął go do bocznej kieszeni, wciąż mając na rękach białe rękawiczki. Wszedł, zamykając za sobą drzwi. Zatrzymał się w korytarzu, nie potrafiąc nawet nazwać tego, co czuł w tym momencie. Na pewno strach, ale to było zrozumiałe. I coś jeszcze. Granice, terytoria, ogromną pustkę? Pchnął drzwi przeciwpożarowe i wszedł po schodach. Gdy dotarł na piąte piętro, musiał pokonać jeszcze jeden, ostatni już. ciąg stopni w drodze na dach.

Beton pokryty warstwą asfaltu, żwir, tajemne ślady po World Trade Center. Alejandro, gdy byli tutaj razem, to zasugerował. Tito pamiętał siwy pył pokrywający grubą warstwą parapet za oknem sypialni matki w mieszkaniu przy Canal Street. Pamiętał schody przeciwpożarowe, w miejscach odległych od powalonych wież, szczelnie przysypane dokumentami. Zapamiętał, jak paskudnie wyglądała droga ekspresowa w Gowanus. Niewielki plac przed domem, w którym zamieszkali z Antuliem. Pociąg linii N z Union Square. I nieprzytomne spojrzenie matki.

Chmury przypominające grawiury ze starożytnej księgi. Blask, który okradł świat z kolorów.

Drzwi na dach wychodziły prosto na południe w najwyższym punkcie ukośnej konstrukcji, w której zamontowano ich futrynę. Część wschodniej ściany tej klinowej przybudówki nie została otynkowana, a w wystających z niej dawno poszarzałych wręgach, które przypominały prymitywny regał, stały różne przedmioty – wyrzucone lub pozostawione tutaj celowo. Upstrzone rudymi pianiami wiadro na kółeczkach z urządzeniem do wyciskania mopów. Były też same mopy, poszarzałe i wyblakłe, nawet ostre barwy ich drewnianych trzonków stały się z czasem delikatne, wręcz pastelowe. Białe plastikowe beczki z ostrzegawczymi symbolami czarnej czaszki ze skrzyżowanymi puszczelami, teraz całkowicie puste. Skorodowane narzędzia ze stali, tak stare, że nie dało się ich już zidentyfikować, przynajmniej Tito tego nie potrafił. I zardzewiałe puszki z farbami, których etykiety wyblakły do tego stopnia, że nikt już nigdy ich nie odczyta.

Wyjął wazon z kieszeni i oczyścił go bawełnianymi rękawiczkami. Oszun posiada niezliczone

domy podobne do tego, pomyślał, niezliczone okna na ten świat. Ustawił wazon przy samej ścianie i zastawił go puszkami, tak by nie był widoczny. Tutaj, na dachu, mogło być różnie, ktoś może go znaleźć już jutro, ale może też stać nietknięty całymi latami.

Rządzi słodkimi wodami Ziemi. Najmłodsza kobieta pomiędzy bóstwami, a już nazywana Wielką Królową. Jej kolory to żółć i złoto, cyfra – pięć. Jej są pawie i sępy... – usłyszał w głowie głos ciotki Juany.

Skinął w stronę półki, ukrytego na niej ołtarzyka, a potem odwrócił się i zszedł po stopniach.

Gdy wrócił do pokoju, Vianca właśnie wyjmowała dysk z obudowy jego komputera. Spojrzała na niego.

– Skopiowałeś wszystko, co chciałeś zachować?

– Tak – odparł, dotykając Nano zawieszzonego na szyi. Talizmanu będącego zarazem zapisem jego muzyki.

Zdjął płaszcz, powiesił go na wieszaku i nałożył siatkę na włosy. Usiadł naprzeciw kuzynki i rozpoczął rytuał rozmontowywania, dalszego skrupulatnego usuwania wszelkich śladów, wycierania do czysta. Jak by to ujęła Juana: obmywał progi do nowej drogi.

26. GRAY'S PAPAYA

Czasami, gdy po dniu pracy Brown robił się głodny, a do tego miał jeszcze odpowiedni nastrój, udawali się do Gray's Papaya na ekstrawyżerkę czasów bessy. Milgrim zawsze dostawał do swojego posiłku oranżadę, która przypominała napój, czego nie można było powiedzieć o serwowanych tu sokach. W Gray's Papaya podawano soki, ale nigdy do specjalności zakładu, wydawać się mogło, że Gray nie widzi ich w swoim bukiecie smaków, na który składały się grillowane wieprzowe parówki, mięciutkie białe bułeczki i napoje firmowe, słodkie, konsumowane na stojąco w jasnym, buczącym świetle fluorescencyjnym jarzeniówek.

Jeśli zatrzymywali się w New Yorkerze, a zapowiadało się na to, że znów tam dzisiaj wylądują, mieli z Ósmej Alei do hotelu zaledwie dwie przecznice. Milgrim lubił chodzić do Gray's Papaya, działało to na niego uspokajająco. Pamiętał czasy, kiedy dwie paróweczki i napój, czyli właśnie Recession Special, kosztowały zaledwie dolara i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Milgrim wątpił, żeby Browna mogło cokolwiek uspokoić, wiedział jednak, że w Gray's Papaya agent robi się nieco rozmowniejszy. Brał do swoich parówek bezalkoholową *pina coladę* i objaśniał, na czym polegają podstawy kulturowego marksizmu w Ameryce. Kulturowy marksizm był tym, co inni ludzie nazywali poprawnością polityczną, jeśli wierzyć Brownowi, ale w rzeczy samej wywodził się z kulturowego marksizmu i przywędrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki z Niemiec tuż po drugiej wojnie światowej, umoszczony wygodnie pod sklepieniami czaszek profesorskich rodem z Frankfurtu. Szkoła frankfurcka, jak zwykli sarni siebie nazywać, nie traciła czasu, zapładniając nieustannie i skrycie umysły niczego nie podejrzewających staromodnych środowisk akademickich Ameryki. Milgrim uwielbiał tę część opowieści; przypominała mu stare dobre absurdałne powiastki sci-fi, skandowanie i podniecenie ziarnistych monochromatycznych eurokomuchów płodzących gwiazdziste symbole, odzianych w tweedowe marynarki i dziergane krawaty, mnożących się niczym nowe punkty Starbucks. Ale nieodmiennie czekało go rozczarowanie, kiedy Brown dochodził do konkluzji, że wszyscy oni w szkole frankfurckiej byli żydami.

– Każdy... jeden... z nich. – Wycierał resztki musztardy z kącików ust starannie złożoną serwetką. – Możesz to sprawdzić.

Dokładnie to samo stało się dzisiaj po długim dniu oczekiwania w koreańskiej pralni. Brown powtórzył swoją zamykającą kwestię, a Milgrim mu przytaknął przeżuwając ostatni kawałek drugiego hot doga i ciesząc się, że ma pełne usta i nie musi odpowiadać.

Gdy obaj skończyli, nadszedł czas. by udali się spacerkiem W górę Ósmej, prosto do New Yorkera. Ruch na ulicach był niewielki i dało się wyczuć w powietrzu ulotny zapach wiosny, iluzoryczny dotyk ciepła, który jak podejrzewał Milgrim, był jedynie wytworem jego umysłu, ale jakże miłym. Zauważył po drodze, że w pewnym momencie przejechał obok nich po najbliższym pasie ruchu żółty hummer. Sam zastanawiał się potem, dlaczego właściwie wóz utkwiał mu w pamięci. I doszedł do wniosku, że stało się tak nie tyle dlatego, że był to rasowy hummer, bo tak naprawdę widział jego podróbkę produkowaną dla mieszczuchów, ani nawet nie dlatego, że był żółty, ile raczej z powodu połączenia marki i koloru, i idiotycznie wyglądających kołpaków z

przeciwwagą, które nigdy nie obracają się jak trzeba. Na dodatek one także były żółte, zupełnie jak karoseria, i na każdym z nich wymalowany był śmieszek – no, przynajmniej na tych dwóch widocznych od strony chodnika, które Milgrim zauważył.

Tym, co naprawdę przyciągnęło uwagę Milgrima, gdy mknący na północ samochód ich mijał, były dwie postacie siedzące w kabinie, niezwykle wręcz przypominające dwóch czarnoskórych rycerzy, których widział tego dnia w pralni na Lafayette. Czarne dziergane czapeczki zakrywały ich masywne czoła, a na przypominających szafy torsach opinały się czarne skórzane płaszcze z dwoma rzędami guzików.

Gilbert i George na przednich siedzeniach hummera.

27. MIĘDZYNARODOWA WALUTA PRZEWALACZY

Hollis utrzymywała psychiczną jedność dzięki grubemu szlafrokowi Mondriana, okularom przeciwsłonecznym oraz podanemu do pokoju śniadaniu, na które składały się płatki owsiane z rodzynkami, jogurt i *liquado* z melona. Rozsiadła się wygodnie w szerokim białym fotelu, położyła stopy na niższym z dwóch marmurowych stoliczków do kawy i przyglądała się winylowemu symbolowi Blue Ant ustawionemu na podłokietniku. Mrówka nie miała oczu, a może raczej jej projektant zdecydował, że mieć ich nie powinna. Miała za to znaczący uśmiezek, jaki charakteryzuje postacie z kreskówek, kiedy znajdują się na przegranej pozycji wiedząc doskonale, że nie wszystko stracone, gdyż mają w odwodzie tajemne supermoce. Postawa była jego dopełnieniem: ręce lekko zgięte w łokciach, nogi ustawione jak w postawie zasadniczej zawodnika wschodnich sztuk walki. Egipski strój i sandały, również żywcem przeniesione z kreskówki, musiały być aluzją do hieroglificzności logo.

Inchmale zwykł mawiać, że jeśli pojawia się nowa idea, trzeba spróbować wywrócić ją do góry nogami, aby sprawdzić, jak wygląda z drugiej strony. Podniosła figurkę, spodziewając się, że na jej spodzie znajdzie wybite copyrighty Blue Ant, ale podeszwy sandałów były absolutnie gładkie. Wykończeniu nie można by nic zarzucić. To nie była zabawka, w każdym razie nie dla dzieci.

Ta myśl przypominała jej sytuację, gdy dźwiękowiec, Ritchie Nagel, zamięczał totalnie nie mającego na to ochoty Inchmale'a, aby poszli do Madison Square Garden na występ Bruce'a Springsteena. Inchmale wrócił z koncertu ze zwieszonymi ramionami, najwyraźniej głęboko poruszony, ale co do niego niepodobne, nie chciał z nikim podzielić się wrażeniami. Gdy go przycisnęła, wybąkał jedynie, że Springsteen na scenie staje się połączeniem cech Apollona i królika Bugsa w wysoce skomplikowanym akcie fizycznego opętania. Hollis czekała potem z niepokojem, spodziewając się, że Inchmale zechce prezentować na scenie zachowania skopiowane z Bossa, ale nic takiego nigdy nie miało miejsca. Projektanta tej mrówki, pomyślała odkładając figurkę na podłokietnik fotela, bez wątpienia zainspirowało podobne połączenie: Zeusa i królika Bugsa.

Zadzwoniła jej komórka.

– Witam z rana. – Wydawało się, że przywołała Inchmale'a, myśląc o nim.

– Nasłałeś na mnie Heidi. – Nie powinno to zabrzmieć zbyt oskarżycielsko.

– Zatem już przepęzła do ciebie?

– Wiedziałeś o pieniądzach od Jimmy'ego?

– O twoich pieniądzach. Tak, wiedziałem, ale zapomniałem. Kiedyś powiedział mi, że je zebrał i ma zamiar ci przekazać. Poradziłem mu, żeby zostawił je Heidi, jeśli nie zdoła cię namierzyć. W przeciwnym razie zapakowałby je wszystkie prosto w żyłę, i to bez mrugnienia.

– Nigdy nic nie mówiłeś...

– Zapomniałem. Nie bez problemów zresztą. Wyparłem z pamięci cały ten żalotny wątek, kiedy

nastąpił jego dość spodziewany Zgon.

– Kiedy go widziałaś?

– Nie widziałem. Zadzwonił do mnie. Tydzień przed tym, jak go znaleźli.

Hollis odwróciła się na fotelu i spojrzała przez ramię na niebo ponad wzgórzami Hollywood. Zupełna pustka. Gdy okręciła się na powrót, sięgnęła po resztkę *liquado*.

– Tu nie chodzi o to, że ich nie potrzebuję. Po prostu nie wiem, co powinnam z nimi zrobić. – Pociągnęła łyczek i odstawiła szklanę.

– Wydaj je. Na twoim miejscu nie wpłacałbym ich do banku.

– Dlaczego?

– Nie wiesz, skąd pochodzą.

– Nie chcę nawet wiedzieć, o czym mówisz.

– Hollis, amerykańskie studolarówki to międzynarodowa waluta przewalaczy, a co za tym idzie, numer jeden na liście fałszerzy. Jak długo zamierzasz pozostać w Los Angeles?

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ muszę się tam wybrać za trzy dni. Właśnie się dowiedziałem. Mogę sprawdzić dla ciebie te banknoty.

– Przyjeżdżasz? Dlaczego?

– The Bollards.

– Słucham?

– The Bollards, mam zamiar z nimi popracować.

– I naprawdę możesz sprawdzić, czy pieniądze nie są fałszywe?

– Przecież mieszkam w Argentynie.

– Angelina i dzieciak też przylatują?

– Może później, jak wypali sprawa z zespołem. A co u ciebie?

– Spotkałam się z Hubertusem Bigendem.

– I jak było?

– Interesująco.

– O rany.

– Wypiliśmy po drinku. Potem zawiózł mnie w miejsce, gdzie budują sobie nowe biura. Czymś w rodzaju czołgu od Cartiera.

– Czym?

– Obscenicznym wozem.

– Czego chciał?

Miałam powiedzieć, że to skomplikowana sprawa, ale prawdę mówiąc, jest niejasna. Mocno niejasna. Jak załatwisz te biznesy ze swoimi pachółkami, opowiem ci o wszystkim.

– Dobra. – Odłożył słuchawkę.

Telefon zadzwonił w jej dłoni.

– Coś jeszcze? – Spodziewała się Inchinale’a.

– ‘Allo? ‘Ollis?

– Odile?

– Widzisz maki?

– Tak. Są piękne.

– Dzwoni człowiek z „Node’a”, mówi, że masz nową maskę.

– Tak, mam.

– Dobrze. Ty znasz Silverlake?

– Z grubsza.

– Grubsza...?

– Znam Silverlake.

– Jest tam artystka, Beth Barker, jej mieszkanie. Jedziesz oglądać mieszkanie i środowisko. Adnotowane środowisko, wiesz?

– Jak to: adnotowane?

– Każdy przedmiot posiada hiperprzestrzenny tag zrobiony przez Beth Barker zawierający również jej komentarz do wszystkich obiektów. Normalna szklanka wody ma ze dwadzieścia tagów.

Hollis spojrzała na białą orchideę kwitnącą na blacie wyższego stolika, wyobrażając sobie, jak wyglądałaby w asyście wirtualnych fiszek.

– Brzmi fascynująco, Odile, ale wybiorę się tam przy innej okazji. Dziś muszę sporządzić kilka notatek. Spisać to, co widziałam do tej pory.

– Jest niepocieszona, ta Beth Barker.

– Powiedz jej: uszy do góry.

– Uszy?

– Zobaczę się z nią za parę dni. Naprawdę. A maki są przecudowne. Musimy o nich porozmawiać.

– Ach. Dobrze. – Poweselała. – Mówię Beth Barker. Do widzenia.

– Do widzenia. Poczekaj, Odile.

– Tak?

– Twoja wiadomość. Wspominałaś w niej, że chcesz porozmawiać o Bobbym Chombie.

– Tak, chcę.

– Pogadamy o nim przy najbliższej okazji. Cześć.

Wstała szybko, jakby chciała się w ten sposób zabezpieczyć przed kolejnym dzwonkiem telefonu wrzuconego do głębokiej kieszeni szlafroka.

– Hollis Henry. – Chłopak w niewielkiej wypożyczalni samochodowej, znajdującej się o chwilę spaceru wzdłuż Sunsetu, spoglądał na jej prawo jazdy. – Czyja pani nie widziałem w telewizji?

– Nie.

– Życzy sobie pani pełne ubezpieczenie?

– Tak.

Trzy kolejne iksy na kontrakcie.

– Podpis i dwie parafki. Filmy?

– Nie.

– Piosenkarka. Z tej kapeli. Łysy facet z wielkim nosem, gitara, Angole.

– Nie.

– Proszę nie zapomnieć o zatankowaniu do pełna przed zwrotem wozu – wyrecytował, gapiąc się na nią wciąż z umiarkowanym, pozbawionym cienia zażenowania zainteresowaniem. – Tak, to pani.

– Nie – odparła, zabierając kluczyki. – To nie ja.

Wyszła na parking po czarnego passata, niosąc pod pachą karton z Blue Ant, który starannie ułożyła na siedzeniu pasażera obok siebie.

28. BROTHERMAN

Tito z pomocą Vianki zapakował wyposażenie pokoju do dziesięciu paczek rozmaitej wielkości, każda z nich została szczelnie owinięta podwójną warstwą folii z najsilniejszych worków na śmieci i zaklejona czarną taśmą. Pozostał jeszcze materac, deska do prasowania, krzesło reżyserskie z Canal Street i wieszak na ubrania. Uzgodnili, że Vianca zabierze krzesło i deskę. Materac, w którym znajdowało się dość złuszczonego naskórka i włosów Tita, by umożliwić identyfikację na podstawie materiału DNA, miał powędrować na wysypisko śmieci natychmiast po wyprowadzce lokatora. Vianca zapakowała go w dwa worki foliowe, zanim przystąpiła do odkurzania lokalu. Folia szeleściła, gdy siadali na materacu, a Tito miał na nim jeszcze spać.

Ponownie dotknął Nano wiszącego mu na szyi, wdzięczny za to, że mógł zachować muzykę.

– Zapakowaliśmy czajnik – powiedział – i imbryk. Nie zrobimy herbaty.

– Nie mam zamiaru znów ich czyścić.

– Carlito nazywał Alejandra i mnie czajnikami – zdradził jej Tito. – Znaczyło to, że jesteśmy ignorantami otwartymi na naukę. Słyszałaś kiedyś o takim znaczeniu słowa „czajnik”?

– Nie – odparła Vianca, wyglądająca w białej siatce na włosach jak niezwykle piękne, ale zarazem niesamowicie niebezpieczne dziecko. – Wiem tylko, że to naczynie do parzenia herbaty.

– To hakerskie określenie, rosyjskie.

– Tito, masz czasem wrażenie, że zapomnisz język rosyjski? – zapytała po angielsku.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś cicho zapukał do drzwi, zgodnie z protokołem. Vianca wstała z klęczek z właściwym jej wdziękiem, zarazem spięta, ale i giętka, aby odpowiedzieć stukaniem.

– Brotherman – poinformowała i otworzyła drzwi.

– *Hola, viejo* – powiedział Brotherman kiwając głową w kierunku Tita i zdejmując dzierganą przepaskę, którą wykorzystywał w charakterze nauszników.

Jego włosy, sterczące nieomal pionowo w górę, dzięki tlenieniu miały dziwaczny ciemnopomarańczowy kolor. W Brothermanie, powiedziała kiedyś Juana, afrykańska natura wylazła z kubańskiego ciała, a potem została zmieszana z chińszczyzną. I Brothennan korzystał z tej wielorasowości teraz dla dobra swojego i rodziny. Był przy tym chodzącą sprzecznością. Niczym językowy kameleon, mówił płynnie po hiszpańsku w dialektach kubańskim, salwadorskim i chilango, a gdy zaczynał mówić jak Afroamerykanie, Tito Przystawał go w ogóle rozumieć. Był wyższy od Tita, szczuplejszy, o podłużnej twarzy, w której białka oczu nabiegłe były czerwie, nią.

– *Llapepi* – pozdrowił Viancę w czarnym slangu, przekręcając słowo „papilla”, którym określano nastolatkę.

– *Hola, Brotherman. Que se cuenta?*

– Po staremu – odparł Brotherman, pochylając się, by uściśnąć dłoń Tita. – Jak zawsze punktualny.

– Nie lubię czekać – powiedział Tito wstając, aby strząsnąć niepokój zalegający mu na plecach i rękach.

Żarówka wisząca nad ich głowami zdawała się świecić o wiele jaśniej niż zazwyczaj, Vianca wypucowała ją do czysta.

– Ale widziałem twoją *sistieme*, kuzynie. – Brotherman uniósł białą reklamówkę. – Carlito przesyła ci buty. – Podał torbę Titowi. Były wysokie, czarne i wciąż miały biało-niebieskie metki Adidasa. Tito usiadł na krawędzi opakowanego materaca i zdjął swoje buty. Rozciągnął sznurówki adidasów i włożył je na średniej grubości wełniane skarpety, potem oderwał metki i w skupieniu zasnurował mocno oba buty. Wstał, przestąpił z nogi na nogę, zrobił kilka kroków, wypróbując nowe obuwie.

– Model GSG9 – rzucił Brotherman. – Od nazwy antyterrorystówz Niemiec.

Tito stanął na szeroko rozstawionych nogach, wrzucił Nano pod t-shirta, wziął głęboki oddech i wykonał salto w tył. Nowe buty ominęły gołą żarówkę o góra dziesięć cali. Wylądował trzy stopy od miejsca, w którym stał przed chwilą.

Uśmiechnął się do Vianki, ale nie odpowiedziała mu tym samym.

– Skoczę po coś do jedzenia – oznajmiła. – Co wam przynieść?

– Cokolwiek – odparł Tito.

– Zacznę ładować te rzeczy – dodał Brotherman, kopiąc czubkiem buta stos czarnych pakunków. Vianca wyjęła z kieszeni kurtki parę nowych rękawiczek i podała mu je.

– Pomogę ci – zaofiarował się Tito.

– Nie. – Brotherman naciągnął rękawiczki i pomachał białymi palcami w jego stronę. – Jeśli skręcisz kostkę albo coś sobie zwiczniesz, Carlito dobierze nam się do dupy.

– Dobrze gada – dodała Vianca stanowczo, ściągając siatkę chroniącą włosy i zastępując ją baseballówką. – Koniec fikołków, daj mi swój portfel.

Tito potulnie wykonał jej polecenie.

Wyjęła z niego dokumenty dostarczone nie tak dawno przez rodzinę. Nazwisko Herrera. *Adiós*. Zostawiła tylko pieniądze i kartę do metra.

Spojrzał kolejno na oboje kuzynów i usiadł ponownie na materacu.

29. IZOLACJA

To musi być sprawka rize'u, zdecydował Milgrim, leżąc w poprzek łóżka w New Yorkerze, kompletnie ubrany, i porównując doznania po zażyciu leku z ezoterycznymi przeżyciami będącymi efektem spożycia wyjątkowo ostrych potraw seczuańskich.

Zresztą nie tyle ostrych, ile precyzyjniej rzecz ujmując, doskonale przyprawionych. Tak palących, że podawano do nich talerz pokrojonych cytryn, by ssąc je można było choć odrobinę ulżyć poparzonemu, zdałoby się, ustom. Milgrim od dawna nie jadł podobnych potraw. Od dawna nie miał w ustach posiłku, który pozostawiłby po sobie jakiegokolwiek miłego wspomnienia. Chińskie żarcie kojarzyło mu się ostatnimi czasy z potrawami na wynos, takimi jak obiad zafundowany mu w koreańskiej pralni przy Lafayette, ale lewitując nad łóżkiem, przypomniał sobie, jakie to uczucie, zadziwiająco przyjemne, gdy popija się zimną wodą smak ostrych przypraw – gdy woda wypełnia twoje usta, całkowicie, ale zarazem ich nie dotykając, jakby wyściełała całą ich powierzchnię przedziwna powłoczka chińskiej antymaterii, coś na kształt czaru, jakiś rodzaj magicznej izolacji.

Z rize'em było podobnie, tyle że w tym wypadku zimną wodą było jestestwo Milgrima bądź raczej te aspekty bycia Milgrimem! – czy też po prostu: bycia – które on sam uważał za najbardziej Problematyczne. Podczas gdy mniej subtelne leki mogły sprawić, że Jestestwo zniknie, odpłynie niczym zimna woda, rize zachęcał go, aby ocalić ową srebrną membranę.

Mimo iż miał zamknięte oczy, wiedział, że Brown właśnie stanął we wciąż otwartym przejściu łączącym oba pokoje.

– Istnienie państwa – usłyszał własne słowa – zależy od ustanowionych przez nie praw. Stan państwa w danym momencie nie ma znaczenia. Jeśli morale obywateli zależy od sytuacji, to można przyjąć, że owo morale nie istnieje. Jeśli prawo w państwie stanowione jest zależnie od sytuacji, założyć można, iż państwo nie posiada żadnych praw i wkrótce przestanie istnieć. – Otworzył oczy i potwierdził swoje przypuszczenia dotyczące Browna, który stał w przejściu z częściowo rozłożonym pistoletem. Czyszczenie, oliwienie i sprawdzanie wszystkich mechanizmów broni było swoistym rytuałem, powtarzającym co kilka nocy, chociaż z tego co Milgrim wiedział, Brown nie wystrzelił ani razu od momentu, kiedy się spotkali.

– Coś ty powiedział?

– Naprawdę tak bardzo obawiasz się terrorystów, że jesteś gotów zniszczyć podwaliny, na których zbudowano Amerykę? – Milgrim usłyszał, że zadaje pytanie tonem głębokiego zdziwienia. Wypowiadał te słowa bez udziału świadomości, a przynajmniej nie w stopniu pozwalającym na dobór tak celnych sformułowań, które nie pozostawiałyby pola do dyskusji.

– Pierdolenie...

– Jeśli do tego dopuścisz, terroryści wygrają. Taki jest bowiem, i to dokładnie, ich cel: wystraszyć cię tak mocno, byś zawiesił rządy prawa. Dlatego właśnie mówimy o nich „terroryści”. Używają środków, które mają cię przerazić i spowodować rozpad społeczeństwa.

Brown otworzył usta. Zamknął je.

– Podejmują swoje działania, bazując na tym samym błędzie w psychice ludzkiej, który pozwala uwierzyć w możliwość wygranej na loterii. Statystycznie rzecz ujmując, niemal nikt nie wygrywa. Statystycznie rzecz ujmując, ataki terrorystyczne niemal nigdy się nie zdarzają.

Brown miał wyraz twarzy, jakiego Milgrim jeszcze nigdy u niego nie widział. Agent rzucił świeże opakowanie lekarstw na kapę łóżka.

– Dobrej nocy. – Milgrim znów usłyszał swoje słowa, będąc wciąż oddzielony od wszystkiego srebrną membraną.

Brown odwrócił się i poszedł do swojego pokoju, bezszelestnie, bo tylko w skarpetkach, i z na wpół rozmontowanym pistoletem w dłoni.

Milgrim uniósł prawą rękę w stronę sufitu, wyprostował ją, palec wskazujący był prosty, kciuk odsunięty na bok. Zgiął palec, oddając strzał na niby, potem opuścił rękę, nie mając pojęcia, co i dlaczego zrobił przed chwilą.

30. ODCISKI

Jechała w stronę Malibu z nową maską leżącą w kartonie na siedzeniu obok. Było pogodnie, gdy wyjeżdżała z Beverly Hills, ale ledwie dotarła do linii wybrzeża, zrobiło się bardziej monochromatycznie i słono.

Zajrzała do Gladstone'a, zabierając ze sobą karton i układając go na masywnej drewnianej ławie stojącej naprzeciw tej, na której sama usiadła, aby popchnąć zdrowe hotelowe śniadanie talerzem zupy rybnej i dużą colą. Blask bijący od plaży był równie uciążliwy jak ból spowodowany zapaleniem zatok.

Dzisiaj jest lepiej, przekonywała sama siebie. Pracuje dla „Node'a”, a jej wydatki będą pokrywane przez firmę. Zdecydowała, że tak właśnie będzie traktować tę sytuację, nie ma zamiaru uznawać się za pracownicę Bigenda albo Blue Ant. Nic się nie zmieniło w jej pozycji, nadal była wolnym strzelcem wykonującym zadanie dla „Node'a”, polegające na napisaniu tekstu liczącego siedem tysięcy słów o sztuce lokacyjnej i wiążącej się z nią technologii. Tak wyglądała jej aktualna sytuacja i z nią mogła się pogodzić. Ale wersji Bigenda była o wiele mniej pewna. Piraci, ich łodzie, zespoły morskie CIA, frachtowce, tropienie i polowanie na broń masowej zagłady, kontener, który przemawia do Bobby'ego Chomba – żadnej z tych rzeczy nie była pewna.

Gdy płaciła rachunek, przypomniała sobie o pieniądzach Jimmy'ego, schowanych teraz w niewielkim sejfie w jej pokoju W Mondrianie, kombinacja do otwarcia: CARLYLH. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby z nimi zrobić. Inchmale twierdził, że potrafi sprawdzić, czy nie są fałszywe. Pozwoli mu się tym zająć, postanowiła, a potem zobaczy.

Możliwość ponownego spotkania z nim wzbudziła w niej burzę uczuć. Chociaż wypisywane przez różnej maści magazyny historie o tym, że stanowili z Inchmale'em parę, były wierutną bzdurą, także w tym najdosłowniejszym aspekcie, to jednak połączyło ich coś, co na ogół łączy tylko małżeństwo, aczkolwiek nigdy nawet nie było mowy o seksie; ale to Jimmy i Heidi współtworzyli, ożywiali Curfew, utrzymywali kapelę na powierzchni, nie oni. Naprawdę była wdzięczna losowi – czy komukolwiek, kto maczał w tym palce – że Inchmale znalazł tak wspaniałą partnerkę jak Angelina i wyniósł się do Argentyny, co w skrócie oznaczało, iż zniknął z jej życia. Tak było lepiej dla wszystkich, choć nie umiałyby wyjaśnić dlaczego. No, może tylko Inchmale'owi, który zawsze miał świadomość odmienności własnego promieniowania tła i zapewne zgodziłby się z jej opinią w tej kwestii.

Gdy wróciła do samochodu, postawiła karton na zamkniętej klapie bagażnika, wyjęła z niego maskę i zaczęła gmerać przy jej panelu kontrolnym. Założyła ją zastanawiając się, czy ktoś przypadkiem nie umieścił swojego dzieła lokacyjnego właśnie w tym miejscu.

Zawisła nad nią kreskówkowo smukła wersja dłoni Statuy Wolności, trzymającej pochodnię wysoką na trzy piętra i przesłaniającej większość bolesnego blasku bijącego ze słońca metalicznego nieba. Nadgarstek wyrastający pośrodku Malibu miał rozmiary i kształt klasycznego boiska do koszykówki. Dłoń była o wiele większa od oryginału, a umiejscowienie jej tutaj, wśród piasków Malibu, miało w sobie coś mocno krzykliwego, ale mimo wszystko instalacja sprawiała wrażenie

raczej melancholijne niż śmieszne. Czy wszystko będzie takie w nowym świecie sztuki lokacyjnej Alberta? Czy nieotagowany, nieopisany świat wypełni się stopniowo wirtualnymi przedmiotami, pięknymi, ohydnyymi lub wręcz banalnymi jak wszystko to, co można zobaczyć teraz w Sieci? Czy można założyć, że będzie o wiele lepiej bądź też gorzej? Ręka Statuy Wolności i pochodnia wyglądały, jakby wykonano je z materiałów tak beżowych jak sztandarowe produkty Tupperware. Przypomniała sobie, jak Alberto opowiadał o pracach nad skórkami i teksturami. Przypomniała sobie azteckie księżniczki w mini wymalowane na jego volkswagenie. Zastanawiała się, w zasięgu jakiej sieci znajduje się ta instalacja.

Zdjęła maskę i schowała ją do kartonu.

Gdy wracała, a słońce powoli odzyskiwało przynależną mu moc, uznała, że powinna spróbować odnaleźć fabrykę Bobby'ego choćby tylko po to, żeby umiejscowić ją na swojej drugiej mapie. To nie powinno być trudne. Jej ciało, jak zauważyła, zapamiętało Los Angeles o wiele dokładniej niż jej umysł.

Po pewnym czasie jechała po Romaine, szukając zjazdu, w który skręcił Alberto. Charakterystycznych, pomalowanych na biało ścian. Znalazła, skręciła i zobaczyła coś ogromnego i lśniącego skręcającego w boczną uliczkę. Zwolniła, zatrzymała wóz. Uprzytomniła sobie, że patrzy na długą białą naczepę ciężarówki. Nie знаła się na samochodach ani tym bardziej na ciężarówkach, ale zgadywała, że ta, która właśnie zniknęła za rogiem, jest naprawdę długa, tak długa, jak to tylko możliwe. I wystarczająco duża, by pomieścić wyposażenie średniej wielkości domu. Nieoznakowana, lśniąca, biała. Właśnie zniknęła.

– Cholera – powiedziała do siebie, stając w miejscu, w którym zatrzymał się kiedyś Alberto.

Widziała metalowe pomalowane na zielono drzwi, przez które weszli. I nie spodobały jej się ukośne cienie, jakie rzucały. Słońce było jeszcze wysoko, a skosy cieni oznaczały, że drzwi są uchylone, na trzy cale, może nawet więcej. Po raz pierwszy zobaczyła też wielkie białe, poprzecznie karbowane wrota przy rampie przeładunkowej. Takie, przez które można załadować na ciężarówkę wszystko, co tylko się chce.

Otworzyła bagażnik i wysiadła z PowerBookiem w torbie przewieszanej przez ramię i pudełkiem w dłoniach. Włożyła wszystko do bagażnika, zamknęła go, wyjęła z kabiny torebkę, a potem zamknęła wóz pilotem i wyprostowawszy ramiona ruszyła w kierunku zielonych drzwi. Zgodnie z jej przypuszczeniami były otwarte na kilka cali. A za nimi rozciągała się tylko ciemność, co stwierdziła rzuciwszy okiem do środka ponad okularami przeciwsłonecznymi.

Pogrzebała w torebce wśród mnóstwa drobiazgów i wyjęła latareczkę przytwierdzoną do kółka, na którym wisiał jedynie kluczyk do nie używanej od dawna skrytki pocztowej i pilot alarmu ze sprzedanego kiedyś samochodu. Ścisnęła niewielkie źródło światła między palcem wskazującym a kciukiem, spodziewając się, że bateryjka zasilająca ledę już dawno padła, ale nie, latarka zadziałała. Czując się głupio, zastukała w zielone drzwi, lecz tylko obita sobie boleśnie kostki. Skrzydło było ciężkie, nawet nie drgnęło, gdy w nie uderzała.

– Bobby? Halo? To ja, Hollis Henry. Bobby... – Położyła lewą dłoń na drzwiach i pchnęła je. Otworzyły się płynnie, ale powoli. Trzymając latareczkę w prawej dłoni, drugą zdjęła okulary

przeciwsłoneczne i wstąpiła w ciemność.

Leda dawała niewiele światła. Dlatego wyłączyła ją i przystanęła, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Zaczynała już dostrzegać niewielkie nieco jaśniejsze punkciki i pasma w głębi hali. Zgadywała, że to, co widzi, to niedokładnie zamalowane szyby w oknach.

– Bobby? To ja, Hollis. Gdzie jesteś?

Raz jeszcze włączyła ledę, kierując ją teraz na podłogę. Tym razem z zadziwiającą mocą oświetliła jedną z linii, którymi Chombo podzielił posadzkę na kwadraty. Linia została naruszona, widniał na niej częściowo odbity ślad podeszwy jego podrabianego winkle-pickera.

– Hej! – krzyknęła. – Tu Nancy Drew. Bobby? Gdzie jesteś?

Poruszyła ledę powoli, trzymając ją na wysokości pasa i zataczając obszerny łuk. Z mroku wyłonił się zarys panelu kontrolnego z wieloma przyciskami. Podeszła do niego i spróbowała użyć jednego z przełączników. Wysoko nad jej głową rozbłysło parę halogenów.

Odwróciła się, by ujrzeć – czym nie była wcale zaskoczona – ogromną pustą podłogę podzieloną na sieć kwadratów Bobby’ego Chomba, nakreślonych mąką, teraz niewyraźnych, miejscami zamazanych, zupełnie jakby nabazgrano je kredą na szkolnej tablicy. Wszystkie stoły, krzesła i komputery zniknęły. Ruszyła powoli do przodu, stąpając uważnie, aby nie nadepnąć na biały proszek. Widziała wiele śladów, w tym kilka należących do Bobby’ego, a może i do kogoś innego, kto nosił identyczne śmieszne buty. co jednak wydało jej się mało prawdopodobne. Znalazła także kilka niedopałków wypalonych aż do filtra i rozgniecionych na betonie. Nie musiała ich podnosić, żeby poznać, że to marlboro.

Spojrzała w górę, na lampy, potem przeniosła ponownie wzrok na odciski i niedopałki.

– Bobby dyla dał – podsumowała, wykorzystując powiedzenie charakterystyczne dla Inchmale’a.

Ktoś usunął pomarańczową taśmę z obrysu Archiego.

Wyszła, unikając dotyku wciąż uchylonych zielonych drzwi. Wyjęła notebooka z bagażnika, obudziła go i czekając, aż się zabootuje, wydobyła maskę Blue Ant z kartonu. Zamknęła łokciem klapę, trzymając w prawej ręce opaskę, a pod pachą lewej włączonego laptopa, i wróciła do budynku. Otworzyła PowerBooka i sprawdziła, czy sieć bezprzewodowa 72fofH00av, z którą łączyła się tutaj poprzednio, nie zniknęła razem z odejściem Bobby’ego. Tak było, co wcale jej nie zdziwiło. Zamknęła więc laptopa i wsadziła go pod pachę, a potem włączyła zasilanie maski wizyjnej i założyła ją na głowę.

Archie również zniknął.

Ale kontener pozostał, coś połyskiwało z jego wnętrza przez siatkę szkieletu.

Zrobiła krok do przodu i straciła go z pola widzenia.

Usłyszała za sobą słowa wypowiedziane w obcym języku. Zaczęła się odwracać i wtedy

uświadomiła sobie, że powinna najpierw zdjąć maskę.

W drzwiach stały dwie osoby podświetlane blaskiem słońca bijącym z zewnątrz. To byli niewysocy ludzie. Wyższy mężczyzna trzymał w rękach ogromną szeroką szczotkę do podłóg.

– *Hola* – powtórzył.

– O, dobrze, że już jesteście. – Ruszyła w ich stronę. – Właśnie wychodziłam. Sami zobaczcie, jaki bajzel po sobie zostawili. – Machnęła za siebie ręką, w której wciąż trzymała maskę.

Mężczyzna powiedział coś po hiszpańsku, grzecznym, lecz pytającym tonem, gdy go mijała.

– Do widzenia – rzuciła, nawet się nie obejrzawszy.

Obok jej wynajętego passata stał podniszczony szarosrebrzysty ecoliner. Idąc, pstryknęła pilotem, szybko otworzyła drzwi, wsiadła rzucając maskę na siedzenie pasażera, a PowerBooka kładąc na podłodze obok, potem szybko przekręciła kluczyk i ruszyła zerkając na sfatygowany tył vana wciąż widoczny w lusterku, dopóki nie przyspieszyła włączając się do ruchu na Romaine.

31. PURO

Brotherman zniósł wszystkie czarne paczki na dół i załadował je na swój wóz, potem zabrał deskę do prasowania i krzesło, które miał podrzucić do Vianki. W tym czasie kuzynka wróciła, niosąc wołwinę po koreańsku. Zjedli posiłek w niemal całkowitym milczeniu, siedząc na skraju owiniętego w folię materaca. Potem Brotherman i Vianca wyszli.

Tito pozostał sam z materacem w czarnej folii, pistoletem Bułgara ukrytym pod nim, pastą do zębów i szczoteczką, ubraniem, które miał na sobie podczas spotkania ze starcem, i stojakiem, na którym na dwóch wieszakach z drutu wisiały teraz te rzeczy, portfelem, komórką, białymi bawełnianymi rękawiczkami wciąż tkwiącymi na jego dłoniach i trzema parami czarnych wełnianych skarpet, które zamierzał upchnąć za pasem wyblakłych dżinsów tej samej barwy.

Pokój wydawał mu się teraz o wiele większy i obcy. Tylko odciski szalunku na betonowym suficie pozostały, ku jego zadowoleniu, takie same. Umył zęby przy zlewie i zdecydował, że będzie spał w dżinsach i koszulce z długim rękawem. Gdy zgasił światło, zapadła absolutna, bezwymiarowa ciemność. Wstał i ponownie zapalił światło. Położył się na czarnej szeleszczącej folii spowijającej materac i zasłonił sobie oczy jedną parą nowych czarnych skarpet. Pachniały nowością.

Potem do drzwi zastukał Alejandro, zgodnie z protokołem, rytmiczne uderzenia brzmiały znajomo. Ściągając skarpety z twarzy, Tito sturlał się z materaca, wystukał swoją kombinację, poczekał na odzew i dopiero gdy go usłyszał, otworzył drzwi. Kuzyn stał w korytarzu z pękiem kluczy w dłoni oraz wyrazem alkoholowej błogości na twarzy i spoglądał ponad ramieniem Tita w głąb jego pokoju.

– Wygląda teraz jak cela – powiedział.

– Zawsze tak mówiłeś.

– No to jak pusta cela – poprawił się Alejandro wchodząc i zamykając za sobą drzwi. – Poszedłem zobaczyć się z wujami. Miałem ci przekazać instrukcje z rana, ale przyszedłem, bo chcę ci powiedzieć więcej, niż powinienem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a Tito zaczął się zastanawiać, jak wiele Alejandro wypił. – Tym sposobem nie masz innego wyjścia i musisz mnie wysłuchać.

– Zawsze słucham.

– Słuchać i wysłuchać to nie to samo. Daj mi te skarpety. – Tito podał mu nową parę, a kuzyn rozdzielił ją i założył po jednej na każdą dłoń. – Coś ci pokażę. – Chwycił przez skarpety poprzeczkę wieszaka na ubrania. Przechylił go mocno, blokując jednocześnie nogą okrągłą podstawę, by się nie przetoczyła po podłodze. – Zajrzyj pod spód.

Tito pochylił się i rzucił okiem pod grubą żeliwną podstawę. Zauważył ciemny przedmiot przyklejony kawałkiem taśmy izolacyjnej.

– Co to jest?

– Uważaj na paluchy – ostrzegł go Alejandro, gdy ponownie stawiał wieszak.

– Co to jest?

– Urządzenie przechwytyjące przychodzące i wychodzące połączenia komórkowe. Wiadomości. Wolapik. Jeśli odbierasz esemesa o dostarczeniu starcowi kolejnego iPoda, bez względu na to, jaki jest numer telefonu, oni także go odbierają. – Alejandro uśmiechnął się znacząco, zupełnie jak za szczenięcych lat.

– Kto? Jacy oni?

– Wrogowie starca.

Tito przypomniał sobie poprzednie rozmowy na ten temat.

– On pracuje dla rządu? Dla CIA?

– Był kiedyś oficerem kontrwywiadu. Teraz jest renegatem, samotnym graczem, jak mówi Carlito. To świr.

– Świr?

– Mniejsza o to. Carlito i pozostali zgodzili się na udział rodziny w jego operacji. Zgodzili się na twój udział, ale o tym już wiesz. Nie miałeś za to pojęcia o pluskwie – wskazał na wieszak – w przeciwieństwie do wujów. Rodzina obserwowała moment jej podłożenia, a także to, jak ostatecznie wymieniano w niej baterię.

– Ale kto ją tutaj podłożył?

– To skomplikowana sprawa. – Alejandro podszedł do zlewu i oparł się o jego obudowę. – Czasami im bliżej prawdy docierasz, tym wszystko staje się bardziej skomplikowane. W pierwszym lepszym barze znajdziesz facetów, którzy są w stanie wyjaśnić każdą mroczną tajemnicę świata. Zauważyłeś, Tito, że wystarczą góra trzy drinki, żeby znaleźli wyjaśnienie? Kto zabił Kennedy'ego? Trzy drinki. Prawdziwe motywy wejścia Amerykanów do Iraku? Trzy drinki. Ale trzydrinkowa odpowiedź nigdy nie zawiera prawdy. Prawda, kuzynie, spoczywa głęboko, umyka, chowa się w każdej dziurze, jak te kropelki rtęci, którymi bawiliśmy się będąc dziećmi.

– Powiedz mi.

Alejandro uniósł ręce, czyniąc z odzianych w skarpety dłoni dwie pacynki.

– Jestem starym człowiekiem, który kiedyś pilnował tajemnic rządu – powiedział za skarpetkę po lewej – ale zapalałem pogardą do pewnych działań i niektórych postaci z tego rządu, które jak wierzę, powiązane były ze zbrodniami. Może i jestem świrem, mam obsesję, ale sprytu też mi nie brakuje. Do tego mam przyjaciół o podobnych skłonnościach, może nie tak ześwirowanych i mających więcej do stracenia. Z ich pomocą odkrywam tajemnice i spisek prowadzący do...

– Oni nas teraz słyszą?

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Carlito ma przyjaciela, który obejrzał to cacko. To nie jest zwyczajny podsłuch. Takie zabawki ma jedynie rząd, są cholernie nielegalne.

– Czyli to agenci rządowi?

– Wykonawcy – powiedział Alejandro za skarpetkę po prawej. – Jesteśmy wykonawcami. Tak się dzisiaj załatwia te sprawy. My, wykonawcy, załatwiamy sprawy za rząd, tak. No, chyba że... – skarpetka odwróciła się w stronę Tita, a jej wymaginowane usta wygięły się dla podkreślenia znaczenia następnych słów – nie załatwiamy.

Alejandro pochylił obie skarpety, zbliżając je do siebie w parodii ukłonu, po czym już normalnie powiedział:

– Oni chyba pracują dla kogoś z rządu, ale raczej na jego prywatny rachunek. Chociaż nie muszą o tym wiedzieć. Może nawet nie chcieliby wiedzieć. Czasami wykonawcy wolą nie wiedzieć o niczym. Rozumiesz?

– Nie – odparł Tito.

– Gdybym chciał wdawać się w szczegóły, musiałbym zmyślać. Poskładałem to sobie ze strzępków informacji wyciągniętych od Carlita i innych wujów. Oto pewniki. Jutro spotkasz się z kimś w podziemiach Prądy w dziale z męskim obuwiem. Dostaniesz od niego iPod'a i instrukcje. Dostaniesz także wiadomość na komórkę w wolapiku, która nakaże ci dostarczyć urządzenie starcowi na jarmarku przy Union Square o trzynastej. Jak tylko ją otrzymasz, opuścisz ten lokal. Gdy odbierzesz iPod'a, masz się nie zatrzymywać, być ciągle w ruchu aż do pierwszej. Rodzina oczywiście będzie z tobą.

– Poprzednie zostawiałem w skrytkach.

– Ale tym razem będzie inaczej. Musisz zapamiętać twarz tego człowieka. Musisz robić później to, co ci każe. Dokładnie to, co ci każe. To człowiek starca.

– Czy wykonawcy będą chcieli przejąć iPod'a?

– Na pewno nie zrobią tego, zanim nie dotrzesz do punktu docelowego. Przede wszystkim zależy im na starcu. Ale chcą też dostać w swoje łapy iPod'a, dlatego zrobią wszystko co w ich mocy, żeby cię dopaść, gdy starzec znajdzie się w ich polu widzenia.

– Wiesz, jakie dostałem instrukcje?

– Tak.

– A możesz mi wyjaśnić, dlaczego mam je wykonać?

– Wydaje mi się – Alejandro powiedział te słowa unosząc skarpetkę tak, że wyglądało, jakby zaglądał w jej nieistniejące oczy – że starzec albo ten, kto posyła mu iPod'a, chce nakarmić tych gości

soczystym *puro*.

Tito skinał głowę. *Puro* w rodzinie oznaczało najczystsze i najgorsze z kłamstw.

32. PAN SIPPEE

Zjadła smażone żeberko z pieczonymi ziemniakami za dolara i pięćdziesiąt dziewięć centów prosto z papierowego talerzyka, stojąc oparta o bagażnik passata i czekając, aż Alberto dotrze do błogosławionej oazy pokoju i wzajemnego szacunku pana Sippee, znajdującej się w całodobowym sklepiku na stacji benzynowej Arco przy skrzyżowaniu Blaine i Jedenastej.

Nikt nie zadrze z tobą u pana Sippee. Wiedziała o tym od czasu poprzedniej bytności w Los Angeles i dlatego przyjechała teraz tutaj. Pan Sippee, mający siedzibę w bezpośrednim sąsiedztwie namiotów rozbitych pod estakadą autostrady, obsługiwał eklektyczny rodzaj klienteli, składającej się z co rozsądniejszych bezdomnych, prostytutek wszelkiej płci i maści, alfonsów, policjantów, handlarzy narkotyków, urzędników, artystów, muzyków, tych, którzy pobłądzili na mapie i w życiu, oraz tych, którzy wyruszyli na poszukiwanie idealnych żeberk z pieczonymi ziemniakami. Je się tutaj na stojąco, jeśli przyjechało się samochodem – żarcie można postawić na masce. Jeśli przyszło się na piechotę, siada się po prostu na krawężniku przed lokalem. Kiedy jadła w tym miejscu, przychodziło jej do głowy, że ONZ powinno się kiedyś zająć zbadaniem uspokajającej mocy pieczonych ziemniaków.

U pana Sippee czuła się bezpiecznie. Nawet jeśli była śledzona po wyjeździe z opuszczonej hali fabrycznej przy Romaine, w której poprzednio spotkała się z Bobbym Chombem. Prawdę mówiąc, nie sądziła, by coś takiego miało miejsce, ale z drugiej strony nie mogła tego wykluczyć. Chwilę wcześniej świadomość takiego zagrożenia sprawiła, że poczuła zimny pot pomiędzy łopatkami, ale ledwie wstąpiła w progi królestwa pana Sippee, ogarnął ją błogi spokój.

Stojący najbliżej samochód był maybachopodobnym wehikułem barwy kości słoniowej. Dwaj młodzi mężczyźni, którzy najwidoczniej przynależeli do niego, w luzackich bluzach i wyszukanych okularach przeciwsłonecznych, nie jedli. Za to z dużą zawziętością majstrowali przy cyfrowo sterowanych kołpakach. Jeden siedział za kierownicą wozu i stukał bez przerwy palcami po klawiaturze laptopa, drugi obserwował uważnie lewe przednie koło i linię przecinających dekiel wielobarwnych led, które wciąż smętnie połyskiwały. Ciekawe, zastanawiała się Hollis, czy są właścicielami tego wozu czy raczej technikami, których człowiek ten wozi wszędzie ze sobą na wypadek, gdyby jeden z kołpaków nie sprawował się jak należy. Konsumpcja u pana Sippee wiązała się z tak dziwnymi spotkaniami i nieuniknionymi przemyśleniami z dziedziny ekonomii. Zwłaszcza kiedy przyjeżdżało się tutaj nad ranem, jak za czasów Curfew, po zakończonej sesji nagraniowej w studiu. Inchmale uwielbiał to miejsce.

Wreszcie zobaczyła klasyczną sylwetkę garbusa, pokrytą wielkookimi azteckimi księżniczkami i quasifallicznymi wulkanami, z Albertem za kółkiem. Zaparkował o kilka wozów dalej i podszedł, gdy wsunęła do ust ostatni kawałek ziemniaka.

– Nie ma go – powiedział płaczkliwie. – Czy mój wóz będzie tutaj bezpieczny? – zapytał, spoglądając na jedzących wokół ludzi.

– Wiem, że go nie ma – odparła. – Mówiłam ci. Nikt nie ruszy ci samochodu, kiedy jesz u pana Sippee.

– Jesteś pewna?

– Twój samochód jest absolutnie bezpieczny. Gdzie jest Bobby?

– Wyjechał.

– Byłeś w hali?

– Jakoś nie miałem do tego serca po tym, co mi powiedziałaś. Ale sprawdziłem, że jego adresy e-mailowe odbijają wiadomości. I że zniknęły jego dzieła. Nie ma ich już na serwerach, których używał.

– A kałamarnica?

– Wszystko zniknęło. Nawet moje dwie instalacje, nad którymi pracowałem. Sharon Tate...

– Nie chcę o tym wiedzieć.

Spojrzał na nią krzywo.

– Wybacz, Alberto, sama jestem u progu załamania nerwowego. Poczulałam się okropnie, kiedy pojechałam w tamto miejsce i zobaczyłam, że jest opuszczone i wyczyszczone. A tak na marginesie, Bobby zatrudnia sprzątaczy?

– Sprzątaczy?

– Dwie osoby. Hiszpańskojęzyczni. W średnim wieku, niewysocy.

– Zgodnie ze standardami Bobby'ego, hala była czysta jak łza, kiedy cię do niego zabrałem. Po prostu zgarniał śmieci pod ścianę. Nie ufał nikomu na tyle, żeby pozwolić mu u siebie sprzątać. Z ostatniej chaty wyprowadził się po tym, jak zaczęto go wypytywać, czy przypadkiem nie produkuje u siebie amfy. On lubi prywatność, rzadko wychodzi na zewnątrz...

– A gdzie sypiał?

– Tam.

– Gdzie?

– Gdzie podłeci, na podłodze, w śpiworze, ale zawsze w innym kwadracie sieci. Każdej nocy w innym.

– Czy on ma wielką białą ciężarówkę?

– Nigdy nie widziałem, żeby prowadził jakikolwiek pojazd.

– Zawsze pracuje sam?

– Nie. Czasem, jak ma doła, zaprasza do siebie dzieciaki.

– A znasz któregoś?

– Nie.

Przyjrzała się uważnie wzorkom, jakie tłuszcz po ziemniakach zostawił na papierowym talerzyku. Gdybym знаła grekę, pomyślała, potrafiłabym przeliterować słowo oznaczające czytanie przyszłości ze śladów, jakie pozostawia na papierowych talerzykach tłuszcz wyciekający z pieczonych ziemniaków. Ale byłoby to wyjątkowo długie słowo. Przeniosła wzrok na wóz o barwie kości słoniowej ze świecącymi kołpakami.

– Spieprzył im się wyświetlacz?

– Nie zobaczysz prawdziwego obrazu, dopóki koła nie zaczną się szybko obracać. System oblicza szybkość obrotów i zapala odpowiednie ledy, tak aby ich światło tworzyło trwały obraz.

– Ciekawe, czy robią takie do maybachów?

– A co to jest maybach?

– Samochód. Czy Bobby kiedykolwiek wspominał o kontenerach?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Może to temat czyjejs instalacji?

– Nie rozmawialiśmy o pracach innych autorów. O komercyjnych przedsięwzięciach, jak ta kałamarnica dla Japończyków, owszem.

– Domyślasz się, dlaczego zniknął w ten sposób?

Alberto spojrział na nią z wyrzutem.

– Musiał się wystraszyć czegoś, co jest związane z twoją osobą.

– Jestem aż tak straszna?

– Dla mnie nie. Ale Bobby to Bobby. Wiesz, co mnie martwi tak naprawdę, oczywiście oprócz tego, że zniknęły moje instalacje, co też jest cholernie dobijające? Nie bardzo widzę, jak on mógł zwinąć interes. Nie dałby rady spakować się tak szybko. Ostatnim razem, kiedy wynosił się z lokalu, tego, w którym niby miał laboratorium do produkcji amfetaminy, zajęło mu to całe trzy dni. Wynajął palantów z pocztowym furgonem. Trochę się wtedy nadźwigałem.

– Nie wiem czemu, ale coś mnie niepokoi – powiedziała zamyślona. Faceci w bluzach nadal grzebali przy kołpakach, podchodząc do roboty równie serio jak spece z NASA tuż przed kolejnym startem wahadłowca. – Nie masz ochoty coś zjeść?

Spojrział w stronę stacji Arco i sklepiku.

– Nie jestem głodny.

– Nie wiesz, co tracisz.

33. NARZUTA

Brown, owinięty szczelnie, łącznie z głową, grubym piankowanym kocem z New Yorkera, wyciągnął krótką, pękatą drewnianą laskę, na której widoczne były liczne ślady gaszenia petów, w stronę rozkołysanej beżowej równiny.

– Tam – powiedział.

Milgrim spojrział we wskazanym kierunku, w stronę miejsca, ku któremu jak mu się zdawało, od dłuższego czasu już zmierzali, ale dostrzegł jedynie wyraźnie odcinające się od monotonnego otoczenia drewniane konstrukcje, bardzo przypominające szubienice.

– Nic nie widzę – odparł Milgrim oczekując kary za kwestionowanie słów agenta, ale Brown tylko się doń odwrócił, nadal wskazując owo miejsce laską i kładąc mu na ramieniu drugą rękę.

– Dlatego, że znajduje się za horyzontem – wyjaśnił uspokajającym tonem.

– Ale co? – zapytał Milgrim.

Niebo było posępne jak Turner na haju; przez zasłone chmur, które wyglądały, jakby za moment miały zrodzić w bólach setkę tornad, przeświecała wulkaniczna poświata.

– Warownia potężnego Baldwina – wyrecytował Brown, pochylając się, by spojrzeć prosto w oczy Milgrima – księcia Flandrii, cesarza Konstantynopola, suzerena wszystkich książątek wyruszających na krucjaty ze Wschodniego Imperium.

– Baldwin nie żyje – zaprotestował Milgrim, zadziwiając tym nawet siebie.

– Nieprawda – odparł Brown, nadal bardzo uprzejmym tonem i wciąż nie opuszczając laski. – Tamże jest jego warownia. Nie widzisz?

– Baldwin nie żyje – powtórzył Milgrim – ale wśród szaraczków od wieków krąży legenda o Śpiącym Cesarzu, a ostatnio pojawił się nawet fałszywy Baldwin, człowiek, który twierdzi, że nim jest.

– Tutaj – rzekł Brown, opuszczając laskę i ściskając łagodniej ramię Milgrima – tutaj jest, jedyny i prawdziwy.

Milgrim dostrzegł, że nie tylko szata i kaptur okrywające Browna, ale i cała równina została zrobiona z pianki pokrytej beżową tkaniną. A może raczej okryta nią, czuł bowiem pod gołymi podeszwami stóp, że materia jest niczym cienki dywan rozpostarty na wydmie.

– Tutaj – powiedział Brown, szarpnięciem przywołując go do rzeczywistości – tutaj jest.

Palmtop wylądował na jego twarzy.

– Ołówek. – Milgrim usłyszał własny głos, gdy przetaczał się na krawędź łóżka. Blask dnia

przebiegał spoza krawędzi zasłon New Yorkera. – Kartka. Która godzina?

– Dziesiąta piętnaście.

Milgrim podniósł palmtopa, zwrócił oczy w kierunku wyświetlacza i zaczął przewijać tekst, zupełnie niepotrzebnie zresztą. Jedno było pewne, wiadomość nie należała do długich.

– Ołówek. Kartka.

Brown podał mu bloczek listowy New Yorkera i noszący ślady zębów trzycalowy kawałek żółtego ołówka, trzymany specjalnie na życzenie Milgrima, który twierdził, iż musi mieć możliwość wymazywania tekstu w trakcie tłumaczenia.

– Zostaw mnie samego.

Brown wydał cichy, zduszony dźwięk będący wyrazem głębokiej frustracji i ciekawości.

– Lepiej mi pójdzie tłumaczenie, jeśli wrócisz do swojego pokoju – powiedział Milgrim, podnosząc spojrzenie na Browna. – Muszę się skoncentrować. To nie jest szkolne tłumaczenie z francuskiego. To kwintesencja idiomatyki. – Zauważył, że Brown nie zrozumiał tego wyrażenia, i z wyraźną radością zanotował ten fakt w pamięci.

Agent odwrócił się i przeszedł do swojego pokoju.

Milgrim raz jeszcze przejrzał wiadomość i rozpoczął tłumaczenie, pisząc drukowanymi literami na bloczku z logo New Yorkera.

JEDEN PRZYCHODZI DZISIAJ

Przerwał tłumaczenie i zamyślił się.

ROLNICY UNION SQUARE

Użył gumki, która już praktycznie nie istniała, metalowa skuwka zarysowała powierzchnię papieru.

JARMARK NA UNION SQUARE SIEDEMNASTA ULICA, DOSTARCZ NASZEMU KLIENTOWI.

To wydawało się takie proste.

I zapewne było, ale Brown tak długo czekał na to, by UZ siedząc w swoim pokoju odebrał na kolejnym z często zmienianych telefonów komórkowych jakąkolwiek wiadomość, którą zdoła przechwycić sprytnie umieszczona pod wieszakiem na ubrania pluskwa. Brown czekał na to od momentu uwięzienia Milgrima. Poprzednie wiadomości UZ odbierał w innych miejscach, w czasie gdy przebywał w mieście i wędrował zgodnie ze swoimi upodobaniami po dolnym Manhattanie. Milgrim nie miał pojęcia, skąd Brown dowiadywał się o poprzednich dostawach, grunt, że o nich wiedział, rozumiał jednak, że agentowi wcale nie chodzi o samego UZ-a, nawet nie o przedmiot dostawy, lecz właśnie o „naszego klienta”, tego, o którym mówiono „on” podczas licznych rozmów

telefonicznych albo którego wręcz określano słowem „cel”. Brown przez cały czas myślał tylko o nim, a UZ czynił jedynie swoją powinność, ułatwiał mu dotarcie do tego człowieka. Kiedyś agent popędził na Washington Square, a za nim cały korowód jego niewidzialnych ludzi, tylko po to, by zorientować się, że cel zniknął, a UZ odchodzi spokojnie po Broadwayu, wyglądając z tej odległości niczym mały czarny kruk stąpający ostrożnie po obficie przyprószonej sadzą pokrywie śniegu. Milgrim obserwował tę scenę z za okna cuchnącego cygarami szarego forda taurusa, znad ramienia odzianego w kamizelkę kuloodporną Browna.

Milgrim wstał, rozmasowując zeszywniałe uda zauważył, że ma rozpięty rozporek, zasunął więc zamek, przetarł oczy i połknął na sucho poranną działkę rize'u. Poczł zadowolenie na myśl, że Brown nie odważy mu się przeszkadzać. Spojrzał w dół na palmtopa leżącego na stoliku i tłumaczenie z wolapiku znajdujące się obok.

Sen powrócił. Szubieniczne krajobrazy. Zupełnie jak na obrazach Boscha. Narzędzia tortur w otoczeniu masy rozczłonkowanych ciał czy coś w tym stylu.

Podniósł palmtopa razem z kartką i podszedł do drzwi łączących pokoje.

– Union Square – powiedział.

– Kiedy?

Milgrim uśmiechnął się.

– O pierwszej. Dzisiaj.

Brown już stał przed nim, wrywając mu z ręki palmtopa i tłumaczenie.

– Tylko tyle? Nic więcej nie było?

– Nie – odparł Brown. – Znowu zostawisz mnie w pralni?

Brown spojrzał na niego ostro. Milgrim nie zadawał takich pytań. Już się tego nauczył.

– Pójdiesz ze mną – powiedział agent. – Może będzie trzeba tłumaczyć na żywo.

– Sądzisz, że będą mówić wolapikiem?

– Raczej po rosyjsku – poprawił go Brown. – Albo kubańską chińszczyzną. Stary zna także ten język. – Odwrócił się.

Milgrim wszedł do łazienki i puścił zimną wodę. Rize nie wchodził tak gładko. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i ocenił, że przydałaby się wizyta u fryzjera.

Gdy pił wodę ze szklanki, zaczął się zastanawiać, kiedy po raz ostatni raz przeglądał się w lustrze nie przy tak prozaicznej czynności jak mycie czy golenie. Od tamtej pory nigdy właściwie nie widział siebie. Tak sobie przecież kiedyś postanowił.

Słyszał, jak nabuzowany Brown rozmawia przez telefon, wydając kolejne rozkazy. Wsunął

nadgarstki pod strumień zimnej wody z kranu i trzymał je tam, dopóki nie poczuł bólu. Dopiero wtedy zakręcił kurek i osuszył dłonie ręcznikiem. Wtulił potem w niego twarz, zastanawiając się, jak wyglądały twarze ludzi, które stykały się z tym samym materiałem wcześniej.

– Nie chcę więcej ludzi – usłyszał słowa Browna. – Może być ich mniej, ale za to lepiej wyszkolonych. Wbij sobie wreszcie do łba, że to nie twoi turbaniarze. Już tam nie dowodisz. Masz do czynienia ze starymi wyjadaczami. Zgubiłeś go na pieprzonej stacji Canal Street. Jeśli go znowu zgubisz na Union Square, to nie chcesz nawet wiedzieć, czym to się skończy. Słyszałeś, co powiedziałem? Nie chcesz nawet wiedzieć!

Milgrim pomyślał, że w sumie też nie chciałby wiedzieć na miejscu tamtego, ale jemu sprawa wydawała się naprawdę interesująca. Chińczycy z Kuby, ułatwiacz, który zna rosyjski, i wiadomości pisane wolapikiem. Kto mieszka w pozabawionym okien minilofcie na obrzeżach Chinatown, nosi ciuchy A PC i gra na klawiszach? I kim jest facet, który nie ma do czynienia z turbaniarzami, bo już tam nie jest?

Ilekoć Milgrim był przytomny na umyśle i w rozterce, oddawał się goleniu, pod warunkiem że miał pod ręką niezbędne utensylia. Rozejrzał się, wszystko było na swoim miejscu. Puścił gorącą wodę.

Wyjadacze. Starzy.

Starzec. Czyli cel.

Załóżył ręcznik na kark i zanurzył myjkę w gorącej wodzie, która zaczęła wypełniać umywalkę.

34. KRAJ AGENTÓW

– Ezeiza – powiedział.

– Co to znaczy?

– Lotnisko. Terminal międzynarodowy B.

Złapała go w Buenos Aires po aktywowaniu połączeń międzynarodowych. Nie miała pojęcia, ile jato mogło kosztować.

– Czyli przylatujesz pojutrze?

– Za trzy dni, tak jak ci mówiłem. Czeka mnie strasznie długi lot do Nowego Jorku, ale będę leciał niemal prosto na północ, nie zmieniając stref czasowych. Jem lunch z przyjacielem, następnie obiad z kimś z zespołu. A potem lecę prosto do ciebie. Będę z samego rana.

– Wiesz, Reg, wydaje mi się, że wdepnęłam w niezłe gówno za sprawą tej roboty dla „Node’a”.

– A co ci mówiliśmy? Moja pani jest cięta na Bigenda. Od czasu gdy usłyszała jego nazwisko, była coraz nieznośniejsza. Dzisiaj przeniosła go nawet do kategorii „nieczystych”.

– Osobiście nie uważam, żeby był odpychający, może poza upodobaniem do dziwnych samochodów, ale uwiera mnie świadomość, że ma do dyspozycji masę forsy przeznaczonej na... sama nie wiem, jak to wyrazić. On mi przypomina potwornie inteligentne przerośnięte dziecko.

– Angelina twierdzi, że Bigend potrafi się posunąć do wszystkiego, byle tylko zaspokoić swoją ciekawość.

– Jestem skłonna w to uwierzyć. Wiele bym dała, żeby nigdy nie zaciekawił się tym, co go interesuje obecnie, jeszcze więcej zaś za to, żeby wokół mnie przestało się tyle dziać w związku z jego sprawami.

– Celowo jesteś taka enigmatyczna?

– Wiem... – zaczęła mówić i urwała w pół słowa, kiedy nagle dotarło do niej, co ją naprawdę trapi. Przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha. – Ale rozmawiamy przecież przez telefon, prawda?

Po jego stronie panowała cisza. Prawdziwa, absolutna, cyfrowa cisza, nie było nawet charakterystycznych wszechobecnych szumów, które towarzyszyły każdej rozmowie międzynarodowej, tak że przyzwyczała się do nich jak do widoku nieba nad głową, gdy wychodziła z domu.

– Ach tak... – odparł. – Hm... Cóż, jest to jakiś powód. Nawet coraz częstszy...

– Nie dziwiłbyś się, gdybyś go znał.

– Taak. Z przyjemnością wysłucham więcej na temat tego pana, kiedy się zobaczymy. Jeśli moja

znajomość hiszpańskiego nie uległa kompletnemu zapomnieniu, chyba właśnie wzywają pasażerów mojego lotu.

– Powodzenia, Reg.

– Zadzwoń z Nowego Jorku.

– Cholera – mruknęła, zamykając telefon. Tak bardzo chciała, tak potrzebowała opowiedzieć mu o piratach Bigenda, o spotkaniu z Bobbym, o odjeździe białej ciężarówki i o tym, co poczuła na ten widok. Wiedziała, że on umiałby to poskładać w całość. Może i nie wydobyłby z tej historii więcej sensu, ale dzięki niemu zyskałaby nowe spojrzenie choćby dlatego, że Inchnale zawsze rozumował inaczej niż ona. Może nawet inaczej niż wszyscy. Ale w trakcie tej rozmowy wydarzyło się coś jeszcze. Nastąpiło przekroczenie pewnej granicy, wejście na nieznany teren.

Bigend i jego bajerancki samochód godny Jamesa Bonda, niewykończona jeszcze siedziba firmy, zbyt wielka forsa, nieograniczona wręcz ciekawość i przekonanie, że może wsadzać nos we wszystko i wszędzie. To właśnie stanowiło potencjalne zagrożenie. Naturalnie. Aż dziw, że nie zauważała tego wcześniej. Jeśli nie kłamał, płacił ludziom za to, by zdradzali mu tajemnice programów rządowych. Wojny z terrorem. Ciekawe, czy ta nazwa nadal jest w użyciu? Przemyślała sprawę i zdecydowała: terror istnieje. Nawet tutaj, w Starbucku, czuła obawę przed używaniem własnego telefonu, bała się sieci, która rozciągała się wokół, sięgając wierzchołków okropnych, rozchwianych sztucznych drzewek, które widuje się w oddali jadąc autostradą, masztów telefonii komórkowej ukrytych pod groteskowym sztucznym listowiem kubistycznych palm i choinek art deco stanowiących podporę niewidzialnej sieci, zupełnie innej od tej, którą nakreślił Bobby na podłodze swojej hali fabrycznej za pomocą mąki, kredy, węgliką czy innego pudru dla dzieci. Właśnie te maszty ukryte w sztucznych drzewach Bobby namierzał. Sieci telefoniczne, z jednej strony zapewniające dyskrecję, ale jak podejrzewała, totalnie podsłuchiwane. Ktoś po coś robił takie rzeczy, bardzo przecież podobne do zachowań biznesowych Bigenda. Hollis głęboko wierzyła, że istnieją miejsca, gdzie takie działania należą do normalnych.

Może nawet tutaj i teraz działo się coś takiego. Może i ją podsłuchiowano.

Podniosła wzrok i przyjrzała się pozostałym klientom. Niższa kadra firm z branży filmowej, telewizyjnej, muzycznej, interaktywnej. Nikt z tych ludzi, w tym właśnie momencie, nie wyglądał na przesadnie zadowolonego. Ale zapewne nikt z nich także nie uświadamiał sobie, jak ona teraz, że nadchodzi coś złego, mrocznego.

35. GUERREROS

Zostawił owinięty czarną folią materac na podłodze, dokładnie na jego środku ułożył klucze do mieszkania, pasta i szczoteczka do zębów spoczywały na obudowie zlewu, a druciane wieszaki pozostały na starym stojaku z pluskwą, którą pokazał mu Alejandro. Zamknął za sobą drzwi po raz ostatni i wyszedł z budynku prosto w rozpoczynający się właśnie pogodny dzień. Słońce zaczynało już roztopiać zimową skorupę skrywającą odór psich odchodów.

Gdy dotarł na Broadway, kupił kawę w papierowym kubku, czarną, i popijał ją małymi łykami, cały czas znajdując się w ruchu, pozwalając, by rytm tej wędrówki był jak najbliższy *sistiemie*. Skupiał się jedynie na postępie, na drodze. Nie będzie niczego prócz trasy do przemierzenia, dopóki nie wykona zadania, nawet jeśli zostanie zmuszony do zawrócenia albo zatrzymania się w miejscu.

Wujowie, którzy nauczali go *sistiemy*, sami pobierali wcześniej nauki u Wietnamczyka, byłego żołnierza, człowieka przybyłego kiedyś z Paryża, by żyć i umrzeć w wiosce Las Tunas. Tito jeszcze jako dziecko widywał go, kiedy pomagał rodzinie w pracach na roli, ale gdy przenieśli się do Hawany, stracił go kompletnie z oczu, nigdy też z nim nie rozmawiał. Wietnamczyk zawsze nosił czarną luźną koszulę, z bawełny i bez kołnierzyka, podwiniętą w pasie, i brązowe plastikowe sandały pod prysznic, na których zawsze widać było szare plamy po pyle zalegającym ulice wioski. Tito widywał staruszkę, kiedy ten popijał piwo i palił cygara albo wspinał się na pobielony betonowy mur wysoki na dwa piętra, nie mając do dyspozycji niczego prócz płytkich wgłębień w miejscach, gdzie zaprawa łączyła kolejne bloki. To były naprawdę dziwne wspomnienia, nawet tak małe dziecko, jakim był wtedy Tito, zdawało sobie sprawę, że obserwuje rzecz prawie niemożliwą. Ale wujowie nie bili brawa, panowała kompletna cisza i tylko kłęby sinego dymu unosiły się z ich cygar. A Wietnamczyk parł w górę, zupełnie jak ten dym wzbijający się ku blaskowi świtu i równie jak on szybko. Jego kończyny nie tyle się poruszały, ile nieustannie i płynnie nawiązywały więź ze ścianą.

Jakiś czas później, gdy nadszedł czas nauki u wujów, Tito szybko i dobrze poznał tajniki tej sztuki. Gdy opuszczał Kubę, jego *sistiema* była już w pełni ukształtowana, a wujowie, którzy przekazali mu wiedzę o niej, czuli satysfakcję.

A kiedy zakończyła się jego edukacja u wujów, wzięła go w obroty Juana, pokazując, jak działają *guerreros*: Elegba, Ogun, Oszosi i Oszun. Gdy Elegba otwiera wszelkie szlaki, Ogun oczyszcza je za pomocą maczety. Bóg żelaza i wojny, pracy, pan każdej technologii. Jego liczba to siedem, kolor zielony i czarny, Tito zawsze o tym pamiętał, także teraz, kiedy szedł po Prince Street z wyrobem Bułgara owiniętym dokładnie w chusteczkę i schowanym głęboko w wewnętrznej kieszeni czarnej nylonowej kurtki z kolekcji APC. Tuż poza polem jego percepcji towarzyszył mu Oszosi, najlepszy łowca i tropiciel pośród orisz. Ta trójka, wliczając w to jeszcze Oszun, była przyjmowana podczas inicjacji *guerreros*. Juana wyjaśniła mu te sprawy, najpierw powiedziała, że to sposób na pełniejsze zrozumienie *sistiemy* Wietnamczyka z Paryża, a w oczach wujów dostrzegł dowód na to, że nie kłamała, choć nigdy im o jej naukach nie wspomniał. Juana bowiem cierpliwie mu tłumaczyła, że umiejętność zachowania dla siebie wiedzy zawsze pomaga w osiągnięciu zakładanego celu.

Zauważył, że Vianca mija go na skuterze, kierując się w stronę centrum, pomalowany w krzykliwe barwy błyszczący hełm odwrócił się na moment w jego stronę, rzucając masę słonecznych refleksów.

Ale Oszosi pozwalał mu też na nieco mniej szczegółowy sposób prowadzenia obserwacji. Życie ulicy, wszyscy przechodnie i pojazdy stali się jednym zwierzęciem, jednym organizmem. Gdy wypił połowę kawy, zdjął plastikowe wieczko, wsunął do środka swoją komórkę i ponownie nakrył kubek, wrzucając go potem do pierwszego mijanego kosza na śmieci.

W tym momencie dotarł już na południowo-zachodni róg skrzyżowania Prince Street i Broadwayu i dalej parł naprzód razem z *guerreros*, czujny i skupiony uczestnik niewidzialnej procesji. Oszosi wskazał mu czarnoskórego i odzianego w czerń detektywa sklepowego z paciorkiem słuchawki w uchu, a Elegba ukrył go przed jego wzrokiem. Minął gruby oszroniony cylinder windy sklepowej i skorzystał z ruchomych schodów wbudowanych w pochyłą podłogę. Kiedyś przychodził w to miejsce dla jego dziwaczności, można było poczuć się tutaj jak na zatrzymanej w połowie wahnięcia huśtawce. Rzeczy na wystawach nie przemawiały do niego, choć lubił popatrzeć na nie. Ich wielka wartość aż kłuła w oczy, właśnie takie marki podrabiano na Canal Street, nawet bez metek zbyt łatwe do rozpoznania.

Zauważył kolejnego detektywa, tym razem białego, w beżowej marynarce, czarnej koszuli i takim samym krawacie. Idąc obok modułowej białej ściany kosmetyków w stronę stoisk z męskimi butami pomyślał, że ci ludzie muszą dostawać specjalne dodatki na ciuchy.

Guerreros natychmiast rozpoznali stojącego tam obcego, trzymał w ręce czarne trzydziurkowe oxfordy ze skóry aligatora. Zaskoczyła go ich przenikliwość.

Człowiek ten – szeroki w barach, z ciemnymi bardzo krótko przystrzyżonymi włosami, około trzydziestki – odwrócił się. Odstawił buty na półkę.

– Tysiąc sześćset – powiedział, a jego angielski okazał się wzbogacony nieznanym akcentem. – Może innym razem. – Uśmiech obnażył białe zęby tłoczące się zdrowo w obu szczękach. – Znasz Union Square?

– Tak.

– Na północnym krańcu parku, Siedemnasta Ulica, Zielony Jarmark. Równo o pierwszej, nie pokazuj się tam wcześniej. Jeśli przyjdiesz przed czasem, on się nie pokaże. Jeśli zrobisz dziesięć kroków i nic się nie wydarzy, uciekaj. Pomyśl, że ich zauważyłeś. Część z nich ruszy za nim. Pozostali spróbują dopaść ciebie. Musisz im uciec, ale po drodze zgubisz to. – Włożył do kieszeni Tita biały prostopadłościan iPoda w foliowym opakowaniu. – Uciekaj w kierunku hotelu W, na rogu Park Avenue i Siedemnastej. Wiesz, gdzie to jest?

Tito skinął głową, pamiętał, że strasznie zdziwiła go ta nazwa, gdy mijał budynek.

– Główne wejście od Park Avenue, dokładnie na rogu. Nie najbliższe obrotowe drzwi, te prowadzą do hotelowej restauracji, choć to do niej musisz się w końcu dostać. Miniesz odźwiernego i skręcisz na prawo. Nie wejdiesz po schodach do holu. Nie wejdiesz do holu, rozumiano?

– Tak.

– Przez drzwi po prawej, potem zawracasz. Skierujesz się na południe. Gdy dotrzesz do

obrotowych drzwi na samym rogu budynku, skręcisz w lewo. Do restauracji, potem idziesz prosto do kuchni, tam jest wyjście na Osiemnastą. Zielony van ze srebrnymi napisami, zaparkowany po południowej stronie. Będę w nim czekał. – Odwrócił głowę, jakby przyglądał się wystawionym butom, które tego dnia wydawały się Titowi wyjątkowo paskudne. – Ludzie, którzy ruszą za tobą, będą mieli radia i telefony, ale zagłuszemy wszystko, kiedy tylko ruszysz.

Tito udając, że ogląda zapinane z boku na zamek czarne buty z cielej skóry, dotknął ich czubków palcami, pokręcił z niezadowolaniem głową i odwrócił się, by odejść.

Oszosi wiedział, że biały detektyw w beżowej marynarce obserwuje ich.

Drzwi windy z matowanego szkła rozsunęły się. Wynurzył się z niej Brotherman, we włosach miał pasemka miedzi, do tego szkliste oczy i nierówny chód. Biały detektyw natychmiast zapomniał o Ticie, który mógł spokojnie podejść do windy, wsiąść do niej i nacisnąć przycisk umożliwiający rozpoczęcie dwudziestostopowego wjazdu na poziom ulicy. Gdy drzwi się zasuwały, Tito zobaczył jeszcze, jak człowiek, którego rozpoznali *guerreros*, uśmiecha się w stronę detektywa podchodzącego do Brothermana, w tym momencie wyglądającego już na totalnie trzeźwego, wręcz dystygowanego, i grzecznie, acz stanowczo protestującego przeciw interwencji sklepowej ochrony.

36. OKULARY. JĄDRA, PORTFEL I ZEGAREK

W czasie gdy Milgrim kończył golenie i ubierał się, w pokoju Browna trwało spotkanie. Milgrim jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś odwiedzał agenta, a teraz było aż trzech gości. Trzech mężczyzn. Przyjechali dosłownie w parę minut po tym, jak Brown skończył rozmawiać przez telefon, i Milgrim zyskał okazję do rzucenia na nich okiem, gdy wchodzili do pokoju. Z tego co zdążył zauważyć, wszyscy byli biali i dość konwencjonalnie ubrani. Zastanawiał się, czy przypadkiem też nie są gośćmi tego hotelu, dwóch z nich bowiem miało koszule z krótkim rękawem i nie przyniosło ani płaszczy, ani marynarek.

Teraz słyszał, jak rozmawiają, mówiąc bardzo szybko, ale niczego nie rozumiał. Brown za to wydawał wiele znaczących dźwięków, potakiwał, przeczył, co jakiś czas przerywał też innym, aby wyrecytować coś, co według Milgrima musiało być poprawkami do przedstawianego planu działania.

Milgrim uznał, że powyższe okoliczności stanowią znakomitą okazję, by się spakować i zażyć kolejną tabletkę rize'u. Pakowanie polegało na włożeniu książki do kieszeni płaszcza i zatroszczeniu się o przybory toaletowe. Wypłukał i osuszył ostrza swojej niebieskiej plastikowej jednorazowej maszynki do golenia. Kawałkiem papieru toaletowego oczyścił gwint i nakrętkę niewielkiej tubki pasty do zębów marki Crest. Potem zakręcił ją i zachowując ostrożność zwinął tak szczelnie, jak to było możliwe, sprawdzając co chwilę, czy nie wyciska jej zbyt mocno. Usatysfakcjonowany z wyniku umył też dokładnie szczoteczkę do zębów, wysuszył ją, a potem dokładnie owinął obie rzeczy w kolejne pasmo papieru toaletowego. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zabrać też kosteczki hotelowego mydła, które tak dobrze się pieniło, ale potem pomyślał, że przecież nic nie wskazuje na to, iż już nigdy tutaj nie wrócą.

Coś się miało wydarzyć, i to wkrótce – Milgrim wyczuwał napięcie wiszące w powietrzu. Zupełnie jak w czytanych wieki temu powieściach o Sherlocku Holmesie. Zostawił kostkę wilgotnego mydła na skraju upapranej pianą oraz włoskami umywalki i porozmieszczał resztę swojego przybytku po kieszeniach płaszcza. Miał nadzieję, że Brown wciąż jeszcze ma jego portfel i dokumenty, które skonfiskował podczas zatrzymania (kiedy spotkali się po raz pierwszy, agent udawał gliniarza, a Milgrim nie miał powodów, żeby w to wątpić), gdyż poza nimi jego jedynym ziemskim majątkiem były środki czystości, książka i ubranie, które nosił. No i jeszcze dwie pięciomiligramowe tabletki rize'u. Wycisnął z opakowania jedną i kontemlował przez chwilę leżącą na dłoni przedostatnią działkę. Czy mógł ją zaliczyć do swego ziemskiego majątku? Nie, uznał z całkowitą pewnością, połykając tabletkę. Rize był nieziemski.

Gdy usłyszał, że spotkanie w pokoju Browna dobiega końca, czego mogło dowodzić charakterystyczne klaśnięcie w dłonie, podszedł do okna. Nie zależało mu na oglądaniu tych ludzi ani też na tym, by oni go widzieli. Jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie. Chociaż powinien trzymać się swoich zasad.

– Ruszamy – powiedział agent, stając w drzwiach.

– Już się spakowałem.

– Co zrobiłeś?

– Gra się rozpoczyna.

– Chcesz, żebym ci połamał żebra?

Ale Brown nie zamierzał spełnić tej groźby, Milgrim wiedział o tym doskonale. Agent był już nieobecny duchem, skupiony wyłącznie na swojej operacji, na tym, co trzeba zrobić, by przyłapać UZ-a i cel. W ręce trzymał laptopa, a przez ramię miał przewieszoną nylonową czarną torbę. Milgrim obserwował, jak sprawdza wolną dłoń, czy ma na miejscu pistolet, kajdanki, latarkę, nóż i całą resztę sprzętu, bez którego nie ruszał się z domu. Okulary, wyrecytował w myślach Milgrim, jądra, portfel, zegarek.

– Możemy iść, jak tylko będziesz gotowy – powiedział i przecisnął się obok Browna na korytarz.

Gdy rize dał mu kopa w windzie, poczuł całkiem przyjemne podniecenie. Coś naprawdę się działo i o ile nie spędzi przez to kolejnych czterech godzin w pralni przy Lafayette, może być bardzo ciekawie.

Brown poprowadził go przez hol prosto do głównego wyjścia, za którym powitały ich zaskakująco jasne promienie słońca. Parkingowy otworzył drzwi świeżo wymytej corolli i podał kluczyki, które Brown przyjął w zamian za dwa dolarowe banknoty. Milgrim obszedł wóz dokoła i wsiadł z drugiej strony. Agent postawił laptopa i torbę na podłodze za siedzeniem pasażera. Kiedy jeździli razem, Milgrim zawsze siedział z przodu, jak to slangowo określano, na shotgunie, pewnie po to, by w razie czego agent nie musiał się męczyć celowaniem. Usłyszał, że Brown blokuje wszystkie drzwi.

Wyjechali na Trzydziestą Czwartą Ulicę. Było bardzo pogodnie, wiele wskazywało na nadejście prawdziwej wiosny, a Milgrim marzył, że jest przechodniem, który zażywa beztroskiego spaceru. Nie, poprawił się zaraz w myślach, jestem przechodniem, który zażywa spaceru mając w zanadrzu pięciomiligramową tabletkę rize'u. Skadrował od nowa to ujęcie, tym razem miał na ramieniu czarną torbę Browna. Tę, w której musi znajdować się papierowa torebka zawierająca zapasy prochów.

– Czerwony Jeden – rzucił Brown, gdy skręcili w prawo, na Broadway. – Jadę na południe Broadwayem, na Siedemnastą. Wsłuchał się w odległy głos.

Milgrim przyjrzał mu się uważniej i zauważył niewielką słuchawkę w uchu, szary przewodzik zniknął za kołnierzem marynarki.

– Zostawię cię w samochodzie – powiedział nagle agent, dotykając czegoś przy kołnierzu, zapewne wyłącznika głosu. Wprawdzie mam plakietki wydziału ruchu drogowego, co powinno trzymać z dala krawężników, ale myślę, że dla pewności powinienem skuć ci ręce.

Milgrim z doświadczenia wiedział, że lepiej nie zaczynać dyskusji.

– Ale jesteśmy w Nowym Jorku – dodał Brown.

– Tak – zgodził się Milgrim nieśmiało.

– Wyglądasz na ćpuna. Gliniarze mogą pomyśleć, że obrabiasz samochód wydziału ruchu drogowego, a jak zobaczą, że jesteś do niego przykuty, będzie jeszcze gorzej.

– Będzie – przyznał Milgrim.

– Zatem obejdziemy się bez kajdanek.

Milgrim na wszelki wypadek nie odpowiedział.

– Zresztą mogę ich dzisiaj potrzebować. – Brown uśmiechnął się do swoich myśli. Milgrim nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej widział uśmiechniętego agenta. – A ty przecież pragniesz jedynie kolejnej działki, która czeka na ciebie w tej torbie.

– Tak – potwierdził Milgrim, który doszedł do identycznej konkluzji już parę minut wcześniej.

– Jeśli wrócę do samochodu i ciebie w nim nie zastanę, będziesz skończony.

Milgrim zastanawiał się, co Brown może uważać za jeszcze większe gówno, jeśli chodzi o jego sytuację, skoro obaj zdawali sobie doskonale sprawę, że będąc pozbawionym dostępu do antydepresantów, bezdomnym i bez grosza przy duszy w sercu Manhattanu, nie mógł już upaść niżej.

– Rozumiem – powiedział, starając się naśladować ton Browna, ale tak, by go nie zdenerwować. Coś mu mówiło, że określenie „skończony” w języku agenta oznacza martwy, czyli stan znacznie gorszy, niż mógł przypuszczać.

– Odebrałem – powiedział Brown do głosów ze słuchawki. – Odebrałem.

37. TRACEURZY

Guerreros prowadzili go w blasku słońca wzdłuż Broadwayu. Nie tego oczekiwał, pierwotnie zamierzał dotrzeć metrem na Union Square, a potem krążyć wokół miejsca spotkania aż do pierwszej. Ale stało się inaczej, więc szedł za nimi tam, gdzie prowadzili. Wkrótce był zwykłym przechodniem, a orisze ledwie zauważalni, niewidzialni niczym kropla atramentu w morzu wody, puls miał spokojny, rozkoszował się ciepłem słońca i widokiem wykutych w żelazie motywów roślinnych zdobiących mury wielu starych budynków. Pozostawał jednak wciąż, o czym doskonale wiedział, choć starał się o tym nie myśleć, w stanie najwyższej gotowości.

Część jego umysłu odczuwała niepokój na myśl, że najprawdopodobniej już wkrótce będzie musiał opuścić to miasto, możliwe, że jeszcze przed zachodem słońca. Wydawało mu się to nieprawdopodobne, ale dawno temu, kiedy opuszczał Hawanę, musiał myśleć dokładnie tak samo. Dzisiaj wprawdzie nie pamiętał, czy tak było, uciekali z Kuby w takim pośpiechu, nie zabierając niczego prócz ubrań, które mieli na sobie, gdy matka wyciągała go z jadłodajni. Jadł wtedy kanapkę z szynką. Wciąż pamiętał smak tamtego chleba – kwadratowej kromki – z którym nieodłącznie kojarzy mu się jego dzieciństwo. Ale gdzie trafi jutro?

Przeszedł przez Houston. Gołębie poderwały się z chodnika.

Zeszłego lata spotkał na Washington Square dwóch studentów z tutejszego uniwersytetu. Byli traceurami, ludźmi oddanymi dyscyplinie sportu przypominającej nieco *sistiemę*, którą nazywali *parcourem*. Obaj byli czarnoskórzy i brali go za mieszkańca Dominikany, ale nazywali „Chinolem”. Zastanawiał się teraz, idąc na północ, czy to wiosenne słońce nie zwabi ich dzisiaj na Washington Square. Lubił ich towarzystwo, pokazy, jakie robili, i wymianę wiedzy o prostszych technikach. Nauczył się *salta w tył* i kilku innych sztuczek, jakie trenowali, wprowadzając je do *sistiemy*, ale odmawiał uczestnictwa w samym *parcourze*, który niemal zawsze prowadził do pomniejszych naruszeń prawa i wtargnięcia na teren prywatny. Nigdy jednak nie odmówił przyjęcia na następne spotkanie.

Minął Bleecker, potem Great Jones Street, ta druga nazwa zawsze kojarzyła mu się z czymś olbrzymim, potworem z czasów, gdy stawiano obramowane stalą budynki, bestią w meloniku i z ramionami sięgającymi okien na pierwszym piętrze. Po części za sprawą Alejandra, który w swoim czasie terminował u Juany. Przypomniawszy sobie, że kuzyn posyłał go po książki do Strand Books, antykwariatu, który powinien minąć już za moment, po tytuły wydane w konkretnych latach, w określonych krajach, na różnego rodzaju papierze. Jedyne, co z nich potrzebował, to niezadrukowane kartki znajdujące się na końcu. Tito wyobrażał sobie wtedy, że te nie zapisane historie posłużą do tego, by Alejandro stworzył na nich zawile nowe tożsamości.

Szedł przed siebie, ani razu się nie oglądając, miał bowiem pewność, że nie jest śledzony przez kogoś, kto nie należy do rodziny; gdyby było inaczej, już dawno otrzymałby ostrzeżenie od członków zespołu podążającego jego tropem, cały czas jednak pozostającego co najmniej dwie przecznice w tyle, ale po obu stronach ulicy, nieustannie zmieniając się wedle wzorców KGB o wiele starszych nawet od Juany.

Teraz na przykład zobaczył kuzyna Marcosa schodzącego z krawężnika o pół przecznicy przed sobą. Marcos iluzjonista, kieszonkowiec o czarnych kręconych włosach.

Szedł przed siebie jakby nigdy nic.

Po wyrzuceniu telefonu musiał sprawdzać czas na zegarach widocznych w witrynach banków i pralni, dopóki nie dotarł na południowy róg Union Square. Orisze nie zważali na zegary. Były potrzebne jemu, aby dokładnie zaplanować moment przybycia.

Za piętnaście pierwsza. Stając na Czternastej Wschodniej pod dziwacznymi cyframi pokazującymi czas w sposób absolutnie nieczytelny, spojrzął razem z Oszosim w kierunku odległych straganów bazaru.

I wtedy minęli go, śmiejąc się. obaj traceurzy spotkani tamtego lata na Washington Square. Nie zauważyli go. Przypomniawszy sobie, że mieszkają w akademikach uniwersyteckich właśnie tutaj, przy Union Square. Parzył, jak odchodzą, marząc o tym, by mógł pójść razem z nimi, podczas gdy orisze krążąc wokół niego sprawili, że powietrze zadrgało lekko przez moment, zupełnie jak nad rozgrzanym chodnikiem w sierpniu.

38. ŁONO

Leżała bardzo spokojnie na plecach, prześcieradło tworzyło nad nią chłodny, ciemny tunel, udzielała swemu ciału wyraźnego pozwolenia na relaks. Przypomniało jej to podobną sytuację, tyle że wtedy spała na górnej koi w wycieczkowym autobusie, rolę prześcieradła pełnił śpiwór, a gumowe zatyczki do uszu zastąpiły prośbę do recepcji o niełączenie rozmów i osobiste wyciszenie komórki.

Inchmale nazywał takie zachowania powrotem do łona, ale ona wiedziała, że chodzi o coś wręcz przeciwnego. Nie o spokój jeszcze nie narodzonej istoty, tylko o ciszę po śmierci. Nie chciała czuć się jak płód, raczej wolała kojarzyć ten stan z rzeźbami wykutymi w zimnym kamieniu, spoczywającymi na szczycie sarkofagów. Kiedy wspomniała o tym Jimmy'emu Carlyle'owi, odparł z rozbawieniem, że właśnie tak się czuje, kiedy jest na heroinowym haju, a przynajmniej takie ma wspomnienia. Po tej rozmowie cieszyła się z tego, że nigdy nie uległa pokusie spróbowania narkotyków silniejszych niż tradycyjne papierosy.

Ale w zasadzie każde wydarzenie, które potrafiło wstrząsnąć nią naprawdę mocno, sprawiało, że pragnęła wrócić do łona bądź też grobowca, najlepiej w jakimś zaciemnionym pokoju. Robiła to po rozpadzie każdego z poważniejszych związków, a także wtedy, gdy skończyło się Curfew, kiedy poniosła pierwsze poważne straty, gdy pękł przepompowany balonik biznesów internetowych (pomijając już fakt, że owe aktywa także stanowiły pozostałość po jednym z jej byłych chłopaków), robiła to także, gdy przydarzyło się kolejne (i jak sądziła z przebiegu wydarzeń, ostateczne) załamanie jej finansów, kiedy to, zgodnie zresztą z jej przewidywaniami, padło emporium mające w zamierzeniu jej przyjaciółki Jardine stać się brooklyńską Mekką muzyki niezależnej. Inwestycja w to przedsięwzięcie z początku wyglądała na posunięcie mało zawodowe, podjęte raczej dla czystej rozrywki, z rozlicznymi możliwościami, a nawet szansą na zysk, więc skorzystała z niego, zwłaszcza że wcześniejsza inwestycja w dotcomy sprawiła, że na koncie posiadała okrągłą sumkę z sześcioma zerami, przynajmniej na papierze. Inchmale oczywiście wciąż jej wtedy powtarzał, że powinna sprzedać posiadane pakiety udziałów, póki – o czym dzisiaj tak dobrze wiedziała – cieszą się wielkim, acz niezwykle krótkotrwałym wzięciem. Inchmale, jak to Inchmale, opchnął wtedy wszystkie swoje akcje, czym doprowadził do rozpaczki przyjaciół twierdzących zgodnie, że właśnie zrujnował własną przyszłość. On im na to odpowiadał ze spokojem, że czasami trzeba odrzucić niepewną przyszłość, i miał rację. No i nigdy nie wtopiłby ćwierci swojego majątku w biznes, na który składał się jedynie towar pod postacią agresywnej muzyki niezależnych wytwórni i sklep, czyli chałupa z cegieł. Porywali się na sprzedaż całego spektrum martwych gatunków muzyki, tak wtedy twierdził.

Dzisiaj powróciła do tunelu za sprawą niespodziewanego ciosu, jaki zadał jej własny strach tam, w Starbucks; obawiała się, że Bigend wplątał ją w coś, co niesie ogromne, acz niesprecyzowane niebezpieczeństwo. Miała za sobą istny ciąg osobliwości kumulujących się od momentu, gdy przyjęła zlecenie od „Node’a”. O ile „Node” naprawdę istnieje. Bigend sugerował niedwuznacznie, że „Node” będzie istniał tylko w takim zakresie, w jakim będzie mu potrzebny.

Zrozumiała poniewczasie, że chcąc odrobić straty, powinna była zająć się czymś zupełnie innym. Pomaganie Hubertusowi Bigendowi w zaspokajaniu jego ciekawości okaże się daremne, podobnie

jak każda inna praca oferowana przez Blue Ant. Pisanie zawsze ją pociągało, co przyznawała nawet dzisiaj, choć niechętnie. W czasach świetności Curfew podejrzewała często, że jest jedną z niewielu gwiazd, które marzą o tym, by podczas wywiadu znaleźć się po drugiej stronie mikrofonu. Nie dlatego, że chciała robić wywiady z muzykami. Zawsze fascynowały ją mechanizmy rządzące światem i motywy ludzi. Kiedy pisała o jakimś problemie, zaczynała go widzieć z innej perspektywy, a przez to patrzyła inaczej także na siebie. Gdyby zdołała zarabiać tym sposobem na chleb, taniemy z Amerykańskiego Stowarzyszenia Kompozytorów, Autorów i Wydawców mogłyby iść na czynsz, a ona zyskałaby czas na ocenę sensowności takiego ruchu.

Dawno temu, jeszcze w czasach Curfew, napisała parę tekstów do „Rolling Stone’a”, i jeszcze kilka dla „Spina”. Razem z Inchmale’em stworzyli pierwsze dogłębne studium The Mopars, ich ukochanej kapeli garażowej z lat sześćdziesiątych, choć nie znaleźli potem nikogo, kto zechciałby zapłacić za publikację tej pracy. W końcu tekst ukazał się w wewnętrznym biuletynie wydawanym przez sklep Jardine i była to jedna z naprawdę niewielu korzyści, jakie odniosła z tamtej inwestycji.

Inchmale, jak się domyślała, siedział teraz wygodnie w klasie biznesowej, lecąc w stronę Nowego Jorku i przeglądając „The Economist”, pismo, które czytywał wyłącznie w samolotach, zarzekając się, że natychmiast po lądowaniu i tak nie będzie pamiętał ani jednego słowa.

Westchnęła. Odpuść sobie, napomniała się w duchu, nie mając pojęcia, co powinna sobie odpuścić.

Oczami wyobraźni zobaczyła wirtualny pomnik Helmuta Newtona. Pokryte azotanem srebra dziewczęta wskazujące na okultystyczne wichry porno i przeznaczenia.

– Odpuść sobie – powiedziała na głos i zasnęła.

Gdy się obudziła, zza krawędzi grubych zasłon nie przebijała już jasność. Zapadł zmierzch. Leżała nadal w tunelu z prześcieradeł, wiedząc, że już go nie potrzebuje. Ostrze strachu już się cofnęło, może jeszcze nie zniknęło z jej pola widzenia, ale znajdowało się na tyle daleko, by powróciła ciekawość.

Gdzie teraz przebywa Bobby Chombo? Czy został zabrany razem ze swoim dobytkiem przez Departament Bezpieczeństwa Narodowego (jak go nazywał Inchmale)? Czy oskarżono go o dymanie władz i kombinację z przemysłem broni masowej zagłady? Szczególne zachowanie obojga czyścicieli skłaniało ją do przekonania, że nie doszło do niczego takiego. Sądziła, że raczej dał nogę, chociaż nie bez pomocy z zewnątrz. Wpadła ekipa, zapakowała jego sprzęt do białej ciężarówki i wywiozła wszystko cholera wie gdzie. Z tego co o nim wiedziała, mógł się teraz znajdować zaledwie o parę przecznic od poprzedniego lokum. Ale jeśli odciął się od Alberta i całej reszty sceny lokacyjnej, to jakie miała szanse na jego ponowne odnalezienie?

Gdzieś tam, pomyślała, spoglądając na niemal niewidoczną biel sufitu w zaciemnionym pokoju, gdzieś tam jest jeszcze kontener. Długi prostopadłościan ze... czy robi się je ze stali? Tak, zdecydowała, ze stali. Miała kiedyś romans z pewnym irlandzkim architektem w jego wiejskiej posiadłości w Derry. Przebudował jeden z takich kontenerów na studio. Powycinał palnikiem wielkie otwory w ścianach i zabudował je taflami szkła osadzonymi w sklejce. Tak, to była na pewno stal. Jego kontener został zaprojektowany pierwotnie jako chłodnia, pamiętała, że wspominał

jej o tym, dodając, że prostsze modele nie nadawałyby się na dom, gdyż w ich wnętrzu skrapla się wydechane powietrze.

Mimo to nigdy wcześniej o nich nie myślała. Oczywiście widywała czasem podobne kontenery na autostradzie, jadące jeden za drugim, dopasowane do siebie szczelnie jak klocki lego w robocie Odile. Zdawały się tak powszechnym i nieznaczącym elementem otaczającej ją rzeczywistości, że po prostu nie zwracała na nie uwagi. Przypuszczała, że przewozi się w ich wnętrzu niemal wszystko. Chociaż nie surowce, takie jak węgiel czy ziarno, tylko wyroby przemysłowe. Przypomniła sobie wiadomości podawane, gdy kontenery tonęły ze statkami podczas większych sztormów. Na ogół puszczały wtedy zamknięcia i na przykład tysiące chińskich gumowych kaczuszek kołysało się radośnie na falach oceanu. Albo adidas. Fale wyniosły gdzieś na brzeg setki wyłącznie lewych butów, prawe wysyłano bowiem osobnym transportem, by ukrócić kradzieże. Było coś jeszcze, na jachcie zacumowanym w marinie, chyba w Cannes, słyszała przerażające marynarskie opowieści o tym, że kontenery nie toną od razu, tylko utrzymują się długo tuż pod powierzchnią wody, stanowiąc ciche śmiertelne zagrożenie dla małych jednostek pływających.

Zdaje się, że rozmyślając dokonała przeglądu większości lęków, z jakimi borykała się do tej pory. Ciekawość nie zdołała ich całkowicie wymazać, ale cieszyło ją, że przeważała nad strachem. Za jeden z najbardziej przerażających aspektów znajomości z Bigendem uznawała ten, że zadając się z nim, zyskała szansę na poznanie rozwiązania niektórych zagadek. Tylko dokąd mogło ją to zaprowadzić? Czy natrafi na sprawy, o których lepiej nie wiedzieć? Bez wątpienia, uznała, aczkolwiek największe znaczenie będzie mieć to, kto dowie się o tym, że ja coś wiem...

W tym właśnie momencie usłyszała charakterystyczny szelest koperty wsuwanej przez szparę pod drzwiami, znała go doskonale z czasów, gdy podróżowała z zespołem, i tak jak niemal za każdym razem wzbudził w niej atawistyczny lęk tożsamy z przerażeniem zwierzęcia wyczuwającego obcy zapach w gnieździe.

Zapaliła światło.

Wewnątrz koperty, którą podniosła z wykładziny, znajdował się kolorowy wydruk na zwykłym maszynowym papierze, przedstawiający zdjęcie białej ciężarówki zaparkowanej obok rampy załadunkowej hali fabrycznej zajmowanej do niedawna przez Bobby'ego Chomba.

Odwróciła kartkę i znalazła słowa napisane charakterystycznym, przywodzącym na myśl pismo klinowe stylem Bigenda.

„Jestem w holu. Porozmawiajmy. H. „

Ciekawość. Czas ją zaspokoić. Czas zadecydować, czy brnie w to dalej czy też sobie odpuszcza.

Weszła do łazienki, by przygotować się na kolejne spotkanie z Bigendem.

39. ŚLUSARZ

Milgrim pamiętał jeszcze Union Square takim, jakim był przed dwudziestu laty, gdy stały na nim połamane ławki i wały się tony śmieci, gdzie ciało martwego człowieka mogło leżeć niezauważone pomiędzy nieruchomymi sylwetkami śpiących bezdomnych. Handlowano tu podówczas prochami zupełnie otwarcie, ale Milgrim ich wtedy jeszcze nie potrzebował. A dzisiaj proszę, Barnes & Noble, Circuit City, Whole Foods, Virgin, on zaś, Milgrim, zmienił się równie mocno, tyle że jakby w drugą stronę. Uzależniony, mówiąc delikatnie, od substancji osłabiających nacisk na rdzeń jego osobowości, nieustannie grożący jej unicestwieniem, implozją wręcz – czuł, że jest czymś na kształt tego szczególnego elementu mieszczącego się w konstrukcji Buckminstera Fullera, który nieustannie powiększa swoją objętość, by równoważyć wciąż rosnące napięcia.

Tak to przynajmniej odbierał, chociaż teoretycznie wciąż był w stanie założyć możliwość, że niepokój, który odczuwa na dnie swego jestestwa obecnie, jest wynikiem działania jego ulubionych specyfików.

Zresztą nieważne, uznał pogodnie, gdy Brown parkował srebrną corollę po południowej stronie Siedemnastej Wschodniej, tuż przy Union Square West, porcja japońskiego lekarstwa, które zażył, poprawiła mu nastrój, nie wspominając już o nieoczekiwanej przyjemnej aurze.

Ciekawe, czy Brown ma pozwolenie na zaparkowanie w tym miejscu, zastanawiał się Milgrim. Nie wyglądało na to, ale po wypowiedzeniu kilku słów do mikrofonu (a może do zamieszkujących jego wnętrze demonów), niosących informację, że Czerwony Jeden jest już na miejscu, Brown zabrał swoją czarną torbę z podłogi za fotelem Milgrima i wyjął z niej parę plakietek, cholernie poważnie wyglądających i zamkniętych w próżniowo klejonych opakowaniach z przezroczystego, a jednak dającego lekki żółty połysk plastiku. „Wydział ruchu drogowego”, wypisano na nich czytelną bezszeryfową czcionką. Milgrim przyglądał się, jak agent oblizuje kciuk i rozprowadza równo ślinę po dwu niewielkich przysawkach umieszczonych z tyłu jednej plakietki, po czym przykleja ją do przedniej szyby w górnej części, dokładnie nad kierownicą. Odstawił torbę z powrotem za siedzenie pasażera, prosto na laptopa. Odwrócił się do Milgrima i pokazał mu ułożone na wysuniętych do przodu dłoniach kajdanki, zupełnie jakby oferował je do sprzedaży. Były równie profesjonalnie matowe jak reszta jego ulubionego wyposażenia. Ciekawe, czy robią kajdanki z tytanu, pomyślał Milgrim. Jeśli nie, to ta para posiadała wykończenia imitujące ten metal, co upodabniało je do podrabianych okularów przeciwsłonecznych Oakley sprzedawanych masowo na Canal Street.

– Obiecałem, że nie przykuję cię do samochodu.

– Obiecałeś – potwierdził Milgrim, zachowując neutralny ton. – Będiesz ich przecież potrzebował.

– Ale w takim razie co powiesz gliniarzowi albo parkingowemu, jeśli jakiś się pojawi i zapyta, co robisz w służbowym wozie? – Brown schował kajdanki do wyprofilowanego futerału przy pasie.

Ratunku, zostałem porwany, ryknął w myślach Milgrim, albo jeszcze lepiej: bagażnik tego wozu jest wypełniony materiałami wybuchowymi.

– Dlatego usiądziesz na ławeczce i porozkoszujesz się słoneczkiem – powiedział Brown.

– Dobra – odparł Milgrim.

Brown otworzył drzwi i obaj wysiedli.

– Połóż ręce na dachu samochodu – rozkazał agent.

Milgrim posłuchał, a Brown otworzył drzwi z tyłu, wsunął się do wnętrza wozu i przykleił drugą plaketkę wydziału ruchu, tym razem na tylnej szybie. Milgrim tymczasem stał, dotykając dłońmi czystego, rozgrzanego dachu corolli. Brown wyprostował się, zamknął drzwi. Kliknął pilotem, blokując wszystkie zamki.

– Tędy – powiedział, a potem dodał coś, czego Milgrim nie zrozumiał, zapewne była to odzywka skierowana do kogoś z czerwonego zespołu.

Laptop, pomyślał Milgrim. I torba.

Kiedy przeszli za róg i zobaczyli rozciągający się przed nimi park, Milgrim musiał zmrużyć oczy. Nie był przygotowany na widok tak wielkiej przestrzeni, światła, drzew, które właśnie zaczynały wypuszczać liście, i barwnych płócien zdobiących jarmark.

Szedł tuż za Brownem przez Union Square West, a potem przez sam jarmark, przyglądając się młodym matkom pchającym wózki wyglądające jak miniatury pojazdów terenowych i niosącym plastikowe torby pełne ekologicznej żywności. Potem przeszli dalej, za budynek pamiętający lata Federalnego Projektu do Spraw Sztuki WPA, który nieraz mijał w dawnych czasach, teraz najwyraźniej służący za restaurację, ale jeszcze nieczynną. Weszli na alejkę biegnącą przez park, zaczynającą się przy Szesnastej, tę z Lincolnem na cokole. Milgrim przypomniał sobie, że kiedyś próbował rozgryźć, co też posąg prezydenta trzyma przy boku w lewej dłoni. Czy to złożona gazeta?

– Tutaj – rzucił Brown, wyciągając rękę w kierunku ławki stojącej najbliżej Union Square West, po południowej stronie alejki. – Nie na środku, tutaj. – Wskazał miejsce tuż przy kolistej poręczy, którą chyba z rozmysłem zaprojektowano w taki sposób, by nie dało się na niej wesprzeć strudzonej głowy. Milgrim usiadł, odruchowo chwytając dłonią poręcz, podczas gdy Brown już wyjmował długi, lecz wąski czarny pasek lśniącego plastiku. Owinął go zrecznie wokół nadgarstka Milgrima i poręczy, a potem ściągnął mocno szybkim ruchem, któremu towarzyszył skrzypiący dźwięk. Prowizoryczne kajdanki były gotowe, ale wystawał z nich niemal dziesięciocalowy kawałek plastikowego paska. Brown przekręcił go tak, aby był jak najmniej widoczny, i wyprostował się. – Zgarniemy cię później. Morda w kubeł.

– Jasne – odparł Milgrim, wykręcając sobie szyję, by spojrzeć na agenta oddalającego się szybkim krokiem w stronę jarmarku. A potem przymknął powieki i oczami wyobraźni ujrzał, jak szyba w tylnych drzwiach corolli, tych od strony krawężnika, rozpryskuje się w drobny mak. Dokładnie ten moment, w którym choć pozornie, jeszcze stanowi całość. Gdyby rozwalił ją zachowując ostrożność, istniała spora szansa, że alarm się nie włączy. Mógłby się pochylić, wsunąć do wnętrza pomiędzy okruchami szkła i sięgnąć po torbę Browna, w której wnętrzu, Milgrim był tego pewien, znajdowała się papierowa torebka pełna rize'u. A potem spokojnie odejść.

Spojrzał w dół na wążiutkie pasemko niezwykle odpornego plastiku, którym jego nadgarstek był przytwierdzony do ławki. Nasunął na nie rękaw płaszcza od Paula Stuarta, aby ukryć przed przechodniami fakt swego uwięzienia. Jeśli Brown skuł go, wykorzystując standardową opaskę zaciskową, jakich pełno w każdym sklepie z tysiącem i jeden drobiazgow, a na oko sądząc, tak właśnie było, Milgrim mógł się oswobodzić. Mlecznobiałe, lekko przezroczyste kajdanki jednorazowe stosowane przez nowojorską policję były twardszym orzechem do zgryzienia, wiedział to z doświadczenia. Czyżby Brown nie chciał nosić przy sobie rzeczy, które nie są czarne albo tytanowe? pomyślał.

Jakiś czas temu, choć krótko, Milgrim dzielił mieszkanie w East Village z kobietą, która w szczelnie zamkniętym aluminiowym pudełku, w jakim normalnie powinien znajdować się zestaw haczyków na ryby, trzymała zapas valium na czarną godzinę. W wieczku wywiercono małą dziurkę, przez którą można było założyć niewielką kłódkę, ale właścicielka wołała zamykać swój skarb na opaski zaciskowe bardzo przypominające kajdanki, którymi przykuto Milgrima do ławki. Dzięki temu kiedy zachodziła potrzeba skorzystania z zapasów, po prostu brała nożyczki albo małe cążki do paznokci i przecinała obejmę, a potem zakładała na wieczko nową. Procedura ta nie miała wiele sensu, nawet Milgrim to widział, ale ludzie bywają drażliwi na punkcie swoich prochów. Przypuszczał, że obejmą znaczyła tyle co kiedyś pieczęć lakowa na liście: kobieta po prostu chciała mieć pewność, że była ostatnią osobą, która zaglądała do wnętrza pudełka. Milgrim długo szukał miejsca, w którym ukrywała obejmę, aby wystrychnąć ją na dudka, lecz nigdy go nie znalazł.

Zdołał jednak zaobserwować, że obejmę zaciskową to nic innego jak system miniatury zapadek. A gdy doszedł do tego, wystarczył płaski śrubokręt jubilerski i już był w stanie otwierać i zamykać jej zabezpieczenia, kiedy tylko zechciał, nawet jeśli zacisnęła je naprawdę mocno, co miała w zwyczaj.

Podbieranie tabletek bardzo szybko zakończyło ich związek. a teraz pochylił się mocno, niemalże opierając głowę o kolana, i badawczo wodził wzrokiem po chodniku pomiędzy stopami. Właśnie przeprowadził w pamięci inwentaryzację zawartości wszystkich kieszeni i doszedł do wniosku, że nie ma w nich niczego, co przypominałoby śrubokręt jubilerski.

Mając przykrą świadomość, że wygląda na ćpuna, który w narkotykowym widzie szuka drobinek cracku, nie zaprzestał inspekcji. Zauważył długi może na cal odprysk szkła z butelki, ale natychmiast ocenił go jako nieprzydatny. Wprawdzie teoretycznie powinien móc nim przeciąć obejmę, jednakże nie miał pojęcia, ile by to potrwało ani czy w ogóle przyniosłoby pożądany skutek. No i bał się zaciąć przy okazji. Spinacz biurowy, o tak, spinacz nadałby się idealnie, przynajmniej w warunkach polowych. Tyle tylko, co dobrze wiedział, ani spinaczy, ani drucianych wieszaków nigdy nie ma pod ręką, gdy są naprawdę potrzebne. W końcu jednak dostrzegł coś ciekawego – o kilka stóp od czubka jego lewego buta na ziemi leżał wąski prostokątny kawałek metalu. Nawet połyskiwał, choć słabo. Mając przykuty do ławki nadgarstek, Milgrim mógł jedynie obrócić się niezdarnie, aby wysunąć lewą nogę jak najdalej i szurając obcasem o nawierzchnię alejki, przysunąć odłamek bliżej. Za piątym czy szóstym razem udało mu się ta sztuczka i podniósł wolną ręką wąski symbol nadchodzącej wolności, a potem szybko usiadł na ławce i przyjął bardziej tradycyjną pozycję.

Trzymał zdobycz między kciukiem a palcem wskazującym, zupełnie jak krawcowa igłę, i przyglądał jej się równie uważnie. To był ułomek klipsa nasadki pióra albo długopisu. Cynowy, a

może raczej mosiężny, z wyraźnie widocznym tłoczeniem, tanie złocenie w kilku miejscach dawno zaśniedziało.

Niemal idealne narzędzie. Przymierzył klips do otworu, przez który będzie rozwierał mikroskopijne ząbki zamka. Za szeroki, ale w sumie niewiele. Wyszukał najbardziej chropawe miejsce na odlewanej poręczy ławki i zaczął trzeć.

Jak to dobrze mieć czym zająć ręce, a przynajmniej jedną z nich, w tak piękny słoneczny dzień.

– Jestem ślusarzem – mruknął Milgrim, wprawiając w ruch magiczne ostrze godne samego Houdiniego.

40. TAŃCZĄC

Tito przyklęknął i ściągnął mocniej sznurowadła w adidasach, przypominając z szacunkiem *guerreros*, że nadszedł już czas. Wstał, rozprostował palce u nóg, przeszedł na drugą stronę Czternastej i ruszył wzdłuż parku, trzymając dłoń w kieszeni kurtki, w której znajdował się owinięty w woreczek iPod.

Kiedyś, jeszcze w Hawanie, Juana zabrała go do dawno mającego za sobą świetność zrujnowanego budynku – prawdę mówiąc nie wyobrażał sobie wtedy, że domy tak stare jak ten mogą wyglądać inaczej. Na obłazących farbą emulsyjną ścianach i suficie obszernego holu widniały wyblakłe kontury kontynentów i oceanów. Stara winda trzęsła się i trzeszczała, wioząc ich na ostatnie piętro, a gdy Juana z trudem otworzyła metalowe drzwi klatki, Tito nagle pojął, że od pewnego czasu słyszy dźwięk bębnów, chyba nawet od chwili, gdy weszli na tę ulicę w Dragones. Kiedy czekali pod masywnymi drzwiami jedyne mieszkania na tym piętrze, Tito przeczytał, i to kilkakrotnie, ręcznie wypisaną po hiszpańsku na kawałku brązowego papieru informację, którą przybito do drewna czterema zardzewiałymi pinezkami tapicerskimi:

„Wejdźcie w imię Boga i Jezusa Chrystusa albo wcale nie wchodźcie”.

Spojrzał w górę, na Juanę, unosząc brew, jakby chciał zadać pytanie, którego nawet nie był w stanie sformułować.

– Równie dobrze mogli napisać „Wejdźcie w imię Marksa i Lenina” – odparła ciotka.

Drzwi otworzyła wysoka kobieta w szkarłatnej chuście na głowie i z cygarem w dłoni, uśmiechnęła się szeroko na ich widok i wyciągnęła rękę, by dotknąć głowy Tita.

Nieco później, pod portretem Matki Boskiej z Gwadelupy i wiszącego obok Che Guevary, wysoka kobieta rozpoczęła Taniec Żywych Trupów, a Tito, przytulony do ciotki w oparach dymu cygarowego i słodkiego zapachu płynu po goleniu, patrzył, jak jej stopy delikatnie muskają sfatygowane klepki parkietu.

Teraz otaczali go *guerreros* rozmawiający między sobą językiem pogody, takim jak choćby szybko mknące chmury. Wzdrygnął się pomimo ciepłej kurtki i przeszedł w miejsce bardziej nasłonecznione, w stronę nagich wciąż drzew, na których dopiero pojawiały się zalążki zieleni. Oszosi pokazał mu martwe punkty w ludzkiej matrycy placu, pokazał mu też postaci nie będące częścią tego podświadomego tańca możliwego dzięki wolnej przestrzeni pośród gęstej zabudowy. Tito nie spoglądał bezpośrednio na ludzi stanowiących zagrożenie, obserwatorów. Tak dobierał drogę, by ominąć ich wszystkich.

Gdy zbliżył się do pierwszych straganów jarmarku, zauważył starca, który szedł wolno pomiędzy ladami pełnymi warzyw, poły jego długiego tweedowego płaszcza były rozchylone, on także radował się ciepłem dnia. Idąc wspierał się na błyszczącej metalowej lasce, najwyraźniej miał jakiś problem z nogą.

Oszosi zawirował nagle, przenikając Tita jak podmuch wiatru, suchy i zaskakująco ciepły,

zwracając tym samym jego uwagę na grupkę obserwatorów. Najbliższy był wysoki, szeroki w barach, nosił okulary przeciwsłoneczne i niebieską baseballówkę. Marnie się maskował, jego uniesione brwi, widoczne nawet zza okularów, pokazywały, jak bardzo jest zdenerwowany. Tito wyczuł jeszcze dwóch za sobą, jak gdyby Oszosi wbił mu kciuki w plecy. Zmienił trasę, pozwalając im myśleć, że zmierza prosto na starca. Zwolnił i wyprostował ramiona, mając nadzieję, że człowiek idący za nim odczyta kłamliwą mowę jego ciała i zareaguje na nią. Zauważył, że usta mężczyzny w okularach przeciwsłonecznych poruszyły się, równocześnie przypomniał sobie, co facet w okularach od Prądy mówił o ich komunikatorach.

Od tego momentu każdym jego krokiem kierowała *sistiema*. Wyjął iPoda z kieszeni, ale nie dotknął go nawet palcami, trzymał urządzenie w otwartej plastikowej reklamówce.

Już prawie był na miejscu, dzieliło go może dziesięć kroków od faceta z Prądy, ale okularnik znajdował się zaledwie trzy kroki od starca, gdy ten zrobił unik i z gracją machnął laską, unosząc ją w górę, a potem na bok, tak daleko, jak mógł sięgnąć. Nieoczekiwany cios dosięgnął szyi okularnika. Tito widział, jak w tym samym momencie opadają uniesione dotąd brwi, a potem, przez chwilę o wiele za długą, twarz mężczyzny widoczna pod daszkiem baseballówki zdawała się składać jedynie z trzech czarnych otworów, bliźniaczych owali szkieł i równie okrągłej, bezzębnie mrocznej jaskini ust. Moment później facet padł bezwładnie na chodnik, jakby ktoś pozbawił go wszystkich kości, a gdy koniec laski trafił w asfalt obok niego, Tito poczuł na ramionach czyjeś dłonie i zatrzymał się.

– Złodziej! – ryknął starzec z całych sił, jego donośny głos zadźwięczał w powietrzu. – Złodzieje!

Tito zrobił przewrót w tył, tak by idący wciąż napastnicy siłą bezwładu znaleźli się przed nim. Gdy opadał na ziemię, Oszosi pokazał mu eleganckiego kuzyna Marcosa, uśmiechającego się uprzejmie spomiędzy dwu lad pełnych towaru. Chłopak podnosił właśnie jakiś przedmiot z dwóch kozłów wspierających konstrukcję farmerskiego stoiska. To był długi drewniany bal – Marcos trzymał go pewnie w obu dłoniach okrytych rękawicami. Prawie nie drgnął, kiedy trójka mężczyzn pędzących na starca została nagie powstrzymana, co wyglądało tak, jakby wpadli na niewidzialną ścianę, przebili się przez nią, choć już nie biegnąc, a lecąc w powietrzu. Jeden upadł prosto na ladę stoiska i wtedy stojące obok kobiety zaczęły krzyczeć.

Marcos odrzucił drewnianą dźwignię napinającą ukrytą linę, jakby nagle zauważył na niej ślady brudu, i ruszył swobodnym krokiem w głąb alejki.

Dwaj mężczyźni jeszcze przed chwilą śledzący Tita właśnie zorientowali się, że mają go za sobą. odwrócili się równocześnie, zderzając przy tym barkami. Cięższy z nich klepnął dłonią w przedmiot zawieszony na szyi. Tito zauważył przewody nadajnika.

– Czerwony zespół wygrał – powiedział mężczyzna, ze wściekłością, dziko i kładąc niewytłumaczalną emfazę na rzekome zwycięstwo, po czym rzucił się, by pochwyć Tita, przy okazji brutalnie odsuwając swojego partnera na bok.

Tito dla zmylenia przeciwnika jał z rozmysłem miotać się na wszystkie strony, jakby spanikował, ale robił to jedynie dlatego, by chwycili przynętę i uwierzyli, że już go prawie mają. Dostrzegając niezdarność tego z agentów, który właśnie wyciągał po niego ręce, uznał, że wszelkie dodatkowe kluczenia i sztuczki z gubieniem iPoda okażą się tylko stratą czasu. Upuścił go więc wprost pod nogi

mężczyzny, płat białego plastiku odpadł od reszty urządzenia, gdy uderzyło o nawierzchnię chodnika. Dla pewności udał jeszcze, że chce odzyskać utracony przedmiot. Prześladowca dostrzegł ten ruch i automatycznie odtrącił Tita. Chłopak wystartował, gdy osiłek pochylał się, by podnieść iPoda. Drugi mężczyzna próbował zablokować uciekiniera ruchem, który musiał zapamiętać z meczów amerykańskiego futbolu. Tito zanurkował między jego nogami i kopnął – sądząc po głośnym skowycie, musiał trafić w ścięgno Achillesa.

Pobiegł na południe, oddalając się od skrzyżowania Siedemnastej i Park, które było jego celem. Minał znajomego ze stoiska z butami u Prądy, ubranego w poplamiony farbą kombinezon i trzymającego w dłoni żółte pudełeczko z trzema krótkimi czarnymi antenami.

Wokół Tita biegli orisze, dysząc niczym gończe psy, zwiadowca i otwieracz, otwieracz i czyściciel. A za nimi biegła Oszun, ale jaka była jej rola, tego Tito już nie wiedział.

41. HOUDINI

Z cichym kliknięciem, które bardziej poczuł, niż usłyszał, małe zapadka w sercu obejmy przesunęła się pod naciskiem spiłowanego klipsa. Milgrim westchnął radując się z tak rzadko odczuwanej chwili tryumfu. Poluzował nieco więzy i ostrożnie wysunął rękę z opaski, pozostawiając ją jednak na poręczy. Wracając do pierwotnej pozycji, rozejrzał się po okolicy tak naturalnie, jak tylko potrafił. W polu widzenia nie było Browna, ale pozostawało jeszcze tych trzech, którzy mignęli Milgrimowi w pokoju New Yorkera, oraz cała reszta członków zespołu.

Dlaczego takie zespoły, pomyślał, muszą być zawsze czerwone? Zawsze krwiste, kojarzące się z zębami i pazurami. Rzadko kiedy niebieskie. Zielone albo czarne – prawie nigdy.

Wokół niego, na całej powierzchni parku, przewijał się tłum spacerowiczów wywabionych popołudniowym słońcem. Ale Milgrim doskonale wiedział, że wśród nich są też tacy, którzy tylko udają spacerowiczów. Grają. W grę Browna, w grę UZ-a i tego, kto z nim współpracuje. Za to w okolicy nie było ani jednego policjanta, co zauważył i uznał za naprawdę dziwne, choć prawdę mówiąc, nie był w tym miejscu od tak dawna, że nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób służby porządkowe nadzorują teraz teren parku.

– Na pewno była wadliwa – powiedział na głos o opasce, przygotowując sobie ewentualne tłumaczenie na wypadek, gdyby Brown wrócił, zanim on zdoła zebrać się na tyle, by opuścić ławkę.

– Ale zaczekałem.

Ogromne dłonie spoczęły na ramionach Milgrima, mocno naciskając.

– Dziękujemy, że zaczekałeś – usłyszał słowa wypowiedane głębokim tonem i nadzwyczaj powoli – ale nie jesteśmy detektywami.

Milgrim spojrział na dłoń miażdżącą mu jego lewe ramię. Była to wielka łapa czarnoskórego człowieka, z różowitkami wypielęgnowanymi paznokciami. Wybałuszył oczy, ostrożnie podniósł wzrok, czując, jak w szyi mu coś strzyka, i ujrzał klif z czarnej, nabijanej ćwiekami końskiej skóry, nad nim zaś idealnie ogoloną masywną zuchwę.

– Nie jesteśmy detektywami, panie Milgrim – jak echo powtórzył drugi czarny mężczyzna, okrążając dalszy koniec ławki. Jego ciężki zbrojopodobny płaszcz był rozpięty i odsłaniał dwurzędową czarną jak smoła kamizelkę skrzącą się, jakby posypano ją brokatem (Milgrim nie dałby sobie uciąć głowy, czy tak nie było w istocie), oraz satynową koszulę w kolorze krwi tętnicznej i o wymyślnym kołnierzu. – Nie jesteśmy nawet z policji.

Milgrim na powrót odwrócił głowę w drugą stronę, by przyrzeć się uważniej osobie, której dłonie niczym dwa worki mąki spoczywały na jego barkach. Tak, nie było wątpliwości: obaj nosili dopasowane wełniane czapeczki, takie same, jakie zapamiętał z pralni przy Lafayette.

– To dobrze – odparł, byle coś powiedzieć.

Końska skóra zaskrzypiała, gdy drugi z mężczyzn siadał na ławce, jego ogromne ramię zetknęło się z Milgrimem.

– Na pańskim miejscu, panie Milgrim, nie byłbym tego taki pewien.

– Nie?

– Szukaliśmy pana – dodał ten, który wciąż trzymał mu dłonie na ramionach. – Chociaż musimy przyznać, że niezbyt aktywnie. Ale od momentu, w którym wykorzystał pan telefon owej młodej damy, by skontaktować się z pańskim przyjacielem Fishem, numer jej komórki pozostał w pamięci aparatu. A że pan Fish jest przyjacielem pana Birdwella, natychmiast mu go podał. Pan Birdwell zaś zadzwonił pod wskazany numer. Przycisnął nieco dziewczynkę, ale ona i tak była przekonana, że zamierzał pan ukraść jej komórkę, rozumiemy się? Nadaża pan za mną, panie Milgrim?

– Tak – odparł Milgrim, czując irracjonalną, lecz niezwykle silną potrzebę natychmiastowego założenia obejmy na rękę, jak gdyby takie postępowanie mogło odwrócić bieg zdarzeń i przenieść go kilka minut wstecz, do momentu, w którym park był prawdziwą oazą ciszy i spokoju.

– Przypadkiem znajdowaliśmy się w pobliżu – dodał ten siedzący obok – i podjechaliśmy na Lafayette, gdzie trafiliśmy na pana. Od tamtej chwili, w ramach przysługi dla pana Birdwella, obserwowaliśmy każdy pański ruch i czekaliśmy na możliwość rozmowy na osobności.

Dłonie na ramionach zrobiły się znacznie cięższe.

– Gdzie jest ten glinopodobny skurwysyn, który zawsze panu towarzyszył? On pana tutaj przywiózł.

– To nie gliniarz – powiedział Milgrim.

– Nie o to pytaliśmy – odparł ten, który usiadł obok.

– Hej – zawołał ten z tyłu – białas dziadyga właśnie znokautował jakiegoś chłopaczka!

– Złodziej! – od strony jarmarku dobiegł krzyk mężczyzny. – Złodzieje!

Milgrim zauważył poruszenie.

– Podobno miało to być bezpieczne miejsce dla bogaczy – rzucił mężczyzna siedzący obok Milgrima, jakby rzeczywiście przejął się zamieszaniem. – Wydano na to całe dwie duże bańki.

– Cholera – mruknął ten z tyłu, puszczając ramiona Milgrima. – To kocioł.

– On jest z DEA! – ryknął Milgrim zrywając się z ławki, jego zdarte podeszwy ślizgały się po chodniku jak po lodzie, zupełnie jak nogi ludzików w starych kreskówkach. Albo jak w bardzo, bardzo złym śnie. A częścią owego snu, w którym uciekał, było to, że w wyciągniętej przed siebie ręce niczym miniaturowy miecz dzierżył z takim trudem zaostrzony kluczyk Houdiniego.

42. ODDALENIE SIĘ

Sistiema oznaczała unikanie ucieczek, o ile było to możliwe, tak uczyli go wujowie. *Sistiema* instruowała: nie uciekaj, raczej oddal się od miejsca zagrożenia. Ciężko to było wyrazić słowami, ale z prezentacją szło o wiele lepiej. Na przykład chwytanie za nadgarstki przez stół. Nadgarstków wyćwiczonych w *sistiemie* nie dawało się złapać.

Tito miał jednak kierować się na konkretny punkt, nazwany nie wiedzieć czemu W, i nie mógł w pełni wykorzystać metody oddalania się, sztuki, która była najbardziej skuteczna, gdy istniało wiele możliwych dróg ucieczki. Ale kiedy cię ścigają, a Oszosi zapewnił go, że tak właśnie jest, musisz pogodzić się z utratą przewagi. Po to jednak stworzono *sistiema*, by wyrównać szanse, co zamierzał teraz udowodnić, w pełnym pędzie odbijając się stopami od oparcia ławki, wykonując pad i przewrót, by już po chwili, nie tracąc prędkości, biec w przeciwną stronę. Niby nic trudnego, zachować pęd podczas wykonywanego przewrotu, ale usłyszał gwizd podziwu jakiegoś dzieciaka, który docenił ewolucję.

Najbliższy z trzech prześladowców właśnie omijał ławkę, gdy Tito zawrócił i pomknął w głąb alejki, na wschód. Obejrzał się. Dwaj kolejni, nie potrafiący okiełznać momentu pędu, minęli pierwszego i niemal wpadli na przeszkodę. To byli ci, którzy wcześniej nadziali się na niespodziankę Marcosa. Jeden wciąż miał krew na ustach.

Tito mknął w stronę Union Square East i Szesnastej, z Oszosim na ramieniu. Orisze chcieli, by opuścił park i bardzo przewidywalne drogi ucieczki, jakie oferowało to miejsce. Taksówka mignęła tuż przed nim, gdy wypadł na pas ruchu przy Union Square East. Skoczył bez namysłu na maskę, spojrzenia jego i kierowcy spotkały się na moment, gdy sunął po niej, przez przednią szybę. Tarcie parzyło mu skórę na udzie pomimo džinsów. Facet nacisnął z całej siły na klakson i nie zmniejszał nacisku, kolejni kierowcy reagowali z pewnym opóźnieniem, dołączając do wciąż rosnącego chóru, tak że gdy trójka prześladowców wpadła na pas ruchu, powitało ją ogłuszające crescendo trąbienia. Tito rzucił okiem za siebie i zobaczył, jak ten z krwią na ustach usiłuje precyzyjnie się między zderzakami stojących bardzo blisko siebie wozów, wymachując jakimś przedmiotem trzymany w wysoko uniesionej dłoni. To pewnie odznaka, pomyślał Tito.

Uciekał na północ nisko pochylony, celowo zwalniając omijał zwinnie kolejnych przechodniów, wielu z nich zatrzymało się, by sprawdzić, co sprawiło, że tak wiele klaksonów ożyło naraz. Zza witryn restauracji wyglądały zaciekawione twarze. Gdy Tito ponownie się obejrzał, zauważył, że facet z zakrwawionymi ustami brutalnie odpycha kobietę stojącą mu na drodze.

Przyspieszył, Oszosi poinformował go, że prześladowca wciąż nadrabia dystans. Przebiegł przez Siedemnastą nawet nie zwalniając. Zobaczył wejście do restauracji, jej obrotowe drzwi. Biegł wprost ku drzwiom hotelu, ku cienkiej tafli szkła stanowiącej jedyną przeszkodę dzielącą wnętrze od ulicy. Pod uniesioną ręką odźwiernego przyobleczoną w czerń uniformu, obok kobiety, która właśnie wychodziła. Zauważył Brothermana schodzącego po dwóch szerokich, przedzielonych pośrodku poręczą marmurowych stopniach. Brotherman miał na sobie kombinezon pracownika Federal Express, a w rękach niósł płaski czerwono-biało-niebieski karton. Nigdy wcześniej nie widział Brothermana w szortach. Gdy Tito rzucił się na prawo, nowe buty nie straciły przyczepności na

śliszkiem marmurze, w tej samej chwili usłyszał, jak facet z zakrwawionymi ustami uderza w drzwi, które minął przed chwilą.

Zauważył kręty ciąg schodów w głębi holu w tym samym czasie, gdy do jego uszu dobiegł charakterystyczny dźwięk, z jakim Brotherman wypuścił wprost na marmurową podłogę przy wejściu, dzięki specjalnej konstrukcji denka kartonu FedExu, piętnaście kilogramów dwunastomilimetrowych stalowych kulek łożyskowych.

Tito pobiegł na południe, Oszosi ostrzegał, że prześladowca, który najwyraźniej zdołał ominąć pułapkę, jest już tylko o kilka kroków za nim.

Wpadł do restauracji, przemknął wzdłuż rzędu stolików pod oknami wychodzącymi na południową fasadę, nie zwracając uwagi na zaskoczone miny siedzących przy nich gości, którzy dosłownie sekundę wcześniej sądzili, że najciekawszym punktem tego dnia będzie delektowanie się kawą i deserem.

Facet z zakrwawionymi ustami zdołał chwycić go za lewe ramię, popchnął na jeden ze stolików, szkło i resztki potraw wyleciały w powietrze, kobieta zaczęła krzyczeć. W chwili kontaktu Elegba wspiał się błyskawicznie na ramiona Tita, wysunął jego prawą rękę do tyłu, by zerwać przedmiot przyczepiony do paska mężczyzny, a w tym samym czasie lewa dłoń wyszarpnęła pneumatyczny pistolet Bułgara i wystrzeliła z niego spod prawej pachy.

Nieludzkie wycie sprawiło, że Elegba zeskoczył, a Tito ujrzał podświetlony napis „wyjście” i rzucił się w drzwi umieszczone pod nim, omijając zręcznie wyładowane po brzegi wózki z brudnymi naczyniami. Odziani na biało pracownicy kuchni sprawnie usuwali mu się z drogi. Wdepnął w coś mokrego, nieomal się przewracając, ale nie zwolnił. Znów napis „wyjście”. Pchnął drzwi i znalazł się na zadziwiająco nasłonecznionej przestrzeni, za jego plecami rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

W wielkim zielonym vanie ozdobionym zgrabnymi srebrnymi napisami otwierają się jedne z bliźniaczych tylnych drzwi. We wnętrzu czeka facet od Prądy, ale już bez kombinezonu malarza, wyciąga pomocną dłoń.

Tito podaje mu oprawioną w skórę odznakę, którą Elegba zerwał z paska prześladowcy.

Mężczyzna otwierają.

– SIC! – stwierdza i chowa ją do kieszeni. Wciąga Tita do wnętrza vana. Ciemna, pusta, cuchnąca ropą przestrzeń z dziwnymi przydymionymi światłami. – Już się spotkaliście – dodaje, po czym wyskakuje i zamyka za sobą drzwi.

– Siadaj – mówi starzec z brezentowej ławki rozciągającej się na całą długość paki. – Nie chcielibyśmy, żebyś sobie coś zrobił w razie nagłego hamowania.

Tito siada na końcu brezentowego siedziska i znajduje na nim najzwyczajniejszy w świecie pas bezpieczeństwa, zapina go, gdy kierowca wrzuca jedynkę i rusza na zachód, a potem skręca na północ w kierunku parku.

- Ufam, że zabrali ci przedmiot transakcji? – zapytał staruch po rosyjsku.
- Tak – odpowiada Tito po angielsku.
- Bardzo dobrze – mówi staruch, znów po rosyjsku. – Bardzo dobrze.

43. SMRÓD

Sala barowa znów była wypełniona po brzegi.

Znalazła go siedzącego przy długim alabastrowym kontuarze, przy jedzeniu z kwadratowego talerza przekąsek, które przywodziły jej na myśl *sushi*, ale te platy surowego mięsa owinięte były ryżem i *nori*.

– Kto zrobił to zdjęcie? – zapytała, kiedy tylko zdołała zbliżyć się na odległość pozwalającą na wypowiedzenie tych słów ściszym głosem.

– Pamela. Jest znakomitym fotografikiem.

– Śledziła mnie?

– Nie. Obserwowała Chomba. Przyglądała się, jak pakuje rzeczy i wyjeżdża.

– Jesteś pewien, że wyjechał z własnej woli? Nie został aresztowany?

– Wątpię, żeby DHS pozwalało mu na palenie papierosów i dyrygowanie agentami konfiskującymi dowody.

– Wolalabym nie sprawdzać tego na własnej skórze. A ty?

– Jasne, że nie. Postawić ci drinka?

– Nie teraz, dziękuję. Chciałabym, żebyś mi coś wyjaśnił. Zakładając, że wszystko co do tej pory powiedziałaś, jest prawdą, nie rozumiem, dlaczego zupełnie nie wydajesz się zmartwiony. Boja bym była. Prawdę mówiąc, jestem. Jeśli wężysz wokół tajnych rządowych programów mających za cel przejęcie szmuglowanej broni, powinieneś mieć spore problemy. Jeśli ich nie masz i na dodatek mnie nie okłamywałeś, to rzecz jest co najmniej dziwna. – Wyraziła się nieco mocniej, niż zamierzała, ale poczuła się z tym dobrze.

– Proszę – odparł krótko. – Usiądź.

Krzesła stojące w pobliżu stanowiły istną mieszankę stylów. Najbliższe kojarzyło się jej z podłużnymi figurkami masajskich wojowników wykonanych z najtwardszych rodzajów drewna, tyle że nie miało tak ostrych zakończeń. To, na którym siedział Bigend, zrobiono z aluminium, prawie w stylu Henry'ego Moore'a.

– Nie, dziękuję.

– Nie wiem, co znajduje się w tym kontenerze, Hollis. Jesteś w stanie mi uwierzyć?

Zastanowiła się dobrze, nim odpowiedziała.

– Mogłabym. To zależy.

– Od czego?

– Na przykład od tego, co jeszcze usłyszę.

Uśmiechnął się.

– Gdziekolwiek nas ta sprawa zaprowadzi, i tak nie będę mógł powiedzieć, w jaki sposób się w nią wplątałem. Zgoda?

Znów musiała się zastanowić. Po namyśle uznała, że ten punkt nie podlega negocjacjom.

– Zgoda.

– Zamierzam również wymóc na tobie deklarację poparcia dla mojego przedsięwzięcia, jeśli chcesz, aby ta rozmowa miała ciąg dalszy. Muszę wiedzieć, że jesteś po mojej stronie, zanim powiem ci coś więcej. Ale zrozum też, że gdy poznasz szczegóły, wsiąkniesz po uszy. To jedna z tych spraw, w których posiadanie informacji jest równoznaczne z udziałem. Rozumiesz, do czego zmierzam? – podniósł wypełnione szkarłatnym mięsem *maki*, przyjrzał mu się uważnie, potem wsunął w całości do ust.

Sprawa, w którą wsadził nos Bigend, pomyślała, jest co najmniej zagmatwana. Zagmatwana, ale i niezwykle istotna. Nie miała jedynie pojęcia dlaczego. Przypomniała sobie widok odjeżdżającej białej ciężarówki znikającej za rogiem i zdała sobie sprawę, że naprawdę chce wiedzieć, dokąd zmierzała i w jakim celu. Gdy wyobraziła sobie, że nigdy się tego nie dowie, z jakiegoś powodu ujrziała dzieło Alberta – Rivera Phoenixa leżącego na chodniku przed Viper Room. Jeszcze jeden smutny koniec.

Bigend dotknął ust końcem serwetki, unosząc pytająco brew.

– Tak – odparła. – Ale jeśli kiedykolwiek mnie okłamiesz, nawet przez przypadek, zrywam naszą umowę. Żadnych zobowiązań z mojej strony. Koniec. Zrozumiano?

– Oczywiście – powiedział, przywołując uśmiech i barmankę. – Pora na drinka.

– Podwójną szkocką – złożyła zamówienie Hollis – na jednej kostce lodu.

Spojrzała w dół na lśniący alabaster. Świece. Drinki. Kobięce dłonie. Co ja najlepszego zrobiłam, pomyślała.

– Zupełnym przypadkiem – zagaił, przyglądając się tyłkowi kelnerki, jeszcze do niedawna zgrabnemu i jędrnemu, a teraz lekko obwisłemu, z takim samym wyrazem twarzy, jaki miał, gdy patrzył na *maki* – dzisiejszego ranka dowiedziałem się czegoś ciekawego. Czegoś, co dotyczy Bobby'ego.

– Coś mi się wydaje, że wyrażenie „zupełnym przypadkiem” nie jest odpowiednie przy tego rodzaju sprawach. – Zdecydowała się zaryzykować i usiadła na „masajskim” siedzisku, ku jej zaskoczeniu okazało się naprawdę wygodne.

– Nawet najwięksi paranoicy też miewają wrogów, jak mówi porzekadło.

– Czego się dowiedziałeś?

– Bobby, z tego co wiemy już od pewnego czasu, wykonuje dla swoich mocodawców dwa zadania.

– Kim są jego mocodawcy?

– Tego nadal nie wiem. Ale jego zadania przedstawiają się następująco: po pierwsze, jak już ci wspominałem, obserwacja Latającego Holendra pośród kontenerów. Gdy podjął się tego zlecenia, otrzymał pewien zestaw wskazówek, nie wiem dokładnie jakiego rodzaju, i polecenie wyłowienia konkretnego sygnału z całego morza szumów. I dokonał tego. Co więcej, wciąż to robi. Kontener co jakiś czas wysyła sygnał, podając swoje położenie i informując, że nikt się do niego nie przystawiał. To przerywany sygnał, zaszyfrowany, za każdym razem nadawany na innej częstotliwości, no ale ktoś taki jak Bobby wie doskonale, kiedy, gdzie i jak zostanie nadany.

– I co mają z tego ci, którzy mu płacą?

– Tego też jeszcze nie wiem. Ale zakładam, że nie są to prawowici właściciele kontenera. W końcu płacą za to, by Bobby go odnalazł. Najprawdopodobniej wcześniej kupili od innej osoby informacje, które są niezbędne do wykonania zamiaru. Istna karuzela, dlatego sądzę, że to jednak nie ich kontener, chociaż głowy nie dam sobie za to uciąć.

– Dlaczego?

– Bo to zły pomysł. A ja jestem w zasadzie agnostykiem. W każdej sprawie.

– A jakie jest drugie zadanie Bobby'ego Chomba?

– Tego właśnie się dowiedziałem. Pamiętasz, podczas wizyty w Blue Ant powiedziałem ci, że wysyła iPody na Kostarykę.

– Tak, wspominałeś, że z muzyką.

– Co wiesz na temat steganografii?

– Nie umiem nawet przeliterować tego słowa.

– Drugie zadanie Bobby'ego polega na tworzeniu zawiłych raportów dotyczących fikcyjnych poszukiwań sygnału kontenera. Musi udawać, że dokonuje gigantycznej pracy, mnóstwa obliczeń prowadzących do kolejnych totalnych niepowodzeń w odszukaniu klucza, który już od dawna posiada, choć nie powinien. – Przechylił lekko głowę. – Nadażasz za moimi słowami?

– Produkuje fałszywe dowody mające potwierdzić to, że nie znalazł jeszcze sygnału?

– Właśnie. Do tej pory wyprodukował trzy takie epickie raporty. Szyfruje je steganograficznie na dyskach iPodów... – przerwało mu pojawienie się jej drinka.

– Jak brzmi to słowo? – zapytała, gdy barmanka się oddaliła.

– Steganograficznie. To oznacza, że miksuje swoje fikcyjne raporty rozpraszając ich treść w całej masie utworów muzycznych. Jeśli da ci klucz albo sama z siebie posiadasz niezwykłą zdolność do łamania szyfrów, możesz je oddzielić od muzyki i scalić ponownie.

– A iPody są znacznie mniej szczegółowo kontrolowane niż na przykład laptopy.

Wzruszył ramionami.

– Zależy, kto dokonuje kontroli.

– A skąd się tego dowiedziałeś?

– Nie mogę ci powiedzieć. Wybacz, ale to prosta droga do wiedzy, w jaki sposób zostałem w to wszystko wmieszany, a ustaliliśmy, że na ten temat nie rozmawiamy.

– Dobrze. – Wcale nie było dobrze, właśnie uświadomiła sobie, że Bigend może używać tego argumentu, kiedy tylko przyjdzie mu ochota. Ale na razie nie zamierzała się tym martwić.

– Jak już ci wspominałem, wiem, że wysyła je na poste restante na Kostarykę.

– To prawda.

– A tam tracimy je z oczu, ale dopiero po tym, jak pojawia się zapaszek emerytowanych agentów amerykańskiego wywiadu. Prawdę mówiąc, prawdziwy smród. Oczywiście nigdy i nigdzie nie pada żadne nazwisko. Ale ostatnio dostałem cynk, że iPody Bobby'ego Chomba są odsyłane z San Jose.

– Dokąd?

– Do Nowego Jorku. O ile ktoś ze mną nie pogrywa. Wszystko jednak wskazuje na to, że osoba, której Bobby je wysyła, jest leniwa. A może zbyt nerwowa. Zresztą właściwy adresat nigdy nie odbiera przesyłek. Ale upoważnił kogoś do odsyłania ich do Stanów. DHL-em. Na adres przy Canal Street. Do importera chińszczyzny.

– Bobby śledzi trasę wędrującego kontenera – zreasumowała. – Prokuruje fałszywe dowody na to, że jeszcze go nie znalazł. Wysyła te dowody komuś na Kostaryce, a ten odsyła je do Nowego Jorku...

– Pominęłaś jeden etap. Wysyła je komuś na Kostaryce, kto przynajmniej wedle życzenia ludzi zatrudniających Bobby'ego ma je odbierać, a potem przekazywać innej osobie, czyli właściwemu odbiorcy. Człowiek, do którego Bobby wysyła raporty, jest tylko pionkiem, skrzynką kontaktową. Problem w tym, że właściwy odbiorca nigdy się nie objawił. Zamiast tego pionek po prostu odsyła przesyłki. I to jest nasz punkt zaczepienia, rysa na idealnym planie.

– Ale czym?

– Pojęcia nie mam.

– Możesz mi powiedzieć, w jaki sposób dowiedziałeś się, że iPody trafiają do Nowego Jorku?

– Wysłałem do San Jose kogoś z walizką pełną dolarów. Przedstawił pionkowi zaskakującą ofertę. Tak tam już jest.

– I tylko tyle dostałeś w zamian za swoje pieniądze?

– Pan skrzynka pocztowa dodał jeszcze, że odczuwa silną presję ze strony gerontokracji byłych agentów CIA i ma nieprzewartą potrzebę przeniesienia się na południe, byle dalej od tego towarzystwa.

Raz jeszcze poukładała sobie wszystkie informacje w głowie, kręcąc przy tym samotną kostką lodu w szklance szkockiej.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zapytała, poddając się.

– Ktoś został oszukany. Sprawiono, że uwierzył, że ktoś inny także wie o kontenerze, ale nie potrafi go zlokalizować. Po co ktokolwiek miałby robić takie rzeczy?

– Po to, żeby osoba, do której należy kontener, wiedziała, że nie można go namierzyć? Chociaż jest akurat odwrotnie.

– Na to wygląda, prawda?

– I co dalej?

– Mamy punkt zaczepienia. Wiemy, że ktoś w San Jose nieco się zaniedbał i nie trzyma się dokładnie planu. Ktoś, kto podjął się odbierania iPodów i dalszego ich przesyłania, nie wykonuje należycie swojej roboty. Po prostu płaci pionkowi, żeby odsyłał przychodzące przesyłki do Nowego Jorku. Wydaje mi się, że on się boi.

– Kogo?

– Zapewne właściciela zawartości kontenera. To naprawdę ciekawe. Mamy też drugi punkt zaczepienia.

– Czyli?

– Pamela podrzuciła nadajnik GPS do tej ciężarówki jakąś godzinę przed tym, zanim przyjechałaś.

– Jezus – jęknęła. – Naprawdę? Kim ona jest, Jamesem Bondem w spódnicy?

– Nic podobnego. Po prostu lubi czasem odrobinę akcji – uśmiechnął się.

– Gdzie jest teraz ciężarówka?

Wyjął z kieszeni marynarki palmtopa Treo i wcisnął sekwencję klawiszy. Spojrzał na wyświetlacz, mrużąc oczy.

– W chwili obecnej na północ od San Francisco.

44. STRATEGIA WYJŚCIA

Milgrim pędził prosto na zaparkowaną corollę Browna czy może raczej był świadom, że jego ciało, nienawykłe przecież do galopu, jęcząc i sapiąc zmierza w tym, a w każdym razie mniej więcej w tym kierunku. Doświadczyl klasycznego postrzegania pozazmysłowego między momentem, gdy poderwał się z ławki, a chwilą, gdy wrócił do siebie tutaj i teraz, nie mając bladego pojęcia, co stało się z dwoma czarnoskórymi dżentelmenami. Miał nadzieję, że wzięli sobie do serca jego słowa o tym, że Brown pracuje dla DEA. Zważywszy, że jeden z nich sam wspomniał coś o wpadnięciu do kotła, było to dość prawdopodobne. Dennis Birdweli z pewnością nie zapłacił im tak dużo, żeby ryzykowali, z drugiej strony jednak stać go było na ich wynajęcie. To zaszokowało Milgrima. Rozejrzał się w ich poszukiwaniu, roztrzęsiony i obolały, ale nie dostrzegł nigdzie kolosów odzianych w czarne skórzane płaszcze. Nie było też nikogo, kto pasowałby na członka Czerwonego Zespołu. Nawet Browna.

Jarmark nagle opustoszał, pozostali jedynie właściciele stoisk, w większości usiłujący dzwonić ze swoich komórek, lecz wielu darło się także nieludzko na siebie, co wyglądało na prawdziwy napad hysterii.

Nagle w oddali rozbrzmiały syreny. Zbliżały się. Musiało ich być całkiem sporo.

Pomimo natarczywego, kłującego bólu, który przeszywał jego bok i sprawiał, że najchętniej złożyłby się wpół, zmusił się do wyprostowania sylwetki i najszybszego tempa marszu, do jakiego był zdolny.

Przekroczył Union Square West i zobaczył corollę dokładnie w chwili, gdy wszystkie syreny jak na zawołanie zamilkły. Odwrócił się i ujrzał w perspektywie Siedemnastej Ulicy radiowóz policyjny i karetkę, zaparkowane prostopadle do siebie na samym skrzyżowaniu z Park Avenue. Potem pojawiły się trzy identyczne czarne SUV-y, nadjechały od wschodu, Siedemnastą, bez syren, by wypluć z siebie masywne czarne postacie, które z tej odległości przypominały Milgrimowi kształtami astronautów w pełnym rynsztunku. To musi być ta nowa superpolicja, powstała po zamachach z jedenastego września, pomyślał, ale nie potrafił sobie przypomnieć, jak ją nazwano. Oddziały Samsona? Kilku z nich weszło do budynku drzwiami na rogu. Dopiero teraz usłyszał odgłosy nadjeżdżających wozów strażackich.

Jakkolwiek ciekawie to wygląda, nie mam czasu, żeby się gapić, upomniał się w duchu, torba Browna wciąż leży w samochodzie.

Na ulicy, co zrozumiał z niemałą konsternacją, nie było niczego, czym mógłby rozbić szybę wozu. Jego dłoń zaciskała się raz po raz na uchwycie nieistniejącego, i taniego, młotka produkcji koreańskiej, jakim ostatni raz utorował sobie drogę do wnętrza samochodu, kiedy jak najbardziej materialna dłoń zacisnęła się na jego lewym ramieniu, podczas gdy prawą rękę wykręciła mu za plecy siła, której tylko przez chwilę nie potrafił zidentyfikować.

– Uciekli – powiedział cicho Brown. – Zakłócili nasze komunikatory i częstotliwości komórek. Ale skoro mnie słyszycie, wiemy już, że zwiali. Zbierajcie się. Reszta już się zmyła. Zatrzymali go? Zespół Herkulesa? – Brown westchnął. – Cholera – zaklął, kończąc.

Zespoły Herkulesa, przypomniał sobie Milgrim, tak ich nazwano.

– Ruszaj się – ponaglił go Brown. – Zaraz zamkną całą okolicę.

Otworzył tylne drzwi corolli i wepchnął Milgrima do środka głową do przodu.

– Na podłogę – rozkazał.

Milgrim ledwie zdążył podkulić nogi, gdy agent zatrzasnął drzwi. Poczł mocny zapach nowych dywaników. Jego kolana spoczęły na czarnej torbie Browna i laptopie, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że okazja, jeśli w ogóle ją miał, już minęła. Skoncentrował się na uspokojeniu oddechu i wymyślaniu wytłumaczenia, w jaki sposób pozbył się kajdanek.

– Nie podnoś się – przypomniał Brown, siadając za kierownicą i zapalając silnik.

Odjechał od krawężnika. Milgrim poczuł, że skręca w prawo na Union Square West, a potem zwalnia. Przednie drzwi po stronie pasażera otworzyły się i ktoś wgramolił się do wnętrza. Znowu ruszyli, jeszcze zanim trzasnęły drzwi.

– Daj mi to – powiedział Brown.

Milgrim usłyszał jakieś szelesty.

– Użyłeś rękawiczek? – Ten poziom spokoju w głosie Browna, o czym Milgrim doskonale wiedział, zwiastował niebezpieczeństwo. Zapewne Czerwony Jeden nie spisał się dzisiaj w parku za dobrze.

– Tak – odparł zabrany pasażer. Jego głos wydał się Milgrimowi znajomy, zapewne zapamiętał go ze spotkania w New Yorkerze. – Ta część odpadła, gdy go upuścił.

Brown nie odpowiedział.

– Co się stało? – zapytał ten drugi. – Spodziewali się nas?

– Może zawsze są gotowi na pojawienie się przeciwnika. Może są szkoleni na takie okazje. To dopiero pomysł, nie?

– Co z Davisem?

– Jak dla mnie, ma skręcony kark.

– Nie mówiłeś, że jest tak niebezpieczny.

Milgrim przymknął oczy.

– Wywalili cię z Blackwater za głupotę? – zapytał Brown. – Czy tego właśnie się dowiem, jeśli zapytam?

Ten drugi nie odpowiedział.

Brown zatrzymał samochód.

– Wsiadaj – rzucił. – Spieprzaj z miasta. Jeszcze dzisiaj.

Milgrim usłyszał odgłos otwieranych drzwi, pasażer wysiadł, drzwi zostały zamknięte. Brown ruszył.

– Zdejmij tę plakietkę z tylnej szyby – powiedział.

Milgrim przeczołgał się na tylne siedzenie i oderwał przyssawki od szkła. Właśnie skręcili w Czternastą. Spojrzał do tyłu na Union Square West i zobaczył czarny van Herkulesów blokujący drogę. Odwrócił się, mając nadzieję, że Brown nie każe mu ponownie kłaść się na podłogę, i ostrożnie postawił stopy po obu stronach torby i laptopa.

– Wracamy do New Yorkera? – zapytał.

– Nie – odparł Brown. – Nie wracamy do New Yorkera.

Pojechali do punktu zwrotu wynajętych samochodów w Tribeca.

Taksówką dostali się na Penn Station, gdzie agent kupił dwa bilety na Metrolinera w jedną stronę, bez powrotnych, do Waszyngtonu.

45. DROBNICA

– Jak sądzisz, gdzie kieruje się ta ciężarówka? – zapytała Hollis, zapadając się w głąb gigantycznego, stojącego obok basenu futonu Starcka.

– Na pewno nie w rejon zatoki – odparł Bigend tkwiący w miękkim siedzisku tak głęboko, że nie mogła go dostrzec. – Niedługo dowiemy się, czy celem jest Portland. A może Seattle.

Odchyliła się jeszcze bardziej i spoglądała na mikroskopijne światła samolotu przemierzającego skrawek pustego jasnego nieba.

– Nie sądzisz, że pojedą w głąb kontynentu?

– Nie sędzę – odparł. – Uważam, że celem musi być port posiadający urządzenia do przeładunku kontenerów.

Podniosła się na tyle, na ile mogła, wspierając się na lewym łokciu i starając dostrzec jego twarz.

– Kontener tam zmierza?

– Być może to jest prawdziwy powód, dla którego Bobby zwinął się w tak błyskawicznym tempie, a nie to, że go wystraszyłaś.

– Naprawdę myślisz, że kontener tam zmierza?

– Rozważam taką możliwość.

– Wiesz, gdzie jest teraz?

– Hook – rzucił. – Pamiętasz? Ten wielki rosyjski helikopter. Maszyna zdolna do przelecenia setek mil, podniesienia kontenera z pokładu jednego statku i przeniesienia go na inną jednostkę.

– Tak.

– W dzisiejszych czasach mamy możliwość śledzenia tras przewożenia towarów handlowych na wiele sposobów. To znaczy konkretnego statku. Wątpię jednak, by którykolwiek z tych sposobów pomógł nam w odnalezieniu naszego magicznego pudełeczka, ponieważ moim zdaniem kontener jest przenoszony podczas rejsu. Na otwartym morzu. Zdarzało się, że trafialiśmy na dane dotyczące użycia hooka, ale prawdę mówiąc, nie potrzebowałybyś aż tak potężnej maszyny do przeniesienia pojedynczego czterdziestostopowego kontenera z jednego statku na drugi. No chyba że musiałabyś go przenieść na naprawdę dużą odległość. Iak przy okazji, nasz kontener ma czterdzieści stóp. Normalizacja. Są czterdziestostopowe i dwudziestostopowe. Wszystkie wypełnione towarami. Wszystkie dokładnie opisane. Żadnej drobnicy.

– Czego?

– Drobnicy. Towarów nie pakowanych w kontenery. To taki staromodny sposób przewożenia.

Skrzynie, paki. W co tam dało się zapakować ładunek. Zawsze uważałem, że wśród informacji najbardziej interesująca jest drobniaka. Wiesz, takie zwykłe ludzkie węszenie. Ktoś coś wie i powie. Absolutne przeciwieństwo eksploracji danych i całej reszty tego informatycznego bełkotu.

– Nic nie wiem o eksploracji danych – powiedziała – ani o reszcie tego informatycznego bełkotu.

– Weszliśmy w eksplorację danych w Blue Ant.

– Macie w tym udziały?

– Nie. Powiedzmy, że jest to forma subskrypcji. Albo mamy nadzieję je mieć. Niełatwo to wyjaśnić w dwóch słowach.

– Macie nadzieję na co?

– Szwajcarzy stworzyli system zwany Onyx, bazujący na rozwiązaniach Echelona, który był wspólnym dziełem amerykańsko-angielskim. Onyx, podobnie jak Echelon, wykorzystuje oprogramowanie do nitrowania treści przesyłanych przez satelity, wyszukując w nich określone wyrażenia. Stacje nasłuchowe tego systemu znajdują się w kantonie berneńskim, w Zimmerwald i Heimenschwand, oraz w Leuk w kantonie Valais. Spędziłem tydzień w Heimenschwand, gdy miałem trzynaście lat. Dada!

– Słucham?

– Moja matka tropiła tam losy jakiegoś pomniejszego dadaisty.

– Szwajcaria ma tego typu system?

– Miesiąc temu – wyjaśnił – w niedzielnym wydaniu „Blicka” pojawiła się publikacja zawierająca tajny raport rządu Szwajcarii oparty za informacjach pozyskanych przez Onyx. Zawierała opis treści faksu wysłanego przez rząd w Egipcie do ambasady w Londynie zawierający opis tajnych więzień CIA w Europie Wschodniej. Rząd szwajcarski oczywiście zaprzeczył istnieniu tego raportu. Zaprzeczył, ale natychmiast wszczął postępowanie przeciw wydawcom za opublikowanie tajnych dokumentów.

– I masz „subskrypcję” na coś takiego?

– Bankierstwo – odparł – wymaga dobrych informacji.

– I co z tego?

– Blue Ant potrzebuje dobrych bankierów. A ci, jak wiadomo, pochodzą głównie ze Szwajcarii. Jeszcze nie działamy tam na większą skalę. Wyrażenia dla Onyxa musi zatwierdzić specjalna niezależna komisja.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wielkie przezroczyste kształty wiły się w głębi nieba: macki długości mgławic. Mrugnęła i wszystko wróciło do normy.

– No i?

– Jak na razie tylko dwóch członków komisji było skłonnych rozważyć propozycje naszych bankierów. Ale zobaczymy, co da się zrobić. – Poczwała, że się podnosi. – Jeszcze jednego drinka?

– Dziękuję, nie.

– Sama jednak zrozumiesz – kontynuował – że nawet ten rodzaj wywiadu ma wiele ograniczeń. Nie wspominając już o tym, że ktoś niepowołany może trzymać rękę na pulsie. Ty wszakże, mając możliwość zbliżenia się do Bobby’ego Chomba... – Wstał, przeciągnął się, poprawił marynarkę, a potem odwrócił się i pochylił, podając jej dłoń. Skorzystała z pomocy, by stanąć na nogach. – Ty jesteś naszą drobnicą, Hollis. – Uśmiech rozjaśnił jego oblicze. – Rozumiesz?

– Próbowałam ci to już wyjaśnić. Bobby nie był zachwycony tym, że Alberto mnie do niego zaprowadził. Uznał to za złamanie warunków ich umowy. Możesz uważać, że opuścił miasto, ponieważ zbliża się jego statek, ale ja wiem, że moja wizyta miała z tą decyzją wiele wspólnego.

– Pierwsze wrażenie – rzucił – zawsze zmienia się z czasem.

– Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że zwyczajnie wpadnę na Bobby’ego przypadkiem?

– Zostaw to mnie. Najpierw musimy się dowiedzieć, dokąd zmierza. Póki to nie nastąpi, pracuj dla Philipa. Sprawdź, co jeszcze Odile i jej przyjaciele mają ci do pokazania. Bobby Chombo nieprzypadkowo porusza się właśnie w tych dwu różnych sferach działań. Najważniejsze, że zawarliśmy porozumienie. Naprawdę cieszę się, że będziemy współpracować.

– Dziękuję – odparła automatycznie i nagle zdała sobie sprawę, że było to jedyne, co mogła w tej sytuacji powiedzieć. – Dobranoc – dodała, zanim przerwa pomiędzy tymi słowami stała się zauważalnie długa.

Zostawiła go wśród fikusów rosnących w ogromnych donicach.

46. VIP

– Nie masz żadnych dokumentów. – Starzec odezwał się po angielsku, wyłączając niewielką kamerę, na której oglądał kilkakrotnie jakieś nagranie.

– Nie – odparł Tito.

Wnętrze vana oświetlały dwie zasilane z akumulatora żarówki w kopułkowatych kloszach przykręconych do podsufitki. Ledwie wydobywały z mroku ich obu i niewygodną ławkę, na której siedzieli. Tito liczył, ile razy wóz skręca, starając się zachować orientację, w jakim kierunku jadą. Domyślał się, że byli teraz gdzieś na północny zachód od Union Square i kierowali się na zachód, ale z każdą chwilą był tego coraz mniej pewien.

Starzec wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Titowi. Gdy chłopak rozdarł papier, ze środka wypadło prawo jazdy z New Jersey z jego zdjęciem. Ramonę Alcin. Tito przyjrzał się dokładnie zdjęciu. Wyglądało na to, że twarz należy do niego, choć nigdy nie pozował do takiego zdjęcia, nigdy też nie miał na sobie koszuli, jaką nosił Ramonę Alcin. Rzucił okiem na podpis. Przede wszystkim musi nauczyć się kreślić go do góry nogami, jak uczył Alejandro. Czuł się niezręcznie, posiadając nową tożsamość, ale nie potrafiąc się podpisać. Z drugiej strony, pomyślał, przecież nie wiem nawet, jak się prowadzi samochód.

Starzec odebrał kopertę i schował ją do kieszeni. Tito wyjął portfel z kurtki i wsunął prawo jazdy pod przezroczystą przegródkę; wyglądało idealnie, ktoś zadbał o odpowiednią liczbę rys na powierzchni tworzywa, wielokrotnie wyjmując je i chowając w innym portfelu. Pomyślał o Alejandrze.

– Co jeszcze masz? – zapytał starzec.

– Jeden z pistoletów Bułgara – odpowiedział Tito, zapominając, że obcy może nie wiedzieć o tym rodzaju broni.

– Leczkow. Daj mi go.

Tito wyjął pistolet, wciąż zawinięty w chusteczkę. Gdy podawał go starcowi, na jego dżinsy spadł idealnie biały pył solny.

– Strzelano z niego.

– Użyłem go w restauracji hotelowej – przyznał Tito. – O mało nie zostałem tam schwytyany. Jeden ze ścigających był niezłym biegaczem.

– Sól? – Starzec powąchał ostrożnie białe drobinki.

– Morska. Najlepsza.

– Leczkow lubił chwalić się tym, że rzekomo wyprodukował parasol, którym dokonano zabójstwa Georgija Markowa. Ale to nie była jego robota. Jego wyroby, podobnie jak ten pistolet, należą do

wcześniejszej ery. Niewykluczone, że zaczynał jako wiejski mechanik rowerowy. – Wsunął chusteczkę i zawinięty w nią pistolet do kieszeni płaszcza. – Musiałeś go użyć?

Jakkolwiek człowiek ten był dość dobrze zaznajomiony z wieloma tajemnicami rodziny, Tito nie sądził, żeby wiedział o oriszach. Wyjaśnianie, że to Elegba podjął decyzję o użyciu broni Bułgara, nie pomogłoby mu w niczym.

– Nie strzelałem w twarz – powiedział. – Niżej. Chmura pewnie sięgnęła do oczu, ale nie powinna ich uszkodzić. – Taka była prawda, przynajmniej tak to zapamiętał, ale wyboru, o ile istniał jakiś wybór, dokonał sam Elegba. – Po przemyciu ślepotą powinna ustąpić.

– Biały proszek – mruknął starzec, a Tito uznał, że dodatkowe linie na jego wychudłych policzkach oznaczają uśmiech. – Jeszcze nie tak dawno temu oznaczałby niezły problem. Ale teraz... W każdym razie nie przeniesiesz go przez odprawę na lotnisku.

– Na lotnisku? – zapytał Tito, nagle czując suchość w gardle, a w żołądku zimną kulę strachu.

– Zostawmy to – odpowiedział starzec, jakby wyczuł narastającą panikę rozmówcy i chciał go jakoś pocieszyć. – Masz jeszcze coś metalowego?

Stłoczeni w ciemnej przestrzeni, on z twarzą przyciśniętą do rozgrzanego metalu, obejmujący nogi matki, czuł jej dłoń we włosach, gdy silnik przewycięzał siłę ciężenia. Bezksiężycowa noc. Ledwie widoczne szczyty drzew.

– Nie – odparł Tito.

Wóz zatrzymał się. Usłyszał ryk, dudnienie, głębokie i przerażające. Nagle stało się jeszcze głośniejsze, gdy jedno ze skrzydeł tylnych drzwi stanęło otworem, a promienie słońca rozcięły panującą wokół ciemność. Facet ze stoiska z butami u Prądy wsiadł szybko. Starzec odpiął pas i poprawił się na ławce. Tito zrobił to samo, poblady ze strachu.

– Zamknięto Union Square – rzucił facet od Prądy.

– Pozbądź się tego – powiedział starzec, podając mu pistolet Bułgara, wciąż owinięty w chusteczkę. Wyjął z kieszeni płaszcza kamerę i zdjął go, facet od Prądy pomógł mu włożyć jasny prochowiec. – Zdejmuj kurtkę – rozkazał starzec, kierując te słowa do Tita.

Chłopak posłuchał. Facet od Prądy podał mu krótką zieloną wiatrówkę z żółtym napisem na plecach. Włożył ją. Wtedy dostał zieloną czapeczkę z żółtym napisem: BRACIA JOHNSON, MURAWY I TRAWNIKI biegnącym nad daszkiem. Też ją założył.

– Okulary przeciwsłoneczne – powiedział facet od Prądy, wyciągając rękę z nową parą. Zapakował starą kurtkę do niewielkiego czarnego nylonowego worka, zamknął go szczelnie i podał Titowi. – Okulary – przypomniał i Tito założył je natychmiast.

Zeskoczyli wprost w blask słońca i przeraźliwy ryk. Tito dostrzegł znak wiszący na łańcuchu, może o trzy stopy od samochodu.

Za łańcuchem stały gotowe do lotu helikoptery. Dźwięk pracujących silników rozdzierał uszy.

Była też Vianca na swoim motorze, z twarzą ukrytą za odblaskową powierzchnią przesłony kasku. Tito widział, jak facet od Prądy podaje jej wciąż zawinięty w chustkę pistolet Bułgara. Wsunęła go za połę kombinezonu, pomachała szybko Titowi na pożegnanie i już jej nie było, brzęczenie jej silnika utonęło w ryku helikopterów.

Tito z żołądkiem wypełnionym kulami zimnego strachu wszedł za pozostałymi mężczyznami na lądowisko.

A gdy minęli wykrywacze metalu, okazali dokumenty do kontroli, skuleni przeszli pod wirującymi łopatom wirników i dali się przypiąć pasami do foteli, gdy ryk nasilił się jeszcze bardziej, a moment później helikopter uniósł się, jakby pociągnęły go niewidzialne sznurki, i poleciał, unosząc ich wciąż wyżej i wyżej, ponad Hudsonem, Tito mógł jedynie zacisnąć oczy. Żeby nie widzieć miasta zostającego coraz niżej, a potem znikającego w oddali.

Zdołał, wciąż nie otwierając oczu, wyłuskać swojego Nano spod koszuli, wyjąć słuchawki z lewej przedniej kieszeni dzinsów i odnaleźć hymn, który stworzył na keyboardzie na cześć bogini Oszun.

47. ULICA N

Za Filadelfią w koronach drzew pamiętających wojnę secesyjną czały się duchy.

Wcześniej tory przebiegały wzdłuż ulic otoczonych rzędami niewielkich domków, przez dzielnicę, którą bieda przetrzebiła równie skutecznie, jak miała to czynić osławiona bomba neutronowa. Ulice dawno nie widziały przechodnia, podobnie jak okna domów szkła. Budynki natomiast sprawiały naprawdę obce wrażenie, może nie domów z innej epoki, ale z pewnością ruin Belfastu po ataku biologicznym jakiejś szalonej sekty. Wraki japońskich samochodów wciąż okupowały pobocza, opierając się o asfalt podwoziami i pozbawionymi kół piastami.

Ale po minięciu Filadelfii i zażyciu kolejnej tabletki Milgrim zaczął chwytać kątem oka obecność bytów astralnych, może nawet aniołów. Może dlatego, że późnopołudniowe słońce przystrajało mijane lasy luminescencją godną Maxfielda Parrisha, a może wrażenie to zawdzięczał epileptycznym drganiom, jakim podlegał podczas jazdy pociągiem. Uważał byty za obojętne albo nawet przyjazne. Należały do tego krajobrazu, tego czasu i tej pory roku, a nie do jego historii.

Po drugiej stronie przejścia Brown klepał cierpliwie w klawiaturę swojego pancernego laptopa, Milgrim wiedział doskonale, że na twarz agenta, gdy zagłębiał się w pisanie, wkrada się lęk, teraz też był widoczny. Może Brown nie był pewien swoich umiejętności pisarskich, może życie przyzwyczało go do tego, że jego pisanina jest ustawicznie odrzucana albo mocno krytykowana przez tych, do których wypociny były kierowane. A może po prostu nie czuł się dobrze raportując własną porażkę? Z tego co Milgrim zdążył zauważyć, żadne działania podejmowane wobec UZ-a i celu nie przyniosły nigdy pożądanego efektów. Schwywanie celu wydawało się dla agenta prawdziwym być albo nie być, ale choć próbował, nie zdołał tego dokonać. Drugim, mniej istotnym zadaniem było przechwycenie przesyłki, jaką UZ miał przekazać celowi na Union Square, i to chyba się dzisiaj Brownowi udało. Schwywanie samego UZ-a nigdy nie było istotne dla misji. Gdyby złapano UZ-a, zarówno cel, jak i wielka rodzina schwytanego zostaliby ostrzeżeni o gierce, jaką prowadził z nimi Brown. Akcja z umieszczeniem przechwytywacza sygnału w pokoju UZ-a poszłaby także na marne. Reasumując, Milgrim uznał, że Brown spisuje teraz raport dotyczący wydarzeń na Union Square.

Nie przypuszczał jednak, by w jakimkolwiek jego fragmencie znalazła się wzmianka o nim i czarnoskórych współpracownikach Dennisa, co w sumie było mu na rękę. Martwiło go, że Brown jeszcze nie wspomniał ani razu o tym, że nie znalazł go przykutego do ławki, ale czuł, że jest przygotowany na tę rozmowę. Prowizoryczne kajdanki były wadliwe, więc puściły, a on, Milgrim, czując, że w parku coś się święci, popędził co sił w stronę samochodu agenta, aby ułatwić im ewakuację.

Zmęczony błyskami słońca przebijającego się przez drzewa wpadł na pomysł, że mógłby poczytać swoją książkę. Ale zdołał tylko wsunąć dłoń do kieszeni płaszcza od Paula Stuarta i dotknąć zniszczonej okładki. Zasnął z policzkiem przytulonym do rozgrzanej tafli szkła i obudził się dopiero, gdy Brown potrząsnął nim, a pociąg wjeżdżał na Union Station w Waszyngtonie.

Ze zgrozą zauważył, że strasznie zeszywniał, co musiało być skutkiem ogromnego wysiłku, jaki zafundował sobie w parku, chociaż i zastrzyk adrenaliny wywołanej przez strach mógł mieć z tym

wiele wspólnego. Gdy chwiejnie wstawał, rozsypując wokół okruszki z kanapki, którą zjadł jeszcze przed Filadelfią, zdawało mu się, że ma na nogach szczudła.

– Jazda – ponaglił go Brown, popychając do przodu.

Agent przewiesił laptopa i torbę przez ramiona i teraz kołysały mu się na wysokości bioder, a same paski krzyżowały się na klatce piersiowej. Zapewne nauczył się tego na kursie optymalnego zabezpieczania bagażu ręcznego. Milgrim miał wrażenie, że Brown rzadko i niechętnie improwizuje, agent należał do grona ludzi, którzy wierzą, że istnieją metody na zrobienie wszystkiego we właściwy sposób i jeśli zamierza się coś zrobić, trzeba z nich korzystać.

Jest też, pomyślał Milgrim usiłując nadążyć za nim po peronie, autorytarny, ale z drugiej strony sam odczuwał silną potrzebę wykonywania rozkazów.

Tryumfalizm stylu, w jakim zbudowano ten dworzec, sprawiał, że Milgrim poczuł się nagle naprawdę małeńki. Jego szyja zapadła się w kołnierz płaszcza od Paula Stuarta. Wyobraził sobie własny widok, a także Browna, z perspektywy ozdobnych łuków, byli mali jak dwa żuczki, daleko w dole, i dreptali przez ogromną marmurową równinę. Zmusił się do spojrzenia w górę, nie wysuwając głowy z ramion, na kamienie z wyrytymi napisami, alegoryczne rzeźby, złocenia, na przepychach i formalizm tak charakterystyczne dla amerykańskiego renesansu z początków poprzedniego stulecia, i poczuł się przytłoczony.

Powietrze na zewnątrz nie miało tak charakterystycznej dla Nowego Jorku tonacji zanieczyszczeń, było też nieco bardziej parne. Brown wpakował Milgrima do taksówki prowadzonej przez Tają w żółtych okularach strzeleckich i już mknęli płataniną ulic, której Milgrim za nic nie potrafił pojąć. Ronda, rozchodzące się promieniście aleje, masońska gmatwanina. Ale Brown kazał kierowcy jechać na ulicę N, a Milgrim dobrze pamiętał, że to miasto, w odróżnieniu od Nowego Jorku, ma ulice ułożone wedle alfabetu, nie cyfr. Kiedyś spędził tutaj całe trzy tygodnie, za dobrych dawnych czasów pierwszej prezydentury Clintona, był wtedy członkiem zespołu tłumaczącego raporty handlowe na użytek grupy lobbystów.

W pewnym momencie zjechali z tętniącej życiem ulicy handlowej, na której roiło się od sklepów firmowych, i znaleźli się we względnie spokojnej okolicy, pełnej rezydencji i nieco starszych domów. To styl secesjonistyczny, przypominał sobie Milgrim, a zatem wjechali do Georgetown, dzielnicy wybudowanej na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, nazwę tę zapamiętał z wykładów, jakich kiedyś wysłuchał w ratuszu, podczas seminarium o stylach architektonicznych. Tamten gmach nie przypominał jednak budynków, które teraz mijali, był większy, z ogrodem na tyłach, w którym Milgrim odkrył, gdy wymknął się na jointa, ogromnego żółwia i jeszcze większego królika, zwierzęta maskotki, jak przypuszczał, które wszakże we wspomnieniach nabrały magicznych cech, jak to na ogół bywa ze wspomnieniami z dzieciństwa. Jego dzieciństwo nie obfitowało w magiczne momenty i może właśnie dlatego przesunął to wspomnienie w czasie, jakby chciał tym samym skompensować wszystkie niedostatki. Był pewien, że trafili do Georgetown, gdyż świadczyły o tym wąskie fasady wyłożone klinkierem, pomalowane na czarno drewniane okiennice i uczucie, że nad wystrojem wewnątrz pracowali się Martha Stewart i Ralph Lauren, i to wspólnie, przykrywając wszystkie powierzchnie ręcznie nakładanymi powłokami ze złotego pszczelego wosku.

Taksówka zatrzymała się nagle, a kierowca w jaskrawożółtych okularach odwrócił się do Browna.

– Ty tutaj? – zapytał.

Zapewne, odparł bezdźwięcznie Milgrim, gdy agent podawał Tajowi kilka zmiętych banknotów i ponaglał go do wyjścia.

Buty Milgrima ślizgały się po wypolerowanych kostkach brukowych. Podążał za Brownem w górę trzech wysokich granitowych stopni, startych miejscami przez stawiane na nich całymi wiekami stopy. Pomalowane na czarno drzwi z pojedynczym świetlikiem, ozdobione federalnym orłem z niedawno wypolerowanego mosiądzu, tak starym, że nie przypominał znanych Milgrimowi wizerunków tego ptaka – bliżej mu już było do stworzeń ze starożytnej mitologii, na przykład do feniksa. Stworzony, tak mniemał, przez artystę, który nigdy nie widział orła, co najwyżej jego nieudolne podobizny. Brown zupełnie nie zwracał na te detale uwagi, skupiał się na prawidłowym wprowadzeniu kodu odczytywanego z niebieskiego karteluska, jego palce tańczyły po panelu z nierdzewnej stali wbudowanym w ościeżnicę. Milgrim spojrzał w perspektywę ulicy i zobaczył mrugające do niego, straszliwie staromodnie wyglądające latarnie. Gdzieś w oddali czekało wielkie psisko.

Agent zakończył wklepywanie kodu, a drzwi wydały zduszony mechaniczny chrzęst, gdy zamki puściły.

– Wchodź – rozkazał Brown.

Milgrim chwycił kutą klamkę z mosiądzu, nacisnął ją i pchnął drzwi. Otworzyły się bezdźwięcznie. Wszedł, orientując się natychmiast, że dom jest niezamieszkały. Zobaczył długą mosiężną płytkę, na której umieszczono imitacje antycznych kontaktów. Nacisnął ten znajdujący się najbliżej drzwi, jego palce zetknęły się z kolistym kształtem pokrytym macicą perłową. Nad ich głowami rozbłysła kula kremowego szkła, jej obrzeże zdobiła obręcz z brązu z kwiatowym motywem. Spojrzał pod nogi. Polerowany szary marmur.

Usłyszał, jak Brown zamyka drzwi za sobą, zamki znów wydały charakterystyczny chrzęst.

Agent nacisnął kolejne kontakty na mosiężnej płytce, oświetlając większą przestrzeń. Milgrim zauważył, że nie pomylił się wiele, myśląc o Marcie i Ralphie, chociaż meble nie pasowały do tego obrazu. Wystrój salonu przypominał raczej bardziej tradycyjne wnętrza hotelu Four Seasons.

– Ładnie. – Milgrim usłyszał własny głos.

Brown odwrócił się na pięcie i spojrzał na niego.

– Przepraszam – dodał Milgrim.

48. MONTAUK

Tito siedział, z wciąż zamkniętymi oczami, zatopiony w muzyce.

Oprócz wibracji i huku silnika nic nie wskazywało na to, że są w ruchu. Nie miał nawet pojęcia, w którą stronę lecą.

W świecie muzyki przebywał razem z Oszun, która chroniła go przed lękiem. Kiedy się naprawdę skoncentrował, potrafił ją sobie wyobrazić jako wody strumienia obmywające kamienie, spływające ze zbocza, złobiące drogę pomiędzy gęstą roślinnością. Nagle dostrzegł ptaka nad głową, nad strumieniem, za koronami drzew.

Poczuł, jak helikopter skręca. Facet od Prądy, siedzący obok, dotknął jego dłoni. Tito otworzył oczy. Mężczyzna wskazywał na coś, poruszając ustami. Tito wyjął słuchawki Nano z uszu, ale nadal nie słyszał słów, tylko huk silnika. Przez plastikowe okienko widział w dole morze, niewysokie fale uderzające w kamienistą plażę. Na rozległej trawiastej równinie wrzynającej się w połacie pobrązowiałych lasów kilka białych budynków przycupnęło wokół kwadratowego placu okolonego beżową wstęgą drogi.

Starzec siedzący na wprost Tita, obok pilota, miał na głowie masywne niebieskie nauszники. Tito dopiero teraz zauważył postać kierującą helikopterem; gdy wsiadał, zacisnął oczy, ledwie zdołał zapiąć pasy. Dłoń pilota, w rękawiczce, obejmowała krzywy stalowy trzpień, jego kciuk naciskał na okrągły guzik umieszczony w górnej części uchwytu, zupełnie jakby to był joystick przy automatach do gry.

Kręty i dość nieregularny zarys pasa drogi, a także zabudowania były już o wiele większe niż przed chwilą. Największy z budynków, białe domostwo o dwóch niskich skrzydłach wyrastających po obu stronach, stał po drugiej stronie placu, jego świecące pustką okna skierowane były wprost na morze. Pozostałe zabudowania, przeważnie małe domki i coś, co wyglądało na wielki garaż, stały gęsto ściśnięte przy najdalszym krańcu placu. Wokół nie było ani drzew, ani krzewów, jedynie brązowa ściana lasu w oddali. Budynki nosiły ślady działania mrozu, wiatru i deszczu i jak dostrzegał teraz wyraźnie, były zbudowane z pomalowanego na biało drewna. W zimnym północnym klimacie drewniane domy mogły stać naprawdę długo, w tych warunkach nie miał się ich żaden szkodnik. Na Kubie jedynie domy wzniesione z najtwardszego drewna pozyskiwanego z bagien Zapaty mogły wytrzymać równie długą walkę z insektami.

Zauważył długi czarny samochód zaparkowany na beżowym placu, w miejscu leżącym pośrodku wolnej przestrzeni między wielkim domem a resztą zabudowań.

Przemknęli nad plażą, wzniesając małą burzę piaskową, potem sunęli nisko nad skośną szarością dachu największego budynku. Maszyna zawisła nagle w powietrzu, w absolutnie niewiarygodny sposób, potem zaczęła opadać na trawę.

Starzec zdjął słuchawki, facet od Prądy pochylił się i rozpiął pasy Tita. Podał mu też worek, w którym upchnął jego kurtkę. Tito poczuł skurcz żołądka, kiedy helikopter dotknął ziemi. Ton ryku silnika uległ zmianie. Facet od Prądy otworzył drzwi i gestem pokazał, że powinni wysiąść.

Tito wyskoczył na trawę i nieomal upadł na ziemię pchnięty podmuchem wichru wytworzonego przez rotory. Pełznął skulony, z załzawionymi oczami, trzymając ręką czapkę na głowie. Facet od Prądy przeszedł pod kadłubem i pomógł starcowi wysiąść z helikoptera po drugiej stronie. Posłuszny jego wskazówkom Tito, wciąż kuląc się, ruszył za oboma mężczyznami w stronę czarnej limuzyny. Ton pracującego silnika znów uległ zmianie.

Tito odwrócił się i zobaczył, że helikopter startuje jakby za sprawą magicznej sztuczki. Przechylił się i pomknął w stronę morza, ponad wielkim domem, a potem uniósł się w górę i odleciał w głąb bezchmurnego nieba.

W nagle zapadłej ciszy Tito usłyszał głos starca i jednocześnie poczuł ostry powiew bryzy znad morza.

– Wybacz ten strój. Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli zrobisz na heliporcie odpowiednie wrażenie.

Facet od Prądy pochylił się, by wyjąć kluczyki spod lewego przedniego nadkola czarnego lincolna.

– Piękne miejsce, nieprawdaż? – powiedział, spoglądając w stronę garażu i skupiska mniejszych budynków.

– Praktycznie pustkowie, zważywszy na dzisiejsze standardy – dorzucił starzec.

Tito zdjął okulary przeciwsłoneczne, przyjrzał im się dokładnie. po czym zdecydował, że raczej ich nie zatrzyma, i schował je do kieszeni na piersi. Do drugiej wsunął czapeczkę i zdjął kurtkę kosiarza. Otworzył czarny nylonowy worek, wyjął swoją, strzepnął ją i włożył. Zieloną kurtkę umieścił w worku, który zamknął dokładnie.

– To miejsce zachowało swój wygląd z lat siedemdziesiątych, kiedy to sprzedano je za niecałe trzysta tysięcy – powiedział facet od Prądy. – Dzisiaj wołają za nie czterdzieści milionów.

– I mają rację – dodał starzec. – Miło z ich strony, że pozwolili nam tutaj wylądować.

– Pośrednik sugerował niższą cenę pod warunkiem, że umowa nie będzie zawierała żadnych kluczków. Ludzie doglądający tego miejsca zostali oczywiście poinstruowani, żeby nam nie przeszkadzać. – Nacisnął palcem na klawisz przy pilocie, otwierając drzwi kierowcy.

– Naprawdę? To chyba oznacza, że muszę być strasznie bogaty?

– Bardzo.

– A na czym się dorobiłem?

– Na internetowej pornografii – odpowiedział facet od Prądy, siadając za kierownicą.

– Mówisz poważnie?

– Hotele, sieć luksusowych hoteli. W Dubaju. – Zapalił silnik. – Tito, pojedziesz z przodu, obok mnie.

Starzec otworzył drzwi z tyłu. Spojrzał na Tita.

– Wsiadaj – powiedział i zniknął we wnętrzu wozu.

Tito obszedł długą lśniącą maskę, odnotowując tablice z New Jersey, i usiadł na wskazanym miejscu.

– Jestem Garreth – przedstawił się facet za kierownicą, wyciągając dłoń. Tito uściskał ją, a potem domknął drzwi. Garreth wrzucił bieg i lincoln potoczył się naprzód, miażdżąc oponami chrzęszczący żwir.

– Owoce i kanapki – mruknął Garreth, wskazując kosz stojący pomiędzy nimi. – Woda.

Zatoczył krąg, zbliżając się do garażu i mniejszych zabudowań, potem skręcił w prawo na drogę prowadzącą przez las.

– Jak długo to potrwa? – zapytał starzec.

– O tej porze roku około pół godziny – odpowiedział Garreth. – Pojedziemy przez Amagansett i East Hampton, drogą numer 27.

– Mają tam stróżówkę?

– Nie, tylko bramę. Ale pośrednik dał nam kody.

Opony toczyły się po żwirowej nawierzchni wyjątkowo cicho dzięki warstwie wyschniętych liści zalegających na drodze.

– Tito – zagaił kierowca. – Zauważyłem, że przez cały czas miałeś zamknięte oczy. Nie lubisz lotów helikopterem?

– Tito – wtrącił starzec – nie leciał niczym od momentu ucieczki z Kuby. To mógł być jego pierwszy kontakt z helikopterem.

– To prawda – potwierdził Tito.

– Aha – mruknął Garreth i skupił się na prowadzeniu.

Tito podziwiał brązową głębię lasu. Nie oddalił się tak bardzo od miasta od czasu, gdy opuścił Kubę.

Niedługo ten, który nazwał siebie Garrethem, zatrzymał samochód zaledwie trzy stopy przed niską, ale masywną bramą z galwanizowanej stali.

– Pomożesz mi – powiedział, otwierając drzwiczki. – Jest w pełni automatyczna, ale kiedy byłem tutaj z pośrednikiem, łańcuch się ślizgał.

Tito wysiadł. Za bramą znajdowała się asfaltowa dwupasmowa droga. Garreth otworzył szarą metalową skrzynkę wiszącą na białym drewnianym palu i użył niewielkiej klawiatury znajdującej się

w środku. Zapach lasu był bardzo intensywny, a przy tym dziwny. Niewielkie zwierzątko przebiegło w koronie drzewa nad głową Tita, ale nie dostrzegł go, widział jedynie trzęsące się gałęzie. Elektryczny silnik zamruczał i długi łańcuch stanowiący część mechanizmu otwierania bramy, a przypominający z widoku te, które montuje się w rowerach, naprężył się i zadrgał.

– Pomóż – poprosił Garreth.

Tito oparł się rękami o bramę i pchnął ją na prawo, w stronę pracującego silnika. Łańcuch zaskoczył i wrota zaczęły się otwierać, sunąc po prowadnicach ze stali.

– Wsiadaj do samochodu. Fotokomórka zamknie bramę, gdy tylko przejedziemy.

Tito obejrzał się, siedząc na przednim siedzeniu, aby zobaczyć moment, w którym tył lincolna minie bramę. Zamknęła się płynnie, bez żadnych problemów, ale Garreth zatrzymał wóz i wysiadł, żeby sprawdzić, czy zamki na pewno zaskoczyły.

– Wymaga naprawy – powiedział starzec. – Przez nią potencjalny kupiec może odnieść wrażenie, że posiadłość jest w opłakanym stanie.

Garreth wrócił. Skręcili na asfalt i po chwili znacznie przyspieszyli.

– Dzisiaj nie będzie już latania helikopterem – rzekł pocieszająco.

– I dobrze – burknął Tito.

– Następny etap podróży odbędziemy na skrzydełkach z prawdziwego zdarzenia.

Tito, spoglądający właśnie na banany leżące w koszu pomiędzy nimi, odwrócił głowę z niesmakiem.

– Następny etap? – zapytał.

– Polecimy cessną „Golden Eagle” – wyjaśnił starzec. – Rocznik 1985. Jedna z ostatnich, jakie wyprodukowano. Bardzo wygodna. Cicha. Będziemy się mogli przespać.

Tito instynktownie wcisnął się w oparcie fotela.

– Dokąd jedziemy?

– Teraz – odparł Garreth – na lotnisko w East Hampton.

– To prywatny samolot – dodał starzec. – Żadnej kontroli, żadnych dokumentów. Za jakiś czas wyrobimy ci coś bardziej poręcznego niż prawo jazdy z New Jersey, ale dzisiaj nie będziesz już potrzebował żadnych papierów.

– Dziękuję – mruknął Tito, nie mając pojęcia, co innego mógłby powiedzieć. Minęli niewielki budynek z napisem „Lunch” i samochody zaparkowane przed nim. Tito znów spojrzął na banany. Nie jadł niczego od poprzedniej nocy z Viancą i Brothermanem, *aguerreros* już go opuścili. Podniósł więc owoc i zaczął go dokładnie obierać. Skoro już muszę nauczyć się latać, wyjaśnił swojemu

żołądkowi, nie powinienem umrzeć z głodu w trakcie lotu. Taka argumentacja niespecjalnie trafiała do żołądka, ale Tito i tak zjadł banana.

Garreth prowadził, a starzec milczał.

49. ROTCH

Odile siedziała w białym fotelu, trzymając na kolanach odwróconego do góry nogami robota, i gmerała ołówkiem firmowym Mondriana w jego plastikowych kółkach zębatych i czarnych gumowych paskach.

– To jest łatwo psujące – poskarżyła się.

– Kto go zrobił? – zapytała Hollis ze swojego fotela. Założyła nogę na nogę pod szlafrokiem. Popijały właśnie kawę dostarczoną przez room service. Była dziewiąta rano, a ona miała za sobą zadziwiająco spokojną noc.

– Sylvia Rotch – odpowiedziała Odile, używając ołówka jak dźwigni. Rozległo się kliknięcie. – *Bon* – sapnęła.

– Rotch? Mogłabyś przeliterować? – Hollis wzięła do ręki drugi ołówek.

– R-O-I-G – spróbowała Odile, najwyraźniej mając problem z odnalezieniem właściwego brzmienia liter w języku angielskim.

– Jesteś pewna?

– Katalońskie nazwisko – rzuciła Odile, stawiając robota na dywanie, właściwą stroną do dołu. – Jest trudne.

Hollis zapisała je sobie. Roig.

– Czy maki są charakterystyczne dla jej twórczości?

– Ona tylko maki robi – odparła Odile, jej oczy sprawiały wrażenie olbrzymich w zderzeniu z wąziutkimi, poważnie wyglądającymi brwiami. – Wypełnia cały Mercat des Flores makami. Stary targ kwiaciany – dodała wyjaśniająco.

– Tak, wiem – mruknęła Hollis, odkładając ołówek i nalewając sobie świeżej kawy. – Kiedy zostawiłaś mi wiadomość, wspominałaś, że chcesz porozmawiać na temat Bobby’ego Chomba.

– Fer-gus-son – powiedziała Odile, dzieląc wyraz na trzy wyraźne sylaby.

– Ferguson?

– On się nazywa Robert Fer-gus-son. On Kanadyjczyk. Shombo to jego artystyczny przydomek jest.

Hollis przełknęła tę informację razem z kawą.

– Nie miałam pojęcia. Sądzisz, że Alberto wie o tym?

Odile wzruszyła ramionami w typowo francuski sposób, wymagający, jak się zdaje, odmiennej budowy szkieletu.

– Ja wątpię. Ja wiem, bo mój chłopak pracuje w galerii w Vancouverze. Znasz może?

– Tę galerię?

– Vancouver! Jest piękny.

– Tak – przyznała Hollis, chociaż prawdę mówiąc jedyne co widziała podczas pobytu w tym mieście, to pokoje wynajęte w Four Seasons i wewnątrz niezbyt dużej sali, w której koncertowali, znajdującej się w przebudowanym, pierwotnie wzniesionym w stylu art deco dwupiętrowym klubie nocnym przy zadziwiająco pustej i obfitującej w teatry arterii w centrum. Jimmy przechodził wtedy ciężki okres. Musiała cały czas przy nim siedzieć. To nie były miłe wspomnienia.

– Mój chłopak, on zna Bobby’ego jako didżeja.

– Jest Kanadyjczykiem?

– Mój chłopak jest Francuzem.

– Chodziło mi o Bobby’ego.

– Oczywiście, że to Kanadyjczyk. Fer-gus-son.

– Czy on go dobrze zna? To znaczy, twój chłopak.

– Kupuje od niego E – odparła Odile.

– Ale to działo się, zanim Bobby wyjechał do Oregonu, aby pracować przy projektach związanych z technologią GPSW?

– Nie wiem. Tak ja sędzę. Trzy lata? W Paryżu mój chłopak widzi zdjęcie Bobby’ego, z wernisaża w Nowym Jorku, Dale Cusak, jego wspomnienia o Natalie, znasz to?

– Nie – odparła Hollis.

– Bobby geohakuje dla Cusaka. Mój chłopak patrzy i mówi, że to jest Robert Fer-gus-son.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Kilku artystów tutaj, oni wiedzą, że on Kanadyjczyk. To nie jest sekret wielki chyba.

– Ale Alberto nie wie?

– Nie wszyscy muszą. Ale wszyscy Bobby’ego potrzebują. Aby pracował nad nowym medium. Jest najlepszy do tego. Ale odludek taki. Ci co znają go z wcześniej, stają się bardzo ostrożne. Nie mówią tego, czego Bobby woli nie słyszeć.

– Odile, wiesz może coś na temat niedawnego... wyjazdu Bobby’ego?

– Tak – odpowiedziała poważnie Odile. – E-maila odbiło mi. Serwerów nie ma już. Artyści nie

mają kontaktu w sprawie prac nad instalacjami. Się martwią.

– Alberto wspominał o tym. Wiesz, gdzie Bobby mógł wyjechać?

– On jest Shombo. – Podniosła swoją filiżankę. – Może być wszędzie. ‘Ollis, pojedziesz do Silverlake? Odwiedzić Beth Barker?

Hollis zastanowiła się. Stanowczo nie doceniała wartości Odile. Zwłaszcza jeśli jej chłopak (były?) znał osobiście Bobby’ego Chomba-Fergusona.

– To ta kobieta z mieszkaniem zaopatrzonym w wirtualne komentarze?

– Przestrzennie otagowane – poprawiła ją Odile.

Pomóż mi, Boże, poprosiła w myślach Hollis.

Jej komórka zadzwoniła.

– Tak?

– Pamela. Mainwaring. Hubertus prosił, abym ci przekazała, że najprawdopodobniej kierują się do Vancouveru.

Hollis spojrzała na Odile.

– Czy on wie, że Bobby jest Kanadyjczykiem?

– W zasadzie... – odparła Pamela Mainwaring – tak.

– Ja dopiero się dowiedziałam.

– Rozmawiałaś o jego pochodzeniu z Hubertusem?

Hollis usiłowała sobie przypomnieć.

– Nie.

– Więc sama widzisz. Padła sugestia, abyś wyjechała. Do Vancouveru.

– Kiedy?

– Jeśli wyjdiesz zaraz, masz szansę złapać lot Air Canada o pierwszej.

– A o której mam ostatni?

– O ósmej wieczorem.

– Zabukuj mi dwa bilety – powiedziała. – Henry i Richard. Oddzwonię.

– Załatwione – odparła Pamela i rozłączyła się.

– ‘Ollis – zapytała Odile – o co chodzi?

– Czy możesz polecieć na kilka dni do Vancouveru? Dziś wieczorem. „Node” płaci za bilety. Za bilety, noclegi, w sumie za wszystko.

Brwi Odile powędrowały do góry.

– Naprawdę?

– Tak.

– Wiesz, ‘Ollis. „Node” zapłacił mnie za przylot tutaj. Za pokój w Standardzie...

– Zatem wszystko jasne. Co ty na to?

– Oczywiście – odparła Odile – ale dlaczego?

– Chcę, abyś pomogła mi odszukać Bobby’ego.

– Spróbować mogę, ale... – Raz jeszcze zaprezentowała francuski styl wzruszania ramionami.

– Znakomicie – ucieszyła się Hollis.

50. GALERIA SZEPTU

Milgrim obudził się w wąskim łóżku przykryty pojedynczym flanelowym kocem, na którym pstrągi wyskakiwały ze strumienia, a w tle widniała postać wędkarza. Poduszkę obszyto podobnym materiałem. Na ścianie u jego stóp wisiał wielki plakat z wizerunkiem głowy amerykańskiego orła na tle falujących pasów Old Glory. Wyglądało na to, że rozebrał się przed pójściem spać, chociaż nie potrafił sobie przypomnieć, aby to robił.

Spojrzał na plakat oprawiony w płaskie złote plastikowe ramy. Nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego. Obraz miał doskonałą, niemalże zatrważająco pornograficzną jakość, w czym na pewno miał swój udział obiektyw wazelinowany, aczkolwiek w tych czasach chyba już ich nie stosowano. Już prędzej zmontowano ten obrazek na ekranie komputera. Ale oko orła było naprawdę hiperrealistycznie jasne i lśniące, jakby je prerenderowano, aby uzyskać efekt patrzenia na twarz widza. Pomyślał, że plakat aż prosi się o jakiś slogan, coś, co nadałoby mu nieco bardziej patriotyczny wyraz. Te falujące pasy, te kilka gwiazd w rogu, przechylna kanciasta głowa wyglądającego na zabójcę drapieżnego ptaka były zbyt ikoniczne, przynajmniej jak dla niego.

Przypomniawszy sobie dziwnego feniksowatego stworza z drzwi frontowych.

A potem odnalazł wspomnienie pizzy, którą zamówił Brown, jej konsumpcji w kuchni na dole. Pepperoni i trzy rodzaje sera. No i lodówki, w której tkwił jedynie sześcioopak idealnie schłodzonej pepsi. Przypomniawszy sobie gładziutkie białe kręgi płytek grzewczych na kuchence, coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Brown zabrał swoją pizzę do pomieszczenia wyglądającego na gabinet, razem ze szklanką i butelką whisky. Milgrim nigdy wcześniej nie widział agenta pijącego alkohol. A potem usłyszał, jak Brown rozmawia przez telefon za zamkniętymi drzwiami, ale znów nie potrafił zrozumieć ani słowa. No a później chyba zaaplikował sobie kolejną tabletkę rize'u.

Czasami, zauważył w duchu, tak niewiele trzeba, żeby dojść do siebie. Podniósł wzrok i napotkał głębokie jak wylot lufy spojrzenie orła. Szybko odwrócił głowę, wstał i przeszukał pokój, cichutko, ale dokładnie, miał w tym praktykę.

Wystrój wskazywał, że to pomieszczenie przygotowane dla jakiegoś chłopca, choć widoczny w nim był także ogólny styl całego domu, aczkolwiek zaznaczony o wiele delikatniej. Ralpa Laurena było tu tyle co kot napłakał. Nie zauważył ani jednego prawdziwego antyku, oczywiście poza tym pseudoorłem z drzwi wejściowych, który być może był starszy od domu. Wszystkie meble były podróbkami, i to raczej mało udanymi, wyglądały na masówkę z Chin albo Indii, nie na porządne stolarstwo z Północnej Karoliny. No i przypomniał sobie, patrząc na puste regały w pokoju, że w całym domu nie ma ani jednej książki.

Cicho i ostrożnie pootwierał wszystkie szufladki niewielkiego sekretarzyka. Były całkowicie puste poza tą najniższą, w której znalazł dwie pinezki oraz powleczone cienką tkaniną druciany wieszak na ubrania, na którym wydrukowano nazwę i adres pralni w Bethesda. Uklęknął na dywanie i sprawdził przestrzeń pod meblem. Nic.

Niewielkie biurko w stylu kolonialnym, wykończone podobnie jak sekretarzyk i pomalowane patynowaną niebieską farbą, nie zawierało wiele więcej, jeśli nie liczyć martwej muchy i czarnego

długopisu oznakowanego białym napisem WŁASNOŚĆ RZĄDU USA. Milgrim, wetknął go za elastyczną gumkę majtek, ponieważ nie miał w tym momencie żadnych kieszeni, i otworzył ostrożnie drzwi, które jego zdaniem powinny prowadzić do garderoby. Nieużywane od dawna zawiasy zaskrzypiały. Puste wieszaki zagrzecotały na poprzeczce. W środku nie było praktycznie nic więcej z wyjątkiem małego granatowego blezera ozdobionego wykwintnym złotym emblematem. Milgrim szybko przeszukał jego kieszenie, znajdując zwitek chusteczek higienicznych i kawałek kredy.

Chłopięcy sweter i kawałek kredy, to naprawdę przygnębiło Milgrima. Wolałby nie znaleźć się w pokoju dzieciennym. Być może kiedyś było tu wiele rzeczy, zabawki i książki, ale teraz nie pozostał po nich żaden ślad. Pokój sugerował trudne dzieciństwo, może nawet niewiele różniące się od tego, jakie było udziałem Milgrima. Wyszedł z garderoby, zamknął jej drzwi i podszedł do niebieskiego krzesła ze szczebelkowym oparciem, na którym wisiało jego ubranie. Zapomniawszy o rządowym długopisie wetkniętym w majtki, ukłął się w pachwinę, gdy wkładał spodnie.

Kiedy się ubrał, podszedł do pasiastych zasłon przy jedynym oknie w tym pokoju. Ustawił się tak, by móc wyjrzeć odchylając minimalnie jedną z zasłon, i odkrył, że spogląda na ulicę N w bardzo pochmurny dzień. Ale z tak ostrego kąta mógł także dojrzeć prawy przedni błotnik zaparkowanego przed domem samochodu, czarnego i bardzo błyszczącego. Sądząc po rozmiarach błotnika, miał do czynienia z naprawdę wielkim wozem.

Włożył płaszcz od Paula Stewarta i wymacał swoją książkę, potem schował rządowy długopis do wewnętrznej kieszeni i spróbował poruszyć klamką przy drzwiach. Okazało się, że nie są zamknięte.

Na pokrytym panelami i wyściełanym chodnikiem korytarzu było jasno jedynie dzięki świetlikowi. Wychylił się przez poręcz i spojrzał w dół, dwa ciągi schodów dzieliły go od połyskującego delikatną szarością marmurowego holu, przez który dostali się do tego domu wczorajszego wieczora. Klatka schodowa była typowa dla budynku wzniesionego w czasach, z których pochodził: umieszczona centralnie, niemiłosiernie zwyczajna, wąska i pnąca się zygzakiem od frontu w stronę tyłów domu.

Tuż przy uchu Milgrima łyżeczka zadzwoniła o krawędź porcelanowej filiżanki. Odwrócił się na pięcie gwałtownym ruchem.

– Doceniam to – powiedział niewidzialny Brown z bardzo nietypowym dla niego tonem wdzięczności w głosie.

Korytarz był pusty.

– Wiem, z czym ma pan do czynienia. – Głosu, który wypowiedział te słowa, Milgrim nigdy wcześniej nie słyszał. Mówca był równie bliski, jak niewidzialny. – Wykorzystał pan najlepszych ludzi, jakimi dysponowaliśmy, ale okazali się za słabi. To się często zdarza, aż nazbyt często. Rzecz jasna, czuję się zawiedziony tym, że nie zdołał go pan dopaść. Wydaje mi się jednak, zwłaszcza gdy wezmę pod uwagę cały szereg wcześniejszych niepowodzeń, że mogliście pomyśleć choćby o zrobieniu mu zdjęcia. Nie sądzi pan? Wiedzielibyśmy chociaż, jak wygląda, skoro znowu wam się wymknął. – Człowiek ten, według Milgrima, mówił jak prawnik. Bardzo wolno i wyraźnie, zakładając, że każdy będzie spijał słowa z jego ust.

– Tak, sir – przyznał Brown.

– Mając je, mogliśmy się dowiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– Tak.

Z szeroko otwartymi oczami, trzymając się poręczy kurczowo, jakby to był reling statku prującego fale w samym środku sztormu, Milgrim gapił się w dół na odległy wąski fragment podłogi, czując w ustach smak własnej krwi. Ugryzł się w wewnętrzną część policzka, w momencie gdy łyżka zadzwoniła o krawędź filiżanki do kawy. Rozmowa Browna przy śniadaniu niosła się po marmurowych posadzkach, domyślał się Milgrim, bądź też rezonowała na wąskiej, utrzymanej w stylu przełomu stuleci klatce schodowej, albo jedno i drugie. Ciekawe, czy wiek temu stały w tym miejscu jakieś dzieci i powstrzymując chichoty, wsłuchiwały się w inne rozmowy?

– Stwierdził pan, że informacje pozyskane podczas akcji świadczą o tym, że nadal nie potrafi namierzyć przesyłki ani nie posiada wiedzy, która pozwoliłaby mu na przewidzenie miejsca docelowego.

– Ktokolwiek nad tym dla niego pracuje – potwierdził Brown – nadal nie wykonał swojej roboty.

– A czy nasi przyjaciele – zapytał nieznajomy – znajdują się w posiadaniu informacji pozwalających im rozwikłać zagadkę, czym naprawdę jest przesyłka, której wciąż, choć bez powodzenia szukają?

– Człowiek, który nad tym dla nich pracuje, nie ma pojęcia o niczym. Po prostu otrzymuje dane i przeprowadza analizy.

– A strona rządowa?

– Telco – odparł Brown. – Wie pan, kto tam zajmuje się rozszyfrowywaniem. Ich nigdy nie interesował towar. A nasz analityk ma wszelkie powody, by nie interesować się istotą problemu. Dołożyłem starań w tym kierunku.

– Dobrze. To rozumiem.

Sztućce zadzwięczały o talerz tak głośno, że Milgrim aż się wzdrygnął.

– Zatem – kontynuował nieznajomy – uważa pan, że jesteśmy w stanie doprowadzić tę sprawę do końca?

– Wierzę, że potrafimy.

– I ładunek dotrze wreszcie do portu. Po tak długiej podróży.

– Ale nie w konusie – odparł Brown.

W konusie? Milgrim zmrużył oczy przerażony, że cała ta rozmowa może być jedynie bezprecedensową halucynacją.

– Nie – zgodził się nieznajomy. – Na pewno nie na amerykańskim terytorium.

CONUS, teraz Milgrim odczytał to słowo wersalikami. Continental United States. Kontynentalne Stany Zjednoczone.

– A jakie są szanse, że ładunek zostanie skontrolowany?

– Bardzo małe – odparł Brown. – Istnieje wprawdzie ryzyko, że służby celne zechcą prześwietlić kontener, ale sądzę, że niewiele to zmieni. Przeprowadziliśmy eksperyment z podobnym sprzętem, żeby sprawdzić, jakie może dać odczyty.

– Tak – przyznał nieznajomy. – Widziałem je.

– Zatem zgadza się pan? – zapytał Brown.

– Tak. Jakie działania podjęto podczas pańskiej nieobecności w Nowym Jorku?

Przygotowanie odpowiedzi zajęło Brownowi chwilę.

– Wysłałem zespół do mieszkania UZ-a, aby zebrano odciski palców i odzyskano aparaturę podsłuchową. Zastali otwarte drzwi i całe pomieszczenie pokryte świeżą farbą lateksową. Pomalowano nawet żarówkę. Nie zdobyliśmy żadnych odcisków. Nie było ich też na iPodzie. Pluskwa znajdowała się tam, gdzie ją zostawiłem, w podstawie wieszaka, tyle że sprzęt trafił na śmietnik.

– Nie znaleźli jej?

– Jeśli nawet znaleźli, zrobili wszystko, żebyśmy się o tym nie dowiedzieli.

– Zbliżył się pan chociaż do odkrycia, kim są ci ludzie?

– To jedna z najmniejszych rodzin mafijnych działających na terenie Stanów Zjednoczonych. Może nawet rodzina w dosłownym znaczeniu. Nielegalne interesy, głównie przemysł. Tyle że nie masówka, bardzo dochodowa sprawa. Mara Salvatrucha w porównaniu z nimi to UPS. Ci ludzie są pochodzenia chińsko-kubańskiego i o ile mi wiadomo, wszyscy są nielegalnymi imigrantami.

– Może pan wykorzystać SIC, aby ich zlikwidować?

– Najpierw trzeba ich znaleźć. Dotarliśmy do tego chłopaka i śledziliśmy go, próbując namierzyć cel. I namierzyliśmy na tyle, na ile to w ogóle możliwe, sądząc z tego, co pan o nim mówił. Reszta rodzin przypomina duchy.

Milgrim zdążył już dość dobrze rozpracować Browna i dlatego wyczuł w tej chwili w jego głosie odrobinę szaleństwa. Zastanawiał się, czy nieznajomy także.

– Duchy? – Głos drugiego mężczyzny pozostał całkowicie obojętny.

– Problem w tym – wyjaśnił Brown – że ci ludzie zostali wyszkoleni. Znakomicie wyszkoleni. Myślę, że miał z tym coś wspólnego kubański wywiad. Przydaliby mi się tacy zawodowcy w zespole,

ale nie ma na to szans, prawda?

– Nie – odparł nieznajomy. – Ale jak sam pan powiedział, oni nie są naszym problemem. Skupmy się na celu. Na szczęście jeśli nawet zorientował się już, nad czym pracujemy, nie ma pojęcia, gdzie ani kiedy pojawi się przesyłka. A taki obrót spraw daje nam czas, aby załatwić odpowiednich fachowców do zajęcia się pańskimi Kubańczykami. Oczywiście jeśli nie będzie to zbyt kolidowało z naszymi planami. Przede wszystkim jednak musimy dowiedzieć się, kim jest nasz człowiek, i wreszcie coś z nim zrobić.

Porcelana zadzwoniła na blacie, gdy ktoś wstawał. Milgrim puścił poręcz i rzucił się w stronę swojego pokoju, pokonując dzielącą go od niego przestrzeń dwoma długimi, niezwykle bolesnymi i przesadnie ostrożnymi susami. Zamknął drzwi z nie mniejszą pieczołowitością, zdjął płaszcz, powiesił go na poręczy krzesła, potem pozbył się butów i położył się pod kocem z motywami wędkarskimi, naciągając go aż pod brodę. Zamknął oczy i leżał nieruchomo. Usłyszał odgłos zamykanych na dole drzwi. Chwilę później dotarł do niego odgłos zapalnego silnika i samochód odjechał.

Jakiś czas potem usłyszał, że Brown wchodzi do jego pokoju.

– Obudź się – powiedział agent. Milgrim otworzył oczy. Brown stanął przy łóżku i ściągnął z niego koc. – Do kurwy nędzy, jak możesz spać w ubraniu?

– Po prostu padłem – odparł Milgrim.

– Łazienka jest na dole, przy holu. Znajdziesz tam szlafrok i worek na śmieci. Wrzucisz do niego wszystkie rzeczy, jakie masz na sobie. Mycie, golenie, ubierasz się w szlafrok i zasuwasz do kuchni, gdzie zaliczysz strzyżenie.

– Umie pan strzyc? – zapytał zaskoczony Milgrim.

– Mamy tutaj gospodarza domu. On cię ostrzyże i weźmie miarę na nowe ubranie. I jeśli cię przyłapię na spaniu w nim, naprawdę pożałujesz. – Brown obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Milgrim leżał i spoglądał na sufit. Potem wstał, wyjął przybory toaletowe z kieszeni płaszcza i poszedł wziąć prysznic.

51. CESSNA

Tito odkrył, że potrafi zasnąć w samolocie.

W tym modelu zamontowano kanapę i dwa fotele tuż za wypełnionym sprzętem kokpitem, w którym siedział gruby siwowłosy mężczyzna pełniący rolę pilota. Garreth i starzec zasiedli w obrotowych fotelach z odchylanymi oparciami, a Tito leżąc na kanapie gapił się na zakrzywiony sufit kabiny, który podobnie jak kanapa był obity szarą skórą. To amerykański samolot, powiedział starzec. Jeden z ostatnich w swoim rodzaju, wyprodukowany w roku 1985, wyjaśniał, gdy wchodzili do maszyny po małych schodkach na kółkach ustawionych na pasie startowym lotniska East Hampton.

Tito nie miał pojęcia, dlaczego starzec chciał lecieć tak starym samolotem. Może po prostu należy do niego, uznał w końcu, i jest do niego przywiązany. Jeśli naprawdę był taki stary, przypominał wiekiem amerykańskie samochody jeżdżące wciąż po Hawanie, one również miały już swoje lata i wyglądały jak wieloryby wykonane z bladej masy lodowej, zmrożone zielenie i róże, przybrane olbrzymimi chromowanymi zębiskami i płetwami, wypucowane i lśniące w każdym calu. Kiedy wysiedli z lincolna i zmierzali w stronę samolotu, Garreth i starzec nieśli walizki, które wyjęli z bagażnika, a Tito, pomimo przepelniającego go strachu, dał się zauroczyć kształtom i lśnieniu kadłuba. Maszyna miała długi ostry nos, silniki ze śmigłami wbudowane w skrzydła i rząd okrągłych okienek.

Pilot, gruby i uśmiechnięty, zdawał się cieszyć ze spotkania ze starcem, nawet wspomniał coś o kopie lat. Starzec odpowiedział, że i owszem, a potem dodał, że wciąż jest tamtemu coś winien. Pilot odparł, że nie ma sprawy i żadnego długu, a potem zabrał obie walizki oraz torbę Tita i włożył je do schowka wbudowanego w skrzydło, tuż za jednym z silników, zupełnie niewidocznego, gdy był zamknięty.

Tito zamknął oczy, wchodząc po schodkach, i nie otworzył ich nawet, gdy Garreth poszedł zaparkować samochód.

– Na ostatnią chwilę, jak zwykle – powiedział pilot z kokpitu, kiedy Tito z zamkniętymi oczami sadowił się na kanapie. – Szykuje się całodobowa robota.

Starzec nie odpowiedział.

Start był dla Tita przeżyciem niemal tak okropnym jak lot helikopterem, ale miał już przygotowanego Nano i wciąż zamknięte oczy.

W końcu spróbował je otworzyć. Oślepił go blask zachodzącego słońca wypełniającego okna. Samolot poruszał się bardzo płynnie i w odróżnieniu od helikoptera dało się wyczuć jego ruch, wiedział, że lecą w określonym kierunku, a nie unoszą się bezwiednie w przestrzeni. Cessna była też o wiele cichsza, a kanapa naprawdę wygodna.

Garreth i starzec zapalili słabe lampki i założyli słuchawki z mikrofonami, aby spokojnie porozmawiać. Tito zanurzył się w muzykę. Po jakimś czasie obaj towarzyszący mu mężczyźni otworzyli blaty stolików. Starzec postawił na swoim laptopa, a Garreth rozłożył jakieś plany, zaczął

je pilnie studiować i zaznaczał coś automatycznym ołówkiem.

W kabinie zrobiło się ciepło, ale temperatura wciąż była znośna. Tito zdjął kurtkę, złożył ją i użył jako poduszki, a po chwili spał rozciągnięty na szarej kanapie.

Obudził się już po zapadnięciu zmierzchu, wszystkie światła w kabinie były pogażone. Przez otwarte drzwi kokpitu, w którym siedział pilot, Tito widział wiele migoczących światełek i niewielkie ekrany wypełnione liniami i symbolami.

Czy opuszczali terytorium Stanów Zjednoczonych? Jak duży zasięg mógł mieć samolot tego rodzaju? Czy zdołaliby dolecieć do Kuby? Do Meksyku? Nie wierzył, że mogliby polecieć na Kubę, ale przypominał sobie, że Vianca wspominała przecież, iż kuzyn Eusebio wylądował w Mexico City, w Doctores.

Przyjrzał się starcowi, jego profilowi widocznemu jedynie w zarysach dzięki światełkom instrumentów z kokpitu; mężczyzna spał z opuszczoną głową. Tito spróbował wyobrazić sobie jego i dziadka w czasach, gdy zarówno rewolucja, jak i wielorybie samochody były nowością, ale nie podołał.

Zamknął więc oczy i mknął przez mrok nocy ponad lądem, który, taką miał nadzieję, był wciąż Ameryką.

52. SZKOLNE MUNDURKI

Milgrim natknął się na gospodarza w kuchni, tak jak powiedział Brown, opłukującego talerze po śniadaniu przed włożeniem ich do zmywarki. Był to niepozorny mężczyzna w ciemnych spodniach i odprasowanej białej cienkiej marynarce. Milgrim wszedł do kuchni bosy, owinięty w o wiele za duży na niego szlafrok z grubej bawełnianej tkaniny w kolorze burgunda. Mężczyzna spojrzał na jego stopy.

– Brown powiedział, że mnie ostrzyżesz – zagaił Milgrim.

– Siadaj – odparł gospodarz.

Milgrim usiadł na klonowym krześle przy stole z identycznego drewna i przyglądał się, jak mężczyzna wkłada ostatnie naczynia do zmywarki, zamykają i włącza.

– Załapię się na jajecznicę? – zapytał Milgrim.

Gospodarz spojrzał na niego bez wyrazu, potem wyjął z czarnego futerału leżącego na białym blacie maszynkę do strzyżenia, grzebień i parę nożyczek. Owinął wokół szyi Milgrima płachtę, w której nietrudno było rozpoznać obrus używany niedawno przy śniadaniu (materiał upstrzony był licznymi plamami po dżemie). Rozczesał grzebieniem wciąż mokre włosy, a potem zaczął je przycinać i poznać było, że zna się na rzeczy. Gdy skończył z nożyczkami, włączył maszynkę i przejechał nią z tyłu i po bokach karku. Cofnął się, ocenił uważnie swoje dzieło, następnie za pomocą grzebienia i nożyczek dokonał kilku niewielkich poprawek. Włosy Milgrima zsuwały się z obrusa na podłogę, te bardziej odporne zostały strzepnięte przez dłoń uzbrojoną w papierową serwetkę. On sam czekał, kiedy zyska możliwość obejrzenia się w lustrze, ale mężczyzna przyniósł już szczotkę oraz śmietniczkę na długim uchwycie i zaczął uprzętać obcięte włosy. Milgrim wstał, pomyślał, że w widoku własnych włosów leżących na podłodze jest coś naprawdę smutnego, a potem zdjął obrus, wytrzeptał go i ponownie rozłożył na stole. Odwrócił się, by wyjść.

– Czekaj – powiedział gospodarz, wciąż zamiatając. Gdy podłoga odzyskała idealną czystość, schował narzędzia fryzjerskie do futerału, z którego następnie wyciągnął żółtą miarę krawiecką, długopis i notes. – Zdejmij szlafrok – rzucił.

Milgrim posłuchał, ciesząc się, że nie wykonał polecenia Browna zbyt sumiennie i wciąż ma na sobie majtki. Gospodarz szybko i sprawnie spisał jego wymiary.

– Numer buta?

– Dziewiątka.

– Wąskie?

– Średnie.

Gospodarz zapisał kolejne dane.

– Idź – powiedział do Milgrima, wykonując ponagląjący gest notesem. – No idź, idź.

– A co ze śniadaniem?

– Idź.

Milgrim opuścił kuchnię, zastanawiając się, gdzie podział się Brown. Zajrzał do niby gabinetu, w którym agent zamknął się wczoraj z butelką whisky. Umeblowanie tego pomieszczenia nie odstawało od reszty budynku, choć było tutaj znacznie więcej ciemnego drewna i pionowych pasów. I co najważniejsze, od razu to zauważył, skrywało książki. Podeszedł do drzwi, rozejrzał się uważnie i szybko zbliżył się do mebla, który wziął za biblioteczkę. Miał przed sobą regał, którego drzwiczki obite były imitacjami skórzanych grzbietów starych książek. Pochylił się, by dokładniej obejrzeć pozostałości po pozbawionych kart tomach. Ale miał przed sobą jeden kawałek skóry, który rozpięto na drewnianej formie, by przypominał stłoczone obok siebie grzbiety książek. Nie było na nich tytułów ani nazwisk autorów wypisanych złotymi literami. Oto wyszukany produkt masowy wytwarzany przez artystów kultury, która nieudolnie naśladowała dokonania innych, wcześniejszych kultur. Otworzył drzwiczki. Półki za nimi były puste. Szybko zamknął szafkę.

W holu, przechodząc koło lustra celowo upstrzonego plamami sugerującej starość śniedzi, rzucił okiem na swoją fryzurę, dzieło niegościnnego gospodarza. Schludna. Nadkonwencjonalna. Mogłaby zdobić głowę prawnika albo więźnia.

Stał na chłodnym szarym marmurze u stóp szczeliny schodów. Mlasnął cicho językiem, wyobrażając sobie, jak dźwięk jest zasysany na górę.

Gdzie podział się Brown?

Wspiął się na piętro, zabrał z łazienki plastikowy worek na śmieci i swoje przybory toaletowe. Wszedł do sypialni chłopca i tam dołożył do worka majtki. Nagi, owinięty jedynie za dużym szlafrokiem, wyjął swoją książkę z kieszeni płaszcza od Paula Stewarta wiszącego wciąż na poręczy szczeblowatego krzesła. Zabrał go sobie z wieszaka przymierzalni w jednym ze sklepów na krótko przed tym, gdy zgarnął go Brown. Nie był wtedy wcale nowusienki, miał już za sobą jeden sezon, a teraz należało mu się wręcz porządne czyszczenie. Milgrim położył książkę na niebieskim biurku, zabrał płaszcz z oparcia i powiesił go w szafie. Tuż obok niebieskiego blezera pozostawionego przez chłopca.

– Przyprowaździłem ci przyjaciela – wyszeptał. – Już nigdy więcej nie będziesz się bał.

Zamknął drzwi do garderoby i właśnie podnosił książkę, gdy Brown wszedł do pokoju. Spojrzał na nową fryzurę Milgrima, podał mu szeleszczącą torbę papierową z logo McDonalda, poznaczoną w kilku miejscach półprzezroczystymi plamami tłuszczu, ujął worek na śmieci, zawiązał go na supeł i wyszedł z nim bez słowa.

Tłuszcz z jajek McMuffin kapał na szlafrok, ale Milgrim uznał, że to nie jego problem.

Jakąś godzinę później pojawił się gospodarz, niosąc dwie wielkie papierowe torby sklepowe i winylowy czarny pokrowiec na garnitur, wszystko oznaczone napisem JOS. A. BANK.

– Szybki jesteś – zauważył Milgrim.

– McLean – rzucił gospodarz, jakby to coś tłumaczyło. Rzucił obie torby na łóżko i odwrócił się w stronę garderoby, by powiesić tam pokrowiec, ale Milgrim wyjął mu go z rąk.

– Dzięki – powiedział.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł.

Milgrim otworzył zamek pokrowca i ujrzał czarną trzyguzikową wełnianą marynarkę z domieszką poliestru. Położył ją na łóżku, na pokrowcu, i zaczął rozpakowywać jedną z toreb. Znalazł w niej dwie pary niebiesko-granatowych bawełnianych majtek, tyleż par średnio grubych szarych skarpet, pozbawiony rękawów podkoszulek, dwie pozbawione polotu niebieskie koszule o kołnierzykach z guziczkami w rogach, ciemnoszare spodnie, też z wełny, co ciekawe nie miały w talii, po żadnej stronie, szlufek na pasek ani guzików. Milgrim przypomniał sobie, że Brown zabrał mu pasek już pierwszego dnia. W drugiej torbie znalazł pudełko z butami. W jego wnętrzu leżały przeciętnie wyglądające skórzane sznurowane półbuty na gumowej podeszwie, typowe obuwie biurowe. Był też portfel i płaska miękka czarna torba podróżna.

Milgrim ubrał się. Buty, które uznał za zwykłą taniochę, sprawiły, że poczuł się lepiej. Przestało mu się wydawać, że wybiera się do szkoły z internatem albo ma zamiar ubiegać się o przyjęcie do FBI.

Wszedł Brown z krawatem w czarno-niebieskie pasy w ręce. Miał na sobie ciemnoszary garnitur i białą koszulę. Milgrim nie widział go jeszcze w garniturze, ale przypuszczał, że to jego krawat. Czekало go zdziwienie.

– Załóż go. Zrobimy ci zdjęcie. – Agent uważnie się przyglądał, jak Milgrim zdejmuje marynarkę i wiąże krawat. W jego oczach pasek do spodni i krawat stanowiły takie samo zagrożenie.

– Potrzebuję płaszcza – powiedział, wkładając marynarkę.

– Masz przecież jeden.

– Kazałeś mi włożyć wszystkie rzeczy do tego worka.

Brown zrobił marsową minę.

– Tam gdzie się udajemy – powiedział – będziesz potrzebował czegoś chroniącego przed deszczem. Jazda na dół. Musimy ci zrobić zdjęcie.

Milgrim zszedł na dół, a Brown postępował za nim jak cień.

53. ABY DAĆ IM RADOŚĆ

Inchmale nie odbierał komórki. Zadzwoiła do W, ale powiedziano jej, że już się wyprowadził. Czyżby już wyjechał? Bardzo możliwe. Złościło ją, że może się z nim rozminąć, lecz pocieszała się tym, że skoro ma wyprodukować album, zabawi w Los Angeles dłużej niż chwilę. Zresztą Vancouver nie znajdował się na końcu świata, a ona miała pewność, że nie spędzi tam wiele czasu.

Odile zadzwoniła ze Standarda z pytaniem o nazwę hotelu, w którym się zatrzymają. Powiedziała, że chce ją przekazać matce mieszkającej w Paryżu. Hollis nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zadzwoiła więc do Pameli Mainwaring.

– Gdzie się zatrzymamy?

– W apartamencie. Widziałam jedynie zdjęcia. Wszystko w szkle. Nad wodą.

– Hubertus ma tam apartament?

– Firma ma. Ale nikt w nim nie mieszka. Jeszcze nie otworzyliśmy oddziału w Kanadzie. Zaczynamy prace w Montrealu w przyszłym roku. Hubertus twierdzi, że tam powinniśmy zacząć, że Quebec jest przereklamowany.

– Co to znaczy?

– Ja tu tylko pracuję – zbyła jej pytanie Pamela. – Ale mamy ludzi w Vancouverze. Jeden z nich odbierze was i zawiezie do mieszkania.

– Czy mogę porozmawiać z Hubertusem?

– Niestety nie – odparła Pamela. – Jest na spotkaniu w Sacramento. Zadzwoi do ciebie, jak tylko będzie to możliwe.

– Dzięki – powiedziała Hollis.

Spojrzała na maskę, którą przesłał jej Bigend. Zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli weźmie ją ze sobą, na wypadek gdyby w Vancouverze też natknęła się na instalacje lokacyjne. Niestety maska nie wyglądała na rzecz, którą da się łatwo odprawić, a w bagażu podręcznym trzeba się będzie z nią trochę pogimnastykować.

Zanim zaczęła się pakować, zadzwoniła do swojej matki w Puerto Vallarta. Jej rodzice wyjechali tam na zimę, ale już za tydzień zamierzali wrócić do domu w Evanston. Chciała im wytłumaczyć, co robi w Los Angeles, choć nie sądziła, by mama zrozumiała cokolwiek z tego wyvodu. Nadal pozostawała w pełni władz umysłowych, coraz mniej jednak interesowały ją rzeczy, których dobrze nie znała. Powiedziała, że u ojca wszystko w porządku poza tym, że mając już prawie osiemdziesiątkę na karku, zaczął się czynnie interesować polityką, co jej się wcale nie podoba, gdyż bez przerwy chodzi podenerwowany.

– Powiada, że jeszcze nigdy nie było tak źle i tego boli – opowiadała matka. – A ja mu na to, że po

prostu wcześniej nie zwracał na takie rzeczy uwagi. No i ten Internet. Ludzie mieli w zwyczaju czekać na wiadomości drukowane w gazetach albo puszczane w telewizji. A teraz nie można zakręcić kurka z informacjami. Siada przed tym pudłem bez względu na porę dnia czy nocy i czyta. A ja mu mówię, że przecież i tak nic z tym nie może zrobić.

– Ale przynajmniej ma nad czym myśleć. Wiesz, mamó. ludzie w waszym wieku powinni mieć jakieś hobby.

– Ale to nie ty musisz go wysłuchiwać.

– Ucałuj go ode mnie, zadzwonię, jak tylko będę mogła. Albo z Kanady, albo natychmiast po powrocie.

– Jedziesz do Toronto?

– Do Vancouver. Kocham cię, mamó.

– Ja też cię kocham, moja droga.

Podeszła do okna, spojrzała w dół na samochody jadące po Sunsecie. Jej rodzice nigdy nie akceptowali w pełni jej kariery muzycznej. Zwłaszcza matka traktowała ją jak jakąś wstydliwą chorobę, coś, co nie mogło zabić, ale komplikowało codzienne życie, nie pozwalając podjąć poważnej pracy, i na co nie wynaleziono żadnego lekarstwa, więc najrozsądniej po prostu nie zważać na objawy i liczyć na to, że wkrótce stan chorego się poprawi. Matka uważała wszystkie pieniądze, jakie otrzymywała za śpiewanie, za coś w rodzaju zapomogi, zapłaty za to, że nie możesz normalnie funkcjonować. I prawdę mówiąc nie była w tym daleka od sposobu, w jaki do zarabiania pieniędzy podchodziła sama Hollis, chociaż ona w odróżnieniu od matki zdawała sobie sprawę, że można śpiewać i nie dostawać za to ani grosza, co byłoby chyba jeszcze gorsze. Gdyby śpiewanie albo pisanie wydało jej się kiedykolwiek zbyt trudne, natychmiast by je rzuciła, tego była pewna. I chyba tak właśnie się stało. Niespodziewana kariera wokalistki i równie niespodziewana popularność Curfew kompletnie ją zaskoczyła. Chyba tylko Inchmale wiedział od kołyski, co zamierza na tym polu osiągnąć. Dla niego ta sytuacja wyglądała zupełnie inaczej i może właśnie dlatego okres stabilizacji po fali nagłej popularności wcale go nie zdołował. Ale żadne z nich nie chciało zobaczyć, jak wygląda upadek z takiej wysokości. Punktem zwrotnym stało się uzależnienie Jimmy'ego, mętny kamień milowy o barwie heroiny wetknięty w to, z czego zazwyczaj zbudowana jest stagnacja, i pomimo że pozostali członkowie zespołu wciąż byli kreatywni, wszyscy opowiedzieli się za rozwiązaniem kapeli. Ona i Inchmale spróbowali zająć się innymi rodzajami twórczości. Podobnie jak Heidi-Laura. w pewnym sensie. A Jimmy po prostu umarł. Inchmale poradził sobie chyba najlepiej. Nie miała tak dobrego zdania o nowym życiu Heidi, zwłaszcza teraz, po tym jak się spotkały, no ale spośród wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznała Hollis, perkusistka miała osobowość najtrudniejszą do odgadnięcia.

Pokojówki, dopiero teraz to zauważyła, poskładały bąbelkową folię, w którą opakowane były przedmioty przesłane z Blue Ant. Położyły ją na jednej z półek w szafie. Chyba powinna im zostawić sowity napiwek. Przeniosła folię, pudełko i maskę na wysoki stół w aneksie kuchennym.

Robiąc to, zorientowała się, że figurka mrówki, którą przesłano z tymi rzeczami, wciąż stoi na

jednym ze stolików do kawy. Zostawi ją tutaj, to jasne. Jednakże kiedy spojrzała na mrówkę raz jeszcze, wiedziała już, iż zabierze ją ze sobą. Zawsze czuła, że jakaś jej część nigdy nie dorosła. Dorosły człowiek bez oporów wyszedłby z tego pokoju bez winylowego antropomorficznego wyobrażenia mrówki, ale ona nie mogła tak postąpić. Mimo że nigdy nie lubiła takich rzeczy, nie zostawi jej tutaj. Podeszła do stolika i podniosła figurkę. Zabierze ją stąd i odda komuś, najlepiej jakiemuś dziecku. Nie dlatego, że czuje cokolwiek do tego przedmiotu, który jest jedynie kawałkiem reklamowego plastiku, raczej kierowała się myślą o tym, że sama nie chciałaby zostać pozostawiona w pokoju hotelowym.

Zdecydowała jednak, że nie umieści jej w bagażu podręcznym. Wolą, żeby ludzie z TSA nie wyjęli jej razem z maską podczas kontroli. Wrzuciła figurkę do torby, w której przewoziła ciuchy.

*

Odile była bardzo zawiedziona, że w Vancouverze nie zatrzymają się w hotelu. Twierdziła, że lubi północnoamerykańskie hotele. Mondrian podobał jej się o wiele bardziej niż Standard. Pomysł zacumowania w zwykłym mieszkaniu nie przypadł jej do gustu.

– Z opisu wygląda naprawdę niesamowicie – przekonywała ją Hollis. – No i nikt tam nie mieszkał.

Siedziały na tylnych siedzeniach samochodu załatwionego przez Hollis w hotelu, koszt jego wynajmu miał także zostać doliczony do rachunku za pokój. Gdy zwracała passata w wypożyczalni, nie dostrzegła chłopaka, który poprzednio nieomal ją rozpoznał. Już zbliżali się do lotniska, wiedziała to doskonale, przez przyciemniane szyby widziała charakterystyczne kiwające się ramiona szybów naftowych, które rozmieszczono na pobliskim wzgórzu. Stały w tym miejscu od czasów, gdy przyjechała tutaj po raz pierwszy. Z tego co wiedziała, nigdy się nie zatrzymywały. Sprawdziła godzinę na telefonie. Dochodziła szósta.

– Zadzwoiłam do mojej mamy – powiedziała Hollis. – Zrobiłam to po tym, jak wspomniałaś, że porozmawiasz ze swoją.

– Gdzie ona jest, twoja matka?

– Puerto Vallarta. Rodzice zawsze wyjeżdżają tam na zimę.

– Wszystko u niej w porządku?

– Narzekała na ojca. Jest starszy od niej. Sądzę, że nic mu nie jest, ale ona uważa, że za bardzo wciągnął się w amerykańską politykę. Mówi, że stał się przez to nerwowy.

– Gdyby to był mój kraj – wtrąciła Odile marszcząc nos – to nie chodziłabym nerwowa.

– Nie? – zdziwiła się Hollis.

– Bym piła cały dzień. Tabletki brała. Cokolwiek.

– No tak – mruknęła Hollis, przypominając sobie martwego Jimmy'ego. – Ale nie sądzę, żebyś

chciała dać im powód do zadowolenia.

– Komu? – zapytała Odile, siadając prościej, najwyraźniej zainteresowana. – Kogo mam zadowalać?

54. SIC

Tito obudził się, gdy koła cessny dotknęły ziemi. Przez okna wpadało światło poranka. Chwycił zagłówek kanapy. Jechali po ziemi, ale klang silników powoli się zmieniał. Samolot zaczął zwalniać. W końcu jego śmigła się zatrzymały. Tito usiadł w zaskakującej ciszy, spoglądając na płaskie pola i rzędy niskiej zieleni.

– Postój na siusiu i rozprostowanie nóg – powiedział pilot, wstając z fotela. Przeszedł obok Tita, kierując się do tylnej części kabiny. Odbezpieczył zamek drzwi i wychylił się, otwierając je. Hej, Carl! – zawołał z uśmiechem na ustach do kogoś, kogo Tito nie mógł dostrzec. – Dzięki, że przyszedłeś.

Najpewniej Carl przystawił do otworu w burcie samolotu szczyt zwykłej aluminiowej drabiny i pilot zszedł po niej wolno i ostrożnie.

– Rozprostuj nogi – poradził Garreth, podnosząc się z fotela.

Tito usiadł i przyglądał mu się, jak schodzi na ziemię. Potem przetarł oczy i wstał.

Zszedł na ubitą ziemię obok prostej drogi ciągnącej się przez zieloną równinę od horyzontu po horyzont. Pilot oraz mężczyzna w niebieskim kombinezonie roboczym i kowbojskim kapeluszu rozwijali właśnie gruby gumowy wąż z bębna znajdującego się na pace niewielkiej cysterny. Obejrzał się i zauważył, że starzec schodzi po drabinie.

Garreth wyciągnął skądś butelkę wody mineralnej, szczoteczkę do zębów i tubkę pasty. Zaczął szorować zęby, przerywając tylko po to, by splunąć białą pianą wprost na ziemię. Potem opłukał usta wodą z butelki.

– Masz szczoteczkę?

– Nie mam – odparł Tito.

Garreth wyjął nie rozpakowaną szczoteczkę i podał mu ją razem z butelką wody. Tito myjąc zęby przyglądał się starcowi, który ruszył na spacer wzdłuż szosy, potem zatrzymał się plecami do nich i zaczął sikać. Po umyciu zębów Tito wykorzystał resztkę wody do opłukania szczoteczki, otrzepał ją dokładnie i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Chciał zapytać, gdzie się znajdują, ale protokół, w punkcie dotyczącym rozmów z klientami, nie pozwalał na to.

– Jesteśmy w zachodnim Illinois – powiedział Garreth, zupełnie jakby czytał w jego myślach. – Ta ziemia należy do przyjaciela.

– Twojego?

– Pilota. Przyjaciel też lata, zawsze ma paliwo pod ręką.

Facet w niebieskim kombinezonie szarpnął za linkę na pace cysterny i silnik pompy zaskoczył. Cofnęli się przed napływającym falami smrodem paliwa.

– Jaki ma zasięg? – zapytał Tito, spoglądając na samolot.

– Na pełnym zbiorniku może zrobić prawie tysiąc dwieście mil. Zależnie od pogody i liczby pasażerów.

– To niewiele.

– Silniki tłokowe. Z jednej strony trochę nas potrząsie, ale z drugiej nie wychwycą nas radary. Nie zaliczymy też żadnego lotniska. Tylko prywatne pasy startowe.

Tito nie sądził, żeby Garreth wspominał o prawdziwych radarach.

– Witajcie, panowie – powiedział starzec, przyłączając się do nich. – Zdaje się, że w końcu się wyspałeś – zwrócił się do Tita.

– Tak.

– Dlaczego ukradłeś odznakę agentowi Służb [migracyjnych i Celnych? – zapytał starzec.

SIC. Tito przypomniał sobie, że Garreth wypowiedział ten skrót, gdy podawał mu odznakę. Nie miał bladego pojęcia, dlaczego to zrobił. Przecież to Elegba, a nie on sięgnął do pasa tamtego mężczyzny. Ale tego nie mógł powiedzieć.

– Wyczułem ją na jego pasku, gdy mnie dopadł – wyjaśnił. – Myślałem, że to broń.

– I wtedy postanowiłeś użyć pistoletu na sól Bułgara?

– Tak – przyznał Tito.

– Ciekawi mnie, co się z nim stało. Wydaje mi się, że został zatrzymany, choć nie na długo, powodując niezły ambaras, i posiedział, dopóki jakaś grubsza szycha z DHS nie załatwiła mu zwolnienia. Prawdopodobnie wyświadczyłeś temu człowiekowi wielką przysługę, zabierając tę odznakę. Raczej nie należała do niego. Nie musiał odmawiać składania zeznań na jej temat, zanim nie wyciągnięto go z aresztu.

Tito skinął głową, mając nadzieję, że temat jest już zamknięty. Stali milcząc i obserwowali tankowanie samolotu.

55. SYNDROM UROJONEGO PISTOLETU

– Miller – powiedział Brown ze swojego olbrzymiego odchylanego fotela. Pomędzy nimi rozciągał się kilkunastostopowy skołtuniony chodnik koloru kości słoniowej. – Nazywasz się David Miller. Ta sama data i miejsce urodzenia.

Siedzieli we wnętrzu odrzutowego gulfstreama na pasie startowym portu lotniczego imienia Ronalda Reagana. Miigrim również siedział w wielgachnym, pokrytym białą skórą fotelu. Nie był na tym lotnisku od chwili, kiedy zmieniło nazwę. A od Georgetown dzieliła je tylko rzeka. Wiedział, jakim samolotem polecą, dlatego że przeczytał jego nazwę na przepięknie wygrawerowanej mosiężnej tabliczce głoszącej: „Gulfstream 11”, wiszącej na polerowanym drewnianym wykończeniu okna, przy którym go posadzono. Wzorzysty klon, ocenił, ale zbyt połyskliwy, zupełnie jak te zdobienia w limuzynach picowanych na siłę. W kabinie widział sporo takich elementów. A do tego mnóstwo białej skóry, polerowanego mosiądzu i skołtunionej wełny.

– David Miller – powtórzył. – Mieszkasz w Nowym Jorku. Jesteś tłumaczem. Z rosyjskiego.

– Więc jestem Rosjaninem?

– Twój paszport – powiedział Brown, unosząc w górę książeczkę z granatową okładką i z bladymi złoceniami napisów – jest amerykański. David Miller. David Miller nie jest ćpunem. David Miller, przekraczając granicę z Kanadą, nie będzie pod wpływem ani w posiadaniu narkotyków. – Rzucił okiem na zegarek. Znow miał na sobie szary garnitur i białą koszulę. – Ile pigułek ci zostało?

– Jedna – odpowiedział Milgrim. Sprawa była zbyt poważna, żeby odważył się skłamać.

– Weź ją – rozkazał Brown. – Masz przejść przez kontrolę czysty.

– Kanada?

– Vancouver.

– Czy nie powinno z nami lecieć więcej ludzi? – zapytał Milgrim.

W gulfstreamie mogło się pomieścić ze dwadzieścia osób. Mógł też bez problemu posłużyć za plan filmu pornograficznego, jako że większość siedzisk była niskimi, szerokimi i bardzo długimi sofami bez oparc i podłokietników, oczywiście wyłożonymi białą skórą, a z tyłu kabiny znajdowała się sypialnia, która idealnie nadawała się do kręcenia scen fellatio.

– Nie – odparł agent. – Nie powinno.

Ponownie wsunął paszport do kieszeni płaszcza, potem klepnął się dłonią w miejsce po prawej, na biodrze, gdzie zwykł nosić pistolet. Milgrim widział ten gest już po raz piąty od momentu, gdy opuścili ulicę N, a ledwo dostrzegalny wyraz twarzy, jaki za każdym razem towarzyszył klepnięciu, kazał mu domniemywać, że agent został zmuszony do zostawienia broni. Podobnie jak czarnej nylonowej torby. Brown cierpi teraz na syndrom urojonego pistoletu, pomyślał Milgrim, zupełnie jak człowiek, którego swędzi amputowany palec.

Włączono silniki gulfstreama, albo zapalono je, jakkolwiek nazywano tę czynność, to właśnie się stało. Milgrim obejrzał się za oparcie białego fotela na front kabiny, gdzie połańdowana zasłona z białej skóry dzieliła resztę wnętrza od kokpitu. Tam musi być pilot, zdecydował Milgrim, chociaż go do tej pory nie widział.

– Kiedy wylądujemy – kontynuował Brown, przekrzykując warczenie silników – do samolotu podjadą celnicy. Wejdą na pokład, przywitają się, ja podam im paszporty, oni je sprawdzą i oddadzą, a potem pożegnają się z nami. Tak to się odbywa w tego rodzaju samolotach. Numery naszych paszportów i pilota zostały wprowadzone do systemu podczas składania planu lotu. Nie zachowuj się, jakbyś spodziewał się z ich strony jakichkolwiek pytań.

Samolot rozpoczął kołowanie.

Gdy wyrwał do przodu, ryk silników pogłębił się, a Milgrim odniósł wrażenie, że maszyna wystrzeliła w niebo nieomal pionowo. Nie był na to przygotowany. Nikt im nie powiedział, żeby zapięli Pasy, nie wspominając o instruktażu dotyczącym kamizelek ratunkowych i masek tlenowych. To nie było zwykłe przeoczenie, ale gigantyczna wręcz anomalia. Podobnie jak kąć wznoszenia maszyny, który wciąż się zwiększał, sprawiając, że Milgrim, siedzący tyłem do kierunku lotu, musiał walczyć o utrzymanie się w fotelu, wpijając się palcami w objane skórą podłokietniki.

Wyjrzał przez okno i ujrzał waszyngtoński port lotniczy imienia Ronalda Reagana, niegdyś po prostu Washington National. Lotnisko oddalało się w takim tempie, że wydawało się to fizyczną niemożliwością, i tak jednostajnie, jakby ktoś płynnie zmieniał ogniskową obiektywu.

Gdy wspięli się na pułap przelotowy, Brown ściągnął buty, wstał i ruszył w stronę tylnej części kabiny, gdzie jak przypuszczał Milgrim, powinna znajdować się toaleta.

Nawet widząc tylko plecy agenta, zauważył, że po raz kolejny sięgnął on do miejsca, w którym nie było pistoletu.

56. HENRY I RICHARD

Gdy opuściły halę odpraw, powitał je blady chłopak z niezwykle rzadkim zarostem, trzymający w dłoniach biały kartonik z wypisanymi zielonym markerem nazwiskami: „Henry & Richard”. Był ubrany w coś, co przypominało niezwykle drogi, choć lekko przybrudzony dickensowski w stylu strój kominiarza.

– To my – oznajmiła Hollis, zatrzymując przed nim wózek z bagażami i wyciągając rękę na powitanie. – Hollis Henry, a to Odile Richard.

– Oliver Sleight – przedstawił się, chowając kartonik. – S-L-E-I-G-H-T – dla pewności przeliterował nazwisko i wymienił uścisk dłoni, najpierw z Hollis, potem z Odile. – Mówcie mi Ollie. Jestem z tutejszego oddziału Blue Ant.

– Pamela mówiła mi, że jeszcze nie macie tutaj biura – powiedziała Hollis pchając wózek w kierunku wyjścia. Było już kilka minut po jedenastej.

– Biura nie ma – przyznał idąc obok nich – ale to wcale nie oznacza, że nie ma pracy. Vancouver to światowe centrum produkcji gier komputerowych, a my zawieramy umowy poprzez inne nasze biura, więc muszę jedynie trzymać rękę na pulsie. Pozwolisz, że ja zajmę się bagażami?

– Nie trzeba. Dziękuję.

Przeszli przez automatyczne drzwi, wpadając w tłum palaczy uzupełniających niedobór nikotyny, której poziom w ich krwiobiegu tak dramatycznie obniżył się podczas lotu. Odile najwyraźniej należała do nowego, niepalącego pokolenia Francuzów i cieszyła się z tego, że Hollis zerwała z nałogiem, ale Sleight, Ollie, gdy wydostały się na zatłoczony chodnik, natychmiast wyjął żółtą paczkę papierosów i przyłączył się do tłumu dymiących.

Hollis poczuła, że coś jej umyka, coś niepokojącego, ale zapach tutejszego powietrza, tak odmienny od zaduchu Los Angeles, zbił ją natychmiast z tropu. Czowała się jak w saunie, tyle że chłodnej, wręcz zimnej.

Wspięli się na rampę prowadzącą na kryty parking, gdzie Ollie zapłacił należność za postój kartą kredytową, a potem zaprowadził je do samochodu, wielgachnego volkswagena podobnego do tego, którym jeździła Pamela. Wóz miał perłowobiały lakier z małym stylizowanym logo Blue Ant na lewo od tylnej tablicy rejestracyjnej. Ollie pomógł im włożyć walizki i karton do bagażnika. Rzucił na wpół wypalonego papierosa i rozgniół go długim i niezwykle dokładnie przybrudzonym butem, który prawdopodobnie stanowił część jego image'u.

Odile chciała usiąść na siedzeniu obok kierowcy, co spotkało się z jego aprobatą, a gdy tylko ruszyli, w głowie Hollis ponownie zaświtała bliżej niesprecyzowana myśl, kolejne tchnienie niepokoju. Minęli wielkie budynki należące do kompleksu lotniska, wyglądające jak zabawki giganta rozstawione rzadko na budowanej przez niego makiecie.

– Będziecie dopiero czwartymi użytkownikami tego apartamentu – powiedział Ollie. – W zeszłym

miesiącu gościliśmy w nim ekipę speców od public relations jakiegoś sułtana, chyba z Dubaju, ale głowy nie dam. Załatwiali własne interesy, ale chcieli się też spotkać z Hubertusem, zatem ulokowaliśmy ich u siebie i tam spotkali się z szefem. Wcześniej, tylko dwukrotnie, mieszkali tam ludzie z naszego biura w Londynie.

– Zatem to nie jest mieszkanie Hubertusa?

– Przypuszczam, że jest – odparł, zmieniając pas ruchu, gdy zbliżali się do mostu. – Jedno z licznych. Widok z okien jest fantastyczny.

Hollis zwróciła uwagę na niezwykle jasne oświetlenie mostu, umieszczone za poręczami na wysokich słupach, wydobywające jego industrialny charakter. Zadzwoiła jej komórka.

– Przepraszam – powiedziała, po czym odebrała połączenie. – Tak, słucham?

– Gdzie jesteś? – zapytał Inchmale.

– W Vancouverze.

– A ja tkwię właśnie w holu twojego boleśnie pretensjonalnego hotelu.

– Przykro mi. Wysłali mnie tutaj. Próbowałam się z tobą skontaktować, ale miałeś wyłączoną komórkę, a w hotelu poinformowano mnie, że się wyprowadziłeś.

– Kolejny matecznik sztuki lokacyjnej?

– Pojęcia nie mam. Dopiero tutaj doleciałam.

– Gdzie się zatrzymasz?

– W apartamencie należącym do Blue Ant.

– Powinnaś żądać porządnego hotelu.

– Cóż – spojrzała na Olliego, który słuchał właśnie tokowania Odile. – Zapewniono nas, że nie będziemy narzekać.

– Mówisz teraz o sobie per „my”?

– Jest ze mną kuratorka z Paryża specjalizująca się w sztuce lokacyjnej. Ją także ściągnięto do Los Angeles. Jej pomoc przyda mi się tutaj. Ma kontakty.

– A kiedy wracacie?

– Nie mam pojęcia. To nie powinno nam zająć wiele czasu. A ty jak długo możesz zostać?

– Tyle, ile będzie trwała produkcja albumu. Jutro mamy pierwsze spotkanie w studiu.

– W którym?

– Na West Pico. Nowe przyszło. I to sporo.

– Sporo czego?

– Nowego. Na przykład ci goście w hełmach jak z „Gwiezdných wojen”, sterczący na podjeździe przed hotelem Mannont, jakby im się coś w główkach zacięło. Widziałem ich wcześniej, kiedy się meldowałem.

– Oglądają pomnik Helmuta Newtona. Poznałam jego twórcę, Alberta Corralesa.

– Ale tam przecież nic nie ma.

– Musisz mieć taki hełm – wyjaśniła.

– Dobry Boże.

– Jesteś w Marmoncie?

– Będę, jeśli przejdę na drugą stronę Sunsetu.

– Zadzwońię do ciebie, Reg. Muszę kończyć.

– To cześć.

Pierwszy most został daleko za nimi, ale jechali wciąż szeroką aleją i wkrótce dotarli do miejsca, w którym ulokowano cały ciąg gustownych sklepików i restauracji. Jimmy Carlyle, który spędził dwa lata grając na basie w kapeli z Toronto, zanim przyłączył się do Curfew, opowiadał, że kanadyjskie miasta przypominają amerykańskie miejscowości, jakie można zobaczyć tylko w telewizji. Ale amerykańskie miasta, czy to w realu, czy na ekranie, z pewnością nie mają tak wielu galerii, oceniła, gdy minęli piątą w obrębie jednej przecznicy, tuż przed tym, zanim wjechali na kolejny most.

Jej telefon ponownie zadzwonił.

– Przepraszam – powiedziała raz jeszcze. – Halo?

– Witaj – odparł Bigend. – Gdzie jesteś?

– W samochodzie, z Olliem i Odile, jedziemy do twojego apartamentu.

– Pamela wspomniała mi, że zabrałaś ją ze sobą. Dlaczego?

– Ona zna kogoś, kto poznał naszego przyjaciela – wyjaśniła. – A skoro o nim mowa, dlaczego mi nie powiedziałeś, że jest Kanadyjczykiem?

– Nie wydawało mi się to ważne – odparł Bigend.

– Ale teraz trafiłam w to miejsce. Czy on też tutaj jest?

– Niezupełnie. Jak sądzimy, odwała teraz papierkową robotę w agencji celnej stanu Waszyngton.

GPS wskazuje właśnie na adres tej firmy.

– Wracając do tematu. Pamiętasz, że powiedziałam ci, iż oczekuję wobec siebie szczerości?

– To, że ktoś jest Kanadyjczykiem – zirytował się Bigend – nawet w dzisiejszych pokręconych czasach nie oznacza, że należy o tym wspominać na samym początku rozmowy. Kiedy rozmawialiśmy o nim po raz pierwszy, nie miałem pojęcia, że ta informacja będzie ważna. A później po prostu o niej zapomniałem.

– Sądzisz, że on ucieka? – zapytała obserwując Olliego.

– Nie. Ale sądzę, że tam, u was, coś się pojawi.

– Co?

– To, co widzieli piraci – odparł.

Zjechali z mostu prosto w kolejny płytki kanion nocnego miejskiego życia. Wyobraziła sobie zarysowany jedynie lśniącymi liniami kształt kontenera Bobby’ego wiszący nad ulicą, widok o wiele bardziej enigmatyczny niż gigantyczna neonowa kałamarnica.

– Może jednak znajdziemy rozsądniejszy sposób na omówienie tych spraw?

Pomyślała, że on także nie ufa telefonom.

– Dobrze.

– Masz jakieś kolczyki? – zmienił temat.

Skręcili w prawo.

– Słucham?

– Piercing. Jeśli je masz, muszę cię ostrzec przed łóżkiem w największej sypialni. Na ostatnim piętrze.

– Łóżko?

– Tak. Na pewno nie zechcesz wpełzać pod nie, jeśli masz na sobie albo w sobie coś metalowego. Stal, żelazo. Rozrusznik serca. Mechaniczny zegarek. Projektanci nie zająknęli się na ten temat słowem, kiedy pokazywali mi plany. Chodzi wyłącznie o przestrzeń pod łóżkiem, dosłownie. Magnetyczna lewitacja. No i teraz muszę przestrzegać wszystkich gości.

– Na razie jestem taka, jaką mnie Pan Bóg stworzył – odpowiedziała. – I nie noszę zegarka.

– Zatem nie ma powodu do obaw – ucieszył się.

– Chyba dojechaliśmy – poinformowała go, kiedy Ollie zjechał z ulicy, przy której wszystko wyglądało, jakby zostało wybudowane tydzień wcześniej.

– Świetnie – odparł i rozłączył się.

Volkswagen staczał się wolno po rampie, podczas gdy brama wędrowała w górę. Wjechali do garażu jasno oświetlonego halogenami imitującymi światło słoneczne, wiszącymi nad idealnie czystą, szklistą betonową podłogą. Opony zapiszczały, gdy Ollie ostro skręcił parkując obok drugiego identycznego perłowobiałego wielkiego volkswagena.

Gdy wysiadła, poczuła zapach świeżego betonu.

Wyjęli wszystkie rzeczy z bagażnika i Ollie wręczył im po parze białych nieopisanych kart magnetycznych do zamków.

– Ta daje dostęp do windy – wyjaśnił, wyjmując jedną z dłoni Hollis i przesuwając nią obok matowych stalowych drzwi – i do poziomów penthouse’u.

Gdy wsiedli, użył karty ponownie i winda ruszyła gładko i cicho.

– Wydaje mi się, że nie powinnam trzymać ich pod łóżkiem – powiedziała Hollis, gdy oddawał jej kartę, dziwiąc tym Odile.

– Nie radzę – odparł, kiedy winda zatrzymała się, a drzwi stanęły otworem. – Podobnie jak kart kredytowych.

Przeszły za nim krótkim, wyłożonym dywanami holem, przez który spokojnie można by przejechać półciężarówką.

– Użyj drugiej karty – powiedział Ollie.

Przełożyła karton pod lewą pachę i wykonała jego polecenie. Pchnął masywne drzwi z hebanu, które jak zauważyła, miały co najmniej cztery cale grubości, i weszli do pomieszczenia, które mogło z powodzeniem konkurować rozmiarami z halą odpraw głównego lotniska maleńkiego, ale niezwykle zamożnego europejskiego kraju, na przykład miniaturowego Lichtensteinu zawdzięczającego bogactwo produkcji najdroższego i najbardziej minimalistycznego wyposażenia domowego, jakie zna świat.

– Mieszkanie – mruknęła Hollis, rozglądając się.

– W rzeczy samej – przyznał Ollie.

Odile upuściła swoje torby i ruszyła w stronę tafli szkła szerszej od niejednego tradycyjnego ekranu kinowego. Łączenia szyb znajdowały się w odległości co najmniej piętnastu stóp. Za oknem z miejsca, w którym stała Hollis, widać było jedynie nierozróżnialną szaroróżową poświatę poprętykaną kilkoma odległymi czerwonymi punktami.

– Porażające – jęknęła Odile.

– Nieźle, prawda? – Ollie odwrócił się do Hollis. – Ty mieszkasz w głównej sypialni. Chodź, pokażę ci.

Zabrał karton i poprowadził ją w górę dwoma ciągami podwieszanych, zawrotnie wysokich schodów, w których każdy stopień składał się z dwucalowej tafli matowionego hartowanego szkła.

Łóżko Bigenda było idealnie czarnym kwadratem o bokach liczących około dziewięciu stóp, wiszącym prawie trzy stopy nad podłogą koloru kości słoniowej. Gdy podeszła do niego, zauważyła, że przymocowano je do podłogi, by zrównoważyć siły unoszące je w górę, za pomocą kilku cienkich, czarnych plecionych kabli.

– Myślę, że zrobię sobie posłanie na podłodze – powiedziała.

– Wszyscy tak mówili – odparł – ale potem lądowali na łóżku.

Odwróciła się, by coś powiedzieć, i nagle zrozumiała, co ją niepokoiło, ujrzała zapamiętaną scenę: człowiek proszący o papierosy American Spirit w restauracji Standarda. Taka sama żółta paczka. Taka sama rzadka broda. Jak mech porastający studzienkę odpływową marmurowego kanału.

57. POPCORN

Samoloty pasażerskie można porównać do autobusów, uznał Milgrim, gapiąc się na teksturę sufitu w pokoju hotelu Best Western. Gulfstream wydawał się przy nich taksówką. Albo własnym wozem. Normalnie przepych go nie podniecał, ale przeżycie, jakim był lot gulfstreamem, jeśli nie liczyć stylizowania kabiny na wczesne Vegas, sprawiło, że nie mógł ignorować znaczenia skali. Większość ludzi, jak przypuszczał, nigdy nawet nie wsiądzie na pokład takiego samolotu. Należał on do kategorii rzeczy, o których wiemy, że istnieją, i przyjmujemy za pewnik, przynajmniej teoretycznie, iż niektórzy bogacze je posiadają. Ale większość ludzi nigdy nie stanie z nim oko w oko i nie zostanie zmuszona do przemyślenia takich spraw.

Milgrim nie znał wprawdzie zwyczajów panujących w Kanadzie, ale musiał przyznać, że kontrola na pokładzie gulfstreama wyglądała dokładnie tak, jak zapowiedział Brown. Wylądowali na wielkim lotnisku, potem pokołowali do wielkiego ciemnego hangaru. Podjechał SUV z kogutami na dachu i wysiadło z niego dwóch umundurowanych mężczyzn. Gdy weszli na pokład, pierwszy w bluzie mundurowej ze złotymi guzikami, a drugi w obcisłym pulowerze z dzianiny z naszytymi kawałkami materiału na ramionach i łokciach, wzięli trzy paszporty, które podał im pilot, otworzyli każdy, porównali zawartość z wydrukiem, jaki mieli ze sobą, podziękowali i wyszli. Celnik w swetrze przypominającym luźny strój komandosa wyglądał na Malaja i na dodatek ciężarowca. Kontrola nie trwała więcej niż dwie minuty. Pilot schował swój paszport do kieszeni, a potem wrócił do kokpitu. Milgrim zdał sobie sprawę, że człowiek ten nie wypowiedział ani jednego słowa. Wzruszył w duchu ramionami i idąc w ślady Browna zabrał swoje bagaże, po czym zszedł na płytę lotniska po niezwykle długich schodach, które podtoczono do samolotu.

Było zimno, a powietrze wypełniało wiele odgłosów charakterystycznych dla lotniska. Agent zaprowadził Milgrima na parking, pogmerał chwilę pod przednim zderzakiem jednego z samochodów i wyjął stamtąd kluczyki. Otworzył zamki i wsiedli. Brown jechał dość wolno, tak że siedzący obok niego Milgrim odwróciwszy się, zdążył dostrzec światła cysterny podjeżdżającej właśnie do gulfstreama.

Minęli dziwny, przypominający piramidę budynek i zatrzymali się przed bramą ze stalowej siatki. Brown wysiadł z auta i wcisnął kombinację klawiszy na panelu. Brama zaczęła odjeżdżać na bok, gdy wsiadał ponownie do samochodu.

Miasto wydawało się naprawdę ciche, kiedy jechali jego ulicami. Jakby opuszczone. Zauważyli ledwie kilku przechodniów. Ulice były zadziwiająco czyste – brakowało mu tekstur, zupełnie jak w pierwszych grach komputerowych, zanim nauczono się nakładać na nie warstwy zabrudzeń. Mijane sporadycznie radiowozy sprawiały wrażenie zagubionych, jakby nie miały dokąd pojechać.

– A co z samolotem? – zapytał Milgrim, gdy Brown wjechał na długi betonowy most o kilku pasach ruchu rozpięty nad czymś, co musiało być drugą z płynących przez to miasto rzek.

– A co ma być?

– Zaczeka?

– Wraca do Waszyngtonu.

– Niezła maszyna. – Milgrim westchnął.

– Takie rzeczy można kupić w Ameryce, mając pieniądze – powiedział Brown sucho. – Ludzie mówią, że Amerykanie to materialści. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego? – zapytał Milgrim, mocno zaniepokojony tak nieoczekiwaną rozmownością agenta.

– Dlatego, że mają lepsze rzeczy – odparł Brown. – Nie inaczej.

Milgrim myślał o tym teraz, leżąc i gapiąc się w sufit upstrzony drobinkami tynku, nie większymi niż ostatnie okruchy pozostałe w torebce po popcornie. One także, tworząc charakter tego miejsca, należały do kategorii lepszych rzeczy, podobnie jak gulfstream. Tyle że niemal każdy ma okazję skorzystać z owych okruchów, wiodąc nawet najzwyczajniejszy żywot. Pieniądze, jak podejrzewał, były raczej potrzebne, by od pewnych rzeczy uciec. Gulfstream jednak to zupełnie inna bajka. Męczyło go, i to poważnie, że Brown ma do niego dostęp. Agent pasował co najwyżej do New Yorkera albo hoteli sieci Best Western. Do laminatów o niskiej rozdzielczości. Gulfstream, posiadłość w Georgetown z gospodarzem, który potrafi ścinać włosy, to już do obrazka nie pasowało.

W tym momencie przyszła mu do głowy myśl, że Brown może mieć jednak powiązania z DEA, o które go podejrzewał. Może po prostu pożyczył samolot od ludzi, którzy zaopatrywali go w rize? Oni chyba rekwirowali podobne cacka największym dilerom? Jachty. Samoloty. Czytuje się o tym w prasie.

To by nawet tłumaczyło skołtunione dywany.

58. MÓWIENIE ALFABETEM

Pilot trzymał się autostrad.

Tito dostrzegł to wyraźnie, zwłaszcza teraz, gdy znajdował się w kokpicie; jego strach zmył się gdzieś samoistnie w momencie startu z Illinois, gdy zaoferowano mu podróż w fotelu drugiego pilota.

Strach jest, pomyślał, zupełnie jak anonimowy pasażer jadący obok ciebie w autobusie, w pewnym momencie przysiada się, w innym, równie nagle, odchodzi. Zakopał głęboko wizję matki i ucieczki z Kuby. I od razu poczuł się lepiej.

Dzięki ci, Elegba; oby drogi zawsze pozostawały otwarte.

Te rozległe równinne przestrzenie poprzecinane prostymi nitkami autostrad zwały się Nebraska, tak powiedział pilot, naciskając klawisz na swoich słuchawkach, aby Tito mógł usłyszeć jego słowa.

Tito jadł kanapkę z indykiem, jedną z tych, które dał im w Illinois facet w kowbojskim kapeluszu, ten od cysterny, przeżuwał ją ostrożnie, przyglądając się jednocześnie krajobrazom Nebraski widocznym daleko w dole. Gdy skończył jeść, złożył dokładnie brązową papierową torebkę, w którą była zapakowana kanapka, potem oparł łokieć o obitą wykładziną półeczkę przy oknie i wsparł głowę na otwartej dłoni. W słuchawkach coś kliknęło.

– Biuro Wykorzystania Informacji – usłyszał głos starca.

– Ale i program DARPA – odparł Garreth.

– DARPA, R i D, chociaż zawsze powinno być BWI.

– I dostał się do wersji beta?

– Szósta flota używa czegoś, co nazwano Szybkie-C2AP – rzekł starzec. – Dzięki temu lokalizowanie niektórych statków jest tak łatwe jak szukanie cen akcji na indeksach giełdowych. Ale to nie PANDA, co to to nie. Programowa analiza przewidywania ruchów jednostek pływających. Jeśli nie wprowadzi się mylnych danych, PANDA może przedstawić z wyprzedzeniem przewidywane zachowania jednostek handlowych, w skali lokalnej i globalnej, ich trasy, rutynowe zmiany kursu związane z tankowaniem i papierkową robotą. Jeśli statek pływający stale między Malezją a Japonią pojawi się na Oceanie Indyjskim, PANDA to wychwyci. To znakomity system, nie tylko dlatego, że pozwala zwiększyć bezpieczeństwo naszego kraju. Ale tak, wygląda na to, że on dostał w swoje ręce wersję beta tego programu i namierzył statek, na którym ostatnio znajdowała się przesyłka.

– W takim razie zasłużył na swoje wynagrodzenie – stwierdził Garreth.

– Ale jedno nie daje mi spokoju – dodał starzec. – Z kim mamy do czynienia? Z prawdziwym geniuszem czy tak naprawdę tylko z utalentowanym i beczelnym włamywaczem?

– A na czym polega różnica? – zapytał Garreth po chwili milczenia.

– Na przewidywalności. Może przez nieuwagę stworzyliśmy potwora, oferując mu takie możliwości?

Tito rzucił okiem na pilota i ocenił, że on raczej nie przysłuchuje się tej rozmowie. Oparł stery o kolana i wypełniał jakieś formularze przypięte do podniszczonej aluminiowej podkładki. Tito zastanawiał się, czy istnieją jakieś oznaki, na przykład światełka, które mogłyby poinformować starca i Garretha, że podsłuchuje ich rozmowę.

– Jak dla mnie to abstrakcyjny problem – powiedział Garreth.

– A dla mnie nie – odparł starzec – choć przyznaję, że nie musimy się tym na razie martwić. Naszym najpoważniejszym aktualnym problemem jest to, czy możemy zaufać wynikom jego poszukiwań. Jeśli przesyłka dotrze w niewłaściwe miejsce, sprawy się skomplikują. I to bardzo.

– Wiem – powiedział Garreth. – Dlatego mamy tych dwóch szoferaków w zapasie. Starzy wyjadacze. Swego czasu „zgubiliby” nie taką skrzynkę jak nasza. Wywieźliby ją, zanim ktoś by się zorientował. Dzisiaj, kiedy podniesiono poziomy zabezpieczeń, coś takiego nie wchodzi w grę, lecz za odpowiednie wynagrodzenie poradzą sobie z umieszczeniem jej tam, gdzie trzeba.

– Skoro już o tym mowa – wtrącił starzec. – Jeśli nasza przesyłka nie ma tego samego kodu właściciela, oznaczeń produktu, sześciocyfrowego numeru rejestracyjnego i kontrolnego, jaki miała ostatnim razem, kiedy ją widziano, nawet nasi szoferacy nie zdołają jej dla nas znaleźć.

– Ma – uspokoił go Garreth. – Ten sam symbol ISO pojawia się w każdej rozszyfrowanej transmisji.

– Niekoniecznie. Sprzęt był programowany w czasie, gdy przesyłka miała takie oznaczenia. Nie możemy mieć absolutnej pewności, że ma je nadal. Wolałbym, abys nie zapominał, że istnieją także inne opcje.

– Nie zapominam.

Tito zdjął słuchawki.

Nie naciskając żadnego klawisza, zawiesił je na haczyku nad drzwiami, ułożył się wygodniej i postanowił udawać, że śpi.

Alfabetyczne gadanie. Strasznie tego nie lubił.

59. CZARNY ZODIAC

Brown wynajął niewiarygodnie brzydki i niewygodny czarny ponton o nazwie zodiac. Dwie wielkie nadmuchiwane gumowe rury w kolorze smoły łączące się na topornym dziobie, twardy pokład pomiędzy nimi, tej samej barwy, cztery kubelkowe siedzenia z wysokimi oparciami przymocowane za stanowiskiem sterowym i ogromny silnik za prostą rufą. najczarniejszy ze wszystkich, jakie Milgrim w życiu widział. Podczas wynajmowania pontonu na przystani, do której był przycumowany, dostali po usztywnionej kamizelce ratunkowej. W czerwonym nylonie poutykano gęsto sztabki bardzo twardej pianki. Milgrimowi cuchnęła rybami i na domiar złego drapała go w szyję.

Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem postawił nogę na pokładzie łodzi, i prawdę powiedziawszy, nie spodziewał się, że uczyni to dzisiaj, i to niemalże z samego rana.

Brown wszedł do jego pokoju przez wewnętrzne połączenie, jak zawsze zresztą, do czego Milgrim zdążył się już przyzwyczaić, i potrząsnął nim, aby się zbudził, tyle tylko że niezbyt mocno. Na drzwiach nie było już szarych pudełeczek i Milgrim pomyślał, że zapewne agent zostawił je w Waszyngtonie razem z pistoletem, wielgachnym składanym nożem, a być może także latarką i kajdankami. Miał na sobie czarną kurtkę ze sztucznego tworzywa, zakrywającą czarny t-shirt, i Milgrim pomyślał, że w takim stroju wygląda o wiele naturalniej niż w garniturze.

Po śniadaniu składającym się z kawy i jajecznicy, które milcząc zjedli w hotelowej restauracji, udali się na parking, skąd wzięli samochód, forda taurusa z nalepką wypożyczalni Budget obok tylnej tablicy rejestracyjnej. Milgrim stanowczo wolał corollę.

Jego zdaniem miasta posiadają przedziwną zdolność odbijania swojego charakteru w twarzach mieszkańców, zwłaszcza tych, którzy rankiem zmierzają do pracy. Można na nich znaleźć, zanim ludzie napotkają prozę życia nadciągającego dnia, swoisty wskaźnik stopnia popieprzenia. Milgrim uznał, skanując twarze i język ciała napotkanych osób, gdy jechał z Brownem, że miejsce to ma wyjątkowo niski stopień popieprzenia. Bliższy raczej Costa Mesa niż San Bernardino, przynajmniej jeśli chodziło o tę dzielnicę. To konkretne miasto, może ze względu na ostre słońce, przypominało mu Kalifornię, i to bardziej, niż mógłby przypuszczać, ale raczej okolice San Francisco, nie Los Angeles.

Nagle uświadomił sobie, że Brown cicho gwizdże. Niezbyt melodyjnie, na ile potrafił to ocenić, ale z wyraźną nutą radości, a w każdym razie z wyczuwalnym podnieceniem. Czyżby i on odbierał pozytywne wibracje tłumy chłonnącego słoneczny, ale i lekko pochmurny poranek? Milgrim wątpił, by tak było, lecz tak rzecz wydawała mu się co najmniej dziwna.

Dwadzieścia minut później, po niewielkich kłopotach z trafieniem na miejsce, wylądowali na parkingu obok przystani. Woda, odległe zarysy gór, zielonkawe wieże ze szkła wyglądające, jakby je zbudowano zeszłej nocy, łódzie o białych masztach, mewy zachowujące się, jak to ptaki mają w zwyczaju. A Brown karmił parkomat wielkimi srebrno-złotymi krążkami.

– Co tam wrzucasz? – zapytał Milgrim.

– Monety dwudolarowe – odparł Brown, który wedle wiedzy Milgrima unikał jak ognia płatności

kartami kredytowymi.

– Czy to nie dwójki są pechowe? – ciągnął Milgrim, przypominając sobie mgliście opowieści o zakładach na wyścigach.

– Prawdziwego pecha przynoszą pierdolone trzydolarówki – zbył go agent.

A teraz przy ryku ogromnego silnika przystań i miasto zostały daleko w tyle. Zodiak sunął, przecinając fale, po ciemnozielonej powierzchni wody, która wyglądała na naprawdę zimną i w niczym nie przypominała łagodnych odcieni szmaragdu wież górujących nad przystanią. Kamizelka ratunkowa, aczkolwiek cuchnąca i ocierająca szyję, ku zadowoleniu Milgrima chroniła przed wiatrem. Mankiety staromodnych spodni łopotały wokół jego kostek niczym proporce. Brown prowadził łódź na stojąco, pochylony do przodu, przypięty do siedzenia, wiatr napierał na jego twarz z wielu stron. Milgrim nie sądził, by agent nadal gwizdał, choć wciąż wyglądał na naprawdę zadowolonego z przejażdżki. A przecież jeszcze nie tak dawno okazało się, że nie potrafi nawet odbić od kei. Musieli skorzystać z pomocy faceta z wypożyczalni.

Zawiesina solna pryskająca spod dzioba pontonu piekła Milgrima w oczy.

Odwrócił się i zobaczył wyspę, a może półwysep, na którym rosły jedynie drzewa, i most wiszący, bardzo podobny do tego z Oakland Bay.

Dociągnął pod szyją zamek kamizelki i wtulił głowę w ramiona. Żałował, że nie może schować także rąk i nóg. Marzyła mu się nadbudówka wystarczająco duża, by pomieścić koję, na której mógłby leżeć, w czasie gdy Brown steruje łodzią. Albo chociaż namiot, którego ściany stanowi czerwony nylon wypełniony usztywniającą pianką. Ścierpiałby nawet ten rybi odór, byle tylko móc się położyć zdała od wiatru.

Milgrim raz jeszcze spojrzał w stronę miasta, wodnopłat właśnie podrywał się do lotu. Przed sobą natomiast widział kilka statków. Jedne znajdowały się bliżej, inne dalej, ale wszystkie kadłuby były podzielone na części pomalowane czerwoną farbą i czarną. Za nimi musiał znajdować się port, w którym gigantyczne pomarańczowe ramiona dźwigów pochylały się nad nabrzeżami pełnymi przemysłowej zabudowy.

Po ich lewej stronie, na przeciwległym, odleglejszym brzegu, stały szeregi ciemnych zbiorników albo silosów, a towarzyszyła im znacznie większa armada frachtowców i jeszcze liczniejsze dźwigi.

Ludzie płacą słone pieniądze, aby przeżyć coś takiego, pomyślał Milgrim, ale wcale go to nie pocieszyło. To nie był prom na Staten Island. Rzuciło nim na wszystkie strony, gdy ponton, przypominający dziwną składaną gumową wannę, w której dał się sfotografować swego czasu Vladimir Nabokov, pędził jak szalony, odbijając się od fal. Natura, zdaniem Milgrima, jest zbyt wielka, by poczuć się na jej łonie wygodnie. Po prostu zbyt wielka. No i te widoki. Przyprawiały go o gęsią skórę, jeśli w polu widzenia znajdowało się niewiele wytworów ludzkich rąk.

Zbliżali się do czegoś, co w pierwszej chwili skojarzyło się Milgritnowi z pływającą kubistyczną rzeźbą utrzymaną w niemej tonacji Kandinsky'ego. Ale gdy podpłynęli bliżej, okazało się, iż to statek, lecz tak wyładowany, że jego czerwona część kadłuba znalazła się głęboko pod wodą, widać

było jedynie czarną górę. Smolista rufa sterczała wystarczająco wysoko, by można rozpoznać, że ma się do czynienia z frachtowcem obciążonym hałdą kontenerów ustawionych na pokładzie. Wiele z nich pomalowano na kolory przywodzące na myśl wagony kolejowe, ponure brunatne barwy z domieszką rdzawej czerwieni, ale były także białe, żółte, jasnoniebieskie. Znajdowali się już tak blisko kadłuba, że Milgrim mógłby spokojnie odcyfrować napis zdobiący rufę jednostki, ale zdekoncentrowało go odkrycie mniejszego stateczku, przyozdobionego rzędami opon, jakby jego projektant chciał dowieść, że jest także miłośnikiem motoryzacji – napierał miłośnie na czerń rufy giganta, pozostawiając za sobą spienioną wodę układającą się w wielką literę V. Brown zakręcił niespodziewanie sterem zodiaca, sprawiając tym samym, że zachybotало nimi jeszcze bardziej. Milgrim dostrzegł nazwę holownika – Lion Sun, potem uniósł głowę w kierunku o wiele większych liter zdobiących tył kontenerowca, na ich białej powierzchni widać było spore plamy rdzy. M/V Jamaica Star, głosił napis, a pod nim, wypisane nieco mniejszymi białymi wersalikami, znajdowały się jeszcze dwa słowa: PANAMA CITY.

Brown zdławił silnik. Huścili się na wodzie w nagle zapadłej ciszy. Milgrim usłyszał dźwięk dzwonu, bardzo daleki, i coś, co zabrzmiało jak gwizdek lokomotywy.

Agent wyciągnął szpanerską rurkę spod kamizelki ratunkowej, odkręcił jej koniec i wyjął cygaro. Wyrzucił opakowanie za burtę, obciął koniuszek cygara za pomocą lśniącej gilotynki, potem włożył okaleczoną końcówkę do ust i zapalił je, używając sześciocalowej podróbki bica, jakie zazwyczaj można kupić w koreańskich marketach, gdzie mają wszystko, co jest potrzebne do przypalania cracku. Zaciągnął się mocno, rytualnie, aby po chwili wydmuchnąć chmurę błękitnawego dymu.

– Sukinsyn – powiedział, a Milgrim oczarowany widokiem uznał, że daje tym słowem wyraz ogromnej i trudnej do ogarnięcia satysfakcji. – Tylko popatrz na tego sukinsyna.

Spoglądając na prostokątny pływający stos kontenerów, jakim był frachtowiec o nazwie Jamaica Star, Milgrim nie potrafił odcyfrować napisów zdobiących ich ściany, widział jedynie, że znajdują się na pokładzie. Ale kąt widzenia zmieniał się powoli, w miarę jak holownik wykonywał swoją robotę.

Milgrim nie mając zamiaru zakłócać tego szczególnego momentu, mimo że nie wiedział, co tak naprawdę celebrują, usiadł i wsłuchiwał się w plusk fal uderzających o gładką wydętą burtę czarnego zodiaca.

– Sukinsyn – powtórzył Brown raz jeszcze i zaciągnął się cygarem.

60. KODUJĄC

Hollis obudziła się w lewitującym łóżku Bigenda, mając wrażenie, że spoczywa na szczycie azteckiej piramidy. Na ołtarzu ofiarnym. W rzeczywistości coś w rodzaju piramidy – konstrukcja przypominająca jej czubek, wykonana ze szklanych ścian – wznosiło się nad nią i zapewne stanowiło zwieńczenie wieży. Musiała przyznać, że spała dobrze pomimo sił magnetycznych, jakie wpływały na nią podczas snu. Może nawet miały dobry wpływ na jej zdrowie, jak te bransoletki, które można zamówić pocztą. A może to właśnie piramida, czy raczej jej niewidzialna energia, wyostrzyła prane Hollis.

– Cześć – zawołał z dołu Ollie Sleight. – Wstałaś już?

– Zaraz do was zejść.

Ześlizgnęła się z azteckiego ołtarza, który zakołysał się lekko, w bardzo niezwykły sposób, wciągnęła dzinsy i koszulkę, rzucając spojrzenia na niezwykle kosztowną pustkę tej sypialni, a może raczej wieżę snu. Przypominała jej legowisko latającego potwora, który posiadał zmysł dekoratorski.

Ignoruj morze, wmawiała sobie, ignoruj góry. Nie patrz. Za dużo tych widoków. Znalazła łazienkę, w której także nic nie przypominało tradycyjnego wystroju, musiała nauczyć się, jak obsługiwać kurki, ale w końcu umyła twarz i zęby. Na bosaka zeszła do Olliego. gotowa do rozmowy.

– Odlie wyszła na spacer – wyjaśnił, siedząc przy długim szklanym stole przed otwartym kartonem FedExu i całą masą plastikowych części rozsypanych obok. – Jakiego telefonu używasz?

– Motoroli.

– Prosta wtyczka o średnicy dwa i pół milimetra – powiedział, wybierając jeden z przedmiotów. – Hubertus je przysłał – dodał, wskazując na stos czarnych urządzeń. – To sprzęt do szyfrowania.

– Jak działa?

– Wpinasz go do gniazda słuchawek w telefonie. Skrambler wykorzystuje cyfrowe algorytmy szyfrujące. Ustawiasz na szesnastocyfrowy kod i algorytm szyfrujący będzie kodował wiadomości nawet sześćdziesiąt tysięcy razy. To daje około siedemnastu godzin szyfrowania, zanim wzorzec będzie powtórzony. Hubertus już naładował i zaprogramował ten egzemplarz. Chciałby, abyś używała go, gdy będziecie rozmawiali.

– To miłe z jego strony – odparła.

– Możesz mi podać swój telefon?

Wyjęła aparat z kieszeni dzinsów i podała mu.

– Dzięki. – Podłączył go do prostokątnego urządzenia, które przypominało jej zdejmowane panele od odtwarzaczy samochodowych. – Skrambler ma własną ładowarkę, która jednak nie będzie pasowała do twojego telefonu. – Kantem dłoni wsunął resztę czarnych urządzeń do kurierskiego

kartonu. – Przyniosłem owoce i pieczywo. Kawa już się parzy.

– Dziękuję.

Położył na stole kluczyki do samochodu. Zauważyła srebrno-niebieski emblemat Volkswagena.

– Na dole stoi dodatkowy phaeton. Prowadziłaś już taki samochód?

– Nie.

– No to musisz się pilnować. Bardzo przypomina passata, dlatego łatwo zapomnieć o jego prawdziwych rozmiarach. Kiedy wsiądziesz, patrz na wymalowane linie, to ci pomoże.

– Dzięki.

– Zatem mogę już zniknąć – rzucił, wstając i wkładając karton pod ramię.

Tego ranka nosił dzinsy i t-shirta, które wyglądały, jakby traktowano je elektronarzędziami Boscha co najmniej tyle godzin, ile miały kodować gadżety Bigenda. Wyglądał na zmęczonego, ale to wrażenie mogła wywoływać jego broda.

Gdy wyszedł, poszukała obiecanej kawy, ale przede wszystkim samej kuchni. Znalazła ją po drugiej stronie rozległego pomieszczenia, zabudowaną tak, aby jak najbardziej przypominała barek. Niemniej zdradzały ją ekspres do kawy i włoski toster. Wróciła z kubkiem do szklanego stołu. Jej komórka zadzwoniła, budząc do życia całe mrowie światełek, z podnieceniem pełgających po czarnej powierzchni skramblera.

– Halo?

– Mówi Hubertus. Oliver powiadomił mnie, że wstałaś.

– Tak. Rozmowa jest szyfrowana?

– Tak.

– Też masz takie urządzenie?

– Tak to działa.

– Jest za duże, żeby je schować w kieszeni.

– Wiem – przyznał – ale zależy mi na zachowaniu prywatności. Oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe.

– A nie dzwonisz w prywatnej sprawie?

– Coś w tym stylu. Ollie ma przy sobie skrzynkę postawioną na Linuxie, która potrafi nawiązać połączenie z niemal trzystoma sieciami bezprzewodowymi w tym samym czasie.

– A po co mu to?

Zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Może po prostu lubi wiedzieć, że jest w stanie to zrobić.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o Olliem.

– Tak?

– Widziałam go w restauracji Standarda wtedy, gdy spotkałam się tam z Odile i Albertem. Kupował papierosy.

– Tak?

– Czy on mnie obserwował? Dla ciebie?

– Oczywiście. Z jakiego innego powodu miałby tam być?

– Tylko sprawdzam – odparła. – To znaczy upewniam się.

– Musieliśmy wiedzieć, jak sobie poradzisz. Na tamtym etapie pewne decyzje dopiero zapadały.

„My”, czyli Blue Ant, uznała.

– Wracając do tematu: gdzie jest Bobby?

– Gdzieś tam – odparł. – W okolicy.

– Wydawało mi się, że potrafisz go namierzyć.

– Potrafię namierzyć ciężarówkę. Wóz trafił na parking wypożyczalni w niewielkiej miejscowości o nazwie Burnaby. Bobby i jego sprzęt zostali wyładowani dzisiejszego ranka obok pewnego magazynu tuż za granicą. Oliver śledził operację przez całą noc. Pojechał na miejsce postoju wskazane przez GPS.

– I?

– I nic. Podejrzewamy, że przeładowali wszystko na inny wóz. A jak tam Odile?

– Wyszła na spacer. Kiedy wróci, popracuję nad nią, by dowiedzieć się, co jeszcze może ją łączyć z Bobbym. Nie drążyłam tematu podczas lotu. Nie chciałam jej spłoszyć.

– Dobrze – stwierdził. – Gdybyś czegoś potrzebowała, oddzwoń na ten numer.

Widziała, jak ledy na skramblerze wykonały ponownie swój taniec, gdy połączenie zostało przerwane.

61. WALIZA

Z Montany zabrali czarną plastikową walizę firmy Pelican. Nie zatrzymali się tam na kolejne tankowanie, dlatego Tito przypuszczał, że już wkrótce ponownie wylądują. Pilot o świcie posadził maszynę na długim prostym odcinku wiejskiej szosy. Tito zauważył podniszczonego starego pick-upa, który pojawił się za samolotem, dwaj mężczyźni stali na jego pace, a w chwilę później Garreth polecił mu, by trzymał się z dala od okien.

– Oni denerwują się widząc ludzi, których nie znają – wyjaśnił.

Otworzył drzwi kabiny i ktoś podał mu czarną walizę. Musiała być naprawdę ciężka. Garreth nawet nie usiłował jej podnieść, wciągał ją po prostu, podczas gdy ktoś, kogo Tito nadal nie widział, popychał z drugiej strony. Z wyglądu walizka przypominała wyroby Pelicana, sztywna i wodoodporna, w takich pojemnikach Alejandro czasami zakopywał dokumenty i zapasy materiałów. A potem zamknięto drzwi, rozległ się odgłos silnika pick-upa, a pilot rozpoczął kołowanie. Gdy startowali, Tito zastanawiał się, czy zdołają oderwać się od ziemi, skoro wzięli na pokład dodatkowy ciężar.

Kiedy osiągnęli pułap przelotowy, starzec przysunął do walizy żółty przyrząd w plastikowej obudowie i pokazał uzyskany odczyt Garrethowi.

Po raz kolejny wylądowali godzinę później na podobnej drodze, przy której znów czekała na nich cysterna.

W czasie gdy pilot tankował, pili kawę z papierowych kubków, które razem z termosem dał im kierowca cysterny.

– To chyba ostatni ładunek, jaki nasz znajomy sprokurował? – zapytał Garreth starca.

– Facet wspominał, że spawali na zimno, żeby zabezpieczyć łączenia.

– Tylko tak je zabezpieczyli?

– Kiedy byłem chłopcem, takimi spawami łataliśmy nawet dziury w blokach silników.

– Ale one nie były radioaktywne – odparował Garreth.

62. SIOSTRA

– To jest Sara – powiedziała Odile, gdy Hollis znalazła ją na zatłoczonym patio galerii miejskiej.

Phaeton posiadał system nawigacji satelitarnej, a w skrytce zestaw map. Mogłaby dotrzeć do tego budynku pieszo, i to w czasie nie dłuższym, niż trwał przejazd samochodem i znalezienie miejsca do parkowania. Niestety Ollie miał całkowitą rację podkreślając jego szerokość. A wszystko to dlatego, że Odile zadzwoniła, twierdząc, że zaprasza ją na lunch z ciekawą osobą.

– Witaj – powiedziała ściskając dłoń dziewczyny. – Jestem Hollis Henry.

– Sara Ferguson.

Hollis odsunęła ciężkie żelazne krzesło, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przegapiła okazji, by powiedzieć Odile, że na razie ma dość spotkań z gwiazdami sztuki lokacyjnej, gdy francuska kuratorka powtórzyła:

– Fer-gus-son.

– Och – załapała Hollis.

– Sara jest siostrą Bobby’ego. – Odile nosiła wąskie okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach.

– Tak – potwierdziła jej słowa Sara, choć jak zauważyła Hollis, zrobiła to bez przesadnego entuzjazmu. – Odile mówiła mi, że spotkałaś Bobby’ego w Los Angeles.

– Tak – odparła Hollis. – Piszę artykuł o sztuce lokacyjnej dla „Node’a”, a twój brat wydaje się ważną figurą w tym środowisku.

– Dla „Node’a”?

– To nowy tytuł – wyjaśniła Hollis.

Ciekawe, czy Bigend albo Rausch wiedzieli, że Odile zna siostrę Bobby’ego?

– Nie wiedziałam, że on ma siostrę. – Spojrzała na Francuzkę. – Ty też jesteś artystką, Saro?

– Nie – odparła Sara. – Pracuję w galerii, ale nie w tej.

Hollis spojrzała na zaadaptowany na potrzeby galerii budynek banku, a może jakiegoś urzędu. Zobaczyła dzieło sztuki publicznej, rzeźbę statku zamontowaną w miejscu, gdzie zaczynał się dach.

– Żeby zjeść, musimy wejść do środka – powiedziała Odile.

Wnętrze ekskluzywnej kawiarenki z jakiegoś powodu skojarzyło się Hollis z Kopenhagą. Ludzie stojący w kolejce przed nimi sprawiali wrażenie, że każdy z nich potrafiłby bez zająknięcia wymienić nazwiska co najmniej tuzina projektantów stylowych nowoczesnych krzesel. Zamówiły

sandwicze, sałatki i napoje; Hollis zapłaciła kartą, informując Sarę, że lunch stawia „Node”. Gdy chowała portfel do torebki, zauważyła w niej kopertę z pięcioma tysiącami od Jimmy’ego. Mało brakowało, a zostawiłaby ją w elektronicznym sejfie w pokoju Mondriana.

Sara jest podobna do Bobby’ego, pomyślała Hollis, kiedy siadały przy stole, ale prezentuje się znacznie lepiej, będąc dziewczyną. Miała ciemne włosy, bardzo ładnie przycięte, i nosiła strój odpowiedni do pracy w galerii, która oferuje dzieła sztuki ludziom oczekującym właściwego poziomu obsługi. Tylko szarości i czerń oraz dobre buty.

– Nie miałam pojęcia, że znasz siostrę Bobby’ego – powiedziała do Odile, biorąc do ręki sandwicza.

– Dopiero się spotkałyśmy – odparła Sara, podnosząc widelec. – Prawda jest taka, że mamy wspólnego eks – uśmiechnęła się.

– Claude’a – dodała Odile – z Paryża. Mówiłam ci, ‘Ollis, że on zna Bobby’ego.

– Tak, mówiłaś.

– Dzwonię do niego – kontynuowała Francuzka – i dostaję numer Sary.

– I nie był to pierwszy telefon od obcej mi osoby w sprawie Bobby’ego, jaki odebrałam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin – wtrąciła Sara. – Ale tym razem przynajmniej było wiadomo, że to sprawka Claude’a. No i Odile nie była nerwowa.

– A inni byli? – zapytała Hollis.

– Niektórzy tak. Inni wydawali się tylko zniecierpliwieni.

– Dlaczego? Oczywiście jeśli wolno zapytać.

– Bo to pojeb – odparła Sara.

– Artyści Los Angeles – wyjaśniła Odile – starają się poszukać Bobby’ego. Nie ma jego geohackingu. Ich instalacje zniknęły. E-mail odbija.

– Dzwoniło chyba z sześciu ludzi. Ktoś po tamtej stronie musiał się dowiedzieć, że miał tutaj siostrę, a moje dane są w książce telefonicznej.

– Znam jednego z artystów, którzy z nim współpracowali – oznajmiła Hollis. – Też był zdrowo wkurzony.

– Kto taki?

– Alberto Corrales.

– Czy płakał?

– Nie.

– A mnie w słuchawkę beczał – powiedziała Sara nabijając plasterek avocado na widelec. – I gadał, że stracił swoją... Rivierę?

– Ale nie wiesz, gdzie jest twój brat?

– Jest tutaj – odparła Sara. – Moja przyjaciółka, Alice, widziała go na Commercial Drive dzisiaj rano. Zna go jeszcze ze szkoły. Zadzwoiła do mnie. Prawdę mówiąc, zrobiła to może dwadzieścia minut przed twoim telefonem – zwróciła się do Odile. – Przywitała się z nim. Nie mógł jej zbyć, zorientował się, że ona wie, kim jest. Oczywiście nie miała pojęcia, że szukają go ludzie z Los Angeles. Mówił, że przyjechał do miasta, żeby porozmawiać z wytwórnią na temat wydania nowego krążka. I tak dowiedziałam się, że tutaj wrócił.

– Jesteście sobie bliscy?

– A czy coś na to wskazuje?

– Przepraszam – powiedziała Hollis.

– Nie, to ja przepraszam... – Sara westchnęła. – Chodzi o to, że on jest taki męczący, taki nieodpowiedzialny. Dzisiaj jest jeszcze bardziej samolubny niż wtedy, gdy miał piętnaście lat. Naprawdę ciężko jest mieć tak utalentowanego brata.

– Utalentowanego? – zdziwiła się Hollis.

– Matematycznie. Komputerowo. Wiesz, że nawet przyjął pseudonim po programie stworzonym w Lawrence Berkeley National Labs? Chombo.

– A co robiło to... Chombo?

– Stosowało metodę różnic skończonych do rozwiązania równań różniczkowych cząstkowych w wybranych punktach odpowiednio dostosowanej prostokątnej siatki. – Sara skrzywiła się, tylko na ułamek sekundy i chyba bez udziału świadomości.

– Mogłabyś to przetłumaczyć?

– Nie ma mowy! Aleja pracuję w galerii sztuki współczesnej. Chombo to konik Bobby'ego. Mawia, że nikt inny nie ceni Chomba. nie rozumie Chomba, tak jak on. Pęczniał z dumy, jakby to był pies, którego wytresował, aby robił sztuczki, jakich inne psy nie potrafią zrobić. Aport. Waruj. – Wzruszyła ramionami. – Ty też go szukasz, prawda?

– Tak – przyznała Hollis, odkładając sandwicza.

– Dlaczego?

– Jestem dziennikarką, piszę o sztuce lokacyjnej. A on zdaje się tkwić w samym jej sercu, a już z całą pewnością jego nieobecność spowodowała ogromne zamieszanie.

– Występowałaś kiedyś z tym zespołem... – powiedziała Sara. – Pamiętam. Mieliście angielskiego

gitarzystę.

– Curfew – odpowiedziała Hollis.

– A teraz piszesz?

– Próbuję. Sądziłam, że spędzę kilka tygodni w Los Angeles pracując nad tą sprawą. Potem Alberto Corrales poznał mnie z Bobbym. I Bobby zniknął.

– „Zniknął” to nazbyt dramatyczne określenie – stwierdziła Sara – zwłaszcza jeśli zna się Bobby’ego. Ojciec zwykł mawiać „złuszczył się”. Sądzisz, że Bobby chce cię jeszcze zobaczyć?

Hollis zastanowiła się.

– Nie – odparła. – Wyglądał na nieszczęśliwego, gdy Alberto mnie do niego przyprowadził w Los Angeles. Do jego studia. Wątpię, żeby chciał mnie jeszcze kiedykolwiek widzieć.

– Lubił wasze nagrania – powiedziała Sara.

– Alberto też tak mówił, ale ja odniosłam wrażenie, że twój brat nie znosi gości.

– W takim razie... – zaczęła Sara i przerwała, przenosząc wzrok z Hollis na Odile i z powrotem – powiem wam, gdzie się zatrzymał.

– Wiesz?

– Ma takie miejsce na wschodnim przedmieściu. Pokoik w budynku niegdyś należącym do zakładów tapicerskich. Ktoś w nim mieszka, gdy on wybywa, ostatnio na tę osobę wpadłam, więc wiem, że nie pozbył się tej mety. Jeśli wrócił do miasta, byłabym mocno zdziwiona, gdyby nie zatrzymał się właśnie tam. To niedaleko Clark Drive.

– Clark?

– Dam wam dokładny adres – powiedziała Sara.

Hollis wyciągnęła pióro.

63. SURVIVAL, UNIK, OPÓR I UCIECZKA

Tito patrzył, jak starzec składa starannie numer „New York Timesa”, gdy skończył go czytać. Siedzieli w otwartym jeepie, maskę pokrywały czerwone plamy rdzy przebijające się przez warstwę nałożonej pędzlem szarej farby. Tito mógł z tego miejsca patrzeć na Pacyfik, dla niego zupełnie nowy ocean. Pilot przewiózł ich w to miejsce z kontynentu i odleciał, żegnając się długo i ciepło ze starcem. Tito widział, jak zderzyły się ich dłonie, a potem uścisk stężał.

Obserwował cessnę, dopóki nie stała się punktem na niebie i w końcu zniknęła.

– Pamiętam, że widziałem kiedyś szczotki z podręcznika przesłuchań dla CIA, wysyłano nam kiedyś takie rzeczy, abyśmy je komentowali – opowiadał starzec. – W pierwszym rozdziale wyszczególniono powody, z których tortury nie są przydatne dla wywiadu. I nie chodziło bynajmniej o etykę, tylko o skuteczność działań, o to, by nie trwonić potencjalnych aktywów. – Zdjął okulary w stalowych oprawkach. – Jeżeli przesłuchujący cię człowiek nie zachowuje się jak wróg, zaczynasz tracić orientację, kim naprawdę jesteś. A on stopniowo, wykorzystując kryzys osobowości wywołany niewolą, prowadzi cię prosto do odkrycia tego, kim możesz się stać.

– Przesłuchiwałeś ludzi? – zapytał Garreth, opierając stopy o czarnego pelicana.

– To bardzo intymne przeżycie – odparł starzec. – Naprawdę niezwykle intymne. – Wyciągnął przed siebie rękę i trzymał ją tak, jakby od spodu dłoń ogrzewał niewidoczny ogień. – Zwykła zapalniczka może sprawić, że człowiek powie ci wszystko to, co uważa, że chcesz usłyszeć. – Opuścił rękę. – Ale sprawi też, że już nigdy więcej ci nie zaufa, nawet w najmniejszym stopniu. Ona upewni go co do tego, kim jest, jak mało co na świecie. – Stuknął palcem w złożoną gazetę. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, co ci ludzie robią, zrozumiałem, że dobrze zapamiętali lekcje SERE. Znaczyło to tyle, że wykorzystywaliśmy techniki, których Koreańczycy używali do urabiania ofiar przed procesami pokazowymi... – zamilkł.

Tito słyszał szum fal.

To nadal jest Ameryka, tak mu powiedzieli.

Przykryty gałęziami i brezentem jeep czekał na nich w pobliżu podniszczonego betonowego pasa startowego, który jeśli wierzyć Garrethowi, należał kiedyś do stacji meteorologicznej. Na jego pace leżało kilka szerokich szczotek. Ktoś dokładnie zamiótł nimi beton, przygotowując pas na ich lądowanie.

Zbliżała się lódź. Garreth twierdził, że przewiezie ich do Kanady. Tito zastanawiał się, jak wielka będzie. Widział oczami wyobraźni wycieczkowy stateczek Circle Line. I góry lodowe. Ale słońce grzało tu mocno, a bryza nie była zbyt silna. Wydawało mu się, że dotarł na kraniec świata. Na kraniec Ameryki – to jej pustkowiec przewijały się pod podwoziem cessny. Amerykańskie miasteczka nocą wyglądały jak zaginione klejnoty rozrzucone po posadzce ogromnej mrocznej sali. Widział przez okno samolotu, jak się oddalają, i myślał o ludziach śpiących w dole, może nawet słyszeli stłumione brzęczenie silników.

Garreth zaoferował Titowi jabłko i nóż, którym mógł je przeciąć. Zwykły prosty nóż, taki, jakie widywał na Kubie, żółta farba łuszczyła się z rękojeści. Tito otworzył go, odkrywając napis DOUK-DOUK wytrawiony na ostrzu. Było bardzo ostre. Przeciął jabłko na ćwiartki, wytarł obie strony ostrza o nogawkę dzinsów, oddał go Garrethowi, a potem poczęstował ich kawałkami owocu. Wzięli po jednym.

Starzec spojrzał najpierw na znoszony zegarek, potem na wodę.

64. GLOCKOWANIE

– Załatw mi trochę tego gówna – powiedział Brown w taki sposób, jakby od dawna ćwiczył tę kwestię, i podał Milgrimowi zwitek różnobarwnych zagranicznych banknotów. Były lśniące i sztywne, miały na sobie metaliczne hologramy i przypominały Milgrimowi obwody drukowane.

Milgrim, siedzący w fotelu pasażera, spojrzał ze zdziwieniem na agenta.

– Słucham?

– Gówno – powtórzył Brown. – Prochy.

– Prochy?

– Znajdź mi dilera. Nie jakiegoś obszcymura z rogu. Chcę prawdziwego ważniaka.

Milgrim rozejrzał się po ulicy, na której zaparkowali. Czteropiętrowe budynki z cegły w edwardiańskim stylu, odmalowane nieszczęściem cracku i heroiny. Współczynnik popieprzenia wyraźnie wzrósł w tej części miasta.

– Ale co dokładnie chcesz kupić?

– Narkotyki – odparł Brown.

– Narkotyki – powtórzył Milgrim.

– Masz trzy stówki i portfel bez dokumentów. Jeśli cię zwiną, nie znamy się. Wpadasz i zapominasz o paszporcie, z którym tutaj przyjechałeś, o samolocie, o mnie, o wszystkim. Podaj im swoje prawdziwe nazwisko. Jakoś cię z tego wyciągnę, ale jeśli spróbujesz mnie wykiwać, będziesz skończony. Za to jeśli nakłonisz faceta na interes na parkingu, masz u mnie wielki plus.

– Nigdy nie byłem w tej okolicy – powiedział Milgrim. – Nie wiem nawet, czy to właściwa ulica.

– Jaja sobie robisz? Przecież to widać.

– Niby tak – przyznał Milgrim – ale tylko miejscowi wiedzą, co jest grane w tym tygodniu. Dzisiaj. Czy tu kręci się interes, czy gliny przeniosły go o trzy przecznice na południe. Coś w tym stylu.

– Wyglądasz jak ćpun – rzucił Brown. – Poradzisz sobie.

– Nie znają mnie tutaj. Mogą wziąć za informatora.

– Wynocha – rozkazał agent.

Milgrim wysiadł ze zwitkiem zagranicznych banknotów w dłoni. Spojrzał w dół ulicy. Wszystkie sklepy miały okna zabite dechami. Płyty sklejk były pokryte grubą warstwą pofałdowanych od deszczu plakatów reklamujących filmy i koncerty.

Zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli rozejrzy się za którymś ze swoich ulubionych specyfików. Sądził, że tym sposobem natychmiast zyska na autentyczności, ponieważ doskonale wiedział, o co prosić i jak wyglądają tabletki. Pomyślał też, że jeśli zdoła dokonać dobrego zakupu, może uda mu się ukryć część towaru dla siebie.

Dzień zrobił się nagle o wiele jaśniejszy, a ta zagraniczna, aczkolwiek dziwnie znajoma ulica bardziej interesująca. Zupełnie zapominając o Brownie, ruszył na przechadzkę czując, że rozpiera go nowa energia.

Godzinę i czterdzieści minut później, po trzech ofertach heroiny, kokainy, cracku, amfetaminy, percodanu i marychy, był bliski zawarcia transakcji na trzydzieści listków valium. Nie miał wprawdzie pojęcia, czy okażą się oryginalne ani czy w ogóle istnieją, ale jednego był pewien: jako turysta otrzymał ofertę przynajmniej dwa razy wyższą niż obowiązująca tu cena. Odliczył dla dilerów setkę i pięćdziesiątkę od kwoty, którą otrzymał, a resztę banknotów upchnął za ściągaczem lewej skarpety. Robił takie rzeczy automatycznie, zawsze gdy kupował prochy i nawet przyciśnięty do muru nie potrafiłby sobie przypomnieć pojedynczego przypadku, kiedy taka strategia okazała się nieskuteczna.

Scynk, tak przynajmniej przedstawił się facet, z którym wreszcie dobił targu, był biały, w okolicach trzydziestki, miał na sobie sterane skaterskie spodnie, takąż bluzę i wysoki golf, który jak przypuszczał Milgrim, zasłaniał starsze i mniej efektowne tatuaże z jego ikonografii, kryjąc przed oczami klientów efekty więziennej roboty. Widoczne na karku i twarzy tatuaże sugerowały, przynajmniej Milgrimowi, że ich nosiciel nie może być gliną, lecz unoszący się nad dilerem cień więzienia nie nastrojał optymistycznie. Z tego co wiedział o branżowych ksywach, „Scynk” nie należał do tych bardziej szanowanych. Milgrim nie potrafił sobie przypomnieć, czy stworzenie to należy do gadów czy raczej płazów. Diler z pewnością jednak nie należał do najlepiej wyglądających handlarzy, z jakimi miał dzisiaj do czynienia, spacerując w poszukiwaniu towaru, ale jak dotąd tylko on odpowiedział pozytywnie na pytanie o valium. Niestety powiedział też, że nie ma go przy sobie. Nic nowego pod słońcem, pomyślał Milgrim i skinął głową ze zrozumieniem, dając tym znak, że idzie na układ, który proponuje Scynk.

– Pójdziemy tą ulicą – powiedział diler, bawiąc się bezwiednie kolczykiem, który wystawał z kącika jego prawej brwi.

Coś takiego zawsze niepokoiło Milgrima. Ten rodzaj piercingu stwarzał o wiele większe zagrożenie infekcją niż przekłuwanie innych, bardziej centralnych i tradycyjnych części twarzy. Milgrim wierzył w ewolucję, wiedział też, że ewolucja silnie faworyzuje obustronną symetrię. Osobniki cechujące się asymetrią u wielu gatunków stały na z góry przegranej pozycji. Oczywiście nie miał zamiaru mówić o tym Scynkowi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział diler złowróżbnym tonem, skręcając w bramę. Otworzył aluminiowe drzwi, w których szyby zostały zastąpione sklejką.

– Ciemno tutaj – zaprotestował Milgrim, ale Scynk złapał go już za ramiona i popchnął prosto w intensywny amoniakowy odór uryny. Szturchnięty mocno Milgrim upadł na coś, co musiało być schodami, boleść upadku zlała się z głośnym hukiem spadających z góry butelek.

– Wyluzuj – powiedział Milgrim do ciemności, gdyż Scynk zdążył już zamknąć drzwi. – Kasa jest twoja. Bierz.

W nagłym błysku słonecznego światła do wnętrza wpadł Brown. Milgrim raczej poczuł, niż zobaczył, jak agent podnosi Scynka, obraca go i uderza jego głową w stopnie tuż obok nóg Milgrima.

Kolejne butelki potoczyły się ze schodów.

Kłujący w oczy promień jasnego światła, taki sam jak ten z pokoju UZ-a na Lafayette, przesunął się po zwiotczalym ciele Scynka. Brown pochylił się, sięgnął dłonią pod niego, a potem ze słyszalnym wysiłkiem obrócił ciało. Milgrim zobaczył, że oświetlona ręka Browna rozpina zamek błyskawiczny spodni dilera.

– Glock – z satysfakcją powiedział agent, wyciągając z rozpiętych spodni Scynka wielki pistolet, zupełnie jakby to była cyrkowa sztuczka.

Znów znaleźli się na ulicy, w surrealistycznym teraz świetle słońca. Wrócili do taurusa.

– Glock – powtórzył Brown z zadowoleniem.

Milgrim z ulgą przypomniał sobie, że to słowo oznacza nazwę producenta broni.

65. EAST VAN HALEN

Otworzyła PowerBooka na blacie Bigendowej pseudokuchenki, sprawdzając bezprzewodowy dostęp do Sieci. Żaden z jej zaufanych providerów nie był dostępny, czego mogła się spodziewać, ale uzyskała propozycję podłączenia się do BAntVanc1.

Kiedy dotarło do niej znaczenie wyrażenia „zaufany provider”, poczuła nagły przypływ smutku. Wiedziała przecież, że żadnemu nie może zaufać.

Gdy już wzięła się w garść, zauważyła, że Bigend nie aktywował protokołu WER. Nie nadeszło nawet żądanie hasła. Ale z drugiej strony miał Olliego, który mógł w jednej chwili uzyskać podgląd setek prywatnych sieci, co ładnie wszystko równoważyło.

Połączyła się z Internetem przez BAntVanc1 i sprawdziła swoją skrzynkę e-mailową. Nic. Nawet spamu nie było.

W torebce zadzwoniła komórka. Telefon wciąż był podpięty do skramblera. Ciekawe, jak zadziała taki sprzęt, jeśli zadzwoni ktoś inny niż Bigend?

Odebrała.

– Halo?

– Tylko sprawdzam – powiedział Bigend, a ona natychmiast straciła ochotę, by podzielić się z nim informacją otrzymaną od Sary.

Tak reagowała na jego wszędobylstwo, zarówno faktyczne, jak i potencjalne. Taki człowiek, kiedy już wdepnie w czyjeś życie, panoszy się w nim, i to nie jak ktoś normalny, nawet nie jak szef. Skoro zaakceptowała jego obecność, musiała liczyć się z tym, że w każdej chwili zadzwoni do niej tylko po to, by rzucić zdawkowe „tylko sprawdzam”, zanim ona zdąży zapytać, kto mówi. Czy tego chciała? Czy zdoła to zmienić?

– Nic się nie dzieje – odpowiedziała, zastanawiając się jednocześnie, czy Ollie mógł jakoś przetransmitować rozmowę przy lunchu do Los Angeles. – Węszę wśród znajomych Odile w tutejszych kręgach artystycznych. A jest ich naprawdę wielu, no i nie mogę przechodzić od razu do rzeczy. Trudno ocenić, kto może donieść Bobby’emu o tym, że jestem na miejscu i go szukam.

– Czuję, że on tam jest – powiedział Bigend. – A ty i Odile jesteście moim najlepszym sposobem na dotarcie do niego.

Skinęła głową, nic nie mówiąc.

– To wielki kraj – odezwała się w końcu. – Dlaczego miałby udawać się do miasta, w którym wszyscy będą go szukali?

– Vancouver to port – wyjaśnił Bigend. – Międzynarodowy terminal przeładunkowy kontenerów. Przyjechał, by nadzorować wyładunek skrzyni naszych piratów, ale nie w imieniu nadawcy

przesyłki... – Cyfrowo oczyszczona cisza wypełniła chwilę milczenia. – Chciałbym cię podłączyć do stworzonego na nasze potrzeby darknetu.

– Co to takiego?

– W zasadzie prywatny Internet. Niewidzialny dla ludzi nie zalogowanych. Szyfrowane połączenia telefoniczne to nic innego jak pęta nałożone na nas, abyśmy pamiętali, że nie istnieje już coś takiego jak prywatność. Ollie opracował to rozwiązanie dla nas i wciąż je udoskonala.

– Ktoś tu jest – rzuciła szybko. – Muszę kończyć – przerwała połączenie.

Zostawiła otwartego PowerBooka na blacie, jego pokryta nalepkami obudowa stanowiła najbardziej kolorowy element w zasięgu wzroku, pominąwszy oczywiście widok za oknem, weszła na piętro, rozebrała się i wzięła długi prysznic. Odile oznajmiła jej przedtem, że ma w planach południową drzemkę.

Wysuszyła włosy i ubrała się, wkładając te same dzinsy i adidas. Zauważyła pomiędzy ubraniami figurkę Blue Ant i natychmiast rozejrzała się za miejscem, w którym mogłaby ją postawić. Wybór padł na półkę z wygładzonego idealnie betonu, znajdującą się na wysokości jej głowy, i tam też spoczęła ikonograficzna mrówka. Nadawała temu miejscu mocno zabawny wygląd. Rewelacja.

Przeglądając dalej rzeczy, trafiła na paszport i od razu umieściła go w torbie podróźnej.

Narzuciła ciemny bawełniany żakiet, wzięła torebkę, zeszła do pseudokuchni, aby zamknąć PowerBooka, napisała też wiadomość dla Odile na odwrocie potwierdzenia transakcji kartą kredytową o treści: „Wrócę później. Hollis”, i zostawiła ją na blacie.

Phaeton stał dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Starając się pamiętać o słowach Olliego dotyczących wymiarów wozu, sprawdziła parę rzeczy na mapie wyjętej ze schowka na rękawiczki, nie chcąc aktywować GPS-u (nawigacja mówiła głośno, gdy ją włączała) i wyjechała wprost na ostre popołudniowe słońce, mając niezachwianą pewność, że zdoła odnaleźć metę Bobby'ego, ale nie wiedząc zupełnie, co robi, kiedy już do tego dojdzie.

Mieszkał całkiem niedaleko, jeśli wierzyć mapie.

Godzina szczytu. Po kilku manewrach wykonanych po to, by mogła skierować się wreszcie na wschód i przejechać przez miasto, dołączyła do rzeki pojazdów i dała się jej ponieść. Kierując się mniej więcej na wschód pośród tych, którzy jak przypuszczała, zmierzali z miejsc pracy do satelickich miasteczek na południe od Vancouveru, zorientowała się, że kryjówka Bobby'ego wcale nie leży tak blisko, przynajmniej w psychogeograficznym ujęciu. Apartament Bigenda, umiejscowiony na szczycie wieży w barwnym otoczeniu całego lasu budowli z zielonego szkła, znajdował się w okolicy określanej na mapie jako False Creek, powstałej już w dwudziestym pierwszym wieku. Ale teraz wjechała w dzielnicę o charakterystycznej, lekko przemysłowej zabudowie. Tak budowano dawniej, kiedy ziemi było jeszcze pod dostatkiem. Okolica przypominała nieco miejsce przy Romaine, gdzie Bobby wynajmował swoje studio, tyle że tutaj po całym terenie rozsiane były duże, nowoczesne wielkomiejskie instalacje przemysłowe, większość z nich nie została jeszcze ukończona.

Wreszcie udało jej się skręcić w szeroką, prowadzącą z północy na południe ulicę, która nosiła nazwę Clark, i wydostać się spośród futurystycznych fabryczek w nieco niższą, bardziej podniszczoną zabudowę, sporo domów posiadało tutaj elewacje kryte drewnem. Niemarkowe warsztaty samochodowe. Małe wytwórnie mebli sklepowych. Naprawa chromowanych elementów krzeseł. Miała nieprzeparte wrażenie, że na końcu tej szerokiej alei, celującej prosto w odległe góry, zrealizowano najbardziej szalony projekt sowieckiego konstrukttywizmu, być może celem oddania hołdu projektantowi, który zarobił nim na bilet w jedną stronę do gułagu. Ogromne, szalone ramiona z pomalowanej na pomarańczowo stali wychylały się we wszystkie strony, pod każdym możliwym kątem.

Co to ma być, u licha?

Pewnie port Bigenda – pomyślała. – A Bobby zamelinował się tak blisko niego.

Skręciła w prawo, gdy dostrzegła wylot ulicy, przy której mieszkał.

Wreszcie dotarło do jej świadomości, że okłamała Hubertusa i że to ją martwi. Powiedziała mu kiedyś, że będzie z nim pracowała, dopóki będzie dzielił się z nią informacjami, a teraz zrobiła dokładnie to, czego jemu zabraniała, i nie czuła się z tego powodu dobrze. Symetria została zakłócona. Westchnęła.

Podjechała aż do przecznicy, skręciła raz jeszcze w prawo i zatrzymała samochód za wielkim pordezwiąłym kontenerem na śmieci z wysprayowanym czarną farbą napisem HAST VAN HALEN.

Wyjęła z torebki komórkę z podłączonym do niej skramblerem Bigenda i oddzwoniła do niego.

Odebrał natychmiast.

– Tak?

– Odile znalazła jego siostrę.

– Bardzo dobrze. Znakomicie. I co dalej?

– Przyjechałam w pobliże mieszkania Bobby'ego. Jego siostra podała nam adres. Uważa, że jeśli jest w mieście, powinien zatrzymać się właśnie tutaj. – Nie uważała za stosowne, aby przyznać, że wiedziała o tym już podczas poprzedniej rozmowy. Wyrównała z nim rachunki.

– Czy to dlatego sterczysz teraz na wschód od Clark Drive? – zapytał.

– Cholera – jęknęła.

– Mam na wyświetlaczu jedynie nazwy głównych ulic – wyjaśnił przeproszającym tonem.

– Ten wóz informuje cię dokładnie o każdym moim ruchu!

– Zgodnie z obietnicami producenta – odparł. – Wiele phaetonów trafia do firm na Bliskim Wschodzie. To standardowa procedura w tamtych okolicach. A tak nawiasem mówiąc, wiesz,

dlaczego ona zdecydowała się powiedzieć o tym mieszkaniu?

– W zasadzie dlatego, że ma go dosyć. Niełatwo być jego siostrą. Przed chwilą widziałam ten twój port. Znajduje się na końcu ulicy.

– Tak – przyznał. – Wygodny układ. Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem – powiedziała. – Rozejrzę się trochę.

– Wysłać ci do pomocy Olliego?

– Nie. Wątpię, bym długo tutaj zabawiła.

– Jeśli samochód nie wróci do wieczora do garażu albo ty nie dasz znaku życia, pošlę tam Olliego.

– Zgoda – przerwała połączenie.

Siedziała spoglądając na kontener z napisem East Van Halen. Za nim w odległości kilku długości samochodu znajdował się wjazd do alejki. Alejki, która wedle jej przypuszczeń mogła prowadzić na tyły budynku, gdzie przebywał Bobby.

Wysiadła i włączyła system alarmowy phaetona.

– Pilnuj swojego luksusowego dupska – powiedziała do wozu. – Ja tu jeszcze wrócę.

66. NAMIERZANIE

Tito siedział na poplamionym farbą stołku, spoglądając w górę na świetlik poznaczony gęstą siatką drucików zbrojonego szkła. Na jego szczycie lądowały gołębie i z niego podrywały się do lotu z trzepotem skrzydeł, którego pozostali chyba nie słyszeli. Garreth i starzec dyskutowali z człowiekiem, który tu na nich czekał, w zadymionym pomieszczeniu dwupiętrowego budynku, w mieście i kraju, o których Tito wcześniej nigdy nawet nie myślał.

Łódź, która po nich przyплыnęła, była biała, długa, niska i bardzo szybka. Jej sternik nosił wielkie okulary przeciwsłoneczne, opięty sztormiak z nylonu i wcale się nie odzywał.

Tito obserwował wyspę, gdy od niej odpływali, jak zmniejszała się, by w końcu zniknąć, choć trochę to trwało.

Po kilkukrotnej zmianie kursu zbliżyli się do innej wyspy, otoczonej łagodnymi klifami zwietrzałych skal. Parę niewielkich, rozrzuconych po nich domków stało blisko urwiska. Płynęli wzdłuż linii brzegowej, kierując się do niewielkiego drewnianego mola wychodzącego ze znacznie większej i solidniej wyglądającej przystani. Tito pomógł Garrethowi przenieść czarnego pelicana na pomost. Był zbyt ciężki, by dało się go utrzymać za plastikowe ręczki, Garreth twierdził nawet, że uchwyty urwałyby się pod tak wielkim obciążeniem.

Sternik, nadal nic nie mówiąc, oddalił się szybko w zupełnie innym kierunku niż ten, z którego przyплыnęli.

Tito usłyszał szczekanie psa. Do poręczy wyższej przystani podszedł mężczyzna, pomachał do nich ręką. Garreth odpowiedział podobnym gestem. Nieznajomy odwrócił się i odszedł.

Starzec spojrzał na zegarek, potem na niebo.

Tito usłyszał wodnopłat, zanim go zobaczył, samolot leciał nisko, jard, może dwa nad powierzchnią wody.

– Nie odzywaj się – polecił Garreth, gdy śmigło maszyny się zatrzymało i zaczęła dryfować w stronę końca mola.

– Jak się macie, panowie? – zapytał pilot, mężczyzna z bujnym wąsem, schodząc na bliższy mola pływak, gdy Garreth złapał skrzydło samolotu.

– Znakomicie – odparł starzec – ale obawiam się, że mamy nad bagaż. – Wskazał na pelicana. – To próbki minerałów.

– Geolodzy? – zapytał pilot.

– Na emeryturze – odparł starzec z uśmiechem. – Ale wygląda na to, że gdzie tylko się udam, ciągnę ze sobą masę kamieni.

– Nie będziemy mieli z tym problemu. – Pilot otworzył klapę w burcie samolotu, który w niczym

nie przypominał cenny. Miał tylko jedno śmigło i wyglądał, jakby skonstruowano go wyłącznie do przewożenia towarów. Tito przyglądał się, jak pilot i Garreth mocują się, aby podnieść pelicana z pomostu i zapakować go do luku bagażowego.

Widział też, że starzec wstrzymuje oddech w obawie, że nie uda im się przenieść ładunku bez szwanku. Kiedy operacja dobiegła końca, z ulgą wypuścił powietrze przez wydęte wargi.

– Kiedy będziemy na miejscu? – zapytał starzec pilota.

– Za dwadzieścia minut – odparł tamten. – Wezwać panom taksówkę?

– Nie, dziękuję. – Starzec już wsiadał do samolotu. – Mamy własny środek transportu.

Wylądowali na rzece, opodal wielkiego lotniska, gdzie Tito, wciąż olśniony widokiem gór, które rysowały się na horyzoncie, pomógł Garrethowi przepchnąć pelicana i przenieść kilka innych sztuk bagażu na wózek, a potem wciągnąć go na szczyt długiej rampy z siatkowanej stali.

Tito przysiadł na skraju wózka, spoglądając na rzekę, na której następny wodnopłat już kołował szykując się do startu w ciemniejące popołudniowe niebo. Żwir zachrząścił, gdy Garreth i starzec podjechali białym vanem. Tito raz jeszcze pomógł Garrethowi załadować wszystkie bagaże na jego tył.

Van miał tylko dwa siedzenia i żadnego bocznego okienka na pace. Tito przysiadł więc na obudowie pelicana. Starzec odwrócił się do niego.

– Nie siadaj na tym – powiedział – jeśli chcesz mieć kiedyś dzieci.

Tito odsunął się od czarnej walizy i usiadł na własnej torbie podróżnej.

Później, gdy jechali przez miasto, niewiele widział. Fragmenty budynków za przednią szybą i okienkami w tylnych drzwiach. Gdy się zatrzymali, Garreth otworzył tył vana na częściowo tylko wybrukowanej alejce, gdzie dziwaczne paprocie wyrastały z pęknięć w asfalcie, a z podniszczonych ścian widocznych po obu stronach drogi odpadał tynk, i Tito ponownie musiał dźwigać z Anglikiem pelicana, tym razem na szczyt dwóch ciągów skrzypiących drewnianych schodów, a potem do długiego zaśmieconego pomieszczenia.

Tutaj czekał na nich ten dziwny człowiek, którego zwali Bobbym. Choroba matki, która zaczęła się w Sunset Park, gdy udali się tam, by zamieszkać z Antuliem po atakach na wieże, sprawiła, że Tito obawiał się ludzi zachowujących się w pewien określony sposób.

A Bobby przechadzał się nerwowo, odpalał papierosa od papierosa, usta niemal mu się nie zamykały. Garreth i starzec słuchali, słuchali i spoglądali znacząco na siebie.

Bobby stwierdził, że robienie tej rzeczy w jego domu nie było najrozsądniejsze. Nierozsądne też okazało się ciągnięcie go do rodzinnego miasta, aby to robił dalej, a już za szczyt głupoty uznał fakt, że teraz musi robić to w rodzinnym mieście dosłownie o kilka przecznic od przesyłki. Tito spojrzał na pelicana. Co miał na myśli Bobby mówiąc „przesyłka”?

– Przecież dobrze wiedziałeś – odezwał się w końcu starzec – że jeśli przyplynie do tego portu, trafi właśnie tutaj.

– Namierzali ją już trzy razy – rzucił Bobby. – Brak zgodności z wzorcem. Wydaje mi się, że oni już tu są, że namierzają ją stąd, robią to jeżdżąc po okolicy. Sądzę, że są już blisko. Zbyt blisko. – Rzucił papierosa i rozgniół go obcasem, a potem wytarł dłonie o brudne białe dzinsy.

O co chodzi z tym namierzaniem? zastanawiał się Tito.

– Posłuchaj, Bobby – odezwał się łagodnie starzec. – Nie powiedziałeś nam jeszcze, gdzie dokładnie jest przesyłka. Czy już ją rozładowano? Musimy to wiedzieć.

Bobby zapalił kolejnego papierosa.

– Jest tam, gdzie chcieliście. Dokładnie tam, gdzie chcieliście. Pokażę wam. – Podeszedł do długich stołów, starzec i Garreth podążyli za nim. Bobby nerwowo stukał palcami w klawiaturę. – O, tutaj.

– To oznacza, że nie mają nikogo w środku, inaczej zadbaliby, żeby został ustawiony głębiej.

– Ale ty masz kogoś, prawda? – Bobby zerknął na nich przez dym.

– To nie twoja sprawa – odparł starzec wciąż bardzo uprzejmym tonem. – Wykonałeś długą i bardzo odpowiedzialną robotę. ale masz ją już za sobą. Garreth przywiózł ostatnią ratę zapłaty, zgodnie z umową. – Tito obserwował dłonie starca, z jakiegoś powodu przypominając sobie, jak operował laską podczas starcia na Union Square.

Garreth odpiął pager od paska i spojrzał na jego wyświetlacz.

– Dostawa. Wracam za pięć minut – spojrzał na starca. Wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Bobby jęknął.

Tito znów przypomniał sobie matkę.

– Jeszcze nie jestem na to gotowy – powiedział Bobby.

– Chłopcze – odparł starzec – nie ma już nic, na co musiałbyś się przygotowywać. Nie musisz robić nic więcej, niż tylko monitorować dla nas przesyłkę. Nie ma żadnego powodu, abyś wyjeżdżał stąd już jutro. Ani w ciągu najbliższych trzech miesięcy. My musimy wkrótce opuścić to miejsce, w interesach, ale ty tu zostaniesz. Razem z ostatnią częścią wynagrodzenia. Płatną z góry. Tak jak się umówiliśmy. Jesteś niezwykle uzdolnionym człowiekiem, wykonałeś kawał znakomitej roboty, ale już wkrótce zrozumiesz, że przyszedł czas na odpoczynek.

– Nie wiem, kim oni są – wtrącił Bobby – i nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę nawet wiedzieć, co jest w przesyłce.

– Niczego nie wiesz i tak ma zostać.

– Boję się – powiedział Bobby, a Tito jakby usłyszał swoją matkę po atakach z jedenastego września.

– Nie mają o tobie pojęcia – uspokoił go starzec. – Nie wiedzą też, kim my jesteśmy. I niech tak zostanie.

Tito usłyszał, że Garreth w towarzystwie jakiejś osoby wchodzi po schodach. Na podeście pojawiła się kobieta w dżinsach i ciemnej koszulce, Garreth szedł tuż za nią.

– A ona co tutaj robi? – Bobby strząsnął włosy z przerażonych oczu. – O co tu chodzi?

– Właśnie – poparł go starzec. – O co tutaj chodzi, Garreth?

– Nazywam się Hollis Henry – przedstawiła się kobieta. – Spotkałam Bobby’ego w Los Angeles.

– A ja spotkałem ją w alejce – dodał Garreth i Tito dopiero teraz zauważył, że trzyma w ręce długą prostokątną walizkę z pojedynczym uchwytem.

– Jej nie powinno tu być – rzucił Bobby, a zabrzmiało to tak, jakby zamierzał się rozplakać.

– Ale ty ją znasz, prawda, Bobby? – zapytał starzec. – Z Los Angeles.

– Co ciekawsze – wtrącił Garreth – ja też ją znam, choć nie spotkaliśmy się wcześniej osobiście. To Hollis Henry z zespołu Curfew.

Starzec zrobił zdziwioną minę.

– Curfew?

– Moja ulubiona kapela w college’u. – Anglik chciał wzruszyć ramionami w przeproszającym geście, ale ciężar walizki sprawił, że jedno ramię się nie podniosło.

– I spotkałeś ją przed chwilą na dole w alejce?

– Tak – potwierdził Garreth i nieoczekiwanie się uśmiechnął.

– Czyżbym coś przeoczył? – zapytał starzec.

– Lepsza ona niż Morrissey – odparł Garreth.

Starzec zmarszczył brwi, potem spojrzał badawczo na kobietę znad okularów.

– Przyjechała pani tutaj, aby odwiedzić Bobby’ego?

– Teraz jestem dziennikarką – odpowiedziała. – Pracuję dla „Node’a”.

Starzec westchnął.

– Obawiam się, że nie znam tego tytułu.

– To belgijskie pismo. Ale z tego co widzę, moja obecność wkurzyła Bobby’ego. Przepraszam. To ja już sobie pójdę.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – powiedział starzec.

67. WARDRIVING

Milgrim siedział na ławce obok Browna w malutkim parku, pod gołymi gałęziami rzędu młodych klonów. Przed nimi znajdowało się pięćdziesiąt stóp krótko przystrzyżonej trawy, sześciostopowej wysokości stalowa siatka pomalowana na kolor zielony, niewielka stromizna porośnięta krzewami jeżyn, szeroka zwirowa droga upstrzona rdzawoczerwonymi śladami wskazującymi dwa pasy ruchu, brukowana uliczka i ogromne składowisko metalowych skrzyń, takich samych, jakie widzieli na statku w porcie. Przyglądał się opływowym, metaliczno-błękitnym kształtom ciągnika jadącego drogą przed nimi z doczepionym pordzewiałym szarym kontenerem, do którego, mógłby przysiąc, doczepiono koła.

Zza składowiska kontenerów wyłaniały się góry. Za nimi były już tylko obłoki. I właśnie te góry tak niepokoiły Milgrima. Nie wyglądały na prawdziwe. Były zbyt duże, zbyt bliskie. Pokryte śniegiem. Jak to logo widoczne przed wieloma filmami.

Spojrzał w prawo, skupiając wzrok na szerokiej, praktycznie rzecz biorąc pozbawionej wyrazu prostopadłościenną górze betonu. Nie było w niej okien, a miała ze cztery piętra wysokości. Na jej frontonie wielkimi, prostymi bezszeryfowymi literami, na betonie pomiędzy masywnymi kolumnami wypisano następujące słowa:

BC ICE & COLD STORAGE LTD

RAGE – czyli furia. Rzucił okiem na Browna, ale agent był zbyt zajęty przeglądaniem okienek na ekranie laptopa, ukazujących satelitarne obrazy portu i okolic, na zbliżeniach i z dużej odległości, znikających i zastępowanych raz po raz obrazem pokrytym żółtą siatką.

Wyruszyli na wardriving, Brown tak to określał od momentu, gdy zdobył na Scynku glocka. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko kręcenie się samochodem po mieście z włączonym laptopem umieszczonym na kolanach Milgrima, zgłaszającym istnienie sieci bezprzewodowych, przez których zasięg akurat przejeżdżali. Laptop objawiał im ich nazwy beznamiętnym, aseksualnym głosem, który Milgrimowi wydał się wyjątkowo odrażający. Nie miał bladego pojęcia, że ludzie mają takie udogodnienia w swoich domach i mieszkaniach, a ich mnogość wręcz go zadziwiła, bardziej nawet niż to, że sięgały tak daleko poza teren będący w posiadaniu właściciela. Niektórzy użytkownicy nadawali im swoje nazwiska, inni nie wysilali się na nic więcej poza: „domyślna” albo „sieć”, choć było też parę nazw wymyślniejszych, jak choćby „MrocznyŻniwiarz” albo „ZagładaSmith”. Zadaniem Milgrima była obserwacja okienka i odnotowywanie, czy dana sieć jest zabezpieczona czy wręcz przeciwnie. Jeśli nie było żadnych ograniczeń w dostępie, a sygnał miał odpowiednią moc, Brown zatrzymywał samochód i łączył się z Internetem. Ledwie to robił, na ekranie pojawiały się kolorowe zdjęcia satelitarne portu. Agent mógł dokonywać zbliżeń, co pozwalało Milgrimowi patrzeć na dachy poszczególnych budynków, a nawet kształty pojedynczych kontenerów. Z początku wydawało mu się to nawet interesujące, ale teraz, po trzech godzinach takiej zabawy, miał tylko nadzieję, że Brown szybko znajdzie to, czego szuka, i wróćą razem do hotelu Best Western.

Siedzenie na tej ławce stanowiło miłą odmianę po tkwieniu w samochodzie, a Brown wreszcie złapał trwałe połączenie z jednego z mieszkań (CyndiNet) w dwupiętrowym, wymyślnie

otynkowanym kondominium stojącym za nimi, gdzie na pomalowanych brązową farbą stalowych balkonach roило się od grillów, plastikowych krzeseł i rowerów. Ale Milgrima zaczynał już boleć tyłek. Wstał i potarł zdrętwiałe miejsce. Zatopiony w obserwacji Brown nawet tego nie zauważył. Milgrim przeszedł kilka kroków po przystrzyżonej trawie, oczekując przywołania do porządku. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Gdy dotarł do zielonej siatki, spojrział na jej drugą stronę, na lewo, i zobaczył lokomotywę spalinową o barwie dojrzałej pomarańczy. Jej płaski przód pomalowano po skosie, dzieląc na czarne i białe pola. Stała tam, nieruchoma, na najbliższym z torów obok prostokątnej białej tablicy ustawionej tak, by jej treść zawierająca się w słowie HEATLEY była widoczna dla maszynisty. Na żółtym trójkącie jakieś trzy stopy przed nią widniał napis ZMNIJSZYĆ PRĘDKOŚĆ. Odczytał także nazwy pojedynczych kontenerów stojących na składowisku: HANJIN, COSCO, TEX, „K” LINE, MAERSK SEALAND. Za nimi, w głębi portu, znajdowały się wysokie budynki, których przeznaczenia nie znał, i znajome pomarańczowe ramiona dźwigów, które miał okazję obserwować z pokładu zodiaca.

Odwrócił się, by spojrzeć na Browna pochylonego wciąż nad małym ekranikiem, straconego dla świata.

– Mógłbym uciec – powiedział ostrożnie, do siebie. Potem dotknął dłonią poziomego drutu wieńczącego ogrodzenie, odwrócił się i wrócił na ławkę.

Zatęsknił za swoim płaszczem.

68. SNAP

Hollis pomyślała, że on wygląda trochę jak William Burroughs po odjęciu warstwy artystycznej (a może raczej metadonu). Jak ktoś, kto zaproszony na polowanie na przepiórki przez wiceprezydenta, na pewno nie dałby się postrzelić. Cienkie metalowe oprawki okularów. Resztki włosów dokładnie przystrzyżone. Ciemny płaszcz naprawdę dobrej jakości.

Siedzieli naprzeciw siebie na starych, podniszczonych metalowych krzesłach, które w czasach swojej świetności zapewne zdobiły jakąś kościelną nawę. Miał skrzyżowane nogi. Nosił buty, które nasuwały jej skojarzenia ze starymi francuskimi księżmi jeżdżącymi na rowerach. Czarne półbuty z noskami, wypolerowane aż do połysku, ale na podszewkach z grubej czarnej gumy.

– Panno Henry... – zaczął, potem przerwał, jego głos przypominał jej amerykańskiego konsula, którego spotkała w Gibraltarze, kiedy jeszcze jako siedemnastolatce skradziono jej paszport. – Proszę o wybaczenie. W kwestii męża...

– Nie jestem zamężna.

– Panno Henry, znaleźliśmy się w niezręcznej sytuacji.

– Panie...?

– Wybacz panna – odparł – ale nie mogę podać mojego nazwiska. Przyjaciele poinformowali mnie, że jest panna piosenkarką. Czy to prawda?

– Tak.

– A panna twierdzi, że przyjechała tutaj jako dziennikarka na polecenie brytyjskiego magazynu. – Siwe brwi wygięły się, wykraczając poza stalowe oprawki.

– „Node”. Z redakcją w Londynie.

– I zbliżyła się panna do Bobby’ego podczas prac nad artykułem w Los Angeles.

– Tak było. Ale nie mogę powiedzieć, żeby był z tego zadowolony.

Rzuciła okiem na Bobby’ego, który przykucnął na brudnej podłodze, obejmując rękami kolana, oczy zniknęły mu za grzywką. Na innym krześle zasiadał ciemnowłosy chłopak o trudnym do określenia pochodzeniu, obserwujący Bobby’ego ze swoistą, jak uznała, mieszaniną fascynacji i niepokoju.

Ostatni z mężczyzn, ten, na którego natknęła się w alejce, by chwilę później zostać przez niego grzecznie, acz stanowczo zaproszoną na górę, pochylał się nad otwartym długim szarym futerałem odebrany nie tak dawno od człowieka w zaułku, podczas ukradkowego spotkania, które obserwowała z ubocza. Jak się okazało, niewystarczającego ubocza. Futerał leżał teraz na jednym z długich stołów, ale siedząc w tym miejscu nie mogła zobaczyć, co się w nim znajduje.

– Przepraszam za to najście – powiedziała. – Widzę, że on jest w strasznym stanie.

– Bobby jest zestresowany – przyznał starzec. – To ma związek z jego pracą.

– Sztuką lokacyjną?

– Bobby pracował dla mnie, asystując przy jednym z moich projektów. Już prawie skończyliśmy. Zapewne zdenerwowanie Bobby’ego wiąże się właśnie z tym faktem. Pojawiła się panna w naprawdę nieodpowiednim momencie, panno Henry.

– Na imię mam Hollis.

– Nie możemy cię wypuścić, Hollis, dopóki nie zrobimy tego, po co tu przyjechaliśmy.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknęła.

– Nie jesteśmy kryminalistami, Hollis.

– Wybacz pan, ale jeśli mam do czynienia z przestępcami albo policjantami, nie rozumiem, dlaczego nie mogłabym wyjść, kiedy tylko chcę.

– Racja. Sprawa, dla której zebraliśmy się tutaj, wymaga od nas naruszenia wielu przepisów prawa, zarówno kanadyjskiego, jak i amerykańskiego.

– Zatem dlaczego powiedział pan, że nie jesteście kryminalistami?

– Bo nie jesteśmy w potocznym tego słowa rozumieniu – odparł. – Działamy z zupełnie innych pobudek i z tego, co mi wiadomo, nikt przed nami nawet nie próbował dokonać czegoś podobnego. Mogę cię jednak zapewnić, że nie mamy zamiaru pozbawiać ludzi życia, i mamy nadzieję, że nikomu nie stanie się krzywda.

– „Mamy nadzieję” jest w tym kontekście określeniem dość niepewnym. Jak sądzę, nie powiecie mi też, co zamierzacie zrobić.

– Zamierzamy naruszyć czyjąś własność i zniszczyć ukrytą w niej zawartość. Jeśli nam się to uda – w tym momencie uśmiechnął się przelotnie – nikt nawet nie zauważy szkody. Przynajmniej na początku.

– Czy jest jakiś konkretny powód, że pan mi to wszystko opowiada? Może przejdziemy od razu do sedna? Oszczędzimy sobie tym czasu. W przeciwnym razie naprawdę nie rozumiem powodów pańskiej rozmowności.

Zmarszczył brwi. Wyprostował nogi. Postawił czarne ksyże buty na podłodze, odchylił się na krześle w tył może o cal albo dwa, zachybotał.

– Gdyby moi współpracownicy nie byli stuprocentowo pewni twojej tożsamości, Hollis, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Cierpliwości. Jest historia powszechna i jest historia tajemna. Zapraszam cię do udziału w tworzeniu tej drugiej. Nie dlatego, że jesteś dziennikarką, tylko dlatego, że byłaś swego rodzaju gwiazdą.

– Opowie mi pan o swoich sekretach tylko dlatego, że śpiewałam w zespole?

– Tak – odparł – choć może nie do końca dlatego, że śpiewałaś w zespole. Chodziło mi raczej o to, że zyskałaś wielką popularność śpiewając w zespole...

– Nie taką znów wielką.

– Ty już stanowisz część historii, jakkolwiek mała wydaje ci się twoja rola. Sprawdziłem w Google, ile razy ściągano wasze utwory, i przeczytałem wpis na Wikipedii. Zapraszając cię do obserwowania naszej operacji, stwarzam coś w rodzaju kapsuły czasu. Będziesz cegiełką w kominie, za którą ukryję swoje wyznanie. choć oczywiście w ostatecznym rozrachunku wszystko pójdzie na twoje konto.

Spojrzała na niego.

– Najbardziej mnie przeraża myśl, że pan to mówi serio.

– Bo tak jest. Ale chciałbym, abys poznała cenę, zanim wyrazisz zgodę.

– A kto powiedział, że się zgodzę?

– Jeśli jesteś świadkiem tworzenia historii, to chcąc tego czy nie, sama stajesz się jej częścią.

– I będę miała pełną swobodę w opisanii tego, co zobaczę?

– Oczywiście – powiedział. – Tyle że przystając do naszej paczki, w oczach stróżów prawa najprawdopodobniej staniesz się współsprawcą przestępstwa. A poważniej mówiąc, osoba, z którą zamierzamy zdrzeć, jest bardzo potężna. Ten człowiek zrobi wszystko, by relacja z wydarzeń, których będziesz świadkiem, nie ujrzała światła dziennego. Ale to pozostawiam już na twojej głowie. Jeśli zgodzisz się przystąpić do nas.

– A jeśli nie wyrażę zgody?

– Jeden z nas przewiezie cię w inne miejsce, gdzie będziesz przetrzymywana do momentu, w którym znikniemy. Trochę nam to skomplikuje sprawy, będziemy musieli przenieść sprzęt i Bobby'ego, skoro poznałaś lokalizację tej kryjówki, ale tym nie musisz się przejmować. Jakąkolwiek opcję wybierzesz, nie stanie ci się krzywda. Przetrzymana wbrew własnej woli, tak, ale nie skrzywdzona.

Mężczyzna z alejki właśnie zamknął długi futerał – tuż przed tym, zanim przyłączył się do niego siedzący dotąd ciemnowłosy chłopak.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego miałby mi pan zaufać – powiedziała. – Dlaczego wierzy pan, że nie zadzwonię na policję, jak tylko mnie wypuścicie?

– Szkolono mnie – odparł – w rządowych organizacjach, których byłem członkiem, w szybkiej ocenie charakterów. Do moich zadań należało podejmowanie rozstrzygających decyzji personalnych, natychmiastowe wydawanie sądów, i to w najtrudniejszych warunkach.

Wstał.

– Jeśli nawet to prawda – powiedziała spoglądając w górę na niego – dlaczego ja miałabym panu zaufać?

– Nie złamiesz warunków umowy, jeśli jakąś zawrzemy, bo nie jesteś tego typu osobą. Z tego samego powodu zaufasz nam. Prawdę mówiąc, już to zrobiłaś.

Odwrócił się, podszedł do mężczyzny z alejki i zaczął z nim po cichu rozmawiać.

Usłyszała dźwięk używanej zapalniczki, to Bobby, wciąż skulony na podłodze, zapalił marlboro.

Gdzie zaśnie Bobby, pomyślała, jeśli nie będzie miał swojej siatki? I właśnie w tym momencie zauważyła, dokładnie przed miejscem, w którym stało krzesło starca, cienką brudnoniebieską linię, taką, jakie robi się za pomocą kredy i naciągniętego sznurka.

A potem ujrzała drugą, przecinającą ją pod kątem prostym.

69. MAGNESY

Garret zaprowadził Tita na drugi koniec długiego stołu, do miejsca, gdzie na przepołowionej sklejce leżało dziesięć dysków, każdy o grubości monety i średnicy około trzech cali.

Ktoś pomalował je na turkusowobłękitną barwę, następnie napylił ciemnoszary nalot i pokrył wszystko matowym lakierem. Każdy z dysków leżał na środku barwnej plamy stworzonej przez spraye. Trzy puszkę aerozolu stały obok, ustawione w równym rzędzie na skraju sklejki. Garreth nałożył lateksowe rękawiczki i podniósł jeden z krążków, odsłaniając idealnie czystą powierzchnię drewna. Pokazał Titowi niepomalowaną stronę, jasny srebrzysty metal.

– Magnesy neodymowe – objaśnił – pomalowane w taki sposób, by jak najbardziej przypominały powierzchnię przesyłki. – Wskazał na dwa wydruki zdjęć przedstawiających kontener o barwie przybrudzonego turkus. – Jeśli przyłożysz je do metalowej powierzchni, oderwanie ich będzie bardzo trudne, możliwe jedynie z wykorzystaniem noża albo cienkiego śrubokręta. Mamy dziesięć, ale ty będziesz musiał zakryć najwyżej dziewięć otworów. Dziesiąty jest na wypadek, gdybyś któryś zgubił, ale postaraj się, aby do tego nie doszło.

– Jak mam je przenieść?

– Magnesy albo do siebie przywrą, praktycznie uniemożliwiając ich późniejsze rozdzielanie, albo będą się odpychać, wszystko zależy od tego, którą stronę je zestawisz. Dlatego najlepiej użyć tego. – Wskazał na prostokąt z czarnego sztywnego plastiku owinięty srebrną taśmą. Oliwkową linkę spadochronową przeciągnięto przez dwa otwory na jednym z krańców plastiku. – Pod taśmą znajdują się miękkie koperty z tworzywa, po jednej na każdy dysk. Możesz je najpierw trzymać w dzinsach, a potem, kiedy będziesz się wspinał, przewieszisz je sobie przez szyję. Wyciągaj je pojedynczo tylko wtedy, gdy będziesz musiał zatkać któryś z dziewięciu otworów. Przywrą bez względu na odpryski na powierzchni i zakryją całą dziurę.

– Jakże odpryski?

– Kiedy kula przebija pomalowaną powierzchnię stali – wyjaśnił Garreth – zagina krawędzie otworu do wewnątrz. Farba nie jest rozciągliwa, więc pęka. Część wyparowuje. W rezultacie wokół otworu pozostaje czysty błyszczący metal. Ale sama dziura nie będzie większa niż przekrój twojego kciuka. To odpryski pozwalają na natychmiastowe zauważenie przestrzelin, dlatego mamy zamiar je zakryć. Musimy to zrobić dokładnie i szybko, zanim zareagują czujniki.

– Co mam zrobić, jak już zakryję otwory?

– Musisz znaleźć wyjście na własną rękę. Człowiek, który cię tam wprowadzi, nie będzie mógł pomóc. Obejrzyjmy to sobie raz jeszcze na zdjęciach i mapach satelitarnych. Nie wspinaj się, dopóki nie minie północ. Zorientujesz się po dźwięku syreny. Jak tylko zakryjesz otwory, uciekaj. Gdy wydostaniesz się z portu, natychmiast do nas zadzwoń. Zabierzemy cię stamtąd. Pamiętaj, możesz dzwonić jedynie w sytuacjach alarmowych.

Tito skinął głową.

– Znasz tę kobietę? – zapytał.

– Nigdy wcześniej jej nie spotkałem – odparł Garreth po chwili milczenia.

– Widziałem plakaty z jej podobizną w sklepach na St. Marks Place. Dlaczego ona tu przyszła?

– Zna Bobby’ego – wyjaśnił Garreth.

– Ale on wcale się nie ucieszył z jej widoku.

– Nie widzisz, że w tej chwili przechodzi mały kryzys? Ale ty i ja jesteśmy skupieni jedynie na misji?

– Tak.

– Dobrze. Kiedy zbliżysz się do kontenera, założysz to – wskazał na czarną maskę z filtrami zamkniętą w foliowym opakowaniu. – Nie chcemy, żebyś się czegoś nawdychał. Kiedy wyjdiesz ze składowiska, schowaj ją tak, żeby przez jakiś czas nie mogli jej znaleźć. I żadnych odcisków palców, rozumiemy się?

– A kamery?

– Będą wszędzie. Ale nasza przesyłka znajduje się na samej górze składowiska, więc istnieją duże szanse, że ustawiono ją w martwym polu. Poza tym masz być niewidzialny. Będziemy trzymać za ciebie kciuki.

– Ta kobieta... – rzekł Tito mocno zaniepokojony poważnym złamaniem zasad protokołu. – Jeśli nie jest jedną z nas i nigdy wcześniej jej nie widzieliście, skąd macie pewność, że nie ma na sobie podsłuchu?

Garreth wskazał na trzy anteny wychodzące z żółtej obudowy zagłuszacza stojącego na krańcu stołu, tego samego, którego działanie Tito widział na Union Square.

– Stąd nie wydostanie się żaden sygnał – powiedział łagodnym tonem.

70. PHO

Brown zabrał Milgrima do ciemnej, parnej wietnamskiej restauracji, w której nie uświadczylby ani jednego angielskiego napisu. W środku było jak w saunie, co Milgrim przyjął z umiarkowanym zadowoleniem, aczkolwiek śmierdziało też środkami dezynfekującymi, bez czego mogłby się obyć. Wygląd sugerował, że kiedyś, ale dość dawno temu, miejsce to miało zupełnie inne przeznaczenie, lecz Milgrim nie potrafił dokładnie określić, czym mogło być. Może szkocką herbaciarnią? Sklejka z lat czterdziestych pokryta trudnymi do określenia akcentami art deco i wieloma warstwami białej emalii. Jedli *pho*, obserwując, jak cieniutkie plasterki różowej wołowiny szarzeją w zetknięciu z gorącym, niemal bezbarwnym bulionem, którym zalane były główki brukselki i makaron. Milgrim nigdy wcześniej nie widział, aby Brown jadł pałeczkami. Agent najwyraźniej jednak wiedział, jak opróżnić nimi miseczkę *pho*, i robił to niezwykle starannie. Kiedy skończył jeść, postawił swojego laptopa na czarnym blacie stołu, przy którym siedzieli. Milgrim nie widział, nad czym pracuje. Podejrzewał, że także w tym miejscu jest dostęp do Sieci przez wifi, dzięki komputerom pracującym na piętrze nad ich głowami, a może Brown tylko oglądał ściągnięte wcześniej pliki. Stara kobieta podała im nowe plastikowe kubki z herbatą, aczkolwiek niewykluczone, że była to tylko gorąca woda, tyle że o kwaskowym posmaku. Siódma wieczorem, a oni byli jedynymi klientami tej restauracji.

Milgrim poczuł się lepiej. Poprosił Browna o rize jeszcze na terenie parku, a agent, nie odrywając nawet oczu od ekranu, wyciągnął rękę, rozpiął kieszonkę torby od laptopa i podał Milgrimowi całego świeżutkiego czteropaka. Teraz, zasłonięty otwartą obudową ekranu, mógł wyłuskać z listka drugą tabletkę i połknąć, popijając wodoherbatą. Zabrał z samochodu swoją książkę, przewidując, że Brown zapewne nie odpuści kolejnej sesji. Otworzył ją.

Trafił na ulubiony rozdział: „O elicie amoralnych nadludzi (2)”.

– O czym tak tam czytasz? – zapytał niespodziewanie Brown zza ekranu.

– O elicie amoralnych nadludzi – odparł Milgrim zdziwiony tym, że słyszy swój własny głos cytujący przeczytany właśnie tytuł.

– Wy wszyscy tak o nas myślicie – odparł agent, błędząc myślami gdzie indziej. – Liberałowie.

Milgritn czekał na ciąg dalszy, ale Brown milczał. Wrócił więc do przerwanej lektury o begardach i beginkach. Dotarł już do duchowych libertynów, kiedy agent odezwał się ponownie.

– Tak, proszę pana. Jestem.

Milgrim zamarł, a potem uświadomił sobie, że Brown rozmawia przez komórkę.

– Tak, proszę pana. Jestem – powtórzył agent i dodał po chwili: – Jest. – Znow zapadła cisza. – Jutro. – Kolejna przerwa. – Tak, proszę pana.

Milgrim usłyszał, że Brown składa telefon. Usłyszał stukot porcelany o blat stołu ze szczytu wąskich schodów w domu przy ulicy N. Ten sam rozmówca? Mężczyzna z czarnego samochodu?

Brown poprosił o rachunek.

Milgrim zamknął książkę.

Wilgoć w powietrzu zapowiadała deszcz, który jednak nie nadszedł. Tylko z drzew i przewodów skapywały co większe krople. Zmiana pogody nastąpiła, gdy wygrzewali się w saunie podczas jedzenia *pho*. Góry zniknęły za nieprzeniknioną zasłoną chmur pomniejszającą nieboskłon w tak dużym stopniu, że Milgrim odczuł wyraźną ulgę.

– Widzisz go? – zapytał Brown. – Turkusowy. Stoi na samej górze.

Milgrim pochylił się do austriackiego monokularu, tego samego, którego Brown używał przy obserwacjach prowadzonych jeszcze w SoHo. Znakomita optyka, ale nie potrafił wyostrzyć obrazu. Mgła, światła, stalowe kontenery ustawione w stos, jak cegły. Powykręcane układanki ciągów rur, masywne platformy i wieże dźwigów, wszystko to rozedrgane, nachodzące na siebie, zupełnie jak te najdrobniejsze kawałki plastiku w kalejdoskopie. Ale wreszcie zogniskował obraz na turkusowym prostopadłościanie stojącym na samym szczycie stosu.

– Widzę – poinformował.

– Jakie mieliśmy szanse – zapytał Brown, wrywając mu z rąk monokular – na to, że zostanie ustawiony tak, abyśmy mogli go obserwować?

Milgrim uznał, że to pytanie należy potraktować jako retoryczne, i nie odezwał się słowem.

– Znajduje się nad poziomem ziemi – ciągnął Brown, mocniej dociskając okular przyrządu do oczu. – Wysoko. To zmniejsza ryzyko, że ktoś się do niego dobierze. – Pomimo tej dość przecież pocieszającej informacji agent wciąż wydawał się poruszony obserwowanym widokiem.

Stali przed nowiusieńką, wysoką na dwanaście stóp szarą siatką, obok szerokiego budynku mieszczącego podrzędną tawernę, zza ściany z beżowej cegły wyrastał niespodziewanie niewielki brązowy trzypiętrowy hotel w edwardiańskim stylu. Nosił nazwę Princeton. Milgrim zdążył już zauważyć, że w tym kraju niemal każdy bar ma na własność podupadły hotelik. Na tym również widać było ogromny talerz anteny satelitarnej, tak archaicznej, że wielu młodych ludzi mogło sądzić, że jest równie stara jak sam budynek.

Za nimi znajdowało się połączenie dwu ulic przypominające kształtem literę T. Trzypasmowa aleja wbijała się prostopadle w uliczkę, przy której stał Princeton. Sam port, według Milgrima, wyglądał jak wizerunek długiego, ale zarazem niezwykle płaskiego pociągu, widział kiedyś taki na ścianach pokoju rekreacyjnego dziadka jednego z przyjaciół. Ulica, przy której stał hotel Princeton, graniczyła z terenem portowym, podobnie jak pobliski skwerek z dostępem do CyndiNet.

– Widoczny z ulicy – powiedział Brown, monokular wydawał się już integralną częścią jego oka. – Jakie mieliśmy szanse, że tak będzie?

Milgrim nie znał odpowiedzi na to pytanie, a gdyby nawet znał, nie czułby potrzeby dzielenia się nią z agentem, który nie tylko był ciekaw, ale i najwyraźniej martwił się. Niemniej wspomagany kolejną dawką *rise*'u postanowił spróbować zmienić temat rozmowy.

– A rodzina UZ-a z Nowego Jorku? – zagał.

– Co z nią?

– Oni nie przesyłali wiadomości w wolapiku, prawda? Nie potrzebowałeś mojego tłumaczenia.

– Oni nie przesyłają wiadomości w żadnym znanym języku. Nie dzwonią do siebie. Nie wysyłają e-maili. Nie pokazują się. Koniec, kropka.

Milgrim przypomniał sobie przechwytywacz sygnałów używany przez Browna, który miał umożliwić śledzenie UZ-a zmieniającego non stop telefony i numery. Przypomniał też sobie własną sugestię, aby Brown wykorzystał do tego NSA, ten ich Echelon czy jak mu tam. To co teraz usłyszał od Browna, kazało mu się zastanowić, czy przypadkiem ktoś tego jednak nie robił.

– Wsiadaj do samochodu – rozkazał agent, odwracając się w stronę zaparkowanego taurusa. – Nie chcę, żebyś kombinował. Nie dzisiaj.

71. HARDTOBEONE

– Co wiesz o praniu pieniędzy, Hollis? – zapytał starzec, podając jej talerz z gotowym daniem, na które składały się groszek i ser paneer. Cała czwórka jadła dania kuchni hinduskiej przy dalszym końcu jednego z długich stołów. Zamówili je z dostawą tutaj, co Hollis wydało się logiczne: jeśli knuło się tak jak oni, wychodzenie na zewnątrz nie należało do rozsądnych pomysłów.

Bobby nie lubił hinduskiego żarcia, nie chciał też siedzieć razem z nimi, więc pochłaniał, w pewnym oddaleniu od reszty, wielką serową pizzę, którą musieli zamówić specjalnie dla niego w innym miejscu.

– Handlarze narkotyków – odparła, przepychając plastikowym widelcem ziarnka grochu na biały papierowy talerzyk – mają kupę forsy. Ktoś opowiadał mi, że ci naprawdę wielcy wyrzucają jedno – i pięciodolarówki, bo mają za dużo problemów z ich liczeniem. – Inchmale uwielbiał takie newsy dotyczące nielegalnych operacji wszelkiego rodzaju. – Ale cholernie trudno kupować liczące się towary, mając ciężarówkę gotówki, a do banku można wpłacić tylko drobne kwoty, dlatego facet z walizkami banknotów płaci prowizję tym, którzy wprowadzają je za niego do obrotu.

Starzec częstował się kolorowym ryżem z kawałkami kurczaka polanym jasnobeżowym sosem.

– Jeśli kwota jest wystarczająco wielka, staje się problemem. Co zrobisz z dziesięcioma milionami dolarów, jeśli nie potrafisz wskazać źródła ich pochodzenia?

Dlaczego on jej o tym mówił?

– Ile miejsca zajęłoby te dziesięć milionów? – zapytała mając w pamięci kopertę Jimmy’ego spoczywającą w torebce. – W setkach.

– W setkach – zacmokał. – Mniej, niż myślisz. Dwa miliardy czterysta milionów dolarów w setkach zajmuje tyle samo miejsca ile siedemdziesiąt dwie pralki, chociaż okazało się o wiele cięższe. Milion w takich nominałach waży około dwudziestu trzech funtów i mieści się w niewielkiej walizce. Dziesięć milionów w setkach waży nieco ponad dwieście trzydzieści funtów.

– Widziałeś te dwa miliardy czterysta milionów na własne oczy? – Uznała, że warto o to zapytać.

– Czerwiec roku 2004 – zignorował jej pytanie. – Bank Rezerw Federalnych w Nowym Jorku otworzył skarbiec w niedzielę, aby przygotować wysyłkę takiej kwoty do Bagdadu na pokładach kilku samolotów transportowych C-130.

– Do Bagdadu?

– Wysłaliśmy do Iraku niemal dwanaście miliardów dolarów pomiędzy marcem 2003 a czerwcem 2004. Czerwcowy transport miał posłużyć do zapłacenia za przekazanie władzy przejściowemu rządowi irackiemu przez Koalicyjną Radę Zarządzającą. Największy transfer gotówkowy w historii nowojorskiego banku.

– Czyje to były pieniądze? – Tylko takie pytanie zdołała wymyślić.

– Irackie fundusze zgromadzone głównie z płatności za ropę i zamrożone przez Bank Federalny zgodnie z rezolucją ONZ. Fundusz Rozwoju Iraku. W najlepszych warunkach, nawet w takim kraju jak ten i podczas pokoju, nie ma możliwości prześledzenia, jak zostaje rozdysponowany choćby jeden miliard. A co dopiero mówić o dwunastu miliardach w takiej sytuacji, z jaką mamy do czynienia w Iraku! Dzisiaj jest to absolutnie niemożliwe, nikt więc nie wie, co się stało z większością tych pieniędzy.

– Ale zostały zużyte do odbudowy kraju?

– Czy cokolwiek na to wskazuje?

– Pozwoliły rządowi tymczasowemu utrzymać się na powierzchni?

– Jakaś część na pewno. – Zaczął jeść, spokojnie, lecz metodycznie i z zauważalną przyjemnością.

Napotkała wzrok Anglika, który znalazł ją w alejce. Miał ciemne włosy, obcięte bardzo krótko, zapewne celem ukrycia postępującej łysiny. Według niej wyglądał na inteligentnego człowieka. Inteligentnego, zdrowego i prawdopodobnie wesołego. Mógłby jej się nawet podobać, gdyby nie był kimś w rodzaju międzynarodowego przestępcy, terrorysty, pirata. Kimkolwiek byli ludzie zatrudniający Bobby'ego. Zakładała nawet, że są wielorasową grupą przestępczą, zważywszy na wiecznie zamyślonego chłopaka w czerni, o ciężkich do sprecyzowania korzeniach etnicznych, ale z pewnością nie Anglosasa. Za to starzec był Amerykaninem w każdym calu, widziała to dokładnie, lecz należał do ginącego gatunku. Kiedyś, w czasach gdy krajem kierowali ludzie dorośli, byłby kimś znacznym.

– Przysiądź się – zaproponował pan Inteligentny Zdrowy Kryminalista z drugiej strony stołu, wskazując na krzesło obok siebie. Starzec mając pełne usta pokazał gestem dłoni, że nie powinna odmawiać. Zabrała talerzyk i ruszyła, omijając koniec stołu, na którym zauważyła żółtą prostokątną plastikową skrzynkę pozbawioną jakichkolwiek znaków szczególnych prócz włącznika, trzech czarnych anten, z których każda miała nieco inną długość, i czerwonej ledy. Przyrząd ten, czymkolwiek był, został włączony.

Postawiła talerzyk na stole i usiadła na wskazanym miejscu.

– Jestem Garreth – przedstawił się.

– Nie sądziłam, że padną jakieś nazwiska.

– Cóż – powiedział – niestety nie nazwiska. Ale możesz być pewna, że Garreth to moje prawdziwe imię. Przynajmniej jedno z wielu, jakie mam.

– Powiedz mi, Garreth, czym się zajmowałeś, zanim zacząłeś robić to, co teraz macie w planie?

Zastanawiał się chwilę.

– Sporty ekstremalne. Trochę pobytów w szpitalach, co jest zrozumiałe. Kary i krótki pobyt w więzieniu z tych samych powodów. Budowałem dekoracje do filmów. Występowałem też jako kaskader. A co ty robiłaś pomiędzy nagraniem „Hard to Be One” a aktualnym zajęciem? – Uniósł

brwi w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Traciłam na giełdzie. Zainwestowałam w sklep muzyczny mojej przyjaciółki. Co miałeś na myśli, mówiąc sporty ekstremalne?

– Głównie BASE jumping.

– Skoki do bazy?

– To akronim. B jak budynek, A jak antena, S jak span, czyli przesło, takie jak na moście, i E, jak earth, ziemia, klif, jakakolwiek naturalna formacja. BASE.

– Jaka była najwyższa rzecz, z której skoczyłeś?

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł. – Mogłabyś mnie wyszukać w Sieci.

– A nie wystarczy, że wpiszę w Google Garreth plus BASE jumping?

– Jako skoczek używałem pseudonimu. – Oderwał szeroki pasek od wyglądającego na przypalony krążka *naan*, zwinął go i użył do zebrania resztek tandoori i paneera.

– Czasami chciałabym wrócić do ksywki, jakiej używałam będąc niezależną piosenkarką.

– Ten tam, Tito – Anglik wskazał chłopaka w czerni – widział twój plakat w sklepie na St. Marks Place.

– Tito to jego pseudonim skoczka?

– Raczej jedyne imię, jakie kiedykolwiek miał. Ma cholernie wielką rodzinę, ale od nikogo z jego bliskich nie usłyszałam nazwiska. – Wytarł usta papierowym ręcznikiem. – Myślałaś kiedyś o dzieciach? – zapytał.

– O czym?

– Przepraszam – powiedział. – Jesteś w ciąży?

– Nie.

– A co byś powiedziała, gdybyś musiała przyjąć pewną dawkę radiacji? Mówię o niewielkiej ilości. Naprawdę niewielkiej. Prawdopodobnie. Choć i tak niosącej pewne ryzyko. Ale nie takiej, która zabija.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie.

– Ale nie potrafisz określić dokładnie ilości?

– Nie więcej niż przy kilku prześwietleniach rentgenem. Jeśli oczywiście wszystko dobrze

pójdzie, a na to przecież liczymy. Jeśli coś pójdzie nie tak, dawka będzie wyższa.

– Co może pójść nie tak?

– Cokolwiek, czego się nie spodziewamy.

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Dlatego, że on – wskazał na starca – chce, żebyś poszła ze mną i zobaczyła to, co mam zrobić. Ale moje zadanie wiąże się z ryzykiem, jakie ci przedstawiłem.

– Zaskoczyło cię, że mnie zaprosił do waszej paczki?

– Niezupełnie – odparł. – Od czasu jak z nim jestem, podjął wiele równie spontanicznych decyzji i niemal zawsze miał rację. Dziwniejszym od tego, że cię zaprosił, jest to, kim jesteś, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Hollis Henry. Nie do wiary!. Ale jeśli on ciebie chce, jesteś mile widzianym gościem. Tylko nie wolno ci mnie rozpraszać ani wpadać w histerię, zresztą on twierdzi, że nie należysz do tego typu ludzi. A ja się z nim zgadzam. Dlatego musiałem cię poinformować o ryzyku związanym z radiacją. Wolałbym nie mieć cię na sumieniu, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Ale nie będę musiała z niczego skakać? – Przypomniała sobie, jak Inchmale opisywał syndrom sztokholmski, uwielbienie i lojalność, jakie ofiara może poczuć wobec nawet najbardziej okrutnego z porywaczy. Zastanawiała się, czy nie doświadcza czegoś takiego z tymi ludźmi. Inchmale utrzymywał, że Amerykanie po wydarzeniach z jedenastego września wykształcili w sobie syndrom sztokholmski wobec własnego rządu. Ale potem pomyślała, że powinna poczuć coś podobnego raczej względem Bigenda niż tej trójki. Hubertus był bowiem, co podpowiadała jej intuicja, o wiele bardziej przerażającym porywaczem, rzecz jasna wyłączając Bobby'ego, który wszakże nie wydawał się obecnie odgrywać większej roli.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił ją. – Zresztą ja też nie mam zamiaru skakać.

Mrugnęła nerwowo.

– Kiedy zaczynamy?

– Tej nocy.

– Tak szybko?

– Jak tylko wybije północ. Dosłownie. Ale przygotowania i dotarcie do celu też zajmą trochę czasu. – Sprawdził czas na zegarku. – Wyruszamy o dziesiątej. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia na ostatnią chwilę, a potem poćwiczę trochę jogę.

Spojrzała na niego uważniej. Nigdy dotąd aż do tego stopnia nie utraciła kontroli nad swymi planami, tymi krótko – i długoterminowymi. Miała nadzieję, że najbliższe wydarzenia będą miały wpływ na to, jak dalej potoczy się jej życie, ale wszystko było takie dziwne od momentu, gdy weszła do tego pokoju, że nawet nie miała czasu pomyśleć o tym, iż może jednak powinna się bać.

– Powiedz mu, że się zgadzam – powiedziała. – Powiedz, że akceptuję wszystkie warunki. Idę z tobą.

72. HORYZONT ZDARZEŃ

– A kurtka, w którą ubraliśmy cię w Nowym Jorku przed wejściem do helikoptera? – zapytał starzec krążąc wokół Tita, który nosił teraz nową czarną bluzę z kapturem otrzymaną niedawno od Garretha.

– Mam ją.

– Włóż ją na bluzę, a tu masz coś twardego na głowę. – Starzec podał mu żółty kask.

Tito przymierzył go, zdjął, by dostosować długość plastikowych pasków, i ponownie założył.

– Oczywiście w drodze powrotnej pozbędziesz się zarówno kurtki, jak i nakrycia głowy. I oddaj mi prawo jazdy z New Jersey. Zapamiętałeś swoje nowe nazwisko?

– Ramonę Alcin – wyrecytował Tito, wyciągając plastikową kartę z przegródki portfela i wręczając ją starcowi.

Ten podał mu w zamian przezroczysty worek zawierający telefon, dwie plastikowe karty i parę lateksowych rękawic.

– Nie zostawisz ani jednego odcisku na kontenerze, nie mówiąc o magnesach. Nadal nazywasz się Ramonę Alcin. Masz dokumenty wystawione w Albercie. To tylko nieudolne podróbki, nie prawdziwe dokumenty. Ale powinny sprawdzić się podczas pobieżnej kontroli. Na telefonie zaprogramowano dwa numery szybkiego wybierania, jeśli ich użyjesz, połączysz się z nami.

Tito skinął głową.

– Mężczyzna, z którym spotkasz się przy hotelu Princeton, będzie miał dla ciebie plaketkę do zawieszenia na szyi, z nazwiskiem Ramonę Alcin i twoim zdjęciem. Wprawdzie nie zdołasz z nią przejść żadnej kontroli, ale musisz ją mieć na widocznym miejscu.

– Co to jest „Alberta”?

– Taka prowincja. Stan. Kanadyjski. Człowiek, z którym spotkasz się przy Princetonie, zaparkował wóz na Powell, na zachód od hotelu. Duży czarny pick-up z zabudowaną skrzynią. To bardzo postawny mężczyzna, o dużej wadze i ciemnym gęstym zaroście. Wsadzi cię na skrzynię pick-upa i wwiezie na teren terminalu kontenerowego. Jest pracownikiem portu. Jeśli zostaniesz odkryty na pace, zezna, że nigdy cię nie widział, ty też musisz mówić, że nie znasz jego. Ale mamy wielką nadzieję, rzecz jasna, że nigdy nie zajdzie taka konieczność. A teraz przejdźmy raz jeszcze do map. Tu zaparkował wóz. Tu znajduje się składowisko. Jeśli zaczną cię ścigać po umieszczeniu magnesów, najpierw wyrzuć telefon, potem dokumenty, a na końcu plaketkę. Udawaj zdziwionego. Mów łamanym angielskim. Jeśli zostaniesz schwytany, wpadniesz w kłopoty, ale pamiętaj, że oni nie będą mieli pojęcia, co tam robiłeś. Mów, że szukałeś pracy. Otrzymasz zarzut wkroczenia na teren zamknięty, potem przymkną cię służby imigracyjne. Zrobimy, co się da, żeby cię wyciągnąć. Tak samo jak twoja rodzina. – Podał Titowi drugi woreczek, tym razem ze zwitkiem mocno zużytych

banknotów. – To na wypadek, jeśli uda ci się uciec, ale z jakiegoś powodu stracisz z nami kontakt. Jeżeli coś takiego się zdarzy, pozostań w ukryciu i skontaktuj się z rodziną. Wiesz, jak to zrobić.

Tito ponownie skinął głową. Starzec rozumiał, jak działa protokół.

– Przepraszam – odezwał się po rosyjsku. – Ale muszę zapytać pana o mojego ojca. O jego śmierć. Wiem niewiele więcej ponad to, że został zastrzelony. Z tego co słyszałem, pracował wtedy z panem.

Starzec zmarszczył brwi.

– Twój ojciec został zastrzelony – odpowiedział po hiszpańsku. – Człowiek, który to zrobił, był agentem Castrowskiego DGI, szaleńcem, paranoikiem. Ubzdurało mu się, że twój ojciec składa raporty samemu Castrowi. Prawdę mówiąc, składał raporty mnie, ale to nie miało nic wspólnego z podejrzeniami jego zabójcy, które były całkowicie bezpodstawne. – Spojrzał na Tita. – Gdybym mniej cenił sobie przyjaźń z twoim ojcem, zapewne okłamałbym cię teraz, powiedziałbym, że poświęcił życie w imię wyższych wartości i celów. Ale to był człowiek, który niezwykle cenił prawdę. Mężczyzna, który do niego strzelał, zginął niewiele później podczas bójki w barze, ale przypuszczaliśmy, że była to robota samego DGI, które zdecydowało, że jest już zbyt niepewny i niegodny zaufania.

Tito zamrugnął oczami.

– Nie miałeś łatwego życia, chłopcze. I jeszcze ta choroba matki. Wujowie zadbają, żeby miała najlepszą opiekę medyczną. Gdyby nie zdołali tego załatwić, ja się tym zajmę.

Tito pomógł Garrethowi znieść czarnego pelicana do samochodu.

– Wszystko spoczywa teraz w moich nadgarstkach – powiedział mu Anglik. – Nie powinienem ich sobie ponosić przed nocą, mocując się z tym ciężarem.

– Co jest w środku? – zapytał Tito, z rozmysłem łamiąc protokół, kiedy waliza spoczęła już na skrzyni vana.

– Głównie ołów – odparł Garreth. – Wielki blok litego ołowiu.

Starzec przysiadł się do Bobby'ego, przemawiał do niego cicho, uspokajał. Tito słuchał. Bobby już nie przypominał mu matki. Jego strach miał zupełnie inną częstotliwość. Tito przypuszczał, że chłopak pozwolił strachowi zawładnąć sobą, zaprosił go, sprawił, że go użył, by zrzucić winę za wszystko na innych i móc ich kontrolować dzięki temu lękowi.

Strach matki po tym, jak runęły obie wieże, przypominał głęboki i nieustający rezonans, nietykalny, wolno, ale i nieustannie drążący podstawy, na których zbudowana była jej osobowość.

Spojrzał w górę na pociemniałe niebo i spróbował przywołać Nowy Jork. Ciężarówki łomoczą po metalu na Canal Street, wmawiał sobie. Składy metra przemykają pod płytami chodników systemem tuneli, których plany jego rodzina studiowała z mozolną precyzją. Posiedli tym sposobem, oczywiście w pewnym sensie, wszystkie perony do ostatniego ich skrawka, każdą przestrzeń, wiele kluczy, schowków, szafek: stworzyli z nich scenę do pojawiania się i znikania. Mógł nakreślić dokładne

mapy tuneli, spisać rozkłady jazdy, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie jest już w stanie w nie wierzyć. Zupełnie jak w rosyjskie głosy padające z jego plazmy wiszącej na ścianie pokoju, który już do niego nie należał.

– Jestem Hollis – powiedziała kobieta, wyciągając do niego rękę. – Garreth powiedział mi, że masz na imię Tito.

Była ładna, po prostu kobieca. Patrząc na nią teraz, zrozumiał, dlaczego drukowano plakaty z jej podobizną.

– Jesteś przyjaciółką Bobby’ego? – zapytał.

– Prawdę mówiąc, nie znam go zbyt dobrze – odparła. – A ty długo znasz Garretha?

Tito spojrział na Anglika, który oczyścił fragment podłogi, rozebrał się do czarnych bokserów i t-shirta, aby przyjąć pozycję *asana*.

– Nie – odparł.

Starzec, wykorzystując komputer Bobby’ego, przeglądał newsy na jednym z portali internetowych.

Tito i Bobby znieśli resztę rzeczy na dół. Długą szarą walizkę, dwukołowy wózek obwiązany elastyczną linką, czarny fotograficzny trójnóg i ciężką brezentową torbę.

– Zaraz wyruszamy – oznajmił Garreth.

Starzec uściśnął dłoń Tita, a potem pożegnał Anglika. Na końcu wyciągnął rękę do kobiety.

– Cieszę się, że zawarliśmy umowę, panno Henry – powiedział. Uściśnęła mu dłoń, ale nie odezwała się ani słowem.

Tito, obwiązany od pasa po pachy sześćdziesięcioma stopami czarnej nylonowej linki do wspinaczki, którą ukrył pod bluzą, z magnesami neodymowymi w spodniach, czarną maską wypychającą kieszeń zielonej kurtki i żółtym kaskiem pod pachą, ruszył w dół schodów.

73. SIŁY SPECJALNE

Jechała w miejsce, którego nigdy wcześniej nie widziała, nocą, w furgonetce z dwoma mężczyznami i sprzętem, zupełnie jak w czasach, gdy zaczynała śpiewać w Curfew, zanim dołączyła Heidi. Potem to ona zawsze prowadziła samochód i ładowała cały sprzęt na pakę – sama, jeśli musiała.

Dzisiaj prowadził Garreth. Jechał dokładnie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę przez niezbyt okazałą przemysłową dzielnicę. Ostrożnie, zatrzymując się zgodnie z przepisami. Żadnego gazowania. Po prostu wzorowy kierowca. Takich nie zatrzymuje się do kontroli.

Tito siedząc na pace starał się trzymać od czarnej walizy najdalej, jak to tylko było możliwe. Białe słuchawki iPoda wciśnięte w jego uszy sączyły w nie muzykę, którą tylko on słyszał. Wyglądał jak w transie. Jak dzieciak, który wpadł na chwilę odpoczynku do chill-outu. Dlaczego owinęli go tą czarną liną? Musiało mu być strasznie niewygodnie, ale on nie wydawał się tym przejmować. Obserwowała go, kiedy wykonywał pewną sztuczkę, zanim starzec i Garreth owinęli linkę wokół jego torsu. Zawiązywał szybko jej koniec wokół pionowej rury, zaciskał mocno, a potem cofał się i jednym strzepnięciem rozwiązywał węzeł. Mocowanie, naprawdę solidnie trzymające, gdy je zaciskał, puszczało momentalnie, ledwie dostało odrobinę luzu. Powtórzył ten trik trzykrotnie. Nie nadążała za jego rękami, kiedy wiązał węzeł. Wyglądał tak delikatnie, kiedy odpoczywał, niemal dziewczęco, ale kiedy zaczynał się poruszać, wykonując zadaną mu czynność, przeistaczał się w esencję piękna. Cokolwiek było tego powodem, wiedziała, że ona tego nie ma. To była jedna z jej scenicznych słabości. Inchmale wysłał ją kiedyś, w Hackney, do francuskiego nauczyciela ruchu, aby to zmienić. Człowiek ten powiedział, że nauczy ją chodzić po męsku, co miało wzmocnić jej wizerunek na scenie. Był zadowolony z wyników, choć nie od razu, lecz ona i tak nigdy nie odważyła się zastosować wyuczonego zachowania podczas występu. Kiedyś po kilku drinkach zademonstrowała ten krok Inchmale'owi, a on powiedział, że wydał kupę kasy tylko na to, żeby upodobnić ją do Heidi.

Garreth skręcił w prawo, w główną ulicę, kierując się na wschód. Piętrowy salon sprzedaży, wypożyczalnia samochodów, meble sklepowe. Kilka przecznic dalej skręcił w lewo. Zjeżdżali teraz ze wzgórza wprost na dawną dzielnicę skromnych drewnianych domków mieszkalnych. Kilka z nich wciąż jeszcze stało, ale we wnętrzach nie paliło się światło, a ściany pomalowane były na identyczny ciemny kolor. Nie dbano już o nie.

Właściciele tych gruntów przegrali rozgrywkę w monopolu na żywo z sąsiednimi fabryczkami, sklepami części samochodowych, wytwórcami tworzyw sztucznych. Spłachetki gęstych chaszczki, które kiedyś były trawnikami, otaczały teraz zdziczałe drzewka owocowe. Nie było przechodniów, z rzadka tylko przemknął jakiś samochód. Garreth spojrzął na zegarek, zjechał na pobocze, zgasił światła i wyłączył silnik.

– Jak się zamieszalesz w tę aferę? – zapytała, nie patrząc nawet w jego stronę.

– Usłyszałem, że ktoś poszukuje człowieka posiadającego zestaw dość dziwnych umiejętności – odparł. – Mam przyjaciela, który służył w SAS, też fanatyka BASE. Skakaliśmy razem w Hongkongu. On dostał tę propozycję pierwszy, ale nie skorzystał. Jako wymówkę podał, że służba wojskowa

sprawiła, iż utracił wiele z wymaganej niekonwencjonalności. Poleciał za to mnie, więc poleciałem do Londynu, gdzie miał zorganizować spotkanie. Nie mogłem w to uwierzyć, ale przyszedł po mnie pod krawatem. Cholerny gnojek. Niesamowity. Nawiasem mówiąc, okazało się, że to był jego klubowy krawat, jedyny, jaki posiadał. Z klubu Sił Specjalnych. Tam też się udaliśmy. Nie miałem pojęcia, że mają tam taki klub.

– Jak wyglądał ten krawat?

– Czerń i szarość, wąskie ukośne pasy – poczuła na sobie jego wzrok. – A on czekał na mnie w salonie.

Wiedziała, że ta ostatnia uwaga dotyczy starca. Wyjrzała za okno, lecz niewiele mogła zobaczyć.

– Przyjaciel przedstawił nas sobie i wyszedł. Podano ohydłą kawę. Taką tradycyjną brytyjską lurę. Przygotowałem sobie całą listę pytań, ale nigdy żadnego z nich nie zadałem. Za to cały czas odpowiadałem. To było jak totalne odwrócenie klimatów Kiplinga. On, stary Amerykanin w garniturze, który zapewne nabył jeszcze w latach sześćdziesiątych na Savile Row, zadający mi pytania. Polewający ohydłą kawę. Czujący się w tym klubie jak u siebie w domu. Małe odznaka w klapie marynarki, zapewne baretka odznaczenia, które otrzymał, nie większa niż listek kwasu. – Potrząsnął głową. – Uzależnienie. Byłem uzależniony. – Uśmiechnął się.

– Są rzeczy, o które nie powinnam pytać – powiedziała.

– Niezupełnie. Są tylko rzeczy, o których nie powinienem opowiadać.

– Dlaczego on zamierza to zrobić, cokolwiek to jest?

– Kiedyś pracował dla rządu amerykańskiego, w służbach specjalnych. Człowiek sukcesu. Przeszedł na emeryturę kilka lat przed jedenastym września. Wydaje mi się, poważnie mówię, że lekko zbzikował po tych atakach. Wkurzył się niemiłosiernie. Lepiej nie pytaj go o te sprawy. Ale wciąż miał całkiem spore koneksje. Wszędzie siedzieli jego przyjaciele. Wielu z nich też było nieźle wkurzonych, przynajmniej jeśli wierzyć jego słowom. Starzy agenci. Większość emerytowanych, niektórzy na wylocie, ale też sporo takich, których usunięto, bo nie chcieli podążać za linią wytyczoną przez partię.

– Sugerujesz, że takich ludzi jest więcej?

– To nie tak. Moim zdaniem on ma trochę nie po kolei w głowie, naprawdę. I sędzę, że oni uważają podobnie, choć to nie znaczy, że przestaną mu pomagać i dostarczać funduszy. Zdziwisz się, jak wiele można zdziałać, gdy masz trochę pieniędzy i wolną rękę. Jest bystry, chyba najbystrzejszy ze wszystkich ludzi, których znałem, ale ma obsesję, tematy, na których punkcie totalnie świruje. Jednym z nich, kto wie, czy nie największym, są ludzie, którzy dorabiają się na wojnie w Iraku. Dowiedział się o pewnych sprawach, o rzeczach, które ci ludzie robią. Dzięki swoim rozległym koneksjom dociera do urywków informacji, które potrafi poukładać w całość.

– Po co?

– Po nic. Dla satysfakcji. Dlatego, że może. Uwielbia to. Żyje dla tego.

– Kim są ci ludzie?

– Ja tego nie wiem. A on mówi, że lepiej, żeby tak zostało. Ale powiedział mi też, że raczej o żadnym z tych ludzi nigdy nie słyszałem.

– A mnie opowiedział o praniu pieniędzy i ogromnych transferach gotówki do Iraku.

– Tak – odparł, spoglądając na zegarek. Przekręcił kluczyk, uruchamiając silnik. – Ten jego projekt doprowadza ich do szaleństwa. On pogrywa z nimi w kotka i myszkę. – Uśmiechnął się. – I pozwala im uważać, że odgrywają rolę kota.

– Ciebie też to bawi, z tego co widzę.

– Tak. To prawda. Mam naprawdę niezwykle umiejętności, ale zazwyczaj brak mi możliwości wykorzystania nawet połowy z nich. A już niedługo zrobię się za stary, żeby je praktykować. Prawdę powiedziawszy, chyba już jestem za stary. I to jest główny powód, dla którego zabraliśmy ze sobą tego gościa, Tita. Ten koleżka to prawdziwy talent. – Skręcił w prawo, potem znów w lewo i zatrzymali się na światłach. Kolejny zakręt w lewo i znaleźli się na bardziej ruchliwej ulicy z większą liczbą skrzyżowań. Garreth odchylił się do tyłu i walnął w przepierzenie za sobą.

– Przygotuj się.

– Słucham? – zapytał chłopak wyjmując słuchawki z uszu.

– Hotel na horyzoncie. Dojeżdżamy. Przeciśnij się koło pani i wysiądź z tamtej strony. Facet zaparkował zaraz za hotelem, już na ciebie czeka.

– Okay – powiedział Tito, kiedy van zwolnił, i wsunął białe słuchawki do kaptura swojej bluzy.

Pomyślała, że wygląda w tej chwili na naprawdę poważnego piętnastolatka.

74. JAK W SCENARIUSZU

Milgrim zastanawiał, czy poczęstować Browna tabletką rize'u, kiedy zauważył UZ-a idącego chodnikiem. Właśnie kierowali się na wschód ulicą, przy której stał hotel Princeton, nie pierwszy raz zresztą. Milgrim zgadywał, że nadszedł czas na kolejną sesję w bezprzewodowej sieci CyndiNet.

Bar i hotel znajdowały się o rzut kamieniem od portu. Milgrim podejrzewał, że z tylnych okien wszystkich tych budynków widać ogromne składowisko kontenerów. A z kilku na pewno miałyby doskonały widok na turkusową obudowę tego, który tak stresował Browna.

Wiedział, że nie odważy się zaproponować agentowi tabletki rize'u, ale wierzył też, że jej działanie mogłoby przynieść mu ulgę. Brown mruczał raz po raz, a kiedy milkł, Milgrim widział wyraźnie, jak pracują mięśnie na jego żuchwie. Kilka razy zdarzyło mu się poczęstować środkami uspokajającymi ludzi, którzy nie brali. Ale robił to tylko wtedy, gdy był pewien, że naprawdę bardzo tego potrzebują, no i gdy sam miał spory zapas na stanie. Tłumaczył im zawsze, że przepisano mu te leki (zresztą na ogół faktycznie miał jakąś receptę pod ręką) i że zażycie ich jest całkowicie bezpieczne, jeśli stosuje się według wskazówek. Nigdy jednak nie wnikał, kto powinien dawać te wskazówki.

Nigdy wcześniej nie widział też u Browna tak wielkiego napięcia.

Agent pojawił się w jego życiu tydzień przed Bożym Narodzeniem, na Madison Square, masywna postać ubrana w tę samą czarną kurtkę, którą miał na sobie teraz. Ręka otaczająca ramię Milgrima. Błysk czegoś, co wyglądało na czarne etui z odznaką. „Pójdiesz ze mną. „ I tak to się stało. Wsiadł do samochodu, którym z powodzeniem mógł być na przykład ten wóz, prowadzony przez młodego człowieka o poważnej twarzy z krawatem ozdobionym postacią Goofy'ego w stroju Świętego Mikołaja.

Dwa tygodnie później siedzieli jedząc sandwicze tuż przy oknie lokalu na Broadwayu, kiedy przeszedł obok nich UZ w charakterystycznym skórzanym kapelutku.

Właśnie pojawił się znowu, ale tym razem miał na sobie krótką zieloną kurtkę, a pod pachą niósł kask robotnika budowlanego. Taki młody Johnny Depp, lecz innej rasy, udający się do roboty na nocną zmianę. Widok ten Milgrim uznał za pewien rodzaj cudu. Zapachniało domem.

– Tam idzie nasz UZ – powiedział, wskazując palcem.

– Co? Gdzie?

– Tam. W zielonej kurtce. To on, prawda?

Brown zahamował, rozejrzał się, zakręcił kierownicą i ruszył z kopyta w lewo, przez pas przeciwnego ruchu, prosto na UZ-a.

Milgrim zdążył zauważyć przeraźliwie wrzeszczącą dziewczynę siedzącą obok kierowcy wozu hamującego gwałtownie tuż przed nimi, która pokazała wyprostowanym palcem, co o nich myśli.

Zdażył również zauważyć wyraz twarzy chłopaka w momencie, gdy dostrzegł taurusa – jego oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia.

Zdażył jeszcze zauważyć, że beżowe cegły w ścianach hotelu Princeton są strasznie przygnębiające.

Na koniec zobaczył, że UZ dokonał rzeczy z pozoru niemożliwej: wystrzelił prosto w górę, podciągając nogi i robiąc w powietrzu przewrót, gdy taurus i Milgrim w jego wnętrzu przemykali przez przestrzeń, którą przed momentem zajmował. I wtedy wóz uderzył w przeszkodę, która jednak nie była UZ-em, i nagle jasny twardy przedmiot przypominający olbrzymią grzechotkę, na dodatek zrobioną z betonu, wyrósł znikąd pomiędzy Milgrimem a tablicą rozdzielczą.

Włączył się alarm taurusa.

Już się nie poruszali.

Spojrzał w dół i zobaczył coś na swoich kolanach.

Podniósł ten przedmiot. To było lustro wsteczne.

Przerażająca twarda jasna rzecz, którą dostał w twarz, teraz flaczała. Dźgnął ją lustrem.

– Poduszka powietrzna – mruknął.

Spojrzał w lewo, gdy usłyszał, że Brown otwiera drzwi. Jego poduszka powietrzna, nadal pełna, sterczała z kolumny kierownicy jak nienazwany złowieszczy przyrząd w witrynie sklepu prowadzącego sprzedaż artykułów ortopedycznych. Brown odepchnął ją, wysiadając, niby słabo, ale z wielką złością. Agent stał chwiejnie, opierając się o otwarte drzwi.

Milgrim usłyszał syrenę.

Popatrzył na laptopa Browna wystającego z czarnej nylonowej torby upchniętej między siedzeniami. Ujrzał, jak jego własna dłoń rozpina zamek bocznej kieszeni i znika w jej wnętrzu, by wyłonić się chwilę później z całą garścią listków rize'u. Podniósł wzrok ponad wędną poduszkę powietrzną i zobaczył Browna, który najwyraźniej miał zranioną nogę, podskakiwał bowiem niezdarnie, kierując się w stronę kosza na śmieci, potem wyjął z kurtki glocka zabranego Scynkowi i wsunął go w otwór pojemnika. Przykuśtykał do samochodu, o wiele wolniej i ostrożniej, i oparł się o tajemniczo wygiętą maskę. Jego wzrok spoczął na Milgrimie. Machnął ręką gwałtownie. Wsiadaj!

Milgrim napomniał swoją dłoń, tak śmiałą, ale i głupią zarazem, aby ukryła się razem z tabletkami w kieszeni.

Drzwi się zakleszczyły, lecz gdy pchnął, puściły niespodziewanie, sprawiając, że nieomal wylądował twarzą na chodniku. Z Princeton wysypał się tłum ludzi. Baseballowe czapeczki i nieprzemakalne kurtki. Włosy jak na deathmetalowym koncercie.

– No rusz się – rozkazał agent, opierając się obiema rękami o maskę wozu, aby odciążać zranioną nogę.

Milgrim zauważył zbliżające się błyski kogutów, wręcz rosły w oczach, zniżając się po zboczu, od wschodu.

– Nie – powiedział. – Przepraszam.

Odwrócił się i odszedł na zachód tak szybko, jak tylko potrafił. Czekał, kiedy ręka, czyjakołwiek, spocznie na jego barku albo chwyci go za ramię.

Usłyszał, jak syreny milkną w połowie bolesnego jęku. Widział odbłyśki wirujących za nim świateł mknące po chodniku, ożywiające jego cień.

Jego dłoń, ukryta w kieszeni marynarki z kolekcji Jos. A. Banksa, zdecydowała, że czas wyłuskać tabletkę rize'u z plastikowego łoża. Wprawdzie nie do końca zgadzał się z tą decyzją, ale i tak połknął tabletkę na sucho, gdyż nie miał w zwyczaju marnować towaru. Ujrzał pasy przejścia dla pieszych wymalowane na nawierzchni ulicy. Światła właśnie się zmieniały, więc przeszedł na drugą stronę ze wzrokiem utkwionym w żwawym podświetlonym piktografie.

Poszedł w górę zbocza, potem w stronę względnej ciemności, dźwięk klaksonu uszkodzonego taurusa został daleko w tyle.

– Przepraszam – powiedział, wciąż idąc, do wysokich ciemnych domów wyrastających pomiędzy starą niską zabudową handlową, podczas gdy jego sprytna, zajęta wciąż dłoń obmacywała kieszenie, jakby był klientem izby wytrzeźwień, którego właśnie przyjmowała.

Zdobyty towar. Rize. Nowy portfel, pusty. Szczoteczka do zębów. Pasta. Zawinięta w papier toaletowy jednorazowa maszynka do golenia. Zatrzymał się, zawrócił, spoglądając w dół ulicy, w miejsce, gdzie przed chwilą Brown usiłował zabić UZ-a. Pragnął znaleźć się z powrotem w hotelu Best Western i przyglądać się teksturom sufitu. W telewizorze leci stary film, głos jest lekko ściszony, tylko kątem oka rejestruje poruszające się obrazy. Jakby miał w pokoju żywego zwierzaka.

Ruszył dalej, czując na sobie wzrok pustych okiennic mijanych starych domów. Czuł się przytłoczony ciemnością, ciszą, widmami dawno utraconego domowego zacisza.

Ale nagle ujrzał górne piętra domów przy sąsiedniej ulicy, jakby wynurzyły się teraz z nicości, inny, lepszy świat obciążony całą niesamowitością wielkiej halucynacji. Wnętrza budynków zdawały się lśnić, ozdobny złoty liść, symbol sklepu tytoniowego, obok sklep wielobranżowy i wiele innych. Dzielnica ponurych starych domostw wracała do czasów swojej świetności na jego oczach, w tym jednym, jedynym tajemnym momencie.

A potem dostrzegł kamerę obracającą się na końcu wygiętego metalowego ramienia, rejestrującą wszystkie obrazy, i nagle zrozumiał, że to plan filmowy skonstruowany we wnętrzu mrocznych ruin starej odlewni.

– Przepraszam – powiedział, mijając samochody firmy cateringowej i dziewczęta rozmawiające przez walkie-talkie.

Poczuł, że kostka zaczyna go swędzieć, pochylił się, aby podrapać swędzące miejsce, i znalazł sto pięćdziesiąt kanadyjskich dolarów wetknięte za ściągacz skarpetki, pozostałość po operacji

„glockowanie”.

A co jeszcze lepsze, w tym samym czasie, wykorzystując tę mniej bystrą rękę, odkrył w kieszeni swoją książkę.

Wyprostował się i przycisnął ją do policzka, ciesząc się jak dziecko, że jej nie zgubił. W jej wnętrzu, pomiędzy wymiętoszonymi okładkami, istniały krajobrazy, postacie. Brodaci herezjarchowie w przystrojonych klejnotami togach uszytych z wieśniaczych łachmanów. Drzewa przypominające wielkie martwe gałęzie.

Odwrócił się, by spojrzeć raz jeszcze na nieziemską poświatę planu filmowego.

Brown, tego był pewien, już odjechał, pewnie tłumaczy się teraz policji. W hotelu Princeton czekały sandwicze i coca-cola, za których sprawą zyska drobne na autobus albo taksówkę. A potem odnajdzie drogę na zachód, do samego centrum miasta, jakieś schronienie, a może nawet i plan.

– Quintin – powiedział, ruszając w dół zbocza, w kierunku Princetona. Quintin był krawcem. Bogiem wcielonym duchowych libertynów spalonym za uwodzenie szacownych dam w Tournai w roku 1547.

Historia bywała dziwna, pomyślał Milgrim. I to bardzo.

Mijając dziewczęta z bezczelnie obnażonymi krótkofalówkami, skinął w ich kierunku głową. Piękności z wymiaru, w którym znajdował się teraz Quintin.

75. HEJ, KOLEGO

Oszosi, zwiadowca i łowca, wszedł w Tita w połowie salta. Chłopak usłyszał, jak szary samochód rozbija się o latarnię w tej samej chwili, gdy jego adidas ponownie zetknęły się z powierzchnią chodnika, ta zbieżność sprawiła, że utracił rozeznanie, co było przyczyną, a co skutkiem. Orisz natychmiast popchnął go do przodu, a potem, zupełnie jak dziecko, które porusza lalką, przejął kontrolę nad jego kończynami. Oszosi rósł w głowie Tita, ogromny bąbel wypełniał już szczelnie całą przestrzeń pod szarą kopułą czaszki, rozgniatając jaźń chłopaka ojej powierzchnię. Tito chciał krzyknąć, ale Oszosi zacisnął zimne, wilgotne drewniane palce wokół jego krtani.

– Kolego – usłyszał, jak ktoś do niego mówi. – Hej, kolego, nic ci się nie stało?

Oszosi przeprowadził go obok głosu, serce Tita łomotało pod żebrami opasanymi szczelnie linką, szamocząc się niczym przerażony ptak.

Niedźwiedziowaty brodaty mężczyzna w grubym ciemnym ubraniu, świadek niedawnego wypadku, wspinał się właśnie do kabiny wielkiego pick-upa. Tito zastukał otwartą dłońią w czarną płaską pokrywę skrzyni samochodu. Rozległ się głuchy dźwięk.

– Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy? – krzyknął mężczyzna w jego stronę, wychylając się z gniewnym wyrazem twarzy przez wciąż otwarte drzwi.

– Przyjechałeś tu po mnie – powiedział Oszosi, a Tito ujrzał, jak oczy mężczyzny, wysoko nad bujną brodą, otwierają się szerzej. – Wpuść mnie.

Mężczyzna podbiegł na tył wozu z dziwnie pobielającą twarzą i zaczął szarpać klamry zamykające pokrywę. Uniósł ją, a Tito wsunął się do środka, upuszczając kask, gdy przewrócił się na wielki, rozłożony brązowy karton. Usłyszał syreny.

Coś spoczęło w jego dłoni. Żółty kawałek plastiku przyczepiony do taśmy tego samego koloru. Plakietka identyfikacyjna. Pokrywa z włókna szklanego wróciła z hukiem na swoje miejsce, a Oszosi zniknął. Tito jęknął, czując, że zbiera mu się na wymioty. Usłyszał trzask zamykanych drzwi pick-upa, ryk silnika i poczuł, że wóz ruszył.

Mężczyzna, który ścigał go po Union Square. Jeden z dwóch, którzy go wtedy nieomal dopadli. Był tutaj i przed chwilą usiłował go zabić.

Ściągnięta mocno linka powodowała silny ból żeber. Wymacał w kieszeni dzinsów telefon i otworzył go, ciesząc się z nikłego blasku wyświetlacza. Wybrał pierwszy z dwóch zaprogramowanych numerów.

– Tak? – odebrał starzec.

– Widziałem jednego z ludzi, którzy ścigali mnie po Union Square.

– Tutaj?

- Próbował mnie przejechać samochodem, przed hotelem. Uderzył w latarnię. Policja już jedzie.
- Gdzie on jest?
- Nie wiem.
- A gdzie ty jesteś?
- W pick-upie twojego przyjaciela.
- Zranił cię?
- Raczej nie.

W słuchawce zasyczało, sygnał zaniknął. Połączenie zostało przerwane.

Tito wykorzystał poświatę bijącą z ekranu komórki, by rozejrzeć się po pace pick-upa, która była pusta, jeśli nie liczyć żółtego kasku i plakietki w tym samym kolorze. Ramonę Alcin. Na zdjęciu był podobny zupełnie do nikogo. Wsunął głowę w pętlę taśmy, zamknął telefon i przeturlał się na plecy.

Leżał tak, uspokajając oddech, potem sprawdził całe ciało, metodycznie rozciągając mięśnie, aby przekonać się, czy niczego nie skręcił ani nie uszkodził. Jak człowiek z Union Square mógł tropić go aż do tego miejsca? Przerazający wzrok wbity w niego zza przedniej szyby szarej limuzyny. Po raz pierwszy ujrzał zbliżającą się śmierć odbitą w czyichś oczach. Śmierć jego ojca, zastrzelonego przez szaleńca, wedle słów starca.

Samochód zatrzymał się na światłach, później skręcił w lewo.

Tito ustawił telefon na wibrację. Potem schował go ponownie do bocznej kieszeni dzinsów.

Pick-up zwolnił i zatrzymał się. Tito usłyszał głosy.

Po chwili ruszyli, koła przetoczyły się z grzechotem po metalowych kratkach.

76. SZUKAJĄC PLENERU

Po wysadzeniu Tita i przejechaniu jeszcze niewielkiego odcinka alei, przy której przycupnęły przysadziste warsztaty naprawy samochodów i łodzi, Garreth skręcił w prawo na parking przy znacznie wyższym budynku, wyglądającym, jakby wzniesiono go według zupełnie innej skali. Zaparkowali na jego tyłach, obok pary lśniących nowością kubłów na śmieci i rzędu pojemników na segregowane odpadki. Całą powierzchnię kubłów, co nie uszło uwagi Hollis, pokrywał sitodruk przedstawiający zmultiplikowane zdjęcie. Poczła tchnienie sztuki użytkowej.

– Szukamy plenerów do filmu – powiedział Garreth, wyciągając pomarańczowy kartonik z napisem PRODUKCJA spomiędzy siedzeń i umieszczając go pod przednią szybą.

– Jakiego filmu?

– Na razie bez tytułu – odparł – ale z całkiem sporym budżetem. Nawet jak na standardy Hollywood. – Wsiadł, więc poszła w jego ślady.

I oniemiała, widząc lśniący bezkres portowej zatoki, od której oddzielała ją jedynie dwunastostopowa siatka i tory kolejowe. Oświetlające teren reflektory przypominały te stosowane na stadionach, tyle że były o wiele wyższe. Dawały niezemskie światło imitujące dzień. W głębi stały całe rzędy betonowych cylindrów połączonych ażurowymi konstrukcjami, co nadawało im wygląd abstrakcyjnych rzeźb. To silosy, odgadła. Inne konstrukcje, czarne zbiorniki wyglądające na dzieło znacznie bardziej stechnicyzowanego rzeźbiarza, były nie tylko ogromne, ale i efemeryczne, z jednego buchała para. przywodził jej na myśl ogromny kocioł wrzątku wystawiony na zimne powietrze. Za nimi wznosiły się jeszcze wyższe ramiona tytanicznych, konstruktywistycznych dźwigów, które zauważyła już wcześniej, kiedy zatrzymała się obok kryjówki Bobby’ego. Pomiędzy torami i tymi ogromnymi rzeźbami stała lita ściana z karbowanego metalu, całe mnóstwo kontenerów transportowych, poustawianych jeden na drugim jak klocki niezwykle zdyscyplinowanego dziecka. Wyobraziła sobie, że nad nimi wisi szkieletowy kształt, który ujrzała w pracowni Bobby’ego, niewidzialny jak sylwetka zmarłego Rivera spoczywającego na chodniku pod Viper Room.

To miejsce emitowało biały szum, uświadomiła sobie, i to w zadziwiająco potężnych dawkach. Przeszywające aż do szpiku kości żelazne tło. Ale wystarczy tutaj spędzić jeden dzień, a przestaniesz na nie zwracać uwagę, uświadomiła sobie.

Odwróciła się i spojrzała na budynek, za którym zaparkowali, i raz jeszcze zaskoczyła ją jego skala. Miał osiem wysokich kondygnacji, fundamenty na tyle szerokie i głębokie, by utrzymać ogromną masę ciężącego na nich sześcianu. Skala dawnych budowli przemysłowych z Chicago, tutaj absolutnie obca.

– Tu możesz mieszkać i pracować zarazem – wyjaśnił Garreth, otwierając tylne drzwi vana. – Wynajmują studia.

Wyjął owinięty linkami wózek, rozłożył go i ustawił poziomo na ziemi. Potem sięgnął po długi szary futerał, który ułożył ostrożnie na chodniku obok wózka. Nie porusza się za szybko, zauważyła, robi wszystko w takim tempie, aby jego ruchy nie wyglądały na zbyt szybkie.

– Mogłabyś pomóc mi i przenieść tę torbę i trójnog? – Chwycił pewnie czarną walizę i jęknął cicho, gdy odwracał się z nią w stronę wózka. Umieścił ją na nim, następnie postawił na niej podłużny futerał, tak by zaklinować go o konstrukcję wózka, a potem wykorzystał linkę, by połączyć wszystkie elementy w jedną całość.

– Co w niej jest? – zapytała, mając na myśli torbę z materiału, gdy już wyjęła złożony trójnog i umieściła go sobie pod pachą.

– Luneta i fartuch.

Podniosła torbę za uchwyty.

– Wyjątkowo ciężki fartuch.

Zamknął i zaryglował tylne drzwi vana, potem pochylił się nad uchwytem wózka.

Hollis spojrzała w stronę składowiska kontenerów, myśląc o pirackiej opowieści Bigenda. Niektóre z nich stały tak blisko, że mogła odczytać na nich nazwy spedytatorów: YANG MING. CONTSHIP.

Garreth pchał wyładowany wózek w górę pochylni, w stronę podwójnych drzwi, które od razu skojarzyły jej się z fabryką Bobby’ego. Ruszyła za nim, ciężka torba obijała się jej o kolana, gdy on usiłował znaleźć odpowiedni klucz, by otworzyć jedne z drzwi.

Zamknął je dokładnie, ledwie znalazła się w środku. Ceramiczne płytki na podłodze miały kolor brązowy, ściany były białe, a sprzęt oświetleniowy spełniał wysokie wymagania. Garreth użył kolejnego klucza, tym razem na stalowym panelu przy drzwiach windy. Nacisnął podświetlany klawisz. Szerokie, pokryte szklivem wrota zatrzęsły się w trakcie otwierania, odsłaniając kabinę wielkości solidnego pokoju o ścianach wyłożonych surową niemalowaną sklejką.

– Poważny udźwig – powiedział Garreth z aprobatą, gdy wpychał do niej wózek z czarną walizą i szarym futerałem. Hollis położyła torbę na upstrzonej plamkami farby podłodze windy, obok wózka. Garreth nacisnął guzik. Drzwi zamknęły się i zaczęły piąć się w górę.

– Uwielbiałem Curfew, kiedy chodziłem do college’u – powiedział. – To znaczy, teraz też lubię, rozumiesz, o co mi chodzi?

– Dzięki – odparła.

– Dlaczego się rozpadliście?

– Kapele są jak małżeństwa. A może dotyczy to tylko tych dobrych zespołów. Kto wie, dlaczego wszystko się w nich układa do czasu i dlaczego potem nagle się rozpadają?

Winda zatrzymała się, otwarte drzwi odsłoniły kolejne przestrzenie wyłożone brązowymi płytkami. Hollis ruszyła za Garrethem w głąb pomalowanego na biało korytarza.

– Byłeś tu już kiedyś? – zapytała.

– Nie. – Zatrzymał wózek obok drzwi i wyjął pęk kluczy. – Wysłałem przyjaciółkę, żeby zaaranżowała wynajem na wieczór. Ona pracuje przy produkcji filmów, wie, jak zagadać. Właściciele myślą, że szukamy miejsca na nocne zdjęcia, sprawdzamy dogodne punkty widzenia. – Przekręcił klucz. – I prawdę mówiąc tym się właśnie zajmujemy, więc trzymaj kciuki. – Otworzył drzwi i wtoczył wózek do środka. Weszła za nim. Znalazł włącznik światła.

Wysokie pomalowane na biało pomieszczenie, z czymś w rodzaju antresoli, oświetlone wieloma halogenami wiszącymi jak klamerki na rozciągniętych wysoko przewodach. Ktoś obrabiał tutaj szkło, zauważyła. Masywne, grube na dłoń płyty połyskującego zielonkawo na krawędziach szkła, niektóre z nich rozmiarów drzwi, leżały równo ułożone na specjalnych stojakach z galwanizowanych rur, jak najzwyklejsze płyty CD. Oprócz nich zauważyła karbowane rękawy z folii aluminiowej, wysokosprawne filtry powietrza, wentylatory. Praca w miejscu zamieszkania nie wydawała jej się już tak pociągająca, jeśli w grę wchodziła obróbka szkła. Położyła ciężką torbę na warsztacie, obok odstawiła trójnóg i podrapała się po boku. przez żakiet, wciąż myśląc o drobinkach rozartego szkła.

– Wybacz – odezwał się do niej, biorąc trójnóg – ale muszę pobawić się teraz w operatora. – Przeszedł do szerokiego okna, którego szybki łączyła stalowa rama, i sprawnie rozstawił trójnóg. – Czy możesz otworzyć torbę i podać mi lunetę?

Zrobiła, o co prosił, znalazła szeroką, ale i zadziwiająco krótką lunetę leżącą na górnej warstwie dokładnie złożonego jasnoniebieskiego tworzywa. Podała przyrząd Garrethowi i przyglądała się, jak montuje go na trójnogu, zdejmując czarne pokrywy z soczewek i przykłada oko do okularu, dostrajając ostrość. Gwizdnął.

– A niech mnie. Kurwa. – Znów gwizdnął. – Pardon.

– Co się dzieje?

– Mało brakowało, a akcja byłaby nieudana. Przez ten dach. Spójrz.

Pochyliła się do okularu.

Turkusowy kontener zdawał się unosić tuż nad powierzchnią pochyłego, pokrytego blachą dachu wieńczącego wysoki i pozbawiony okien budynek. Zrozumiała, że postawiono go na najwyższej warstwie składowiska.

– Gdyby ten dach był ledwie o stopę wyższy, szlag by trafił całą operację – powiedział. – Nie mieliśmy o nim pojęcia.

Pochylił się nad wózkiem, by odpiąć wszystkie linki. Przeniósł podłużny futerał na warsztat i ostrożnie położył go na blacie obok torby. Potem wrócił do wózka, leżącego teraz na podłodze, i czarnej walizy spoczywającej na nim. Przyklęknął i wyciągnął z kieszeni żółty przedmiot wielkości iPoda. Potrzymał go blisko walizki, nacisnął coś, potem przysunął bliżej i sprawdził odczyt na niewielkim ekraniku.

– Co to za urządzenie?

– Dozometr. Rosyjski. Z przeceny. Doskonała jakość.

– A co on robi?

– Mierzy poziom radioaktywności. Wszystko w porządku. – Uśmiechnął się do niej, nadal klęcząc na podłodze.

Nagle, obserwując jego poczynania, poczuła się niepewnie. Rozejrzała się uważniej i zauważyła płachtę białego brezentu z zamkiem błyskawicznym przymocowaną tak, aby wydzielić część powierzchni. Udając zaciekawienie, podeszła do białej zasłony i rozsunęła trochę zamek, który tuż nad ziemią skręcał w bok. Włożyła głowę w niewielki otwór.

Prosto w czyjeś życie. W życie jakiejś kobiety. Cała zawartość mieszkania została wciśnięta na siłę w ten skrawek. Łóżko, komoda, walizki, regały, ubrania wiszące na obrotowym stojaku. Czyjeś dzieciństwo wyzierało z półki pod postacią wypchanego akrylowego futerka.

Zamknięty pokrywką papierowy kubek z logo Starbucks, zapomniany na rogu komódki kupionej w IKE-i. Światło docierające do wnętrza przez białą zasłonę było rozproszone i mleczone. Nagle Hollis poczuła się winna. Cofnęła głowę, zasunęła zamek.

Garreth otworzył podłużny futerał.

W jego wnętrzu znajdował się karabin. A raczej jego surrealistyczne wyobrażenie. Jego kolba z delirycznie uziarnionego tropikalnego drewna wydawała się biomorficzna, wręcz fantasmagoryczna, jak element krajobrazu u Maxa Ernsta. Lufa, która w jej mniemaniu wykonana została ze stali nierdzewnej, podobnie jak wszystkie metalowe części tej broni, opakowana była w długą tubę z lśniącego szarego stopu, który przywodził na myśl luksusowe europejskie sprzęty kuchenne. Zupełnie jak wałek do ciasta sygnowany logo Cuisinart. Ale pomimo tych skojarzeń wciąż widziała przed sobą karabin z lunetą i czymś jeszcze, przewieszonym pod wylotem kojarzącej się z wałkiem lufy.

Garreth rozwinął niewielki czarny woreczek, który zdawał się mieć własny wewnętrzny plastikowy szkielecik.

– Co to? – zapytała.

– Wyłapuje łuski, kiedy są wyrzucane z komory – odparł.

– Nie to – przerwała mu. – Tamto – wskazała na karabin.

– Kaliber trzydzieści. Dziesięciozwojowa lufa z czterema brzdami gwintu.

– On mówił, że nie zabijecie nikogo. – Za oknem widziała lśniąca czarne zbiorniki, tak dziwnie delikatnie teraz wyglądające, gdy buchały z nich strumienie pary. Co będzie, jeśli trafi w jeden z nich?

Zadzwoiła jej komórka.

Cofnęła się i przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu aparatu, wyciągnęła go nerwowym ruchem razem ze skramblerem, który dyndał na przewodzie.

– Hollis Henry.

– Ollie czeka na zewnątrz – powiedział Bigend.

Garreth spoglądał na nią, wciąż trzymając w ręku czarny woreczek, jakby to był ezoteryczny element wiktoriańskiego sprzętu pogrzebowego.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Straciliśmy twój sygnał w chwilę po tym, jak opuściłaś samochód – kontynuował Bigend. – Nadal stoi tam, gdzie go zostawiłaś. Potem sygnał znów się pojawił, przesunął się na zachód po Clark. Jesteś bezpieczna?

Garreth przekrzywił głowę, uniósł brwi.

Spojrzała na dyndający wciąż skrambler, zdając sobie sprawę, że ukryto w nim kolejny z GPS-ów Pameli. Gnojek.

– Nic mi nie jest – odparła. – Ale Ollie na pewno mi nie pomoże.

– Mam go odesłać?

– Raczej tak. Jeśli tego nie zrobisz, uznam to za zerwanie umowy.

– Załatwione – rzucił i przerwał połączenie.

Zamknęła telefon.

– Praca – powiedziała.

– Nie mogli się połączyć wcześniej, bo włączyłem zagłuszacz, kiedy zabrałem cię na górę. Mogłaś mieć przy sobie podsłuch. Trzymałem go włączony przez cały czas. Powinienem być powiedzieć ci o tym wcześniej, ale miałem inne problemy na głowie. – Wskazał na karabin leżący w szarym łożu pianki.

– Co zamierzasz z nim zrobić, Garreth? Chyba nadszedł najwyższy czas, żebyś mi powiedział.

Wyjął broń z futerału. Wydawało się, że szybuje nad jego rękami, ale potem kciuk Anglika pojawił się w otworze o niezwykle opływowym kształcie.

– Dziewięć strzałów – powiedział. – Obrotowy zamek. Jedna minuta. Równomierne rozłożenie po całej czterdziestostopowej powierzchni cortenowej stali. Stopę nad dnem kontenera. To powinno wystarczyć, aby kule przeszły nad dolną częścią wzmocnień konstrukcji, której by nie przebiły... – Spojrzał na zegarek. – Słuchaj – dodał – możesz obserwować, jak będę to robił. Nie mogę się przygotowywać i jednocześnie objaśniać ci wszystkiego, co robię, przynajmniej nie ze szczegółami. Ale wiedz, że on mówił prawdę. Nie mamy zamiaru nikogo zabić. – Przymocował czarny worek do karabinu i odłożył broń na miejsce. – Czas, abyśmy założyli ci fartuch – powiedział sięgając do wnętrza torby i wyciągając gruby pakiet jasnoniebieskiego plastiku. Rozwinął go na całą długość.

– Co to jest?

– Fartuch ochronny dla radiologów – wyjaśnił, przekładając niebieską pętlę przez jej głowę i obchodząc ją od tyłu, gdzie najpierw rozpiął i ponownie szpecił rzepy. Spojrzała w dół na niebieską płaską tubę, w jaką fartuch zamienił jej sylwetkę, i zrozumiała, dlaczego torba była taka ciężka.

– A ty nie zakładasz czegoś takiego?

– Ja – odparł wyciągając z torby znacznie mniejszą płachtę – zadowolę się tym motylkiem. – Założył ją na szyję, zapinając z tyłu i ustawiając grubszą część pod brodą. – Tym osłonię tarczycę. A tak przy okazji, mogłabyś wyłączyć dzwonek w komórce?

Wyjęła telefon i wykonała jego polecenie.

Założył na grubą obudowę lufy długą na stopę, czarną nylonową opaskę. Przyjrzała się jej dokładnie i zauważyła sploty tkaniny. Garreth spojrział na zegarek. Ponownie sprawdził odczyt dozymetru, tym razem stojąc na samym środku studia. Podszedł do oprawionego w stalową ramę okna. Było podzielone na pięć części, ale zauważyła, że tylko te zewnętrzne dadzą się otworzyć. Garreth odchylił tę, która była najbliższa rogowi pomieszczenia. Poczowała powiew chłodnej bryzy przetykany czymś, co kojarzyło jej się z zapachem elektryczności.

– Trzy minuty – oznajmił. – Zaczynamy.

Przyklęknął przy czarnej plastikowej walizie i otworzył ją. Zdjął grubą na trzy cale płytę z ołowiu i położył na podłodze. W masie ołowiu wypełniającej wnętrze walizy wywiercono dziewięć otworów. W jednym rzędzie pięć, w drugim cztery. Ze wszystkich wystawały kawałki tworzywa przypominającego saran. Garreth wyjął jeden po drugim naboje o butelkowatych czubkach, używając tylko lewej ręki i przekładając je natychmiast do prawej dłoni. Wstał, przeniósł je ostrożnie i ułożył na warsztacie, każdy z nich z cichym kliknięciem wpasował się w łożę z szarej pianki. Rozwijał je teraz po kolei i wkładał do czarnych nylonowych szlufek w pasie z rodzaju tych, jakie w kreskówkach noszą na piersiach wszyscy meksykańscy bandyci. Spojrział na zegarek.

– Minuta. Do północy.

Podniósł karabin i wycelował w ścianę, poruszając kciukiem. Intensywny czerwony punkt pojawił się na niej na moment i zniknął.

– Będiesz strzelał do kontenera.

Mruknął twierdząco.

– Co w nim jest?

Podszedł do okna z karabinem opartym o biodro. Spojrział w jej stronę, ochrona tarczycy wyglądała teraz jak źle leżący niebieski golf.

– Sto milionów dolarów. Poukładane na paletach rozstawionych po całej podłodze. Na wysokość około czternastu cali. Nieco więcej niż tona amerykańskich studolarówek.

– Ale dlaczego – zapytała – dlaczego będziesz do nich strzelał?

– Pociski remington silvertips. Wydrażone. – Otworzył zamek, wyjął jeden z naboju ze szlufki i załadował broń. – We wnętrzu każdego kapsułka używana przy brachyterapii. To taka metoda leczenia raka, działa we wnętrzu chorej tkanki, oszczędzając zdrową. – Spojrzał na zegarek. – Najpierw wszczepiają małe tuby, potem wstrzykują kapsułki. Z silnie radioaktywnym izotopem. – Podniósł karabin do ramienia, wystawił lufę za okno, stał teraz tyłem do niej. – W tych jest ciez – usłyszała jego słowa.

W momencie gdy rozległ się dźwięk syreny, a może elektrycznego dzwonu, dobiegający od strony portu, Anglik strzelił, łuska wypadła, on załadował kolejny nabój i znowu oddał strzał, powtarzając czynności, aż wpadł w niemal mechaniczny rytm, a kiedy wszystkie czarne szlufki były puste, dźwięk dobiegający z zewnątrz umilkł. Jak na zawołanie.

77. LUŻNA LINA

Guerreros nie czekali na niego, kiedy wy dostał się z czarnego łoża pick-upa, mrużąc oczy przed blaskiem sztucznych słońc. Za to natychmiast wyczuł Oszun, tak spokojną i delikatną pośród morza żelaza i hałasów czynionych przez setki silników dźwigających ogromne ciężary. Sprawiała, że powróciło opanowanie, które utracił po spotkaniu z szaleńcem w szarym samochodzie i nagłym wtargnięciu Oszosiego.

Stojąc na skraju zatłoczonego przejścia pomiędzy składowiskami kontenerów, kilkoma ruchami sprawił, że oplatający jego żebra czarny elastyczny wąż zsunął się z obolałych piersi. Ledwie lina upadła u jego stóp, ujął jeden jej koniec, skręcił ją w zwój i przewiesił przez ramię. Upewnił się, że plakietka identyfikacyjna wisi w widocznym miejscu, podniósł dwa zamknięte, ale niemal puste hoboki ze stosu podobnych im naczyń po farbie, i ruszył wzdłuż ściany ze stali, starając się poruszać szybciej i bardziej zdecydowanie niż większość ludzi wokół. Ustępował z drogi jedynie przed specjalistycznymi pojazdami, wózkami widłowymi i karetką.

Gdy ocenił, że odszedł wystarczająco daleko, okrążył najbliższy stos kontenerów i ruszył z powrotem, idąc tak szybko, jak powinien poruszać się malarz niosący potrzebną farbę i doskonale wiedzący, dokąd zmierza.

W rzeczy samej wiedział; znajdował się może piętnaście stóp od miejsca, w którym stał kontener starca, gdy rozbrzmiał dźwięk syren zwiastujący północ i rozpoczęcie nocnej zmiany. Kiedy spojrzał w górę na turkusowy kontener, wydało mu się, że dostrzega jakieś zawirowania w powietrzu. Przypomniawszy sobie, jak *guerreros* tworzyli wiry wiatru na Union Square. Ale tutaj ich przecież nie było.

Odstawił puszki po farbie tak, aby nie przeszkadzały, wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki, założył je i zbliżył się do składowiska w miejscu, gdzie było wysokie na trzy kontenery. Ustawiono je drzwiami w jedną stronę, dokładnie tak, jak powiedział starzec. Tito wyjął z kieszeni maskę i odpakował ją. Zdjął kask i założył na twarz filtry, wystarczyła jedna poprawka i pasowały jak ulał. Nie miał pojęcia, w jaki sposób taka rzecz ma mu pomóc przy sztuczce z liną, ale Oszun ją akceptowała. Cofnął się o krok, kiwając głową operatorowi, i poczekał, aż przejedzie prowadzony przez niego wózek widłowy.

Drzwi kontenerów zamknięte były za pomocą osadzonych na zawiasach pionowych metalowych prętów, do których dospawano skuwki przesłonięte kawałkami kolorowego tworzywa. Wyciągnął ze spodni prostokątny pojemnik na magnesy, przełożył linkę przez głowę, nie zdejmując kasku, i wspinał się po prętach na szczyt składowiska. Nowiutkie adidas GSG9 idealnie trzymały się karbowanej powierzchni metalu na drzwiach kontenerów. Wspinał się w sposób, jaki sugerowała Oszun, jak gdyby chciał dowieść jej, że potrafi to zrobić.

Oddychał ciężko przez czarną maskę. Nie przejmował się tym jednak. Uchwycił śliską krawędź turkusowego kontenera, podciągnął się na jego szczyt i natychmiast przetoczył na środek.

Zamarł w przykłęku, wyczuwając obecność czegoś, czego nie potrafił nawet nazwać. Bogini, portowe hałasy, starzec, dziesięć pomalowanych krążków wiszących teraz na jego szyi niczym puste

pieczęcie. Coś jednak miało się zmienić. Czy na świecie, czy tylko w jego życiu, tego nie wiedział. Zamknął oczy. Ujrzał otoczony poświatą niebieski wazon stojący tam, gdzie go ukrył, na dachu budynku, w którym kiedyś mieszkał.

Zaakceptuj to.

Tak zrobię, odpowiedział jej.

Nadal skulony przedostał się na drugi kraniec kontenera. W każdym jego rogu znajdował się uchwyt, pewien rodzaj pętli, dzięki której, tak przynajmniej twierdził Garreth, można je było łączyć ze sobą. Tito przymocował kraniec liny do uchwytu najbardziej oddalonego od oceanu, którego zresztą nie widział. Przeszedł powoli na przeciwległy koniec kontenera, zwalniając kolejne kręgi na zwoju, i przywiązał linę do drugiego oczka. Przymocowana z dwu stron zwisała teraz poza krawędź dachu. Spojrzał w dół, na luźną linę swobodnie kołyszącą się przy ścianie kontenera. Miał nadzieję, że dobrze ocenił jej długość i rozciągliwość. To była dobra lina, wspinaczkowa.

Tak zrobię – powiedział znów do Oszun i ześlizgnął się po linie, spowalniając ruch oporem podeszew adidasów.

Powoli, opierając otoczone lateksem dłonie o pomalowaną powierzchnię metalu, wyprostował się i przyjął pozycję pionową, uginając nieco nogi w kolanach. Pomiędzy czarnymi butami widział jedynie beton. Ale na wprost jego twarzy widniała jedna z dziur zrobionych przez Garretha. Stał wokół przestrzeliny była czysta, wręcz lśniła na krawędziach. Tito wyjął pierwszy z magnesów z kieszonki i zakrył nim otwór. Krążek przywarł do powierzchni ściany z ostrym kliknięciem, przyszczypując fragment rękawiczki. Chłopak uwolnił dłoń, pozostawiając pod magnesem niewielki kawałek lateksu, który następnie skrupulatnie usunął. Przesunął najpierw lewą stopę, potem lewą dłoń, prawą stopę i na końcu prawą rękę. Zakrył drugą dziurę, tym razem uważając, aby magnes nie pochwylił rękawiczki. Daleko w dole przejechał wózek widłowy.

Przypomniawszy sobie moment, w którym dostarczył pierwszego iPoda starcowi siedzącemu przy szachownicy na Washington Square. Padał śnieg. Dzisiaj wiedział już doskonale, że tamto zdarzenie odmieniło jego dalsze losy, zawiodło aż do tego miejsca. Zakrył trzeci otwór. Przesunął się. Przypomniawszy sobie zupełnie jedzoną w towarzystwie Alejandra. Czwarty dysk trafił na swoje miejsce. Przesunął się. Piąty założony. Trzej mężczyźni przeszli pod nim, mieli na głowach kaski, z góry wyglądały jak plastikowe kręgi, dwa czerwone, jeden niebieski. Przywarł do ściany z rozwartymi dłońmi przyłożonymi do chłodnej powierzchni stali. Szósty. Wróciło wspomnienie ucieczki z Union Square w towarzystwie *guerreros*. Siódmy i ósmy znajdowały się tylko o stopę od siebie. Klik, klik. I dziewiąty.

Wspiął się na górę, wspierając stopy o niebieską ścianę. Rozwiązał jeden węzeł i zrzucił linę, przeszedł na drugą stronę, tam, gdzie była wciąż przywiązana, wychylił się i sprawdził, czy sięga powierzchni betonu. Sięgała, więc zaczął się po niej opuszczać. Na dole zdjął maskę i łapczywie wciągnął do płuc chłodne, nie filtrowane powietrze, a potem strzepnął linę, rozwiązując drugi węzeł. Spadła prosto na jego ręce, szybko zwinął ją i ruszył przed siebie.

Gdy stracił z pola widzenia kontener starca, wyrzucił linę, maskę i opakowanie po niej do pierwszego napotkanego pojemnika na śmieci. Lateksowe rękawiczki zostawił na błotniku stojącego

widłaka. Zielona kurtka trafiła do pustego worka po cemente, a ten wylądował w kolejnym śmietniku.

Naciągnął na głowę czarny kaptur bluzy i nałożył na niego kask. Oszun odeszła. Musiał opuścić to miejsce.

Zauważył spalinową lokomotywę, pomalowaną w skośne czarno-białe pasy, która wolno toczyła się po torach jakieś sto jardów przed nim. Ciągnęła cały zestaw lawet, na których stały kontenery.

Ruszył w tamtym kierunku.

Już prawie wydostał się na zewnątrz, kiedy pojawił się helikopter, zupełnie znikąd, oświetlając tory oślepiającym snopem światła. Tito stracił niemal dziesięć minut, starając się znaleźć drogę przez krzewy jeżyn po tym, jak zeskoczył z platformy pociągu. Sądził, że nie ma powodu do obaw i mnóstwo czasu do dyspozycji. A teraz tkwił na płocie, z drutem zaczepionym o spodnie, na samym szczycie sześciostopowej siatki, zupełnie jak dzieciak nie znający nawet podstaw *sistiemy*. Widział, że helikopter zawraca i oddala się w kierunku niewidocznego stąd oceanu. Znow zawrócił. Zbliżał się ponownie. Zeskoczył z ogrodzenia, rozrywając przy tym spodnie.

– Koleś – powiedział ktoś – nie wiedziałeś, że mają tutaj detektory ruchu?

– Zawrócił – odezwał się drugi chłopak.

Tito zerwał się na nogi, gotów do ucieczki. Nagle niewielki skwerek zadrżał w posadach, powietrze wypełnił blask, gdzieś ponad koroną świeżego listowia zawisł helikopter. Tito i trzej pozostali mężczyźni znaleźli się w samym sercu światła reflektora. Dwaj opierali o ławkę pełnowymiarowe elektryczne pianino, a wolnymi rękami przekazywali pilotowi wiadomy gest. Trzeci, roześmiany, trzymał na smyczy białego wilkopodobnego psa.

– Jestem Igor, chłopie.

– Ramonę – odparł Tito, gdy reflektor zgasł.

– Pomożesz nam w przeprowadzce, chłopie? Mamy nowy lokal do ćwiczenia. I piwo.

– Jasne – odparł Tito, zdając sobie sprawę, że powinien zniknąć z widoku.

– Grasz na czymś? – zapytał Igor.

– Na klawiszach.

Biały pies polizał dłoń Tita.

– Zajebiecie – powiedział Igor.

78. ICH POKRĘCONA PERKUSISTKA

– Moja torebka! – krzyknęła, kiedy wracali do kryjówki Bobby’ego. – Nie ma jej z tyłu. – Wykręcała sobie szyję, żeby spojrzeć za fotel.

– Jesteś pewna, że nie oddałaś jej naszym śmieciarzom?

– Nie. Leżała tutaj, obok trójnogu.

Garreth chciał podarować go przyjaciółce, która pomogła im przy wynajmie lokalu. To był naprawdę niezły sprzęt, a ona zajmowała się zawodowo fotografią. Całą resztę przekazali w ręce „śmieciarzy” – dwóch mężczyzn czekających na parkingu w pick-upie poznaczonym lizajami zaschniętego betonu, którzy za sositą opłatą mieli zadbać, aby sprzęt użyty podczas akcji stał się częścią wylewanych tego ranka fundamentów jakiegoś magazynu.

– Wybacz – powiedział Garreth – ale naprawdę nie możemy zawrócić.

Pomyślała o skramblerze, którego pozbyła się z miłą chęcią. A potem przypomniała sobie, że w torebce zostały pieniądze od Jimmy’ego.

– Cholera!

Nagle uświadomiła sobie, iż czuje zadowolenie, że je także ma już z głowy. Z tymi pieniędzmi wiązało się coś przygniatającego, złego. Oprócz telefonu, skramblera, kluczy do phaetona i mieszkania, prawa jazdy i jednej karty kredytowej miała w torebce tylko kilka kosmetyków, latareczkę i miętusy. Paszport został u Bigenda.

– Musieli ją zabrać przez pomyłkę – powiedział Garreth. Przykro mi, ale to była naprawdę jednostronna transakcja.

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o nadajniku GPS, i w końcu postanowiła, że tego nie zrobi.

– Nie przejmuj się tym.

– Miałaś w torebce klucz do samochodu? – zapytał, gdy skręcali z Clark.

– Tak, zaparkowałam go nieco dalej, za skrzyżowaniem, o tam, obok kubłów na śmieci, zaraz obok wylotu twojej... alejki. – W tym momencie zauważyła wysoką postać wysiadającą z niebieskiego samochodu stojącego za lśniącą masą phaetona należącego do Blue Ant.

– Kto to?

– Heidi – odparła, a gdy minęli niebieski wóz i jej volkswagena, dostrzegła też Inchtnale’a, który prostował się po drugiej stronie, miał brodę i znacznie większą łysinę niż kiedyś. – I Inchmale.

– Reg Inchmale? Poważnie?

– Miń alejkę – poprosiła. – Zatrzymaj się tutaj.

Zrobił, o co prosiła.

– Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia, ale lepiej będzie, jeśli ich stąd zabiorę w cholerę. Nie wiem, ile jeszcze masz do zrobienia, ale założę się, że to nie koniec zadania. Pozwolę im się uratować. Sądzę, że właśnie w tym celu tutaj przyjechali.

– Prawdę mówiąc – odparł – to nie najgłupszy pomysł.

– Jak mam się z tobą skontaktować?

Podał jej swoją komórkę.

– Nie dzwoń z niej do nikogo. Odezwę się do ciebie, jak tylko poukładamy wszystkie sprawy.

– Dobrze – odparła i wysiadła z samochodu, po czym pobiegła chodnikiem w przeciwną stronę, aby przechwycić ubraną w motocyklową kurtkę Heidi, zmierzającą w jej kierunku z czymś w ręce, z czymś, co przypominało zawiniętą w papier maczugę długości co najmniej trzech stóp. Usłyszała, że van za jej plecami ponownie rusza.

– Co tu się wyrabia? – zapytała Heidi, uderzając o dłoń owiniętą w ozdobny papier maczugą.

– Musimy się stąd zabierać – przerwała jej Hollis. – Jak długo tutaj sterczeliście?

– Dopiero przyjechaliśmy – odparła Heidi, zawracając, żeby dotrzymać jej kroku.

– Co to? – Hollis wskazała na maczugę.

– Trzonek do siekiery.

– Dlaczego go nosisz?

– A dlaczego nie?

– Tutaj jesteś – powiedział Inchmale zza niedopałka niewielkiego cygara, kiedy dotarły do niebieskiego samochodu. – Gdzieś ty się u licha podziewała?

– Zabierz nas stąd, Reg. I to już.

– Czy to nie twój samochód? – wskazał na phaetona.

– Zgubiłam klucz. – Pociągnęła za klamkę tylnych drzwi ich wozu. – Czy ktoś może mi otworzyć? – Zamek odskoczył z kliknięciem. – Zabierzcie mnie gdziekolwiek – powiedziała, wsiadając. – I to już!

– Twoja torebka – objaśnił Bigend – znajduje się teraz w okolicy skrzyżowania Main i Hastings. Kieruje się na południe. Zapewne na piechotę.

– Ktoś musiał ją ukraść. Albo znaleźć – powiedziała. – Jak szybko Ollie może dotrzeć tutaj z zapasowymi kluczami? – Już na początku rozmowy poinformowała go, w którym barze przebywa. W innym razie mogłaby się spodziewać kolejnych problemów.

– Praktycznie w jednej chwili. Znajdujesz się bardzo blisko apartamentu. Znam to miejsce, robią tam doskonałe *piso mojado*.

– Każ mu przywieźć klucz. Nie mam nastroju na przesiadywanie w barze. – Zamknęła telefon Inchmale'a i oddała mu go. – Powiedział, że powinniście spróbować *piso mojado*.

Inchmale uniósł brew.

– Wiesz, że ta nazwa oznacza „mokrą podłogę”?

– Przymknij się na chwilę, Reg. Muszę pomyśleć.

Jeśli wierzyć Bigendowi, odwołał Olliego, kiedy o to poprosiła krótko przed północą, sprzed budynku przy Powell Street. Nadajnik GPS w skramblerze pozostał na miejscu jeszcze przez piętnaście minut, następnie zaczął oddalać się w kierunku zachodnim. Sądząc po prędkości ruchu, na pewno w samochodzie. Najprawdopodobniej w autobusie, gdyż zatrzymywał się wielokrotnie, ale na krótko i z dala od skrzyżowań. Wyobraziła sobie, jak Bigend musiał wyglądać, gdy obserwował to na jednym z wielkich ekranów, siedząc w swoim biurze. Świat jako gra wideo. Sądził, iż to ona wraca do apartamentu, ale potem sygnał dobitnie zaczął świadczyć, że wybrała się na spacer po okolicy, którą Ollie określił mianem „najuboższego kodu pocztowego” w tym kraju. Sama Hollis uznała już wcześniej, i miała tego pełną świadomość, z powodów, które były równie intuicyjne, jak i tajemnicze, że nie zamierza mieć więcej do czynienia z pięćdziesięcioma setkami Jimmy'ego i zapluskwionym skramblerem Bigenda.

– Telefon – powiedziała do Inchmale'a. – I kartę Visa.

Położył na stoliku przed nią komórkę i sięgnął po portfel.

– Jeśli masz zamiar robić zakupy, to wolałbym dać ci Amexa. Rozliczam tą kartą wydatki służbowe.

– Potrzebuję numeru linii zero osiemset, żeby zgłosić kradzież mojej karty – wyjaśniła.

Ollie dotarł na miejsce, gdy załatwiała sprawę z Visą, co pozwoliło na uniknięcie rozmowy z nim. Inchmale był niezły w spławianiu tego typu ludzi. I Ollie rzeczywiście opuścił ich chwilę później.

– Dopij – powiedziała Hollis, wskazując na belgijskie piwo zamówione przez Inchmale'a. – Gdzie jest Heidi?

– Podrywa barmana – odparł.

Hollis wychyliła się za białą winylową przegrodę oddzielającą lożę, w której siedzieli, od reszty baru, i zobaczyła, że Heidi rozmawia z blondynem stojącym za barem, Inchmale wcześniej ją namówił, aby zostawiła trzonek do siekiery w wypożyczonej hondzie.

– Co ty tutaj właściwie robisz? – zapytała go Hollis. – To znaczy, jest mi niezwykle przyjemnie, że pofatygowaliście się tutaj, aby sprawdzić, czy ze mną wszystko w porządku, ale jak udało wam się mnie znaleźć?

– The Bollards nie byli w stanie wejść do studia, więc odwołałem nagrania. Dwóch z nich złapało grype. Zadzwoiłem do Blue Ant. Nie zliczę, ile razy. Nie ma ich numeru w książce telefonicznej. Potem musiałem przebić się do samego Bigenda, co było traumatycznym przeżyciem. Czysta inżynieria wsteczna. Kiedy już się do niego przebiłem, od razu na mnie naskoczył.

– Tak?

– Chciał wykorzystać „Hard to Be One” w reklamie samochodowej, chińskiej. To znaczy ogólnoswiatowej, tyle że samochód jest chiński. Nie słyszał tego kawałka już od dawna. Zdaje się, że odświeżyłaś mu pamięć. Szwajcarski reżyser, piętnaście milionów dolarów budżetu.

– Na reklamówkę samochodu?

– Chcą zrobić na widzach wrażenie.

– Zgodziłeś się?

– Nie. Oczywiście, że powiedziałem: nie. To pierwsze słowo w negocjacjach, prawda? A potem on przeszedł płynnie do klasycznych, aczkolwiek niezwykle interesująco ilustrowanych przebitek na temat tego, jak bardzo martwi się o ciebie tu, w Vancouverze. O tę zabawę w Jamesa Bonda za pomocą służbowego samochodu, o twoje zniknięcie i brak odzewu, i w końcu pyta, czemu nie wezmę firmowego leara i nie polecę za piętnaście minut sprawdzić, co z tobą.

– I tak zrobiłeś?

– Nie od razu. Nie lubię być przedmiotem gry, a twój facet jest jednym wielkim rozgrywającym.

Hollis skinęła głową.

– Byłem umówiony na lunch z Heidi. Opowiedziałem jej o wszystkim, a ona dała się złapać na gadkę Bigenda. Zaczęła się o ciebie martwić. I wtedy ja też dałem się złapać. I to chociaż wiedziałem, że nasz przylot tutaj będzie mu bardzo na rękę, najpierw zapewni nam małą przygodę, a potem znów na nas uderzy.

– Uderzy? Czym?

– Chińską reklamą. Zaproponował, żebyśmy nagrali „Hard to Be One” z innymi słowami. Dotyczącymi chińskiego samochodu. A ja musiałem potem wysłuchiwać, co ma do powiedzenia na temat tej nedorobionej paranoi nasza pokręcona perkusistka. Pojechaliśmy razem, ona i ja, do Burbank. Z tego co zapamiętałem, dojazd tam zajął nam więcej niż lot tutaj. Ja miałem paszport, ona prawo jazdy, poleciliśmy dosłownie tak, jak staliśmy.

– Tylko Heidi kupiła sobie trzonek do siekiery.

– Kiedy dotarliśmy do dzielnicy, w której zostawiłaś samochód, uznała, że okolica jej się wybitnie nie podoba. Mówiłem, że nie czuje kompletnie tych klimatów, nie zauważa kulturowych podtekstów, że nie ma tam żadnych oznak zwiastujących zagrożenie. Zatrzymała się przy sklepie z narzędziami i kupiła ten trzonek. Mnie nie zaproponowała drugiego.

– Do ciebie by nie pasował. – Sięgnęła pod żakiet i zaczęła się drapać mocno po żebrach. – Chodźmy już. Muszę wziąć prysznic. Siedziałam w pomieszczeniu, gdzie wcześniej szlifowano szkło, i miałam kontakt z cezem.

– Z cezem?

Wstała i zabrała obie puste karty, które zostawił Ollie.

79. ARTYŚCI I REPERTUAR

– Mówiłeś, że skąd jesteś? – zapytał facet wytwórni oferując Titowi otwartą butelkę piwa.

– Z New Jersey – odparł, choć nie była to prawda. Kiedy dotarli na miejsce prób, zadzwonił do Garretha i przekazał, że wykonał zadanie, ale uważa, iż powinien trzymać się z dala od ulic tej nocy. Nie wspominał o helikopterze, czuł jednak, że Anglik coś na jego temat wie.

Przyjął piwo i przycisnął zimną butelkę do czoła. Podobało mu się wspólne granie. Gdy kończyli, niespodziewanie nawiedzili go *guerreros*.

– Niesamowite – powiedział po wszystkim facet. – Twoja rodzina stamtąd pochodzi?

– Z Nowego Jorku – odpowiedział Tito.

– Jasne – mruknął facet z A&R i pociągnął łyk piwa z własnej butelki.

80. MONGOLSKI ROBAL ŚMIERCI

– Salon klasy biznes linii Air Dupek – oznajmił entuzjastycznie Inchmale, ogarniając wzrokiem centralną część parteru apartamentu Bigenda.

– Ma też sypialnię w tym stylu tam, na piętrze – powiedziała Hollis. – Pokażę ci ją później, jak tylko wezmę prysznic.

Heidi położyła trzonek do siekiery, wciąż zawinięty w papier, na blacie obok laptopa Hollis.

– ‘Ollis! – Odile stanęła na szczycie zawieszonych w powietrzu schodów ze szronionego szkła w czymś, co wyglądało Hollis na o wiele na nią za dużą bluzę hokeisty. – Bobby, ty go znalazłeś?

– Coś w tym rodzaju, ale to bardziej skomplikowane, niż myślisz. Zejdź na dół i poznaj moich przyjaciół.

Odile na bosaka zeszła po szklanych stopniach.

– Reg Inchmale i Heidi Hyde. Odile Richard.

– *Ca va?* A to, co to jest? – zauważyła leżący na blacie ozdobnie opakowany trzonek.

– Prezent – odparła Hollis. – Ale nie znalazła jeszcze nikogo, komu mogłaby go dać. Muszę się wykapać.

Weszła na górę.

Figurka Blue Ant stała wciąż tam, gdzie ją postawiła, na półce, i była niezmiennie gotowa do akcji.

Rozebrała się i obejrzała skrupulatnie całe ciało w poszukiwaniu wysypki, której na szczęście nie znalazła. Potem wzięła bardzo długi i niezwykle dokładny prysznic.

Ciekawe, do czego przymierzają się teraz Garreth i starzec? Zastanawiała się także, gdzie udał się Tito, po tym jak go wysadzili. I dlaczego jej torebka, a przynajmniej skrambler Bigenda wędrował po ulicy? Jakie kształty przybierze Mongolski Robal Śmierci w tej sytuacji? Nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Czy była dopiero co świadkiem napromieniowania stu milionów dolarów za pomocą karabinu strzelającego nabojami kaliber 30 wypełnionymi stosowanym w medycynie cezem? Była, o ile Garreth jej nie okłamał. Tylko po co ktoś miałby robić coś takiego? Namydlała całe ciało po raz trzeci, kiedy zrozumiała.

Żeby uniemożliwić ich wypranie. Cez. Tego nie da się sprać.

Nie zapytała o to, kiedy pakował się przed wyjściem ze studia. Prawdę powiedziawszy, o nic go nie zapytała. Miała świadomość, że on bezwzględnie musiał zrobić to, co zrobił, i wolał wykonać tę

robotę, niż o niej rozmawiać. Był tak bardzo skupiony, gdy dozymetrem sprawdzał, czy nie zostawili żadnego śladu.

Hollis była pewna, że nie zapomniała torebki. Ktoś musiał zabrać ją z vana, kiedy ona zanosila śmieciarzom resztę rzeczy.

Wytarła się starannie, ubrała, sprawdziła, czy paszport leży nadal tam, gdzie go położyła, a na końcu wysuszyła włosy.

Gdy pojawiła się na dole, Inchmale siedział na jednym krańcu dwudziestostopowej kanapy, której obicie bardzo przypominało wnętrze posiadanego przez Bigenda maybacha, i odczytywał swoje esemesy. Heidi i Odile znajdowały się o półtora bloku polerowanego betonu dalej, podziwiając panoramę, mrok i światła, przy czym wyglądały zupełnie jak figurki szkicowane na architektonicznych rzutach dla uzmysłowienia skali.

– Twój Bigend – rzucił Inchmale, odrywając wzrok od telefonu.

– On nie jest mój. Ale może być twoim Bigendem, jeśli sprzedasz mu prawa do „Hard to Be One” na potrzeby jakiejś reklamówki samochodu.

– Na pewno tego nie zrobię.

– Ze względu na artystyczną uczciwość?

– Dlatego że cała nasza trójka musiałaby wyrazić na to zgodę. Ty, ja i Heidi. Współdzielimy prawo do tego tytułu, pamiętasz?

– Zostawiam tę decyzję tobie. – Usiadła obok niego na kanapie.

– A to dlaczego?

– Bo jesteś ciągle w branży. I ty będziesz ryzykował.

– Chciał, żebyś tyje napisała.

– Co napisała?

– Nowe słowa.

– Żebym przerobiła tekst na dzingiel dla jakiegoś samochodu?

– Motyw. Hymn. Postmodernistyczny wydźwięk.

– „Hard to Be One”? Poważnie?

– Esemesuje do mnie co pół godziny. Chce dobić targu. To rodzaj faceta, który jest jak wrzód na dupie.

Spojrzała na niego.

– Gdzie jest Mongolski Robal Śmierci?

– O co ci chodzi?

– Nie wiem, czego powinnam się teraz najbardziej bać. A ty? Kiedy jeździliśmy na tournée, zawsze opowiadałeś mi o Robaki Śmierci. Że jest tak straszny, iż nie ma odważnych, żeby go opisać.

– Tak – odparł. – Może strzykać jadem albo razić piorunami. – Uśmiechnął się. – Albo posoką z ropiejących ran – dodał.

– I kryje się pod powierzchnią wydm. W Mongolii.

– Tak.

– Wiesz, ja go adoptowałam. Uczyniłam z niego maskotkę moich lęków. Wyobrażam go sobie jako jasnoczerwonego...

– One są jasnoczerwone – przerwał jej Inchmale. – Szkarłatne. Bezokie. Grube jak udo dziecka.

– Nadaję mu kształt wszystkiego, co mnie przeraża i z czym nie potrafię sobie dać rady. Dzień albo dwa dni temu, w Los Angeles, idea Bigenda i jego pisma, które nawet nie istnieje, a zwłaszcza poziom dziwactwa, w jakie się pakuje, zabierając mnie przy okazji, rzeczy, których nawet nie potrafię ci opisać, wszystko to było dla mnie Robalem Śmierci. Tkwiącym tam, pod wydmami.

Przyjrzał jej się uważniej.

– Fajnie jest cię znowu widzieć.

– I ja się cieszę z naszego spotkania, Reg. Ale nadal jestem skonfundowana.

– Gdybyś nie była w zaistniałej sytuacji – odparł – pomyślałbym, że cierpisz na psychozę. Ostatnie wydarzenia dały ci w kość. Ale wiesz, co mnie najbardziej uderza? To, że wcale nie wyglądasz na wystraszoną. Skonfundowaną, i owszem, ale nie ma w tobie strachu.

– Spotkałam dopiero co pewnych ludzi – zwierzyła mu się. – Tej nocy zrobili najdziwniejszą rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Naprawdę? – Nagle spowaźniał. – Zazdroszczę ci.

– Najpierw myślałam, że uczestniczę w akcie terroryzmu, potem że to zbrodnia w bardziej tradycyjnym tego słowa rozumieniu, ale okazało się, że nic z tych rzeczy. Wydaje mi się, że oni...

– Tak?

– Zrobili komuś kawał. Takiego psikusa, że trzeba być szalonym, aby się na niego porwać.

– Słuchaj, może mi wreszcie powiesz, co zrobili.

– Nie mogę, dałam słowo o jeden raz za dużo. Dałam je najpierw Bigendowi, potem tym ludziom.

Chciałabym móc ci powiedzieć, że kiedyś o wszystkim ci opowiem, ale tego też nie mogę zrobić. Chyba. Zresztą nie wiem, może w końcu to będzie możliwe. Ale będzie zależeć od wielu rzeczy. Rozumiesz?

– Czy ta młoda Francuzka jest lesbijką? – Inchmale zmienił temat.

– Dlaczego pytasz?

– Wydaje mi się, że Heidi ją pociąga.

– Nie powiedziałabym, że ma to jakikolwiek związek z lesbijstwem.

– Nie?

– Heidi wytwarza swoisty magnetyzm płciowy. To działa na niektórych ludzi. Zwłaszcza na mężczyzn.

Uśmiechnął się.

– Prawda. Zupełnie o tym zapomniałem.

Rozległ się akord dzwonka.

– Statek baza nadciąga – rzucił Inchmale.

Hollis obserwowała, jak Ollie Sleight wtacza nakryty obrusem i klekoczący wózek na kółkach. Znow wbił się w niezwykle drogi strój kominiarza, co nie uszło jej uwagi, ale przynajmniej się ogolił.

– Nie byliśmy pewni, czy coś jedliście – powiedział. A potem dodał, kierując te słowa do Hollis: – Hubertus prosił o telefon.

– Nadal pracuję nad tą sprawą – odparła. – Jutro zadzwonię.

– Podajesz śniadania? – zapytał Inchmale, kładąc rękę na ramieniu Olliego i uniemożliwiając mu zadanie kolejnego pytania. – Jeśli masz zamiar zrobić karierę w tym zawodzie, musisz najpierw pozbyć się tego mundurka z czasów wojny secesyjnej – strzepnął niewidzialny pyłek z klapy kominiarskiego wdzianka – a potem nauczyć się, jak wygląda porządna milcząca obsługa.

– Padam z nóg – oświadczyła Hollis. – Idę się położyć. Jutro do niego zadzwonię, Ollie.

Weszła na górę. Za chwilę powinno świtać, zrobiło się o wiele jaśniej, a w sypialni nie było ani jednej zasłony. Zdjęła dzinsy, wspięła się na magnetyczne lewitujące łóżko Bigenda, naciągnęła kołdrę na głowę i tak zasnęła.

81. ŻYCIE W ZAWIESZENIU

– Nie możesz mi dać numeru telefonu? E-maila? – Facet z wytwórni płytowej Igora wyglądał na desperata.

– Przeprowadzam się – powiedział Tito, wypatrując vana Garretha z drugiego piętra budynku, w którym ćwiczyli. – Żyję w zawieszeniu. – Zobaczył biały wóz.

– Masz moją wizytówkę – powiedział facet, gdy Tito pobiegł do drzwi.

– Ramone! – krzyknął Igor, posyłając mu na pożegnanie głośny akord gitary. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Zbiegł na dół, potem drzwiami wy dostał się na zewnątrz, przebiegł przez mokry chodnik i otworzył drzwi od strony pasażera. Wsiadł.

– Imprezka? – zapytał Garreth włączając się do ruchu.

– Zespół. Mieli próbę.

– Skaptowali cię?

– Poczynili propozycję.

– Na czym grasz?

– Na keyboardzie. Facet z Union Square próbował mnie zabić. Przejechać samochodem.

– Wiem. Poprosiliśmy tutejszych naszych ludzi, żeby go jak najszybciej wyciągnęli.

– Wyciągnęli?

– Przymknęli go tylko na godzinę, nie dłużej. Nie postawią mu zarzutów. – Zatrzymali się na światłach. Garreth odwrócił się do niego. – Zawiódł układ kierowniczy w jego samochodzie. Wypadek. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

– Tam był jeszcze ktoś. Mężczyzna. Pasażer – powiedział Tito, gdy światła się zmieniły.

– Rozpoznałeś go?

– Nie. Potem widziałem tylko, jak odchodził.

– Człowiek, który chciał cię przejechać, ten, który przyszedł po iPoda na Union Square, dowodził akcją zmierzającą do znalezienia nas w Nowym Jorku.

– To on umieścił pluskwę w moim pokoju?

Garreth obrzucił go wzrokiem.

– Nie powinienes o tym wiedziec.

– Kuzyn mi powiedzial.

– Masz sporo kuzynow, co? – Garreth usmiechnal sie.

– On chcial mnie zabiec – powtorzyl Tito.

– Coz, nie jest najspokojniejszym ogniwem w lancuchu. Wydaje nam sie, ze niepowodzenie podczas proby schwywania nas w Nowym Jorku tak strasznie go sfrustrowalo, ze kiedy zobaczył cie tutaj, po prostu cos w nim peklo. Na pewno pojawienie sie tutaj kontenera miało w tym swój udział. Obserwowalismy, jak dostaje amoku kilkakrotnie w ciągu minionego roku czy cos koło tego i raz po raz ktoś ponosi przez niego szkode. Tej nocy sam sobie zaszкодzil. Niestety z raportów policyjnych wynika, ze nie za bardzo. Kilka szwów. Duży siniec na nodze. Nadal może prowadzić.

– Helikopter przylecial. – Tito zmienil temat. – Jechalem pociagiem do momentu, w którym zobaczyłem światła ulicy i budynek mieszkalny za siatką. Zdaje sie, ze uruchomilem czujniki ruchu.

– Według nas, twój facet wezwal ten helikopter. Wywołal cos na kształt powszechnego alarmu. Zrobil to, jak tylko wypuscili go z posterunku. Przez niego w całym porcie podniesiono poziom zabezpieczeń. Tylko dlatego, ze zobaczył ciebie.

– Mój protokół był tak marny – powiedzial Tito.

– Twój protokół, chłopcze – odparł Garreth, zatrzymując sie w połowie nijakiej ulicy za czarnym samochodem – to pierdolony genialny odjazd. – Wskazal na wóz stojący przed nimi. – Kuzyn chce sie z tobą zobaczyc.

– Tutaj?

– A niby gdzie? – mruknal Garreth. – Odbiore cie jutro. Chce ci cos pokazac.

Tito skinal głową. Wsiadł z vana i ruszył przed siebie, by ujrzec Alejandra za kierownicą czarnego mercedesa.

– Kuzynie – przywital go tamten, kiedy Tito wsiadł.

– Nie spodziewalem sie ciebie tutaj.

– Carlito chcial miec pewność, czy sie zadomowiles. – Alejandro odpalil silnik mercedesa i ruszyli. – Ja zreszta tez.

– Zadomowilem?

– Tak – powiedzial Alejandro. – Chyba ze wolisz Mexico City.

– Nie.

– Tu nie chodzi tylko o to, ze na Manhattanie zrobilo sie dla ciebie za goraco – wyjasnil kuzyn.

– Wiem, protokół.

– Tak, ale w grę wchodzi też inwestycje.

– To znaczy?

– Carlito zakupił kilka apartamentów w tej okolicy, w czasach gdy były jeszcze tanie. Chce, żebyś zamieszkał w jednym z nich, dopóki on nie wybada możliwości tutejszego rynku.

– Możliwości?

– Chiny – odparł Alejandro. – Carlita interesują Chiny. A stąd jest bardzo blisko do Chin.

– Blisko?

– Sam zobaczysz – odparł Alejandro, skręcając na skrzyżowaniu.

– Dokąd jedziemy?

– Do apartamentu. Musimy go umeblować. Wyposażyć nieco lepiej niż twoje poprzednie mieszkanie.

– Okay.

– Twoje rzeczy już tam są. Komputer, telewizor, nawet klawisze.

Tito spojrzał na niego. Uśmiechnął się.

– *Gracias*.

– *De nada* – odparł Alejandro.

82. BEENIE'S

Obudził ją obco brzmiący dzwonek komórki Garretha. Przez chwilę leżała na lewitującym łóżku Bigenda, zastanawiając się, co to za dźwięk.

– Cholera – mruknęła, zdając sobie sprawę, z czym ma do czynienia.

Wygramoliła się z sypialnianej anomalii, słysząc, że jeden z czarnych kabli cicho brzęknął, gdy obciążyła krawędź łoża, a potem je opuściła. Telefon znalazła w przedniej kieszeni wczorajszych dżinsów.

– Halo?

– Dzień dobry – powitał ją Garreth. – Co u ciebie?

– Wszystko w porządku – odparła i nagle dotarło do niej, że wcale nie skłamała. – Au ciebie?

– Też, chociaż mam nadzieję, że spałaś dłużej ode mnie. Co powiesz na tradycyjne kanadyjskie śniadanie robotnika? Stawiam, jeśli zjawisz się tutaj w ciągu godziny. Jest coś, co powinnaś zobaczyć, to znaczy: będzie, o ile wszystko poszło zgodnie z planem.

– A poszło?

– Pojawiły się problemy, jeden, góra dwa. Niedługo będziemy mieli pełny obraz. Ale wszystkie znaki wskazują, że jest dobrze.

Ciekawe, co to może znaczyć, pomyślała. Czy turkusowy kontener wypuści ze swojego wnętrza radioaktywne obłoki w kolorze pieniędzy? W głosie Garretha nie wyczuwała jednak specjalnej troski.

– Gdzie jesteś? Wezmę taksówkę. Nie wiem, czy podstawiono już mój samochód, a poza tym nie czuję się na siłach, by prowadzić.

– Knajpka nazywa się Beenie's – odparł. – W sumie trzy literki e. Masz coś do pisania?

Zanotowała dokładny adres.

Gdy się ubrała i zeszła na dolny poziom, znalazła kopertę firmową Blue Ant leżącą na laptopie. Ktoś niezwykle piękną kursywą i bezwzględnie wiecznym piórem napisał na niej: „Twoja torebka, a w każdym razie skrambler, znajduje się aktualnie w skrzynce pocztowej przy skrzyżowaniu Gore i Keefer Street. W kopercie masz coś na pokrycie bieżących wydatków. Pozdrowienia, OS”. Znalazła w niej dwieście dolarów kanadyjskich, w piątkach, dziesiątkach i dwudziestkach owiniętych w bardzo ładną banderolę.

Schowała pieniądze do kieszeni i ruszyła na poszukiwanie legowiska Odile. Znalazła pomieszczenie, dwa razy większe od jej miniapartamentu w Mondrianie, ale pozbawione pretensjonalności azteckiej świątyni. Odile chrapała tak głośno, że Hollis nie miała serca jej budzić.

Gdy wychodziła, zauważyła na podłodze obok łóżka trzonek do siekiery wciąż zapakowany w papier.

Ulica, na którą w końcu udało jej się wydostać, wciąż była cicha i senna. Spojrzała w górę na budynek Bigenda, ale był zbyt wysoki, by mogła dostrzec jakiegokolwiek szczegółu apartamentu. Jego fundamenty miały mniejszy przekrój niż wyższe piętra, kolejne kondygnacje były coraz szersze i szersze. Zielone pochyłe szyby jednej z nich ukazywały wnętrze siłowni, w której odziani w obcisłe stroje mieszkańcy ćwiczyli na jednolicie białym sprzęcie. Przypominało jej to szkice Hugh'a Ferrisa przedstawiające wyidealizowane obrazy miast przyszłości, ale jednocześnie zawierało wizję, o jakiej autor ten nigdy by nie pomyślał. Mógłby stworzyć oprawione zielonym szkłem siłownię z łagodną, wręcz nierzeczywistą bielą urządzeń do ćwiczeń, ale z pewnością nie zawarłby w nich wysokich krzywoliniowych szklanych mostów łączących sąsiadujące ze sobą wieże.

Hollis zauważyła, że przy tak niewielkim ruchu nie ma szansy na złapanie taksówki. Ale po dziesięciu minutach wypatrzyła jedną, żółtego priusa. Samochód zatrzymał się przy niej, a kierownicą siedział Sikh o nieskazitelnym manierach.

Kiedy jechali trasą, która była jej zdaniem o wiele bardziej przemyślana niż jej wczorajsza wyprawa, zaczęła się zastanawiać nad tym, dlaczego komórka Bigenda, a może i jej torebka znalazły się w skrzynce pocztowej. Podejrzewała, że ktoś musiał ją tam wrzucić, ale mogła to być równie dobrze osoba, która je ukradła, jak i późniejszy znalazca.

Nie było jeszcze godzin szczytu, więc pokonali trasę niezwykle szybko. Już kierowali się w dół Clark Drive, a za przednią szybą priusa widać było konstruktywistyczne pomarańczowe ramiona portowych żurawi, dzisiaj zaaranżowanych zupełnie inaczej i po wydarzeniach minionej nocy całkowicie inaczej brzmiących.

Minęli rozjazd prowadzący do kryjówki Bobby'ego. Ciekawiło ją, czy nadal jest u siebie. Jak się dzisiaj czuł? Ogarnęło ją współczucie dla Alberta. Nie chciała, by utracił swojego Rivera.

Minęli główne skrzyżowanie. Za nim Clark dzieliła się na wysokie zabudowane podjazdy, nad którymi widniały wielkie oświetlone znaki nakazujące przedstawienie dokumentów do kontroli. To musiała być brama portowa.

Kierowca zatrzymał taksówkę przed wyglądającym dziwnie nie na miejscu budynekciem restauracji będącym białą kostką betonu. Zdobiał go prosty napis, wykaligrafowany dawno temu na całej szerokości pociągniętej śnieżną bielą sklejki: BEENIE'S CAFE ŚNIADANIA PRZEZ CAŁY DZIEŃ KAWA. Do jego wnętrza wiodły drzwi pokryte siatką na owady osadzone w pomalowanej na czerwono ościeżnicy, to właśnie one wprowadzały do wyglądu element obcości.

Hollis zapłaciła za kurs i dała napiwek, wysiadła i zajrzała do wnętrza lokalu przez jednocześnie okno. Był malusieńki, ledwie dwa stoliki i krótki kontuar z kilkoma stołkami. Garreth zamachał do niej z najbliższego, stojącego tuż pod oknem.

Weszła do środka.

Garreth, starzec i Tito siedzieli przy kontuarze. Jeden stołek pozostał wolny, ten pomiędzy Anglikiem i starcem. Usiadła na nim.

– Witam – powiedziała.

– Dzień dobry, panno Henry – odparł starzec, kłaniając się w jej stronę.

Siedzący za nim Tito pochylił się mocno do przodu, posyłając jej nieśmiały uśmiech.

– Witaj, Tito – pozdrowiła go.

– Zjesz jajka z wody? – zapytał Garreth. – Chyba że nie lubisz gotowanych?

– Mogą być.

– I bekon – dodał starzec. – Jest niesamowity.

– Naprawdę?

Beenie's był klasycznym barem, dawno już nie posilała się w takim miejscu. Chyba że wziąć pod uwagę wizytę u pana Sippee. Ale w Beenie's można było przynajmniej zjeść wewnątrz lokalu, przypomniawszy sobie różnicę.

– Kucharz pracował kiedyś na „Queen Elizabeth” – wyjaśnił starzec. – Na tej pierwszej.

W głębi pomieszczenia zauważyła bardzo starego człowieka, Chińczyka, a może Malezyjczyka, zgiętego nieomal wpół przy żeliwnej kuchence, która wyglądała na jeszcze starszą niż on. Jediną rzeczą, jaka we wnętrzu tej jadłodajni nie wyglądała staro, był stalowy okap zamontowany nad kwadratową płytą z palnikami.

W powietrzu unosił się rozkoszny zapach bekonu.

Bardzo cicha kobieta zza lady, nie proszona, podała Hollis kubek gorącej kawy.

– Jajka z wody, tak na średnio, proszę.

Na ścianach wisały oprawione w ramki orientalne obrazki. Hollis miała wrażenie, że to miejsce istniało już wtedy, gdy ona przychodziła na świat, i z pewnością wyglądało wtedy identycznie, może z wyjątkiem stalowego okapu nad kuchenką.

– Bardzo się cieszę, że dotrzymujesz nam towarzystwa tego ranka – powiedział starzec. – To była długa noc, ale wygląda na to, że wszystko potoczyło się po naszej myśli.

– Dziękuję – odparła. – Ale wciąż mam bardzo mgliste pojęcie na temat waszego przedsięwzięcia, mimo że widziałam, co Garreth robił.

– Zatem opowiedz mi, co twoim zdaniem zrobiliśmy – poprosił starzec.

Hollis dołała do kawy mleka z bardzo zimnego stalowego dzbanuszka.

– Garreth powiedział mi, że kontener zawiera... – spojrzała w stronę kobiety, która stała przy antycznej kuchni – ogromną sumę pieniędzy.

– Tak?

– Nie przesadziłeś, Garreth?

– Nie – odparł zapytany. – Powiedziałem sto...

– ... milionów – dokończył starzec beznamiętnym tonem.

– Garreth zatem... w kontekście tego, co pan mówił wcześniej o praniu... skaził je, mam rację?

– W rzeczy samej – przyznał starzec. – Skaził. W takim stopniu, na jaki pozwalały okoliczności. Pociski rozprysły się zaraz po przebiciu ścianki kontenera. Oczywiście zanim trafiły w niebywale twarde bloki papieru niezwykle wysokiej jakości, może drasnęły je w kilku miejscach. Ale naszym zamiarem nie było zniszczenie tych banknotów, tylko utrudnienie ich wykorzystania. Oraz oznaczenie ich w charakterystyczny sposób, aby ułatwić ewentualne wyśledzenie. Wie pani, że w ciągu minionych kilku lat nie poczyniliśmy na tym polu znaczących postępów? Kolejne pole zaniedbań. – Pociągnął łyk czarnej kawy.

– Zatem utrudnił pan wypranie tych pieniędzy.

– Uniemożliwiłem, precyzyjniej rzecz ujmując – poprawił ją. – Ale musi pani zrozumieć też, że dla ludzi, którzy wysłali te setki w podróż, już sam fakt ich powrotu graniczy z katastrofą. Oni nie chcieli, by te banknoty wróciły na kontynent północnoamerykański ani do żadnej innej części Pierwszego Świata. To zbyt wielka suma pieniędzy. Ale istnieją na tym świecie kraje, w których można kupić to i owo nawet za tak ogromne kwoty w gotówce, nie ryzykując, że cena podskoczy i że zwróci się na siebie uwagę. Właśnie tam miała trafić ta przesyłka.

– A dlaczego nie trafiła? – zapytała Hollis uświadamiając sobie jednocześnie, jak dziwne uczucia jej towarzyszą na myśl o tym, że za chwilę usłyszy potwierdzenie swoich przypuszczeń.

– Została wykryta podczas tranzytu przez wyspecjalizowane służby specjalne, odpowiedzialne za nadzorowanie zupełnie innych ładunków. Agenci zostali natychmiast odwołani, ale ich najście nie pozostało bez echa i odcisnęło ślad w papierach, na który przypadkiem wpadłem.

Hollis przytaknęła. Piraci.

– W kategoriach zysków ciągniętych z tej wojny, panno Hollis, to nic nie znacząca kwota. Zafascynowała mnie raczej niezwykła bezczelność sprawców, a może raczej ich kompletny brak wyobraźni. Wyniesiono je z Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku, zapakowano na ciężarówki w Bagdadzie, w taki czy inny sposób, a następnie wysłano w podróż morską.

Złapała się na tym, że chce wspomnieć o hooku, wielkim rosyjskim helikopterze, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Podczas śledztwa mającego ustalić, kto jest odpowiedzialny za ten przekręt, dowiedziałem się, że kontener został wyposażony w urządzenie pozwalające na kontrolowanie miejsca jego pobytu oraz tego, aczkolwiek tylko do pewnego stopnia, czyjego zawartość nie została naruszona. Informacje te były przesyłane wyłącznie do ludzi zamieszanych w proceder. Dowiedzieli się więc, i to

natychmiast, o otwarciu go przez zespół amerykańskich sił specjalnych. I zrozumieli, że wiatr zaczyna wiać im w oczy.

– Słucham?

– Zdenerwowali się. Zaczęli szukać innych miejsc, łatwiejszych rynków, zdecydowali się na mniejszy zysk za cenę zniwelowania ryzyka. Kontener wyruszył w bardzo osobliwą podróż, ale nic im się nie udawało, nie zdołali znaleźć innej formy wyprania tych pieniędzy. – Starzec spojrział na Hollis.

Bo twoi przyjaciele już się o to postarali, domyśliła się.

– Podejrzewam, że to wtedy zaczęli odczuwać strach. Kontener stał się swego rodzaju Latającym Holendrem, błakającym się po oceanach i nie potrafiącym dotrzeć do celu. Oczywiście do momentu, kiedy pojawił się tutaj.

– Ale dlaczego właśnie tutaj?

Starzec westchnął.

– Interesy tych ludzi idą coraz bardziej kulawo. Taką mam przynajmniej nadzieję. W grę przestały wchodzić naprawdę duże pieniądze, idzie nowe. A taki zastrzyk gotówki, nawet mocno okrojony przez pośredników, jest bardzo atrakcyjnym celem, zwłaszcza dla planktonu. Bo z takim sortem ludzi mamy tutaj do czynienia. Z nikim znanym z telewizji. Funkcjonariusze, biurokraci. Poznałem wielu takich w Moskwie, w Leningradzie.

– Zatem znaleźli tutaj, w Kanadzie, coś, co pozwoli im je wyprać.

– Ten kraj z pewnością posiada sporo możliwości, jeśli o to chodzi, ale nie. Nie chodzi o Kanadę. W planach mieli południe, przekroczenie granicy. Sądzymy, że celem było Idaho. Najprawdopodobniej chcieli dokonać odprawy w Porthill. Na południe od Creston w Kolumbii Brytyjskiej.

– Ale czy tam nie będzie ich trudniej wyprać? Sam pan mi powiedział poprzedniej nocy, że jeśli kwota jest wystarczająco wielka, staje się problemem.

– Wydaje mi się, że oni dobili wreszcie targu.

– Z kim?

– Z Kościołem.

– Z kościołem?

– Takim, który posiada własną stację telewizyjną. Takim, który posiada zamknięte posiadłości. W tym wypadku mówimy o całkowicie odizolowanej społeczności.

– Jezus – szepnęła.

– Tak daleko bym się nie posuwał – powiedział i odkaszlnął. – Ponoć studolarówki na tacy to norma, tak mi przynajmniej mówiono.

Za ladą znów pojawiła się staruszka, odeszła od kuchni, by postawić przed Hollis talerz z jajkami i bekonem. Drugie, identyczne danie spoczęło przed starcem.

– Spójrz na nie – powiedział. – Wyśmienite. Gdybyś zamówiła jajka z wody na bekonie z tostem w tokijskim hotelu Imperial, danie, które by ci tam podano, nie różniłoby się niczym od tego. Nawet wizualnie.

Wiedziała, że mówi prawdę. Bacon był idealnie płaski, twardy, leciutki, pozbawiony tłuszczu i kruchy. Jakby sprasowany. Jajka ugotowane i roztrzepane idealnie, ułożone na kawałkach ziemniaków, do tego dwa plasterki pomidora i natka pietruszki. Danie serwowane z niewymuszoną elegancją. Kobieta wróciła, niosąc mniejsze talerzyki z tostami dla obojga.

– Wy jedzcie – rzucił Garreth. – Ja będę wyjaśniał.

Przecięła pierwsze jajko widelcem. Żółtko rozlało się po ziemniakach.

– Tito był na terenie terminalu wczoraj o północy, kiedy rozbrzmiały syreny.

Skinęła głową z ustami pełnymi bekonu.

– Ja zrobiłem dziewięć dziur w kontenerze. Zostawiłem dziewięć maleńkich, ale jakże rzucających się w oczy przestrzelin. Dzisiaj, kiedy dźwig zdjął kontener ze składowiska i umieścił go na naczepie ciężarówki, każdy mógłby je zauważyć. Pomijając już fakt, że gdyby pozostały otwarte, czujniki rozmieszczone na terenie portu mogłyby wykryć skażenie cezem. Aby tego uniknąć, Tito wspiał się na składowisko i zakrył wszystkie otwory przygotowanymi przez nas magnesami, co nie tylko je zamknęło, ale i ukryło przed niepowołanym wzrokiem.

Rzuciła okiem na dalszą część kontuaru, gdzie Tito właśnie odbierał swoje danie. Ich spojrzenie spotkało się na moment, a potem chłopak zaczął jeść.

– Powiedziałeś, że załadowano go dzisiaj na naczepę.

– Tak.

– I zostanie przewieziony na teren Stanów Zjednoczonych, do Idaho?

– Sądzymy, że to będzie Idaho. Nadajnik w kontenerze wciąż działa, Bobby więc będzie mógł dalej namierzać go dla nas. Będziemy w stanie przewidzieć, w którym miejscu nastąpi przekroczenie granicy.

– Jeśli nam się to nie uda – wtrącił starzec – i przedostaną się na teren kraju nie wykryci, mamy jeszcze kilka niespodzianek w zanadru.

– Ale najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli napromieniowanie zostanie wykryte podczas kontroli granicznej – dodał Garreth.

– A zostanie? – zapytała.

– Jeśli ktoś powiadomi celników, czego mają się spodziewać... – zasugerował Garreth.

– Parę telefonów we właściwe miejsca – powiedział starzec, ścierając resztki jajka z warg za pomocą białej serwetki – i w odpowiednim momencie sprawi, że wszyscy współpracownicy naszych finansistów na tym przejściu zostaną zneutralizowani.

Kobieta podała jajka Garrethowi. Zaczął jeść z uśmiechem na ustach.

– I jakie to może przynieść rezultaty? – zapytała Hollis.

– Ktoś będzie miał – odparł starzec – mnóstwo problemów. Ostatecznie jednak wiele będzie zależało od kierowcy. Naprawdę trudno wszystko przewidzieć. Ale z pewnością – uśmiechnął się szerzej niż kiedykolwiek wcześniej – z rozkoszą się o wszystkim dowiemy.

– O wilku mowa – wtrącił Garreth, odpinając pager od paska i odczytując wiadomość. – Bobby. Mówi, że to już. Transport rusza.

– Chodź ze mną – poprosił starzec, wciąż trzymając serwetkę w dłoni. Podszedł do okna. Hollis zrobiła to samo. Poczwała, że Garreth staje za nią.

I wtedy zobaczyła turkusowy kontener jadący na platformie tak cienkiej, że niemal niewidzialnej, wydawało się, że koła zostały przyklejone do stalowego korpusu przewożonej skrzyni. Spłynął z rampy i wjechał na skrzyżowanie, ciągniony za lśniącym nowością, czerwono-białym, mocno chromowanym ciągnikiem siodłowym, jego dwie wysokie rury wydechowe przywodziły na myśl lufę karabinu, z którego strzelał Garreth. Za kółkiem siedział mężczyzna o ciemnych włosach i kwadratowej żuchwie, który kojarzył się raczej z gliniarzem albo wojskowym niż truckerem.

– To on – usłyszała słowa wypowiedziane cicho przez Tita.

– Tak – potwierdził starzec, kiedy światła się zmieniły i ciężarówka z kontenerem minęła skrzyżowanie, jadąc w górę Clark i znikając im z oczu. – To on.

83. STRATHCONA

– I spisuje pan swoje tezy dotyczące baptystów, panie Milgrim? – Pani Meisenhelter postawiła na stole srebrną podstawkę z tostami.

– Anabaptystów – poprawił ją Milgrim. – To była naprawdę pyszna jajecznica.

– Dodaję raczej wody niż masła – odparła. – Wprawdzie trudniej doczyścić potem patelnię, ale mnie taka jajecznica lepiej smakuje. Anabaptyści, powiada pan?

– Oni wchodzą w zakres moich zainteresowań – przyznał Milgrim, odłamując pierwszy kawałek tosta – ale tak naprawdę zajmuję się rewolucyjnym mesjanizmem.

– Georgetown, powiada pan.

– Tak.

– To w Waszyngtonie.

– Właśnie.

– To dla nas zaszczyt gościć prawdziwego naukowca – powiedziała, chociaż Milgrim był pewien, że sama prowadzi ten pensjonat, a on jest w nim jedynym gościem.

– Ja również cieszę się, że znalazłem tak przytulne i spokojne miejsce – odparł. I to była prawda. Błąkał się po wyludnionych ulicach Chinatown, aż dotarł do dzielnicy, która według pani Meisenhelter należała do najstarszych części miasta. Na pewno nie do najzamożniejszych, to było oczywiste, chociaż równie wyraźnie było widać, że ta sytuacja szybko ulega zmianie. Czuł, że to miejsce przeobraża się w podobny sposób jak Union Square. Pensjonat pani Meisenhelter był przykładem tych zmian. Jeśli tylko zdoła przyciągnąć wystarczającą liczbę gości, by przetrwać w branży, z czasem będzie jej się powodziło tylko lepiej.

– Ma pan już jakieś plany na dzisiejszy dzień, panie Milgrim?

– Muszę poszukać mojego zaginionego bagażu – wyjaśnił. – A jeśli go nie znajdę, będę zmuszony dokonać kilku zakupów.

– Jestem pewna, że bagaż się znajdzie, panie Milgrim. Proszę mi wybaczyć, muszę sprawdzić, co z praniem.

Gdy wyszła, Milgrim dokończył tosta, odniósł brudne naczynia pozostałe po śniadaniu do zlewozmywaka, umył je, a potem udał się do swojego pokoju z płaską paczuszką studolarówek, przypominających kształtem cienką książeczkę, spoczywającą w tylnej kieszeni spodni od Jos. A. Banksa. To była jedyna rzecz, jaką zachował z tamtej torebki, oczywiście oprócz komórki, małej latarki z ledą i koreańskich cążek do paznokci.

Całą resztę, nie wyłączając czarnego urządzenia niewiadomego przeznaczenia, które było podpisane

do telefonu, zdeponował w czerwonej skrzynce pocztowej. Piękna kobieta ze zdjęcia na prawie jazdy wystawionym w Nowym Jorku nie posiadała kanadyjskiej waluty, a karty kredytowe na ogół przysparzają więcej kłopotu niż zysku.

Powinien kupić sobie dzisiaj lupę, jakąś lampkę z ultrafioletem i pisak do sprawdzania prawdziwości banknotów, jeśli zdoła go znaleźć. Banknoty wyglądały na dobre, ale musiał mieć pewność. Już w dwóch miejscach widział znaki informujące o nieprzyjmowaniu amerykańskich setek.

Ale pierwszeństwo ma tajemnica biczowników z Turynii, zdecydował siadając na skraju grubej narzuty i rozwiązując sznurówki.

Książka leżała w szufladce szafki nocnej razem z telefonem, rządowym długopisem, latarką i cążkami do paznokci. Zaznaczył miejsce, do którego doszedł, jedynym skrawkiem koperty, jaki sobie zachował. To był lewy górny narożnik oznaczony literkami „HH” spisanymi wyblakłym czerwonym atramentem. Z jakiegoś powodu wydawały mu się ważne.

Pamiętał moment wsiadania do autobusu, poprzedniej nocy, z torebką trzymaną pod pachą pod marynarką. Rozmienił pieniądze, tak jak planował, w Princeton, sprawdził rozkład jazdy i ceny, a potem odliczył dokładną kwotę w dziwnych, obco wyglądających nijakich monetach i nie wypuszczał jej z garści.

Siedział w niemal pustym autobusie, z tyłu przy oknie, a jego dłonie skrycie, jakby spodziewały się nagłego ataku, eksplorowały po omacku czeluści czegoś, co początkowo wziął za zwykłą i niewiele obiecującą damską torebkę.

Zamiast po książkę nagły impuls kazał mu sięgnąć po telefon. Był włączony, kiedy go znalazł, dlatego natychmiast zmienił ten stan rzeczy. Teraz ponownie go włączył. Nowojorski numer. Aktywny roaming. Bateria prawie pełna. W książce telefonicznej większość numerów z Nowego Jorku i same imiona w opisach. Dzwonek wyciszony. Zmienił to ustawienie na wibrację, by zyskać pewność, że aparat jest sprawny. I był.

Już przymierzał się, żeby ponownie ustawić go na wyciszenie, gdy telefon zawibrował mu w dłoni.

I jego dłoń otworzyła go, a potem przytknęła do ucha.

– Halo? – usłyszał głos jakiegoś mężczyzny. – Halo?

– To pomyłka – odparł, ale po rosyjsku.

– To na pewno nie pomyłka, numer się zgadza – odpowiedział mężczyzna po drugiej stronie rosyjskim o silnym akcencie, lecz całkiem zrozumiałym.

– Nie – powtórzył Milgrim. – To pomyłka.

– Gdzie jesteś?

– W Turynii. – Zamknął telefon, po czym natychmiast otworzył aparat ponownie i go wyłączył.

Jego ręka optowała za drugą tabletką rize'u tego ranka, co było zrozumiałe, zważywszy na okoliczności.

Schował telefon do szufladki. Już nie uważał, że zatrzymanie go było sensownym posunięciem. Pozbędzie się go później.

Otworzył książkę, gotów podjąć lekturę w miejscu, w którym przerwał historię margrabi Fryderyka Nieulękiego, kiedy niespodziewanie przed oczami stanął mu St. Marks Place, taki jak wtedy, w październiku ubiegłego roku. Rozmawiał z Fishem przed wejściem do sklepiku z używanymi płytami, miejsca, w którym naprawdę handlowano starymi winylowymi krążkami, a zza witryny, ze ściany, patrzyła na niego twarz kobiety. I nagle, gdy oparł się o poduszki, zrozumiał, kim ona była, co więcej, wiedział nawet, skąd ją zna.

A potem wrócił do lektury.

84. CZŁOWIEK, KTÓRY ZASTRZELIŁ WALTA DISNEYA

– Niezła – powiedział Bobby, sącząc już drugie *piso mojado*, wygodnie rozparty na fotelu, aby przyrzeć się szczytowi budynku Bigenda przez maskę Hollis. – Skala jednak robi swoje.

Inchmale ma rzeczywiście niesamowity wpływ na niego, pomyślała. Jak się okazało, miała rację uważając, że jest wielkim fanem Inchmale'a, ale nie spodziewała się, że skutkiem spotkania będzie zanik jego fobii. Chociaż duży wpływ na taką sytuację mógł mieć również fakt, że minęło już pięć dni od czasu, gdy skończył robotę dla starca i Garretha.

Tito, a dowiedziała się tego zupełnie przypadkowo, także pozostał w mieście, przynajmniej do tego popołudnia. Widziała go w niewielkim markecie obok hotelu Four Seasons, gdzie się przeprowadziła po tym, jak Bigend przyleciał z Los Angeles. Chłopakowi towarzyszył mężczyzna, który mógł być jego starszym bratem, z długimi, sięgającymi ramion, prostymi czarnymi włosami rozdzielonymi pośrodku. Sądząc po torbach, zrobili zakupy. Tito dostrzegł ją, była tego pewna, i uśmiechnął się, a potem odwrócił się i zniknął w głębi wypełnionej markowymi towarami hali.

– Niewiele detali, tak jak lubię – powiedział Inchmale. Wczesny Disney.

Bobby zdjął maskę i odgarnął lok z czoła.

– Alberto to nie jest. Ale tylko dlatego, że potrzebowałeś tego na wczoraj. Gdybyś dała mu popracować nad tą instalacją, pokryłby ją skórką rodem z najgorszego horroru.

Odłożył hełm na stolik. Siedzieli w ogródku baru na Mainland, tego samego, do którego pojechali po raz pierwszy z Heidi i Inchmale'em tamtej nocy, gdy ją uratowali.

– Ci Bolardzi – zapytała Odile przeciągając niemiłosiernie ostatnią sylabę – oni to widzieli?

– Tylko zrzut ekranowy – odparł Inchmale.

Wpadł na ten pomysł, kiedy Hollis i Odile opowiedziały mu o porzuceniu przez Bobby'ego Chomba artystów lokacyjnych z Los Angeles, o tym, jak Alberto stracił swojego Rivera. Złożył Bobby'emu propozycję w imieniu The Bollards. Piosenka miała tytuł „Pm the Man Who Shot Walt Disney” – „Jestem człowiekiem, który zastrzelił Walta Disneya” – według Inchmale'a był to najlepszy kawałek z materiału, jaki produkował dla nich w Los Angeles. Bobby miał reżyserować klipa, który zawierałby elementy sztuki lokacyjnej i zaznajamiał z nią szerszą publiczność jeszcze na etapie, gdy maski podobne do tej, jaką miała Hollis, były wciąż w fazie beta testów. Aby upewnić się, że Bobby podejmie na nowo obowiązki wobec środowiska w Los Angeles, Inchmale udał wielkiego fana Alberta. Dzięki pośrednictwu Odile szybko doszli do porozumienia i przekonali Bobby'ego do natychmiastowego przeniesienia wszystkich prac na nowe serwery, co też zrobił.

Heidi powróciła do mrocznych tajemnic swojego małżeństwa w Beverly Hills, pozostawiając chwilowo nieutuloną w żalu Odile. Z drugiej strony, sukces przy rozwiązywaniu problemów z geohackingiem dla co najmniej tuzina artystów, którym od ręki zajął się Bobby, sprawił, w mniemaniu Hollis, że francuska kuratorka urastała do miana bohaterki w tym środowisku i miała z czym wracać

do domu. Nie mogła jednak powiedzieć, żeby Odile okazywała z tego powodu jakąś radość. Nadal mieszkała u Bigenda, a nawet razem z nim, podczas gdy Hollis przeprowadziła się do hotelu Four Seasons i wynajęła pokój obok Inchmale'a.

Teledysk Bobby'ego, za entuzjastyczną aprobatą wyrażoną przez Philipa Rauscha, stał się częścią jej wciąż nie napisanego artykułu dla „Node'a”.

Po śniadaniu w Beenie's zdecydowała, że wyjawi Bigendowi, iż była przetrzymywana, aczkolwiek bez aktów przemocy, w okresie pomiędzy wyjazdem z kryjówki Bobby'ego a powrotem do apartamentu. Autorem takiego scenariusza zdarzeń był starzec we własnej osobie, chociaż uczynił to niejako bezwiednie; w końcu powiedział, że to zrobi, jeśli ona nie zaakceptuje warunków umowy. Zasłonięto jej oczy i tak dołączyła do nie znanych jej ludzi, z którymi była przetrzymywana w nieznanym miejscu, dopóki Garreth nie przyjechał po nią i nie zawiózł z powrotem do kryjówki Bobby'ego. Jako że Bobby nie orientował się dokładnie co do przedsięwzięcia starca i nie był świadkiem, jak ten zawiera umowę z Hollis, nie musiała się obawiać, że ją wyda przed Bigendem. A okłamanie Bigenda wydało jej się w tej sytuacji najwłaściwszym rozwiązaniem.

Sam Hubertus ze swej strony bardzo ułatwił jej to zadanie. Wydawało się, że ta cholerna chińska reklamówka samochodowa za zylion dolarów pochłonęła, go tak bardzo, że wyprawy w świat tajemnic straciły znacznie na wartości. O ile w ogóle pozostały w polu jego zainteresowań. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później – robiąc użytek ze znajomości z Bobbym – wyciągnie z niego to i owo i kto wie, do jakich wniosków może dojść, kiedy poukłada sobie wszystkie kawałki łamigłówek, jakimi dysponował geohaker, ale to nie będzie już jej problemem. Za to uznała za bardzo osobisty problem tę cegiełkę w tylnej ścianie komina, za którą starzec zdecydował się ukryć tajemnicę tego, co zrobił.

A sprawa ta nadal pozostawała tajemnicą, na zewnątrz nie wydostała się żadna informacja dotycząca zatrzymania ciężarówki podczas przekraczania granicy w Idaho. Ale uprzedzili ją, że taki scenariusz też jest możliwy. Ta sprawa od początku miała rozegrać się w kraju agentów i najwyraźniej tak pozostanie przez bardzo długi czas, co jak się okazało, było jedną z przyczyn, dla których starzec mógł jej zaufać.

– ‘Ollis – Odile odezwała się z za jej pleców – musisz popatrzeć na małego od Inchmale'a.

– Nie sędzę – odparła Hollis, odwracając się tylko po to, by zobaczyć zdjęcie pięknej Angeliny z zaślinionym małym Willym Inchmale'em stojącej w patio ich domu w Buenos Aires.

– Łysy to on jest dostatecznie – powiedziała. – Ale gdzie ta broda?

– Chłopak szaleje za perkusją – rzucił Inchmale, dopijając ostatnie *piso*. – I za cycusiami.

Hollis sięgnęła po maskę. Niedługo, naprawdę niedługo będzie musiała dać Inchmale'owi odpowiedź w sprawie chińskiej reklamy samochodowej. W końcu po to się tutaj zebrali tej wiosny, która z dnia na dzień robiła się coraz radośniej piękna, zamiast tkwić w Los Angeles, gdzie Inchmale chwilowo odwiesił na kołek chłopaków z The Bollards. Chciał to zrobić. Był teraz ojcem, sam to podkreślał, żywicielem, i jeśli „It's Hard to Be One” w reklamie chińskich samochodów zapewni mu bezpieczną przyszłość, niech tak będzie.

Co do swojej części tego interesu, nie była jeszcze pewna.

Założyła maskę, włączyła ją i spojrzała w stronę wyrenderowanego przez Alberta kreskówkowego wyobrażenia gigantycznego Mongolskiego Robala Śmierci. Jego ogon wił się, przechodząc przez kolejne płaszczyzny okien w piramidalnej siedzibie Bigenda, niczym węgorz wokół krowiej czaszki, falując majestatycznie, ogromny i szkarłatny na tle nocnego nieba.

PODZIĘKOWANIA

Niechaj przyjmą:

Susan Allison

Norm Coakley

Anton Corbijn

Claire Gibson

EileenGunn

Johan Kugelberg

Paul McAuley

Robert McDonald

Martha Miliard

R. Trilling

Jack Womack